Wydawnictwo

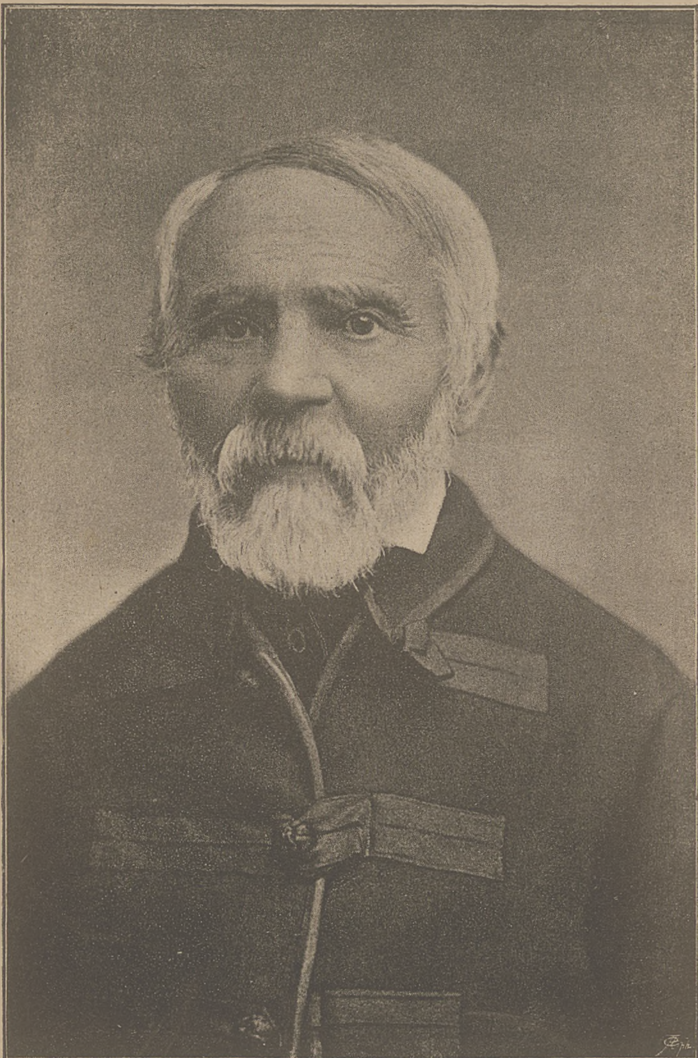
na cele dobroczynne samborskie.

ROCZNIK
DZIESIĘCIOLECIA.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,
wydawana
NAKŁADEM I STARANIEM
G. KOHNA.

Cena 1 złr. 80 ct.
dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1886—1887.



Domicjan Mieczkowski.

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

Jubileuszowy
X. ROCZNIK.

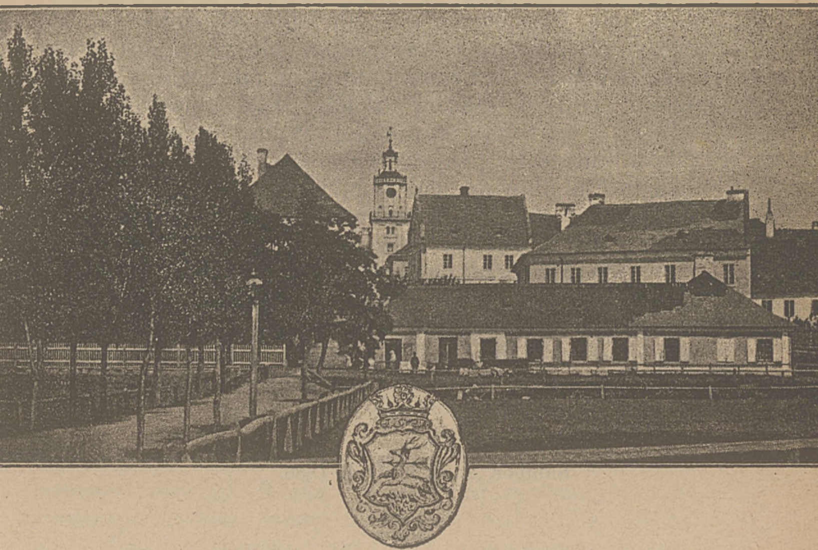
NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

SAMBOR.
CZCIONKAMI SCHWARZA i TROJANA.
1886—1887.



Słówko od wydawcy.

W niniejszym tomem wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie dobiega kresu rzadkiej w dziejach naszej publicystyki galicyjskiej na prowincji — uroczystości dziesięcio-letniego istnienia swego. Sympatje, któremi *zwłaszcza warstwy inteligentne* otaczały i otaczają ciągle wydawnictwo samborskie, będą dla wydawcy tegoż bodźcem i zachętą do dalszego wytrwania w raz obranym kierunku. Nie służymy i nie pragniemy służyć żadnemu stronnictwu i żadnej koterji, ale pragniemy służyć jedynie krajowi, pragniemy służyć dobru tegoż,

tak jak my to rozumiemy. Dobro kraju i prawdę tedy mając jedynie na względzie, nie odwołujemy ani słówka z prawd, wypowiedzianych przez nas w poprzedzającym roczniku w dziale bibliograficznym; bo za prawdę, głęboko odczutą a źle zrozumianą przez ogół, ponosi się dobrowolnie poniewierkę i ginie się osamotnionym, ale nie wyrzeka jej się nigdy. Sympatja towarzysząca mi wszędzie wśród życzliwych mi i przyjaciół, którym publiczne składam dzięki, jeden szczery uścisk dłoni człowieka rzetelnego i prawego stanie mi za sto urągań i przytyków naszych „najserdeczniejszych“, którzy „serdecznie“ ubolewają nad tem, iż „wydawnictwa mego uśmiercić nie można, ponieważ zanadto głęboko wkorzeniło się w pojęcia i umysły ludu.“

Witamy przeto z nieudaną przyjaźnią na drodze naszej przyjaciół i zwolenników wydawnictwa samborskiego, dając im na czele tegoż wydawnictwa w widoczku samborskim, ze strony Blichu wziętym, upominek miły może niejednemu Samborzaninowi i Niesamborzaninowi.

Sambor, 2. Grudnia r. 1886.

G. Kohn,
redaktor i wydawca
„Roczników Samborskich.“

Domicjan Mieczkowski.

Wspomnienie*) przez Agatona Gillera.

(Z ryciną tytułową.)

Cześć się należy ubóstwu starca, którego życie ubiegało wśród mozolnej pracy dla oswobodzenia ojczyzny!

Praca dla ojczyzny w narodach niepodległych otwiera widoki świetnej karjery, daje godność i wysokie stanowiska, przynosi znaczenie i sprowadza starość bez troski o jutro. Nie tak jest w Polsce poddanej obcym mocarstwom. Zamiast nagrody służba dla ojczyzny sprowadza prześladowanie i poniżenie, zabiera spokój i zamożność i pozostawia w starości bez chleba. Ażeby wytrwać w takiej służbie, — potrzeba czerpać naukę życia z najczystszego i najżywszego źródła wiary świętej i miłości, potrzeba moc duszy ukrzepiać światłem prawdziwej nauki, potrzeba być człowiekiem poświęcenia!

We Lwowie poznałem Domicjana Mieczkowskiego. Starzec skromny i mało znany, dawniej zamożny dziś ubogi, nie zwątpił ani w Boga ani w własny naród, a zachował w duszy zawsze świeżą i chętną siłę do pracy. Sędziwym wiekiem pochylony, znękany chorobą i zawodami życia, obarczony rodziną potrzebującą jego pomocy, w niedostatku, bez pewności jutra, — nie poddawał się smutnym wrażeniom obecności, zdolnej zwątlić silny nawet chara-

---

*) Życiorys Domicjana Mieczkowskiego napisanym został w roku 1881. Zasłużony weteran był pomimo sędziwego wieku zupełnie zdrowym i nic nie zapowiadało rychłej śmierci. Dzisiaj ten życiorys jego jest już tylko wspomnieniem pracy i zasług jego żywota.

kter, lecz z młodzieńczą niemal żywością zajęty był wykończeniem i wydaniem dzieł pożytecznych. Patrząc na męztwo chrześcijańskie, z jakiem wśród niedoli i w opuszczeniu zupełnem pracował dla dobra ojczyzny, powiedziałem sobie, — nie zginie naród, który posiada starców, co mają po za sobą długie pasma żywota, poświęconego jednemu celowi, dobra własnego kraju.

Dzieła jakie napisał są utworami natchnionemi przez miłość Boga i ojczyzny. W trosce o jej oswobodzenie, miał ciągle na myśli rozszerzenie cnót narodowych, czysto-polskich obyczajów i wpływów prawdziwej polskości, zdolnych odrodzić i ukrzepić nasze społeczeństwo, wystawione na zgubne pokusy, uciski i demoralizujące działanie fałszywych doktryn. Składając w nich owoc długiego doświadczenia, rzetelnej umiejętności i światła prawdy, starał się w obrazach z dziejów narodowych i w postaciach mężów i niewiast zasłużonych Polsce, ukazywać wzory mogące zachęcić młode pokolenia do nieskazitelnego życia, gorliwości w służbie publicznej i do szlachetnego poświęcenia się dla ojczyzny. Charakterystyką więc piśmiennej dążności Mieczkowskiego jest wznowienie ducha zacnej narodowości z czasów świetnego i szczęśliwego bytu polskiej ojczyzny i oparcie skuteczności usiłowań do odzyskania niepodległego bytu na podstawie cnót domowych, społecznych i obywatelskich.

Poświęciwszy całe niemal życie autorskiej pracy, której nie porzucał w czasie wojny, później zaś oddawał jej się pilnie, trudniąc się jednocześnie gospodarstwem rolnem na wsi, w końcu zaś przeniosłszy się do miasta, cały swój czas nią zapełniał, napisał wiele dzieł treści historycznej, biograficznej, obyczajowej i religijnej, z których większa część zostaje dotąd w rękopismach i oczekuje na wydawców.

Następujące dzieła zostały już wydrukowane:

1) Dzieje ludu Izraelskiego pod sterem naczelników z rodziny Asmonejskiej. (Lwów 8. str. 120. Drukowane nakładem gminy izraelitów lwowskich 1860). Świetny ten okres z dziejów

biblijnych, przedstawił autor w sposób nauczający, jasny i zajmujący.

2) Ostatnia wojna Judejczyków z Rzymianami i zburzenie Jerozolimy przez Tytusa. (Kraków 8. str. 162. Nakład drukarni „Czasu“).

3) Obrazy historyczne z czasów Stanisława Leszczyńskiego, z odcieniami obyczaju i charakteru ludzi. (Kraków 8. str. 140. Nakładem drukarni „Czasu“). Autor w tem dziele z faktów historycznych wydobył żywioł społecznego wykształcenia, co nadaje jego pracy szczególną wartość. Do drugiego zaś wydania przygotował rękopism znacznie powiększony.

4) Zmiana polityki cara Piotra w układach dotyczących się Polski i pobyt cara w Paryżu. (Kraków. 8. str. 40. Nakład drukarni „Czasu“). Autor w tym obrazie wykazuje dokładnie wszystkie pobudki, które cara Piotra nieprzyjaźnie dla Polski usposobiły.

5) Reforma stroju Polek z uwzględnieniem politycznych okoliczności teraźniejszych. (Lwów. 8. 1864. str. 16. nakład p. Steckiego). Broszura ta zawierająca wiele trafnych myśli, wywołanych przez zmianę stroju Polek i przybranie ich w czarne suknie żałoby, sprzedawaną była na cele patryotyczne.

6) Nabożeństwo na cześć św. Stanisława biskupa krakowskiego, patrona Królestwa Polskiego, nowo ułożone i nakładem księży Paulinów wydane w Krakowie 1866. str. 30.

7) Rocznica siedmset ośmdziesiąt siódma św. Stanisława Szczepanowskiego, biskupa krakowskiego, patrona polskiego uczczona przedłożeniem jego żywota i pośmiertnej w chrześciaństwie chwały, z przydanemi historycznemi dowodami przeciw wznawianym przez teraźniejszych krytyków zarzutom. (Kraków. 8. str. 75. Nakładem Budweizera).

8) Pogląd na sprawy duchowne, niemniej też na zasługi położone dla kościoła katolickiego i ojczyzny polskiej przez św. Jozafata Kuncewicza,

arcybiskupa połockiego rusko-unickiego (Kraków. 8-vo, str. 72. Nakładem księgarni Wielogłowskiego. 1867.);

9) Opis życia, cudów i kanonizacji św. Jana Kantego, profesora Akademii krakowskiej, patrona Polskiego, podany rodakom w stuletnią rocznicę kanonizacyjną. (Kraków. 8-vo, str. 214. Nakładem księgarni Grzybowskiego). Treść tego dzieła jak i poprzednich bogata, pouczająca, zaleca się piękną formą;

10) Sielanki ziemianina polskiego (Lwów, stronic 232 nakładem autora 1871 r.) Sielanek jest 36. Są to powiastki i obrazki pisane prozą z tendencją moralną i patryotyczną. Zasługują na to, aby najwięcej rozeszły się pomiędzy ludem, przedstawiają bowiem pokarm duchowy zdrowy, zdolny duszę czytającego szlachetnie nastroić.

Z prac Mieczkowskiego, drukowanych w pismach perjodycznych, wymieniamy następujące: a) Rafał Leszczyński, podskarbi W. K. ojciec króla Stanisława Leszczyńskiego; b) Uzasadnienie pojęcia o ojczyznie. Obie te prace drukowane były w II tomie z roku 1877 „Ruchu literackiego.“

Wspomniany „Ruch literacki“ podał (tom I. z roku 1877) ocenę wszystkich dzieł Mieczkowskiego Domicjana. Po wyliczeniu dzieł drukowanych, przechodząc do rękopiśmiennych, wyraził się o nich w następujący sposób:

„Pomiędzy rękopismami przeważają dzieła historyczne. Przedmiot ich wydobywał autor z historji polskiej lub żydowskiej. Przedstawiał zaś go w tem świetle, które czyni historją ważną i pożyteczną nauką, dla tego to pisma Mieczkowskiego nadają się szczególniej do rozszerzania uczuć obywatelskich i wyrabiania w czytającym pojęć oraz przekonań, prowadzących do sumiennego spełnjania obowiązków publicznych i prywatnych, jakimi narody utrzymują swoją niepodległość oraz potęgę. Pan Mieczkowski nie należy do szkoły historyków, która w swoich dziełach nie ma żadnego względu na stronę ich moralną i narodową. Bezduszna przedmiotowość nie

jest ich cechą. Nie ma też w nich doktrynerskiego naciągania faktów do widoków teoryj politycznych, ani też jednej tylko dbałości o formy umiejętne przy braku wszelkiej uwagi na skutek, jaki zapatrywania autora sprowadzić mogą dla czytającego. Dzieła doktrynerów, historyków, nawet tych, którzy uważani są dzisiaj za wielkie powagi, więcej przynoszą szkody niż pożytku. Zapomnieli oni, że historja powinna być mistrzynią życia i piszą w ten sposób dzieje polskie, że czytający zamiast miłości nabiera wstrętu do przeszłości i traci wiarę w przyszłość narodu. Pan Mieczkowski wyróżnia sie od innych tendencją. Nie fałszuje on dla niej prawdy, ale tak umie przedstawić fakta historyczne, iż w obrazie jego piórem skreślonym, zawsze one budują w sercu i myśli czytającego ojczyznę. Podnosimy to jako szczególną zaletę pism Mieczkowskiego. Dla każdego przedmiotu użył właściwej formy. Dla przedstawienia czynów bohaterskich i wielkiej z cnót obywatelskiej zasługi, użył stósownej wymowy, nazywając życiorysy takie „pochwałami historycznemi,“ które się znacznie różnią od tych, jakie pisał Stanisław Potocki. Wzorem tej formy pochwał, której użył Mieczkowski byli celujący wymową dziejoznawcy francuzcy, zwłaszcza Thomas. Prawda w niej dokładnie wyłuszczona, obok podniesienia moralnej godności ludzkiej, w słowach jasnych i ozdobnych, jest miana na szczególnej baczności.“

Dziwić się zaiste należy, że dzieła tej wartości, nie znalazły nakładców. Księgarze nasi chętnie wydają romanse i opisy często gorszące, wstręt zaś mają nieprzezwyciężony do dzieł poważnej, zwłaszcza też patryotycznej treści. Mieczkowski całe życie pracując sumiennie i uczciwie, dopracował się na starość biedy i nie miał nawet tej pociechy, ażeby widział swoje dzieła wydrukowane i od zniszczenia zabezpieczone. Gdzie indziej byłby bogatym i dzieciom w pismach swoich zapewnił trwały dochód, u nas opuszczony starzec patrzeć musiał jak spekulanci zgorszenia odbierają literaturze wzniosły charakter przybytku narodowego ducha i zasypują piśmiennictwo śmieciem literackiem, nie mogąc znaleźć ręki pomo-

cnej, któraby mu ułatwiła wydanie dzieł dobrych i zdrowych, odrodzenie moralne i patryotyczne mających na celu i przywracających przodkom blask sławy, przez głupią krytykę zaćmionej. Jest to swojego rodzaju męczeństwo, tem boleśniejsze, że przez swoich zadawane. Jeżeli wśród tej dotkliwej obojętności rodaków, nie zwątpił i pióra z drzącej od starości ręki nie odrzucił, zawdzięczał to wierze, która go podtrzymywała i mówiła mu, iż nadejdzie czas, w którym to, co piękne i prawdziwe, uszanowanem zostanie i że wtedy dzieła jego, owoc długoletniego życia, wydanemi zostaną na pożytek ukochanego narodu.

W rękopismach posiada Mieczkowski Domicjan następujące dzieła:

1) Pochwała historyczna Jana Sobieskiego z dołączeniem objaśniających przypisków. — Tom jeden, arkuszy 37.

2) Pochwała historyczna Stanisława Leszczyńskiego z dołączeniem dyplomatycznych aktów. Tom I., ark. 30.

3) Pochwała historyczna Tadeusza Kościuszki z dołączeniem dyplomatycznych aktów i objaśniających przypisków. Tom I, ark. 40. Trzy te dzieła są niepospolitej wartości; w formie pochwały wydobywają z życia tych wielkich mężów wszystkie dodatnie strony ich działania, oznajmiają przytem dokładnie z historją ich czasów.

4) Życiorys znakomitszych mężów i niewiast z rodziny Leszczyńskich, z dołączeniem mów i artykułów, które były ich pióra utworem. Znajduje się tu trzynaście życiorysów. Tomów 2, ark. 62.

5) Obrazy historyczne z czasów Stanisława Leszczyńskiego. Jest to rękopism do wydania drugiego, znacznie powiększonego. Tom I. arkuszy pisanych 27.

6) Opisy krasomówczo-historyczne do dziejów polskich odnoszące się. Są tu następujące opisy: a) Wybór Władysława III. syna Jagiełły na króla polskiego i węgierskiego, jego poświęcenie się dla wolności ludów i sprawy chrze-

ściaństwa; b) Wojna chocimska w roku 1621 pod dowództwem K. Chodkiewicza i Stanisława Lubomirskiego; c) Wojna pięcioletnia z Szwedami za Jana Kaźmirza. Dzieło ma tomów II. arkuszy pisanych 67.

7) Zarysy historyczne z dziejów polskich. Są w tem dziele następujące szkice: a) zasługi rycerskie i obywatelskie Aleksandra Polanowskiego, chorążego koronnego, jenerała artylerji w wojsku Rzeczypospolitej; b) Sprawa związku wojskowego za Jana Kaźmirza; c) Odsiecz Wiednia 1683 roku; d) Zasługi Stanisława Leszczyńskiego w obec każdego społeczeństwa, którego był członkiem; e) Cnoty społeczne i obywatelskie Kościuszki. Tom I. arkuszy 36.

8) Życiorysy odszczególnionych cnotami domowemi i społecznemi niewiast polskich. Są tu życiorysy następujące: Jadwigi, królowej polskiej; Zofii z Odrowążów Kostkowej; Katarzyny Jagiellonki, królowej szwedzkiej; Anny Jagiellonki, królowej polskiej; Katarzyny z Maciejowskich Wapowskiej; Doroty z Goryńskich Barżyny; Elżbiety z Gostomskich Sieniawskiej; Barbary z Naruszewiczów Tyszkiewiczowej; Anny z Kostków, księżny Ostrogskiej; Anny z Ruśca Lubomirskiej; Anny z Jabłonowskich Ligęziny; Zofii z Mikołajewskich Zaleskiej; Barbary ze Żmigrodu Mniszkowej; Anny z książąt Ostrogskich Chodkiewiczowej; Joanny z Zamojskich Koniecpolskiej; Katarzyny z Sobieskich Radziwiłłowej; Anieli z Koniecpolskich Wielopolskiej; Doroty z Jaskólskich Gnińskiej; Marji z Kazanowskich Jabłonowskiej; Krystyny z Lubomirskich Potockiej; Marji z Olszowskich Szembekowej; Marji Klementyny z Sobieskich Stuartowej; Anny z Sanguszków Radziwiłłowej; Katarzyny z Opaleńskich Leszczyńskiej; Doroty z Niemojowskich Siemieńskiej; Elżbiety z Potockich Szczukowej; Anny z Jabłonowskich Lanckorońskiej; Konstancji z Czapskich Małachowskiej; Urszuli z Potockich Wielopolskiej; Tekli z Bielińskich Łubieńskiej; Marji z Świdzińskich Lanckorońskiej; Tekli z Wodzickich Małachowskiej; Ludwiki Ossolińskiej. Tom I. arkuszy 36.

9) Listy opisowe z czasu powstania polskiego w r. 1830—31. Ażeby dać dokładniejsze wyobrażenie treści tego dzieła o powstaniu listopadowem, powtarzamy tytuły pojedyńczych listów: a) Dokładniejsze wiadomości o wybuchu powstania, b) Ówczesny stosunek orężnej siły polskiej i moskiewskiej, ustanowienie rządu tymczasowego, uznanie powstania za narodowe, wyznaczenie dnia na zebranie sejmu, wezwanie Chłopickiego na naczelnego wodza, c) Widok chwalebnych celów powstania: zamiar wstąpienia do szeregów obrończych, d) Zdanie o dyplomacji kierowników powstania, e) Zwycięztwa polskie pod Stoczkiem, Ryczywołem, Dobrem, Cyganką, Wawrem, f) Wybranie się do oddziałów powstańczych, g) Bitwy pod Białołęką i Grochowem, h) List z obozu do ojca i stawienie się przed jenerałem Dwernickim, i) Opisanie stanowiska i trybu obozowego, k) List do ojca z twierdzy Zamościa, zaciągnięcie się do oddziału konnej artylerji polowej, l) List do brata z placówki, m) List do brata z szpitala: spowiedź żołniersko-obywatelska, n) Śmierć weterana polskiego, o) Jeniec moskiewski na usłudze przy chorym ochotniku polskim, p) Zegarek ojcowski jako najlepsza wskazówka należytej w każdym razie czynności, r) Do brata ze szpitala: brząkająca mucha za dnia i wśród nocy: północna modlitwa, s) Wspólna narada moich lekarzów, t) stawanie przed dowódzcą twierdzy, u) Pierwsza wiadomość o wstąpieniu korpusu Dwernickiego do Galicji, w) O położeniu Dwernickiego i obozie jego pod Klebanówką, z) Cholera wniesiona do Galicji przez Moskali, aa) Bitwa pod Ostrołęką, bb) Koleje rozwoju powstania na Litwie, cc) Wypadki mordów i gwałtów wśród nocy z dnia 15. na 16. sierpnia w Warszawie, dd) Obserwowanie i dobywanie Warszawy, ee) Zwątpienie i ostatnie błędy polskich dowódzców, ff) Pogląd ogólny na kierunek powstania i przyczynę jego upadku; rękojmie powstania odpowiedniego celowi oswobodzenia narodu. Dzieło to niedrukowane jest pamiętnikiem Mieczkowskiego. Zawiera opis ogólny powstania i szczegóły tyczące

się udziału autora w tem powstaniu. Tom jeden, arkuszy 30.

10) Pomniejsze pisma treści historycznej, politycznej i w przedmiotach polskiej narodowości tyczących. Pod tym tytułem opisał Mieczkowski dalsze wypadki w Polsce a zwłaszcza w Galicji i swój w nich udział. Jest to więc jakby dalszy ciąg jego pamiętnika. Treść poznamy z tytułów rozdziałów: a) Siedmnaście listów opisowych o zwrotach sprawy polskiej w Galicji od r. 1832 do roku 1849; b) Rozpamiętywanie Polaka wychodźcy; c) Rozpamiętywanie Polaka więźnia stanu; d) Rozpamiętywanie Polaka ujarzmionego; e) Uzasadnienie pojęcia o ojczyznie: cecha zacnej narodowości polskiej jako podstawy samodzielnego bytu; f) Środki do przywrócenia bytu samodzielnego Polski, zależące na współudziale innych ludów; g) Wrażenie trzech kazań rekolekcyjnych w kościele krakowskim u św. Piotra r. 1861; h) Gazeta dla wszystkich stanów: projekt nowego czasopisma w roku 1861; i) Zdanie o czasopiśmie humorystycznem „Kuźnia“: k) Zwiedzenie Krzemieńca na Wołyniu w roku 1862; l) Ośmiodniowy pobyt w Kółkach na Wołyniu r. 1862; m) Żałoba polska w r. 1862; n) Sumienne postanowienie ludu polskiego względem dochowywania wiary ojców i narodowości swojej w 1862 r.; o) Głos Polaka do świeckich i duchownych współbraci swoich w 1862 r.; p) Bezskuteczność pośrednictwa dyplomatycznego w sprawie polskiej: odpowiedne jej uwzględnienie ze stanowiska politycznego, religijnego i humanitarnego w 1863 r.; r) Stosunek sprawy polskiej do duchowieństwa katolickiego i najpożądańsza w tej mierze pomoc od Stolicy Apostolskiej r. 1863; s) Wzmianka o ogłoszonem w styczniu r. 1864 słowie wstępnem do dzieła „Opis Wołynia“ przez Tadeusza Steckiego; t) Reforma stroju Polek; u) Poratunek podczas klęski głodowej r. 1865; w) Głos patryotycznego uczucia podczas burzenia kościoła Karmelitów przy ulicy Halickiej we Lwowie r. 1870; x) Kilka szczegółów z uroczystego obchodu na kopcu Unii we Lwowie dnia 13. sierpnia 1871 r. podczas zjazdu obywateli z różnych dzielnic Polski; y) Zapytania do ziemian

i ziemianek polskich w stuletnią rocznicę pamiętnego zgubnym sprawy narodowej zwrotem r. 1772; z) Odezwa do braci polskich w Szwajcarji 1874 r. Tom I, arkuszy 34.

11) Pisma obyczajowe, zawierają następujące rzeczy: a) Pomysł o uzacnieniu społeczeństwa domowego, towarzyskiego i narodowego dla ugruntowania prawdziwej szczęśliwości, mianowicie pomysł obywatelskiego stowarzyszenia dla celów obyczajowych i dobra społecznego i zakres tego stowarzyszenia; b) Stan teraźniejszy ludzkich społeczeństw; c) Skład i urządzenie obywatelskiego stowarzyszenia i utworzenie związku obyczajowego; d) Skazówki tyczące się głównych cnót domowych i towarzyskich; e) Skazówki tyczące się głównych cnót obywatelskich; f) Skazówki do ścisłego cnót domowych i towarzyskich pełnienia; g) Skazówki do ścisłego cnót obywatelskich pełnienia; h) Skazówki do wywierania wpływu bezpośredniego ze strony członków obywatelskiego stowarzyszenia; i) Działalność naukowo-piśmiennicza członków obywatelskiego stowarzyszenia; k) Działalność uczuciowo-artystyczna członków obywatelskiego stowarzyszenia; l) Oddziaływanie przeciw złym wpływom; m) Widok dokonanych w społeczeństwie ludzkiem ulepszeń, odpowiednio wznioślejszemu charakterowi człowieczeństwa i prawdziwej dla ludzi szczęśliwości. Całe dzieło w tomie jednym, zawiera arkuszy 30.

12) Wieczory domowe, czyli książka do czytania w siedzibach ludu wiejskiego i miejskiego dla młodzieży, która się kształciła w początkowych tylko szkołach publicznych. Znajdują się w tej książce opowiadania moralne i przykłady miłosierdzia, wspaniałomyślności, ofiarności dla dobra ogólnego i współdziałania w sprawie wolności; zarysy obyczajowe, wspomnienia o celniejszych królach, hetmanach i dostojnikach polskich; wiadomości z dziedziny przyrodniczej, opisy historyczne i poezje. Tom jeden, arkuszy 28.

13) Listy rodzinne, towarzyskie i opisowe z okresu moich lat młodych, w szcze-

gólności w Krzemieńcu, Krakowie i Warszawie. Tom jeden, arkuszy 30.

14) Dzieje ludu wybranego od czasów patryarchalnych aż do zburzenia Jerozolimy. Jest to obszerna historja żydów, do której autor dołączył przekład dzisiejszą polszczyzną celniejszych ksiąg starego i nowego zakonu, z wyświeceniem celów moralnych człowieczeństwa, oraz wytknięciem skazówek do uzasadnienia stosunków społecznych na ustawie boskiej i nauce Zbawiciela. Dzieło to obejmuje tomów sześć, arkuszy 423.

15) Pomniejsze pisma treści religijnej. Obejmują pomiędzy innemi żywoty kilkunastu świętych polskich. Tomów 3.

16) O czci Bogarodzicy we wszystkich czasach i między różnemi narodami z wzmiankowaniem pamiętniejszych Jej łaski objawień, żarliwszych imienia Jej czcicieli i Jej uwielbienia w nazwie Królowej Polskiej. Ciekawe to dzieło obejmuje tom 1, arkuszy 36.

17) Oddawajmy cześć Bogu w duchu i w prawdzie: Książka do nabożeństwa dla katolików z aprobatą duchowną biskupa w Krakowie 1875 r. Tom 1, arkuszy 28.

18) Polak w obec Boga. Książka do nabożeństwa dla polskich rodzin. Tom 1, arkuszy 25.

19) Żywoty znamienitszych ze względu na zasługi położone dla narodu szesnastu królów polskich. Tomów dwa.

20) Życiorysy celujących przez szłachetność charakteru, całkowite poświęcenie się i pożyteczną dla narodu działalność dwunastu dostojników polskich z czasu dawniejszego. Są to życiorysy: Piotra Tomickiego, biskupa i kanclerza; Jana Tarnowskiego, hetmana koronnego; Jana Zamoyskiego, hetmana i kanclerza; Lwa Sapiehy, hetmana i kanclerza; Stanisława Żółkiewskiego, hetmana; Jana Karola Chodkiewicza, hetmana; Stanisława Koniecpolskiego, hetmana; Jerzego Ossolińskiego, kanclerza; Mikołaja Potockiego, hetmana; Stefana Czarneckiego, hetmana;

Stanisława Rewery Potockiego, hetmana; Stanisława Jabłonowskiego, hetmana. Tom jeden.

21) Życiorysy znakomitych cnotami domowemi i obywatelskiemi mężów polskich w okresach dawniejszych. Pod tym tytułem napisał czterdzieści dwa życiorysów Polaków, którzy się wsławili w naukach, na polu bitwy lub też jako politycy i prawodawcy. Tom jeden.

22) Życiorysy odszczególnionych przez cnoty chrześciańskie i wywieranie zbawiennego między ziomkami wpływu polskich zwierzchników duchownych od czasów najdawniejszych aż do r. 1796. Są to życiorysy znakomitych arcybiskupów, biskupów, kapłanów świeckich i zakonnych, w liczbie 81.

23) Wieniec narodowej chwały czyli krótkie zarysy historyczne i obyczajowe z życia zacnych mężów i niewiast polskich różnego stanu i powołania.

Długi ten wykaz dzieł napisanych sumiennie, ze szczególniejszym względem na pożytek moralny i obywatelski czytającego Polaka, świadczy o pracowitości Mieczkowskiego.

Praca jego literacka nie da się porównać z pracami wielu innych, zwłaszcza młodszych literatów. Tamci pisanie dziś traktują po kupiecku, jako przemysł, zapewniający utrzymanie życia. Dla niego literatura była i jest zawodem obywatelskim, służbą publiczną, której mienie i czas należy poświęcić.

Nieoceniono jak należy tej służby Mieczkowskiego, nie mniej przeto jest ona piękną i pożyteczną zasługą i przyjdzie czas, że dzieła jego pisane dobrą polszczyzną, z pewną wytwornością klasyczną znajdą koło licznych czytelników i cel, jaki sobie autor założył, osiągniętym zostanie!

Domicjan Mieczkowski urodził się w 1804 r.

Wychowanie odebrał staranne. Kształcił się w liceum krzemienieckiem, które tylu znakomitych pisarzy i obywateli wydało. W liceum to krzemienieckiem nabrał zamiłowania do literatury, tam już pokochał polską przeszłość, z której wydobył tyle wzorów do naśladowania. Rozumny kierunek wykładów,

mających na uwadze nie tylko udzielenie wiedzy, ale i wyrobienie charakterów w uczącej się młodzieży, dał mu zasady czysto-polskie, których się trzymał całe życie.

Z sercem gorącem dla ojczyzny, poszedł w r. 1831 walczyć za niepodległość Polski i zaciągnął się do pułku artylerji konnej.

Po upadku powstania powrócił do Galicji, osiadł na wsi, ożenił się i przez czas długi pracował w roli. Sprzedawszy wiejską swą posiadłość, kupił dom we Lwowie, który po kilku latach zmuszony był także sprzedać. Pod Lwowem dzierżawił następnie wraz z żoną mały folwark, który jednak nie dawał dostatecznych dochodów na utrzymanie siebie i rodziny. Obecnie mieszka przy swoim synie, fotografie we Lwowie.

Sejm krajowy ze względu na pożyteczną działalność Mieczkowskiego uchwalił dwukrotnie niewielki pieniężny zasiłek dla starca. Godziłoby się i nadal podać mu rękę pomocy i ułatwić wydanie dzieł, napisanych w duchu czysto-polskim, niezamąconym teorjami błędnych doktryn.

PS. Życiorys powyższy miał właśnie być ogłoszony drukiem, gdy nadeszła do mnie smutna wiadomość o śmierci Domicjana Mieczkowskiego.

Umarł we Lwowie dn. 17. listopada 1882 r. o godz. 7. rano.

Zwłoki weterana odprowadzili na cmentarz Łyczakowski towarzysze broni, oraz pióra zmarłego i rodzina.

Rękopisma pozostałe po nim należałoby wydać. Gdyby żaden z księgarzy nie chciał lub nie mógł podjąć się wydrukowania dzieł Mieczkowskiego, które zalecamy jako prace sumienne, zajmujące i pożyteczne, niechajże spadkobiercy umieją uszanować prace Krzemieńczanina i zachowają je w archiwach bibliotek narodowych dla potomności. Najlepiej byłoby przesłać je do Rapperswylu. Narodowe Polskie Muzeum w tem szwajcarskiem polskiem mieście, byłoby najbezpieczniejszem dla jego rękopism schronieniem.

Tam doczekałyby się wydania już w niedalekim czasie, wkrótce bowiem dyrekcja przystąpi do zorganizowania przy Muzeum osobnego Wydziału do wydawnictwa dzieł naukowo-narodowych, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zająć muszą dzieła treści historycznej i politycznej, których rękopisy złożone są w archiwum muzealnem. O przesłaniu swoich rękopisów do Rapperswylu myślał sam autor i z tego powodu prowadził ze mną korespondencją. Stałoby się przez to zadość jego najgorętszej chęci, o niczem bowiem w ostatnich latach z taką serdecznością nie marzył, jak o tych korzyściach moralnych, jakieby niewątpliwie dzieła jego narodowi polskiemu przyniosły, gdyby zostały ogłoszone.

Orlę i wróbel,

bajka.

Raz szary wróbel zapragnął sławy,
Jaka się orłom należy,
A więc się krząta zwinny, ruchawy
I drobne piórka swe jeży.
Coraz się wyżej pnie pod niebiosa
I głosu swego dobywa,
Dmie się i dumnie zadziera nosa,
Śmieszną się pychą okrywa.
Nawet do swoich i gadać nie chce,
Do swoich szarych wróbelków,
Jego już pańskość i sława łechce,
Miast chleba — chciałby karmelków.
Aż się i wdrapał ptaszyna mały
Pomiędzy orły — olbrzymy,
Dumnie stanąwszy na szczycie skały
Na gród poglądał rodzimy.
I tak się cieszył orłów widokiem,
Tak do nich przylgnął upornie,

Że na urwisku skały wysokiem
Zostać już myślał przekornie.
    Gdy tak nadęty chodzi po skale,
    Pyszni się póry wzdętemi,
    Śpiewa i krzyczy — ćwierka zuchwale,
    Dumnie się miota po ziemi,
Z gniazda się orlę wychyla młode,
Dzióbek swój żółty otwiera,
I widząc skromną wróbla urodę,
Ciekawie za nim spoziera;
    Podchodzi nawet bliżej ku niemu. —
    Wróbel już w strachu — drży cały —
    Czy dać się spłoszyć orlęciu temu,
    Czy zostać — także nieśmiały.
Aż go tnie dzióbem to orlę śmiałe
I silnym rani go ciosem.
Ach! już ucieka wróblątko małe
I smutnym skarzy się głosem.
    Bez sił już prawie — na ziemię pada
    Ptaszę zmęczone, zdyszane,
    Krew płynie z rany — — o biada! biada!
    Prawe skrzydełko złamane.
I wnet go wróble otoczą kołem,
Wróble te szare, wzgardzone,
Pociechę bratnią niosą mu społem,
Tulą skrzydełko zranione.
    Dopiero wtedy ptaszę poznało,
    Gdy boleść tknęła je żywa,
    Co mu na ziemi drogiem być miało
    I co to przyjaźń prawdziwa.

Czortków, 16. Stycznia 1884.

Janina Antonowiczówna.

Malowanki.

I.

DWÓR A SZKOŁA.

Niedaleko Krakowa wśród kwiecistych błoni jest wioska piękna, bogata, rozległa, a ludek w niej wesoły, trzeźwy, pracowity i lepszy jakiś niż gdzieindziej i serdeczniejszy, iż sercem przylgnąć musisz do niego. A w niedzielę, gdy się zbierze przed bożą świątynią, to sam nie wiesz, czem cię tak chwyci za oczy, iż mu się napatrzyć nie możesz! Sam nie wiesz, co podziwiać, czy ten wyraz pogodny ogorzałych ich twarzy, czy te dorodne postacie w różnobarwnych gorsetach i chustach, czy dziarskie miny chłopaków, czy barwiste wstęgi hożych krasawic.

Byłam w tej wiosce razy kilka a zajmując się żywo wszystkiem, co szkolnictwa dotyczy, przypapatrywałam się bacznie całemu trybowi i urządzeniu szkoły tamtejszej. Widziałam tam dziatwę w dniu zwyczajnym, powszednim wesołą, grzeczną, przybraną strojnie i czysto; widziałam, jak się dziatki do zapisów zbierały, odświętnie ubrane, a matki także co miały najlepszego na siebie wkładały, by tem przynajmniej okazać cześć i szacunek, jaki mają dla szkoły; widziałam także kilkakrotnie uroczystości i zabawy szkolne a raz byłam świadkiem prześlicznej sceny, gdy dziatwa składała noworoczne życzenia właścicielce tej wioski i przyległych.

Już od rana gromadziły się dziatki w szkole, ubrane świeżo, barwnie, czyściuchno, zachowywały się grzecznie a oczęta ich błyszczały niecierpliwością, czy rychło też pójdą do dworu.

W oznaczonej godzinie udała się nauczycielka wraz z dziatwą ku dworowi.

Zanim wraz z niemi w te gościnne i dla dziatwy szkoły ludowej rozwarte pałacowe wstąpimy podwoje, poznajmy wprzód gospodynią i panią domu i wioski całej najserdeczniejszą opiekunkę. Była to jedna z owych zacnych i szlachetnych postaci, którym nietylko bogactwo i duma i tradycje rodowe w spuściznie po przodkach pozostają, lecz którym w cenniejszym spadku dostały się cnoty i obyczaje prastare. Patrząc na nią, na jej ze wszystkimi obejście i zachowanie się całe, mimowoli myśl biegła ku przeszłości, i jawiły się oczom postacie dawnych matron polskich, przypominały się typy odwzorowane wiernie piórem sędziwego i natchnionego pisarza J. I. Kraszewskiego, czuło się urok cały czegoś niezwykłego, pięknego, niemal świętego.

Wyszła pani domu do sali, gdzie właśnie dziatwa szkolna i liczne grono gości się zebrało, a strojna była nie klejnotami lub szatą przepyszną, lecz dziwną powagą i szlachetnością, które z miłego jaśniały oblicza. Z szeregu dziatek wystąpiła jedna dziewczynka i wygłosiła prześliczne, rymowane powinszowanie, a że niepodobna było w artystyczną deklamacją wlać więcej uczucia, jak to dziewięcioletnie dziewczę uczyniło, najlepszym dowodem były łzy wszystkich obecnych, nawet poważnych mężczyzn i wzruszenie samej pani, która tylko chusteczką łkanie powstrzymywała. Ucałowała też serdecznie miluchną dziewczynkę i drżącym głosem nauczycielce i dziatkom podziękowała. Następnie zaśpiewały dzieci kolęd kilka, pleban miejscowy sam im na skrzypcach akompaniował a później uraczono i uczęstowano dziatki sowicie, a każde odeszło z miłem w sercu uczuciem, z gorętszem przywiązaniem dla szkoły, dla nauczycielki, a wspomnienie tej chwili pozostanie im na zawsze. Wrażenia z tego przyjęcia całego, tej chwili kiedy łzy tej miljonowej dziedziczki, pani z panów, staruszki sędziwej, zmięszały się w gorącym uścisku ze łzami ubogiego dziecięcia z pod słomianej strzechy — nie zapomnę chyba nigdy. —

I wtedy widząc ten przykład piękny, poznałam lepiej, ile środków nastręcza się nauczycielowi po za szkołą dla uszlachetnienia i umoralnienia dzia-

twy a nawet i jej rodziców. Boć przykład idzie z góry — kościół, dwór, szkoła — oto ogniska. I dziwnym taktem potrafiła je nauczycielka tamtejsza zbliżyć do siebie, rozsnuć nić złotą szacunku i przywiązania między kościołem, dworem i szkołą. Być może, iż tam łatwiejsze było zadanie niż gdzieindziej, lecz przecie, przy dobrych chęciach, ludzi choć może nie tak idealnie dobrych, ale chociaż trochę uczciwych wszędzie znaleźć można.

Lipnik, dnia 16. Czerwca 1886.

Janina Antonowiczówna.

II.

Każdy dla siebie,

czyli:

Piętnaście minut przestanku,

SYLWETKA.

Pociąg nadszedł ze Lwowa i wspaniale wsunął się przed dworzec, przynosząc z sobą radość i smutek.

— Stacja N., piętnaście minut — zawołał przeciągłym głosem konduktor, trzasnął drzwiami i peron zapełnił się gośćmi, spieszącymi naprzeciw oczekujących ich krewnych. Pomimo jednak zamieszania ogólnego — największą zwracała na siebie uwagę młoda dama, blondynka cudownej piękności, trzymająca dwa wazonki ślicznych hiacentów w drobniutkich rączkach. Bogata zarzutka z pysznemi koronkami i zgrabny kapelusik z połyskującem piórem ozdabiały tego anioła czarownie uśmiechniętego, oczy jej błądziły wśród tłumu, a znać że szukała kogoś, którego znalazłszy nareszcie, przyspieszyła kroku, a z ust jej wybiegły słowa:

— Kochana moja! wyjechałaś po mnie.

— Śliczny dzień i chęć widzenia ciebie przygnały mię tu — odparła owa „kochana moja,“ która pięknością świeżej brunetki zdawała się przyćmiewać anioła blondynkę. Ach! jakie rozkoszne hiacenty — a wściubiwszy nosek swój między kity kwiatów, wołała:

— Jakże pachną! ten różowy, to cudowny — i rzekłszy to, wzięła jeden wazonek z rąk przyjaciółki, by jej ulżyć ciężaru.

Cóż to za urok w tych kobietach, jaka serdeczność w uśmiechu! Zdaje się, że raj, gdzie one stąpią, a myśląc o również zapewno bogatych przedmiotach duszy, mimowoli wzrok ku nim lgnie, lecz zachwyt ten niknie niebawem, bo przyjaciółki spieszą dalej.

— Taka tu wrzawa, a moje nerwy nie mogą znieść tego — mówi blondynka anioł, i rączka powstrzymuje fałdy sukni, by nie tarły się o ten tłum wrzaskliwy. Brunetka spieszy za nią, szczebiocząc:

— Droga Julko! a słyszałaś Sembrich?

— Słyszałam, cudownie śpiewa!

— Co to za urok ją słyszeć! Zazdroszczę tobie tego!

— Ale chodźże prędzej do powozu, to ci wiele jeszcze powiem ciekawego — zwraca się z niecierpliwością do niej blondynka, widząc że brunetka, obdarzona silniejszemi nerwami, ciekawie patrzy w szyby wagonu, zkąd wyjrzał młody porucznik, lecz widząc niecierpliwość towarzyszki, pospieszyła za nią.

— Co za nieznośny pisk — mówi, zamykając drzwi sali za sobą.

Rzeczywiście, że nieznośmy, a co jeszcze nieznośniejsze, okropniejsze nawet, to ten staruszek, zmuszony pożarem do ucieczki ze Stryja. Ręce łamiąc woła on:

— Nawet na chleb nam nie zostało!

— Jezus Marja! co tato mówi? — odzywa się córka szlachcianka, która wyjechała po ojca na kolej.

— Tak, tak, moje dziecko! jestem dziadem na starość, cały mój majątek poszedł z dymem.

— Co za nieszczęście! — rozpacza córka, i spogląda z żalem na ojca staruszka w obszarpanych sukniach i z popieczonemi od ognia rękami.

— Wszystko się spaliło! sądny dzień tam był, nic nie ma, nędza, gruzy, dym, ludzie się popalili — rozpacza starzec, — od wczoraj nic w ustach nie miałem.

— Ach! chodźże, ojcze! do nas — rzecze opamiętawszy się córka. Bóg tak chciał, niech się stanie wola boża! — pociesza prowadząc ojca, któremu widocznie sił zabrakło.

— Ach! że też ci ludzie tak się włoką jak żółwie — zapiszczała cieńkim głosem młoda panienka, spiesząc naprzeciw matki, która z torbą w ręce przeciskała się przez tłum. Młoda panienka nie wita matki, wszak dobrze wychowani ludzie nie całują się na publicznych miejscach, lecz za to jednym tchem rzuca pytanie:

— Morę mama przywiozła?

— Śliczną będziesz miała suknię, kupiłam ci etaminę.

— Etaminę! — krzyknęła córka, ależ ja chciała morę, i krzywi się i bierze z niezadowoleniem od matki torbę, w której niepożądana materja się znajduje.

— Ale etamina taka modna! — pociesza matka córkę i obie nikną za drzwiami u wejścia sali. —

Jakiś jegomość niesie pełno pakunków i zawiniątek papierowych, jejmość jego żona wita go słowami:

— A co tam kupiłeś?

— Wszystko — odpowiada mąż, robiąc miejsce wśród tłumu dla siebie i swoich pakunków, żona drepce za nim.

— Karolu! a korzeni na paski kupiłeś?

— Kupiłem.

— A rodzynki są?

— Są — powtarza zniecierpliwiony mąż.

— A drożdży masz? — pyta ciekawie żona, on milczy.

— Karolu! drożdży masz? słyszysz? drożdży masz?

— Wszystko kupiłem — odpowiada z gniewem mąż.

— Tak, tak, ta co mi po wszystkiem, jak nie mam drożdży — rozpacza żona. A mówiłam ci jakichś dziesięć razy, niezapomnij o drożdżach, a tu masz! I cóż rozpocznę, jeżeli on nie kupił drożdży? Boże mój! Boże! z tym Karolem! a może ty przecież masz drożdży? może są?

— Z drogi! — zabrzmiał głos wesoły, i jejmość musiała umykać, bo tuż za nią nadeszło dwóch mężczyzn, czy raczej młokosów, trzymających się pod ramię; z nich jeden laseczką wywijał w powietrzu, a drugi w cwikierze skubał wąsiki, zaledwie wyrastające pod nosem, obaj zaś byli zajęci jedną czynnością, t. j. zaglądaniem w okna wagonów:

— E! nie ma tam nic godnego, i tu nic nie ma.

— Ot tam coś błysnęło — nie wiele myśląc odpowiada drugi, a kiedy już ostatni wagon minęli, wyraz znudzenia wystąpił na ich twarzy.

— Szkoda żem tu jechał — rzecze jeden.

— Szalone nudy — odpowiada drugi, trzeba wracać na wieś. Ach! żeby już po tych świętach było, powróciłbym do Lwowa.

— Mamuńciu! żeby te święta jak najdłużej trwały! — woła młody studencik z paką książek pod pachą.

— A to za parę dni się skończą — dodaje drugi, a trzeci całuje po rękach, a czwarty, najmniejszy skacze koło matki. A matka czterech synów studentów — spracowana, mizerna ze łzami w oczach wyciąga ręce nad nimi i tuli ich do siebie, a głos jej drży z wzruszenia, kiedy szepce:

— Moje dzieci, skarby drogie, kochane synki moje!

— A gdzie tato? — woła malec, przerywając witanie matki.

— Tato, moje dzieci! zbiera składki chleba po wsi dla pogorzelców Stryja.

— I dla tego nie wyjechał po nas? — wołą z żalem drugi.

— O! chodźmy jemu pomódz — zawołał najstarszy z zapałem, i pobiegła gromadka chłopców ochoczo za ojcem, a matka z błogosławieństwem na ustach pospieszyła za nimi, i minęło 15 minut, pociąg ruszył ziejąc parą, hucząc i sycząc, niosąc z sobą smutek i radość na następną stacją.

Szczerzec, dnia 5. Maja 1886.

W. S.

LEĆMY!

Lećmy, lećmy w krańce świata,
Jako ptaki na wyraju —
Jako piorun, co przelata,
Kiedy burze w niebie grają!
O! bo burze w sercu naszem,
O! bo we krwi naszej wary —
Co choć schłodną trochę czasem,
Wnet się zbudzi ogień stary.
W naszej myśli: piorun, walki —
W naszem sercu ognie gorą,
Choć nie żywią go Westalki,
Płomień w niebo bucha skoro!
Po nad czołem naszem błyski,
Po nad czołem zorza świeci,
A choć burza śle pociski,
Duch i przez nie w niebo wzleci!
Chociaż piekło w drodze stanie,
Choć obejmie w krąg rozłogi:
Z nieba świeci nam zaranie!
Z drogi, piekła! czarty z drogi!

Lwów, dnia 27. Czerwca 1885.

Bolesław Andruszewicz.

Marylla,

Powiastka osnuta na tle prawdziwego zdarzenia,

napisał

BOHDAN BRZUSZCZANIN.

Wielmożnej Pannie

Antoninie de Koroczyce Kozakiewiczównej

w dowód najgłębszej czci i przywiązania

poświęca

AUTOR — SIOSTRZENIEC.

I.

Wschodzące słońce ozłacało szczyty gór wioski B**, rzucając swe promienie na rzeczułkę, płynącą środkiem doliny. Góry otoczone odwiecznemi drzewami wyglądały jak olbrzym w wieńcu sławy, rzucający swe promienie na pola, kwitnące bujnym plonem. Na wzniesieniu tych gór widać było piękną łączkę, zasianą mnóstwem kwiecia wiosennego, a strumyk, wijący się środkiem drogi, szemrząc odpowiadał tajemniczym głosem mruczeniu drzew odwiecznego lasu. Opodal stał domek; skromność przebijająca z niego aż nadto świadczyła o tem, że mieszkańcy jego nie bardzo się troszczą o zgromadzenie darów doczesnych. Była to tak zwana „leśniczówka.“ Niegdyś gdy do wsi B** należało jeszcze kilka okolicznych wiosek, posiadacze tego domu mieli się dobrze, lecz dzisiaj, kiedy to dobra szlacheckie do-

stały się w ręce potomków Abrahama, leśniczy zaledwie wyżyć tam może.

W czasach, kiedy powiastka moja się zaczyna, leśniczym w B** był pan Żarga, szlachcic podupadły z Kongresówki, owdowiały już od kilkunastu lat. Familja leśniczego składała się ze starego Żargi i córki jego Marylli. Stary, osiedliwszy się przed ośmiu laty we wsi B** i przyjąwszy u tamtejszego dziedzica opróżnione miejsce leśniczego — pchał biedę jak mógł, chociaż mu z trudnością przychodziło. Od roku zaniemógł ciężko na sparaliżowanie nóg, a obowiązki w lesie pełnił za niego daleki kuzyn Józef.

Smutno więc było w domku leśniczego, a w izbie, ogołoconej z mebli prawie niezbędnie potrzebnych, przebijała się nędza, ta nieodstępna towarzyszka ludzkich nieszczęść. Na łożu boleści leżał mężczyzna, mogący mieć lat około 50, chociaż troski i bieda czyniły go nierównie starszym. Twarz jego, poryta głębokiemi zmarszczkami, zakryta do połowy silnym zarostem, uwydatniała obraz boleści i zwątpienia. I tylko ciemne oczy jego, świecące blaskiem dziwnej jakiejś zadumy i boleści, zdawały się przekonywująco świadczyć o tem, że serce tego starca wcale nie harmoniuje ze szkieletem ciała, że bije jeszcze silnie i przepełnione jest nadzieją. Nieraz bowiem oko starca zwraca się ku oknu, spocznie na dziewicy, siedzącej z robótką w ręku i kryształy czystych łez ćmią wtenczas to oko, tak pełne miłości i dobroci. A dziewica, siedząca pod oknem, jakiżto kontrast z widokiem męża schorzałego! Ubrana w czarną sukienkę z piętnem boleści i znużenia w bladych rysach, przedstawiała widok raczej smutnego anioła, niż dziewicy ziemskiej. Włosy czarne jak aksamit, splecione w dwa grube warkocze i w tył zarzucone, dziwnie odbijały się od przeźroczystej białości cery, od ust koralowych, nad któremi uroczo wznosił się nos prawdziwie grecki.

Z trwogą lazur czarownych jej ócz wylatywał raz na drożynę, wijącą się przy łące, to znów na schorzałego i zrozpaczonego starca. Starcem tym był stary Żarga, dziewicą sławna z piękności Marylla, córka jego.

Milczenie zalegało izbę — w tem jęk starca wyrwał dziewicę z zadumy i zbliżył ją do ojca. Jak wcielony anioł dobroci przystąpiła do łoża, pytając:

— Czy ci gorzej, ojcze?

Starzec nic nie odpowiedział, skinął tylko na córkę, by obok niego miejsce zajęła i wpatrzył się w nią długo i ze smutkiem.

— Maryllo! czy możesz mi przebaczyć? — wyjęknął nareszcie boleśnie.

— Ojcze! ja nic nie miałam do przebaczenia, a jeżeli jakieś dziwne i nie dające się niczem wytłumaczyć przeczucie spowodowało, że na chwilę byłam ci nieposłuszną, to przebacz ty mnie raczej i zapomnij o tem.

— Ach! prawdę mówisz dziecię, że przeczucie twe niczem nie da się wytłumaczyć. Bo pomyśl, od jak dawna zamieszkaliśmy tę okolicę, gdzie się los na moją uwziął zgubę, nikt a nikt nie sprzyjał nam tak, jak nasz dobry Jan. Widząc moją niedolę i trapiące mnie myśli o przyszłość twoją, drogie dziecię! podaje ci bezinteresownie dłoń, chce ci zastąpić ojca, pragnie być twoim mężem. Postępowanie jego ze wszech miar taktowne, nie dało ci nawet powodu do jakiejbądź obrazy lub zniewagi; płaca jego jako nauczyciela wprawdzie mierna, ale przy znanej jego zapobiegliwości wystarczająca na utrzymanie i wyżywienie familii nowej i nielicznej. Tak! nielicznej, bo ja już nie długo żyć będę, a co się wtenczas z tobą stanie, biedna, opuszczona sieroto!

— Ach! nie mów tego, ojcze drogi — nie mów na miłość Boga, jeżeli chociaż trochę kochasz nieszczęśliwą twą córkę. Zgodziłam się oddać rękę Janowi, lecz dla tego tylko, by twej woli, ojcze! zadość uczynić, chociaż — dodała z cicha — serca jemu oddać bym nie mogła!

Tyle na razie dowiadujemy się z rozmowy, która znów ustała i przeszła w rodzaj przykrego milczenia o myślach, gniotących serca ojca i córki. Czytelniczki łaskawe zapewne domyślają się, że smutek wiejący z całej uroczej postaci Marylli, ma swoje źródło w nieszczęśliwej miłości, że biedna Marylla nasza

przenosi jakiegoś biedaka nad Jana, mającego przyzwoite utrzymanie i posiadającego względy jej ojca, i że dla tego robi ofiarę ze serca swego. Lecz darujcie, piękne czytelniczki, Marylla moja, to biedne dziewczę z sercem niewinnem, jak lilija polna, to dziecko natury, niezepsute żadnemi francuskiemi romansami i znachodzi się w tym błogim okresie życia, w którym serce jeszcze uśpione marzy spokojnie, a sny dziewicze nie przepełniane jeszcze marzeniami niespokojnemi i urojeniami o przyszłości szczęśliwej przy boku kochanka. Nie! Marylli uczucie to obce, choć i ona wie, co miłość, lecz miłość tę odnosi jedynie do ojca swego i do Matki Boskiej, Królowej nieba.

Skrzypnięcie drzwi i równoczesne skomlenie psa starego wyrwało ciężkie westchnienie z łona dziewicy. Ze smutkiem a zarazem z rezygnacją podniosła śliczne swe oczy ku wnijściu, w którem pokazał się obcy mężczyzna. Obcy? tak obcy, ale tylko dla nas; serce dziewicy przeczuło zwykłego gościa, który popatrzywszy milcząco na dwoje nieszczęśliwych, szybko zbliżył się do starca i uścisnął dłoń jego serdecznie, skłoniwszy się w przechodzie pięknej dziewicy.

Mężczyzna, który się tak nagle w cichym domku pojawił, mógł liczyć około 27 do 28 lat. Cera twarzy jego ogorzałej, w której malowała się niezłomna wola i moc charakteru, zrobiła sympatyczne wrażenie. Lecz z siwych ócz wiał taki chłód, takie wyrachowanie, że nie znając tego człowieka bliżej, śmiało zaliczyłbyś go do materjalistów i egoistów, jakich wiek nasz XIX. setkami ze swego łona wydaje.

Był to Jan, narzeczony Marylli. Milcząco przywitawszy się z domownikami, usiadł u głowy chorego i wlepił swój wzrok przenikliwy w twarz dziewicy. Uczuła to piekące spojrzenie Marylla, zbladła jeszcze bardziej, i pod pozorem przygotowań do przyjęcia gościa, wyszła bocznemi drzwiami do kuchni i ztamtąd na łączkę. Tam pod rosochatym dębem, na darniowej ławeczce usiadłszy, zalała się gorzkiemi łzami. Świat nieraz widział te łzy sieroce, lecz trudno spotkać kogo, któryby je zrozumiał; bo świat zimny, nieczuły, a ogół ludzi, wiecznie goniący za interesem, bijący czołem przed bożkiem złota,

frymarczący najświętszemi uczuciami, nie rozumie, co to jest ból serca, gdyż ból ten nie wchodzi w skład interesów ludzkich. A jakżeż dopiero zrozumie świat ten ból sierocy, gdy serce opuszczone pęka z rozpaczy a nie ma łona, któreby zarówno z niem boleć umiało, nie ma matki!

O matko droga! Pięć lat minęło, jak ciebie postradałem i pozwól, niech mi wolno będzie raz jeszcze cię opłakać, raz jeszcze poświęcić ci wspomnienie pośmiertne w tej pracy, której podjąłem się pod naciskiem dziwnej i niewytłumaczonej jakiejś siły. Pięć lat, matko moja! o gdybyś wiedziała, ile syn twój przez ten czas łez sierocych wylewał, ile razy odepchnięty od świata, błagał Boga, by go z tobą połączył, o! wtedy zlitowałabyś się i sama uprosiłabyś nieba łaskawe o zakończenie tej boleści. Matko! jam serce swoje targał na kawały i krwią własną chciałem ludzi żywić, jam ogień miłości wszczepiał w ich serca, ja pchałem ich do czynu, pokazując światu zatracony ideał, a świat?... świat obryzgał mnie błotem, plunął w oczy i odepchnął od siebie.

I Marylla biedna, nękana boleścią, roniła gorzkie łzy opuszczenia, gdy o dwa kroki stanął przed nią młodzieniec, patrząc na nią z współczuciem. Widok zapłakanej dziewicy odbił się w jego duszy głęboko, i gdyby wryty wpatrzył się w nieznaną mu dziewczynę, nie mogąc na krok postąpić. Zdjął kapelusz i patrzył jak w obraz Madonny, aż ruchem tym zbudzona z dumań bolesnych dziewica z lekkim okrzykiem zatrwożenia podniosła się ze swej ławeczki. Jakież było jej zdziwienie, gdy w lesie przy swoim domku zobaczyła nieznanego jej młodzieńca w kwiecie wieku, o rysach twarzy szlachetnych i o kruczych włosach, którego oko pełne smutku świeciło blaskiem demonicznej jakiejś namiętności.

Dziewica zmięszana spuściła oczy, czerwone od płaczu, i zdawała się czekać przemówienia młodzieńca. Ten, odgadując zakłopotanie dziewicy, nie odciągał się ze słowem, a skłoniwszy się jeszcze raz uprzejmie, odezwał się dźwięcznym głosem:

— Przepraszam panią za śmiałość, lecz ze względu na nieświadomość moją upraszam o łaskawe poinformowanie mię, czy dom ten nie należy przypadkowo do pana Żargi, leśniczego tej wioski.

— Tak, panie — odrzekła dziewica z odcieniem ciekawości, w domu tym leży słaby mój ojciec.

— A w takim razie — odezwał się młodzieniec z lekkim ukłonem, mam zapewne zaszczyt, powitać w pani Maryllę Żarga, córkę szanownego leśniczego i moją przyszłą bratowę. Od dwu dni przyjechałem do domu brata na wakacje, i dla tego dopiero dzisiaj byłem w stanie złożyć me uszanowanie. Lecz przepraszam, mówię z panią a nie przedstawiłem się jeszcze: jestem Teodor, brat Jana, ukończony gimnazjalista.

Kończąc te słowa, wymawiane z wesołością wcale nie odpowiadającą jego zamyślonej i wybladłej twarzy, Teodor jakoś dziwnie się skrzywił i gorzko uśmiechnął. Nim jeszcze zawstydzona tą poufałością dziewica zebrać mogła myśli, by nie zostać dłużną odpowiedzi, już usłyszała zapytanie nowe, czy Jan znachodzi się wewnątrz domu, a gdy dała potwierdzającą odpowiedź, młodzieniec tak badawczo spojrzał na nią, że zdawał się chcieć przeniknąć najgłębsze tajniki jej duszy, a dziewczę, oblane rumieńcem wstydu, spuściło wzrok swój ku ziemi.

— Przepraszam za otwartość — mówił zwolna Teodor, lecz w postaci pani widzę tyle smutku i rozpaczy, że zmuszony jestem pytać, czy w domu ojca pani coś nowego i nie bardzo wesołego dla niej się nie wydarzyło, gdyż przyznam się, że smutek ten trudno w innym razie byłby do wytłumaczenia, zwłaszcza jeśli rozważam, że już za parę tygodni na ślubnym kobiercu będziesz pani składać przysięgę wiecznej miłości bratu memu.

Lód, jaki wiał z ostatnich słów Teodora, był okropnym, cała postać jego przybrała cechę jakiejś grozy i pogardy, policzki blade pokryły się chorobliwym rumieńcem, a oko pałające dziwnym ogniem, miało w sobie coś wyzywająco-szatańskiego. Na widok ten cofnęła się Marylla i tylko słowa jak ciche westchnienie wydarły się z jej piersi:

— I czegóż szydzisz z biednej sieroty?

— Z biednej sieroty? — zawołał Teodor namiętnie. Tak! sierota każda jest biedną! a czy sądzisz pani, że ja nie sierota? Nie! ja więcej jak sierota, bo wyrzutek ludzkości, tej samej ludzkości, której swą młodość poświęciłem, a ta odpłaciła mi za to przydomkiem, zaiste nie bardzo ładnie brzmiącym: „głupi marzyciel.“ Tak, pani — ciągnął dałej, ochłonąwszy z pierwotnego uniesienia Teodor, ja głupi uwierzyłem jakimś marzycielom, że trzeba się poświęcić dla drugich, ja głosiłem ludziom prawdy, o jakich i apostołom się nie śniło, jam ich ogarnął przestworem swej miłości, chciałem z nich bóstwa utworzyć, a oni zohydziwszy mą wiarę w dobro i w szlachetność, wydarłszy mi miłość i prawość, pozostawili tylko nienawiść ku sobie, nienawiść, która i w grobie mię nie opuści.

— Panie! chodźmy do domu, za długo zabawiłam się przy panu, a ojciec mię już pewnie potrzebował — odrzekło przestraszone dziewczę.

Milcząc weszli do domku, gdzie stary leśniczy żywą toczył rozprawę z Janem, czy na wiosnę będzie wojna, czy nie. Rozmowa została przerwaną, a Jan przedstawił starcowi swego brata:

— Teodor, mój braciszek kochany, reformator porządku społecznego.

Uśmiechnął się dobrotliwie starzec na tak szumne przedstawienie, a podając nowoprzybyłemu prawicę, odezwał się spokojnie:

— W czemże polega ta reforma pańska, jeżeli wolno zapytać?

— Daruje pan dobrodziej — odparł młodzieniec ze skromnością, nie reformować świat chciałem, ale chciałem go nawrócić na drogę prawdy i cnoty, którą to drogą chodzili nasi przodkowie.

— To pan już chciałeś nawracać ten świat? — z udanem zajęciem pytał starzec, a teraz czy porzuciłeś przypadkowo szlachetną tę myśl?

— Tak, porzuciłem — odparł z goryczą Teodor, bo myślałem, że znajdę na świecie ludzi, którzy potrafią zrozumieć słowa prawdy, którzy porzuciwszy na chwilę brudy ziemi, potrafią się wzbić w krainy

ideału, lecz niestety! nie znalazłem takich ludzi, ale za to znalazłem wszędzie podły egoizm, posunięty do obrzydliwości materjalizm i bezmyślność, po której śmiało wspinać się może bezrozumne zwierzę, ale nie człowiek, stworzony do panowania nad zwierzętami.

— Ależ panie, ludzie przecież tak źli nie są, za jakich pan ich uważasz — odparł z powagą starzec, wszak mówi nasze przysłowie: „jeszcze się ten nie narodził, któryby wszystkim dogodził,“ tak samo nie narodził się jeszcze taki człowiek, któryby był bez ale, gdyż taki przestałby być człowiekiem, a stałby się bóstwem. Błądzić, to jest w naturze ludzkiej, a już przez to samo, że i my jesteśmy ludźmi, więc błądzić musimy, przebaczajmy więc innym, aby i nam przebaczono.

Z uśmiechem gorzkiej ironii słuchał Teodor słów tych i po małym namyśle odrzekł:

— Nie chciałem ja u ludzi ideału dobroci lub doskonałości znaleźć, o nie! absolutnej dobroci na ziemi nie ma, nie mówię również o błędach pojedyńczych indywiduów, lecz mówię o błędach zbiorowych, mówię o zatraceniu najświętszych idei narodowych, a wszystkiem tem, co święte, pomiata ludzkość, pomiata mój naród, dla tego gardzę ojczyzną!

Lekkim rumieńcem zapału pokryły się zwiędłe policzki starca i już miała nastąpić długa mowa, karcąca ostro nierozważnego młodzieńca, gdy Jan wstając w te się słowa odezwał do starca:

— Przepraszam cię, drogi ojcze, lecz zapomniałem uprzedzić cię o tem, że Teodor od zapatrywań swoich nie daje się odciągnąć najrozumniejszemi nawet wywodami zdrowego rozsądku. Lecz mnie się spieszy, gdyż dzisiaj wieczór, jak wiecie, wyjeżdżam na cały tydzień, a przerwaną dysputę z Teodorem będziecie mogli dokończyć zapewne już jutro, gdyż spodziewam się, że brat mój schorzałego starca odwiedzi, by skrócić jego nudy.

— A proszę, bardzo proszę pana Teodora, mnie jutro odwiedzić — wołał podniesionym głosem starzec za odchodzącymi.

II.

Dziwne uczucia zostawiła bytność młodego Teodora w sercach spokojnych dotąd mieszkańców leśniczówki: Żarga, ten starzec złamany chorobą, rozczarowany światem, pogrążył się w głęboką zadumę nad słowami młodego zapaleńca. Myślami powrócił nazad do tej ludzkości, którą i on całym zapałem bijącego miłością serca ukochał. Przyjemnie marzył on o ludziach podobnych Teodorowi, którzy wznieciwszy w sobie skrę miłości, od samego bóstwa nam użyczonej, potrafią bez celów samolubnych życie swe nieść w ofierze współrodakom. Lecz jakże serce starca ścisnęło się, gdy przypomniał sobie słowa pełne przerażającej boleści: „gardzę ludzkością, gardzę ojczyzną.“ O zaiste! słowa takie tylko złość, brudota i egoizm świata mogły wycisnąć z piersi kochającej. Ileż to sił młodzieńczych poświęciło się już sprawie rodaków, ileż to sił takich, wzgardzonych i potępionych zmarniało, zniszczało! Ta choroba świata, której największą raną jest zapoznanie drugich i płaski materjalizm, wtenczas się chyba da uleczyć, gdy zjawi się znów człowiek miłości i straszne drzewo krzyża po raz drugi wzniesie na Golgocie.

Inne uczucia budziły się w niewinnem sercu Marylli. Ta blada i pełna wycieńczenia twarz młodziana, to oko pełne jakiegoś chorobliwego i nadziemskiego blasku, od pierwszego razu głęboko się wryły w duszę dziewicy.

Słyszałem nieraz od badaczów natury ludzkiej, że tak młodzieniec, jak i dziewica przychodzą do świadomości świata i siebie powoli i stopniowo; że tak jak rzeźbiarz z nieforemnego kamienia za pomocą twórczej swej ręki wyłania kształty, nadając im piętno formy i doskonałości, tak samo rozwija się dusza dziewicy, zanim dojrzeje i przyjmie, że się tak wyrażę, samopoznanie kobiece. Lecz jabym był przeciwnego zdania. Jak mamy w życiu chwile, do których przyszedłszy człowiek w obec siebie samego musi przyznać, że dalej iść tą drogą nie może, tak samo i serce dziewicze pod wpływem nieraz błahego

na pozór zdarzenia, dostępuje naraz nagłego rozwicia serca, umysłu i samopoznania.

Marylla, to dziecię natury, nieznające ludzi i namiętności ludzkich, które światem całym wstrząsają, żyła dotąd w tym błogim, dziecinnym stanie, który powszechnie nieświadomością dziecięcia nazywamy. Z poświęceniem i niechęcią wprawdzie oddawała rękę swą Janowi, lecz niechęć ta była więcej egzaltowaną, niż na rzeczywistych pobudkach opartą.

A teraz, gdy zobaczyła człowieka, wyższego niż przesądy ludzi, którzy ją dotychczas otaczali, uczuła nagle, że ogrom miłości tego człowieka potrafił stopić chłód dotychczasowy jej serca; poznała, że potrafił myśl jej zająć, jednem słowem, Marylla dojrzała w przeciągu półdnia. Zachwycił ją cel życia młodzieńca, ubolewała nad ogromem jego rozpaczy, lecz mimowolny dreszcz przejmował ją na wspomnienie tego żaru ócz, który dla niej był straszniejszym od żaru ócz wilka lub niedźwiedzia.

I już pomrok pokrył piękną sukienkę ziemi, już gwiazdka po gwiazdce pokazywała się na lazurze niebios, już usnął snem spokojnym stary Żarga, a biedne serce Marylli pchało wciąż do głowy myśli o nadobnym młodzieńcu. Długo marzyła o nim, a zasnąwszy ujrzała przed sobą postać podobną do śmierci, która z piersią krwią zbryzganą patrzyła na nią okiem demonicznej namiętności. Poznała spojrzenie to Marylla i z krzykiem przestrachu, z ręką wyciągniętą jakoby na odpędzenie strasznej mary usiadła na łożu. Krzykiem tym zbudzony ojciec z niepokojem pyta się córki, co jej sen przerywa.

— Nic, ojcze — odparła, miałam straszny sen, i ten mimowoli wydarł z piersi mej głos przerażenia.

— Cóż ci się śniło, drogie dziecię?

Marylla nie odpowiedziała zaraz. Nie mogła się ojcu przyznać do tego, że troskliwa myśl o obcym młodzieńcu jest powodem sennych jej marzeń. Z nieśmiałością też wyjąkła:

— E! to tatko luby śniło mi się, że cygany, napadłszy mię gromadnie, chcieli mię uprowadzić

od ciebie. Ale dobranoc ojcze, bom znużona, będę spała dalej.

Skłamało niewinne dziewczę po raz pierwszy ojcu swemu, a skłamało, bo wiedziało, że myśli te u niej niepowinne się znachodzić, gdyż ona przeznaczona drugiemu... nie należy już do siebie.

*
*　　*

O jakie pół ćwierci mili od domku, w którym zostawiliśmy tak cichych i oddalonych od reszty świata mieszkańców, u stóp góry, pokrytej wieńcem drzew, leży wioska B*, w której chaty dymiące się, czyściutko utrzymywane i ładnie ogrodzone świadczyły o dobrobycie mieszkańców.

Było to święto, dzień spoczynku dla ludzi, wielbiących Twórcę pracą i sercem. Szerokiemi ulicami ciągnął tłumnie lud do przybytku pańskiego, by oddać dzięki za otrzymane dary Wszechmocnemu i by uprosić nową pomoc z nieba. W kościółku skromnym odprawiał ofiarę świętą staruszek basowym głosem, a stary organista na wiekowych organach dzielnie mu wtorował. W przednich ławkach jak anioł skromności siedziała Marylla, i z oczami w niebo wzniesionemi błagała o pociechę dla młodego jej serca. Przed ławką stojąc z dzikiem wejrzeniem wpatrywał się w nią Teodor; uśmiech gorzkiej ironii igrał na pięknej a zbladłej twarzy jego, a cała postać zdradzała, że myśli, które szarpią łono młodzieńca, nie wzbijają się w krainę czystości i świętości.

Dziewczę spuściło w niebo wzniesione oczy, ujrzało to piekące spojrzenie, zbladło i febrycznie się zatrzęsło. A ręce staruszka, wzniesione do góry, pokazały ludowi baranka miłości, a lud korząc się przed majestatem Najwyższego, zgiął kolana ku ziemi. Lecz jakież zdziwienie i oburzenie przenikło wiernych prostaczków, gdy spostrzegli, że panicz dumny, obrócony tyłem do ołtarza, z uśmiechem na uściech nie ugina kolana przed świętością. Opamiętał się i Marylli umysł z pierwszego zakłopotania, a rzuciwszy karcący wzrok na młodziana, spuściła oczy, poświęcając myśli swe zaiste nie ziemskim rzeczom.

I znów jak poprzednio tłumy narodu roją się, żegnając z pobożnem westchnieniem przybytek pański. W tłumie tym ujrzałeś także cichą Maryllę, której każdy z uszanowaniem się ustąpił; ujrzałeś dalej bladego młodzieńca, z gwałtownością przeciskającego się przez tłumy ludu i rzucającego na około spojrzenia, które zdały się kogoś szukać. I niebawem oko jego zabłysło szczęściem zadowolenia, ujrzał szybkiemi kroki posuwający się naprzód czarny kapelusik i czarną sukienkę. W tę też stronę rzucił się młodzian, a dopędziwszy postać, rzekł:

— Darujesz pani, że droga daleka, wiodąca przez las, pozwoli mi ci towarzyszyć.

— A panie Teodorze, zbyteczne obawy, jam dziecko lasu, widoku jego nie zlęknę się, a droga, troszeczkę zbyt daleka, będzie dla pana powodem zaniedbania jakiejś, wymagającej obecności twojej, czynności.

— Czy te słowa mam uważać za chęć pozbycia się mego towarzystwa?

— Nie, panie! w przenośnie nie umię się bawić i dlatego proszę zawsze słowa me dosłownie sobie tłumaczyć.

— Czy wolno zapytać o zdrowie szanownego ojca pani?

— Niestety! — odrzekła ze smutkiem Marylla, ojciec mój polepszenia nie oczekuje.

— Lecz ulga powinnaby nastąpić po dzisiejszych tak gorących modłach pani.

— A więc — spuszczając oczy na dół mówiła dziewica — skoro już na ten przedmiot skierowałeś pan rozmowę, z nieśmiałością wprawdzie odważam się panu powiedzieć, że zachowanie się jego w kościele było niewłaściwe, i jak uważałam, obrażało nawet uczucia niewinnego narodu. Po słowach przez pana wczoraj wypowiedzianych spodziewałam się, że ten, który z takim zapałem głosi prawdę i poświęcenie, inaczej uczcić powinnien Najwyższego.

— Pani — odparł młodzieniec ze spokojem, czy Chrystus, gdy sprawował sam najświętszą ofiarę, nie patrzał na ludzi? Czyż nie był zajęty myślami

ziemskiemi, gdy patrzał na smutek i boleść swej matki?

— Tak — odrzekła z wiarą dziewica, Chrystus mógł patrzeć na ziemię, bo był jej stworzycielem, lecz pan jako stworzony powinieneś był na niego patrzeć.

— Czyż podobna, by widząc ciebie, o pani! bóstwo wcielonej piękności, odwrócić wzrok swój od ziemi a kazać mu błądzić w krainach ułudy.

— Nie spodziewałam się, bym podczas tak krótkiej znajomości dała powód do obrażania mię!

— Do obrażania? — spytał młodzieniec, a głos jego drżał, a oczy świeciły żarem namiętności. — Do obrażania? — powtórzył przeciągle. O pani! gdyby kiedyś powstała myśl we mnie rozmyślnej obrazy, gdyby się serce moje sprzeniewierzyło kiedyś tym słowom, jakie mam ci wynurzyć, o! wtenczas niechaj....

— Stój panie! — wyrzekło zapłonione dziewczę, nie wyzywaj daremnie kary i pomsty nieba, wiesz o mojem przeznaczeniu i dlatego błagam: przestań mię obrażać.

— Nigdy! czy sądzisz pani, że tak łatwo dam się odstraszyć? Tą razą nie pomogą twe błagania, wysłuchać mię musisz, musisz wiedzieć o tej strasznej namiętności, która targając wnętrzności moje, popycha mnie i pędzi do ciebie. Błagam, zaklinam, nie odwracaj z pogardą boskiego twego oblicza odemnie, usłysz i uwierz, że cię kocham tak gwałtownie, jak innych nienawidzę. Żyć nie mogę bez ciebie, a raczej jak pies konając u stóp twych, wyżebrzę litości dla mnie, niżbym miał kiedyś zapomnieć o tobie.

— Panie Teodorze — ze spokojem i powagą odparło dziewczę, jeżeli kiedy coś było świętem dla ciebie, jeżeli umiałeś kiedy uszanować osobę bliźniego twego, zaprzestań, ach! zaprzestań swej mowy. Ja ją zapomnę i przebaczam ci ją, lecz pod tym warunkiem, że i ty ją pogrążysz w toni zapomnienia.

— O! co za niespodziewana łaska — dyszał rozmarzony młodzieniec, ja ci ją przebaczam; zapomnę o niej. Nie przebaczenia, nie zapomnienia, lecz odpowiedzi żądam od ciebie, Maryllo droga! Piętno

wyższości, wyryte na twej boskiej twarzy ponad poziom mdłych umysłów i zachceń ludzkich, przeczułem ja i odgadłem w całej uroczej twej postaci. Nie, moja droga! bądźmy otwarci! Ty nie kochasz Jana, twe serce drgające i żyjące w krainie najpiękniejszych ideałów, nie przylgnęłoby do tego głazu, utworzonego martwą dłonią prozy. Maryllo! serce me w swoich przypuszczeniach zaszło jeszcze dalej, ja przekonałem się, że od pierwszej chwili nie jestem dla cię, moja droga! obcym, i sądzę — ach! straszne rozczarowanie, gdybym się mylił, — że ty, jedyna! ten świat boski, tak uroczo wypiastowany w twem łonie, wypiastowałaś dla mnie; jam się przekonał, sądząc z twego pomięszania, że serce twe już do mnie należy, i tylko wzgląd na twego ojca, wzgląd na moralnie zrujnowane me życie, wzbrania ci, tak gwałtownie rzucić się w ramiona pierwszej i świętej miłości, w ramiona błogości nadziemskiej i rozkoszy.

— Błogości, rozkoszy — powtarzało zwolna pomięszane i zapłonione dziewczę, a stanąwszy na miejscu i wpatrzywszy się lazurem swych niebieskich ócz w Teodora, spytało zwolna:

— I jakążto rozkosz i radość obiecujesz mi pan z tej miłości? Zaiste! wielkim znawcą serc dziewiczych musisz być pan, panie Teodorze, kiedy tak prędko odgadłeś myśli moje, które ukrywałam przed samą sobą, a za które płoniłam się w kościele przed majestatem nie ziemskiej a więc przemijającej, lecz wiekotrwałej miłości. Zapóźno ukrywać przed tak badawczem okiem stan mego serca; tyle ci, panie Teodorze, zmuszona jestem powiedzieć, że w przypuszczeniach twoich wcale się nie pomyliłeś. Owszem! może zanadto nawet powiedziałeś, gdyż wy miastowi panicze, wykształceni na zasadach ducha czasu, wątpię czy jesteście w stanie pojąć, co znaczy miłość prawdziwa, miłość święta. Pokochałam cię całą siłą i potęgą mej duszy; serce moje na widok twój zadrgało pełnią nowego jakiegoś życia i szczęścia, lecz w pierwszym zaraz zawiązku tej miłości i tego szczęścia, jękła w sercu tem struna dysharmonii, struna przeczucia złowieszczej przyszłości. Nie sądź więc, byś znalazł we mnie wosk, dający się gnieść

na wszystkie strony według woli i upodobania, gdyż takie postępowanie zdradzałoby raczej namiętność połączoną z próżnością, lecz znajdziesz we mnie kobietę, umiejącą być panią siebie nawet i w upadku... tak, w upadku, gdyż miłość moja jest grzeszną w obec Boga i ludzi, życie moje bowiem nie należy do mnie, lecz do ojca cierpiącego, powalonego na łoże boleści. Więc i ty uszanuj moje nieszczęście! Pomny mego przeznaczenia, pamiętny miłości twego brata, który mię tak ukochał szczerze, oddal się odemnie, wyjedź z tych stron; przecierpiawszy trochę, zapomnisz o mnie, a ja zamknąwszy cierpienia me w głębinach zranionego serca, bez przeszkody będę mogła zrobić ofiarę z mego życia. — Prawda, Teodorze — ciągnęła dalej czule i błagalnie dziewica — ty już więcej nie będziesz ranił serca mojego twemi wyrzutami i przysięgami, ty, tak szlachetny, tak zahartowany w szkole bolu, rozczarowań i zawodów, przecierpisz dla mnie i tę ostatnią boleść i wspaniałomyślnie jeżeli nie pokój serca, to przynajmniej pokój życia ofiarować będziesz mnie biednej i nieszczęśliwej istocie.

Słuchał tych słów Teodor, i na bladej jego twarzy odźwierciedliły się to rozkosz i najwyższe zadowolenie, to znów namiętność i przerażająca chęć posiadania. Wpatrywał się długo w to tak piękne dziewczę, na którego wdzięki natura przewyższyła sama siebie, a które tak naiwnie opowiadało mu o swej miłości z rozkazem, by zapomniał o niej. Zrozumiał dobrze przeżyty młodzieniec tę ofiarę życia, to zaiste nie ludzkie zaparcie się swego ja, a oddanie się innym na całe życie, i może pierwszy raz pod wpływem tego anielskiego spojrzenia, stracił pewność w siebie, zabrakło mu odwagi do dawnej bezczelności. To też nie wiedział, co jej odpowiedzieć na ostatnie żądanie, zaledwie że parę słów niezrozumiałych wybełkotał i żegnając ją, spiesznie się oddalił.

*
*   *

Miłości! miłości! gdy się kogo czepisz,
I rozum odmienisz i oczy zaślepisz.
(*Nieznajomy.*)

Widzieliśmy, jak na chwilę stracił Teodor pewność samego siebie, jak nie mogąc znieść spojrzenia anioła-dziewicy, spiesznie oddalił się i powrócił do szkółki, pomieszkania swego brata. Rozpacz a raczej złość malowała się na jego twarzy; gniewał się i przeklinał samego siebie. On, zeszedłszy raz z drogi ideałów na drogę brudu, zdobył sobie tak wielką sławę w zdobyczach miłości, on, który tyle razy przysięgał na zbawienie swej duszy i na wszystko, co jest święte, a nie zadrżał, stracił naraz odwagę pod jednem wejrzeniem dziewicy niewinnej. I czy sądzicie, że uszanuje on tę świętość, że ugnie kolano przed prawością i poskromi swoją namiętność? Wątpię, bo on apostoł prawości i głosiciel panowania ducha, aż nadto miał sposobności, aby się przekonać o tem, jak mało podobne rzeczy ważą na tym świecie i że prawości nie ma już u nas śmiertelników.

To też chmurny usiadłszy na krześle, dumał głęboko i długo, obmyślał nowe plany, robił postanowienia rozmaite, a twarz jego, nosząca teraz znamię niezłomnej woli, jasno świadczyła, że dobrowolnie nie odstąpi od tych zamysłów. I widać, że już obmyślił plan jakiś, bo twarz jego rozjaśniła się, lekki uśmiech ironii igrał na jego uściech a oczy błyszczały demonicznym blaskiem. Poprawił na sobie ubiór, przeglądnął się w lustrze i udał się zadowolony sam ze siebie do pobliskiego folwarku, gdzie przez pana, dawniejszego ekonoma, zaproszony był na obiad. Szedł prędko a po drodze mówił gorączkowo sam do siebie: „Będzie moją, musi być moją... nie wzdrygnę się chociażby przed gwałtem“.....

III.

Rodzina ex-ekonoma nie była liczną; ekonom, starzec przeszło sześćdziesięcioletni, żona jego, kiwająca się w starem krześle nad robótką ręczną i dwudziestuletnia córka ich, Tecia, — oto cała rodzina,

która w jadalnym pokoju czeka niecierpliwie gościa, zaproszonego na obiad. Dziwnie wyglądało też całe pomieszkanie i umeblowanie tegoż u państwa Dorobców. Obok wykwintnego stołu parę krzeseł najprostszej konstrukcji, obok mistrzowsko wykonanej akwarelli Kossaka widziałeś porozwieszane najpotworniejsze bohomazy; proste ze sosnowego drzewa łóżka, wcale ładnemi kocami ponakrywane; jednem słowem na pierwszy rzut oka łacno się przekonasz, że w pomieszkaniu tem dawniejsze ubóstwo z teraźniejszym dobrobytem nie mogą się jakoś pogodzić. Ale za to też nienaturalności mebli wyśmienicie odpowiadała nienaturalność mieszkańców.

Pan ex-ekonom z jedną ręką, założoną w tył a drugą trzymający fajkę na długim cybuchu, wyprostowany, w świątecznym, zielonym surducie, który mu sięgał aż do kostek, przechadzał się zwolna po komnacie, powtarzając ulubione przysłowie swego dawnego chlebodawcy: „so, so, tak, tak.“ I on po częstszem przeglądywaniu się w lustrze, przekonany był o tem, że wygląda całkiem po pańsku, że mina jego czysto - szlachecka, chociaż włos siwy a twardy, krótko podstrzyżony, i brwi krzaczyste, srodze najeżone świadczyły dosyć niegrzecznie, że posiadacz ich raczej musiał być hajdukiem w swej młodości, aniżeli panem, za jakiego chciał uchodzić.

A żona jego — jakże podobna do swego pana dobrodzieja męża! jak dzielnie mu wtoruje w tem wszystkiem, co miało zdradzać pochodzenie dobrego tonu! Chuda i wyżółkła, z twarzą pooraną zmarszczkami, siedziała zajęta robieniem pończochy, gdyż, jak twierdziła, robota ręczna była zajęciem najzwyklejszem dawnych szlachcianek, nawet i w niedzielę! Nad puklami zapiekanych włosów, pompatycznie dominującemi ponad niskiem czołem, wznosił się ogromny czepiec, przypominający wielkością swą zawój turecki, ale nie ozdobę niegdyś matron polskich.

Ale najuroczyściej wyglądała siedząca obok matki Tecia, córka państwa Dorobców. Ubrana w popielatą sukienkę, od której dziwnie odbijał czarny kaftanik, z włosem czarnym jak heban, rozpuszczonym w dwa piękne, duże warkocze, siedziała zatapiając

chciwie czarne swe oko w książkę, która — widać — bardzo ją musiała zająć. Twarz jej oliwkowa, pokryta lekkim rumieńcem, byłaby dosyć piękną, gdyby jej nie szpecił nos szeroko osadzony i dolna warga, zanadto wysunięta naprzód. Ale mama Teci twierdziła, że nos orli i warga dumnie wysunięta naprzód, świadczą o znakomitem pochodzeniu i dobrym tonie córki, dla tego też Tecia miała się nie tylko za najrozumniejszą, ale i za najpiękniejszą, gdyż przeczytawszy parę książek o emancypacji kobiet lub przeglądnąwszy książki treści à la Kozubowski i Paweł Kock, sądziła się być tak wysoko wykształconą, że nawet żadnemu mężczyznie pierwszeństwa i wyższości umysłowej nad sobą przyznać by nie chciała.

Tak w milczeniu uroczystem pogrążona familia Dorobców spędzała czas przedobiedni, gdy tak długo oczekiwany gość nagle stanął we drzwiach jej pomieszkania. Teodor, którego szybka droga nieco zmęczyła, wywołując na twarzy rumieniec chorobliwy znużenia, wyglądał uroczo. Skłonił się starcowi, który protekcjonalnie wyciągnął dłoń ku niemu i ucałował rączkę pani Wawrzyńcowej, która witając go nie omieszkała wywołać na usta swe uśmiechu, mającego wyrażać zadowolenie i słodycz. Podczas tego milczącego witania się, Tecia nie spuściła swego czarnego oka z pięknej twarzy młodziana, a nawet kiedy ten kłaniając się, z miłym uśmiechem na ustach zajął miejsce obok niej, nie spuściła oka z jego twarzy i dopiero po chwili szepnęła jakoby sama do siebie: „Niegodny!“

I wnet czerwona Hanka przyniosła do izby naczynie, mające przypominać wazę, za której ukazaniem się majestatycznie podniosła się pani domu i zaczęła nalewać „barszczyk z rurą“ na talerze. Na jej skinienie przybliżyli się obecni do stołu i milcząco jęli spożywać dary Boże. Obiad skromny, od czasu do czasu przerywany jakąś uwagą to pani domu, to Teodora, to monotonnem a wiecznem „so, so, tak, tak“ pana Dorobcy, wkrótce się skończył, poczem gospodarz uroczyście zaprosił Teodora do izby swej na fajeczkę. Tak bowiem zwykł był czynić i ś. p. były pan ex-ekonoma, jeśli gości miał u siebie

na obiedzie. Przy fajeczce chciał Teodor nawiązać jakąś rozmowę, jego niepokoiło to milczenie, tak niezwykłe w tym domu, lecz napróżno! stary exekonom był dziś milczący jak grób, odpowiadał na wszystko krótko, i częściej tylko przechadzając się pomrukiwał pod nosem: „so, so, tak, tak.“

W tem wchodzi do izby pani Wawrzyńcowa pełna powagi, a jakież było zdziwienie Teodora, gdy nie zważając na godność swą i dawny zwyczaj szlachecki, gospodyni wygodnie siada na kanapce tam, gdzie zazwyczaj mężczyźni fajkę palą a pan ex-ekonom ostrożnie zbliża się do drzwi, bierze za klucz i podwójnym obrotem takowe szczelnie zamyka. Zmięszał się trochę młodzieniec, zaskoczony znienacka taką niespodzianką, lecz wkrótce odzyskał dawną przytomność ducha, a układłszy twarz do słodkiego uśmiechu i powstawszy ze swego miejsca, odezwał się:

— Przepraszam, może to jaka narada familijna, a po środkach zaradczych poznaję, że świadkowie nie są potrzebni, więc możeby i mnie wypadało....

— Ależ, panie Teodorze! panu nic nie wypada, tylko siadać i słuchać — przerwał z powagą pan exekonom — i przedewszystkiem dawać nam odpowiedź otwartą: so, so, tak, tak, otwartą, gdyż muszę już raz położyc koniec tym babskim paplaninom.

— Ale gdzież babskim, ta przecież Bogu dzięki nikt jeszcze o tem nic nie mówi, tylko ja, panie dobrodzieju i mężu mój — ujęła się za swą godnością pani Wawrzyńcowa.

— A czy to aśćka nie wiesz, że najwięksi panowie nazywali żony swe babami — więc poco niepotrzebnie wtrącając się, przerywasz mi sens zaczęty? Więc dalej, przychodząc zaraz ad rem, panie Teodorze, wytłumacz no mi proszę, tę paplaninę mej żony i córy. Przedwczoraj, jakeś pan odszedł od nas, czy bies opętał dziewkę czy jakie licho, moja Tekla rzuca mi się do nóg, płacze i błaga, mówiąc, że kocha pana. Tak, kocha! no proszę! czyby u dawnych Polaków odważyła się dziewka tak mówić do ojca. No! ale dzisiaj to wszystko schodzi, jak to mówią, na psy. Więc ad rem mówi mi Tekla, że sobie życie odbierze, że pan musisz należyć do niej, że ona mi

ucieknie z domu do służby, by tobie dopomódz do utrzymania w szkołach, że pan bez niej pójdziesz na mnicha, i djabeł tam wie, co mi tam naplotła. Tu znów moja stara szepce i pytluje mi wciąż do ucha, żebym jakiś porządek z tem wszystkiem zrobił, żebym nie był tyranem swego dziecka. So, so, tak, tak, tyranem! no proszę, ja tyranem nie byłem nigdy, ale co porządek, to trzeba zrobić. Więc, panie Teodorze, uczciwie, otwarcie, i choć indygienatu nie masz, po staroszlachecku powiedz no mi, coś tu naplatał z moją dziewką.

— Tak, szczerze i z wylaniem serca całą rzecz wam wyjaśnię — odparł niezmięszany młodzieniec. — Wyście biednego sierotę przyjęli w wasz dom gościnny, a obchodzeniem waszem tak miłem i serdecznem przypomnieliście mu czasy, kiedy on na łonie rodziny ukochanej, nawzajem od niej kochany, spędzał najszczęśliwsze godziny swego życia tułaczego. Ale teraz nie śmiem oczu do was podnieść a wstyd rumieni mi policzki na wspomnienie, że ja nędzny, zamiast czuć się szczęśliwym i z podzięką paść przed wami na kolana, wam czarną niewdzięcznością się odpłaciłem. Ale darujcie pokutującemu szczerze za swoje grzechy. Serce nie zna co to pany, i moje, poznawszy anioła, wcielonego w osobę boskiej Teci waszej, nie dało mi się poskromić siłą woli, niemogłem się wstrzymać od wypowiedzenia córce waszej, że ją uwielbiam, że ją czczę jak świętą. Darujcie mi ten krok, jeszcze raz błagam was o przebaczenie; córce waszej oświadczyłem już, że jako chudy pachołek ócz do niej podnieść nie jestem godzien, a wam, szanowni dobroczyńcy moi, mówię z głębi serca: Bóg zapłać, i przyrzekam już nigdy więcej moją obecnością nie zakłócać waszego spokoju domowego.

Mowa ta, wypowiedziana z taką pokorą i słodyczą, z tak misternem odegraniem roli rezygnacji i nieszczęścia, a zawierająca w sobie pochwałę tak korzystną dla córki, przez rodziców ubóstwianej i dla nich samych nie mniejszym będąca bodźcem do dumy i szlachetności, ujęła rodziców, którzy mając dobre serce, zlitowali się nad wymarzonym ogromem nieszczęść młodziana, tak że pan ex-ekonom stracił

pierwotnego marsa, przybierając wyraz twarzy więcej rozczulony, a biedna pani Wawrzyńcowa, która w duszy tak sprzyjała młodzieńcowi, a raczej własnej próżności myślą o lepszem zamążpójściu córki swej, — przez łzy rzekła:

— A czy nie mówiłam dobrodziejowi, że nasza Tekla, to cud dziewka, nawet doktorowi umie tak zawrócić głowę, że nie śmie się nawet otwarcie o nią starać. (A i to trzeba dodać, że Teodor jako ukończony student ósmej klasy gimnazjalnej nie wstydził się powiedzieć państwu Dorobcom, że skończył już drugi rok medycyny.)

— No! doktor nie doktor — odparł z powagą pan Dorobca — ale zawsześ pan, panie Teodorze, bardzo zawinił, żeś nam rodzicom nic nie powiedział. Pan masz już do tego prawo; młodzian niczego, widać nie pusto w głowie, lata są — utrzymanie za dwa lata — więc z tem wszystkiem można się już od biedy jakoś ratować. Ale po co tam pleść dziewce, że idziesz na księdza, po co ją martwić, a przez jej płacz nas oboje starych?

— Wcale nie mówiłem córce pańskiej o wstąpieniu do klasztoru dla tego li tylko, by ją martwić — odparł żywo Teodor. — Ja obrachowałem się sam z sobą, a gdybym się był znachodził w tak świetnej sytuacji, jak pan dobrodziej mniema, to byłbym się napewno odważył, was, drodzy prosić o rękę anielskiej córy. Lecz ja wcale nie kłamałem, gdy córce waszej wyznając moją miłość powiedziałem jej, że zmieniając stan swój będę cierpiał na wieki, gdyż jej nigdy więcej nie zobaczę. Dla tego darujcie mi mój postępek, przebaczcie i wspomnijcie czasem o mnie tak, jak ja będę wspominał o was jako o najdroższych memu sercu przez cały mój już krótki żywot.

— Dla Boga! co mówisz, szalony młodzieńcze! — zawołał z oburzeniem pan ex-ekonom. — Czyż godzi się bez zapytania rodziców, których wzajemność córki posiadasz, rzucać ją tak na pastwę cierpień i smutku? Za moich czasów nigdy młodzi coś podobnego nie wyrabiali. So, so, tak, tak. Nigdy! No, ale do licha, powiedzno mi pan, co pana tak ciągnie do przywdziania sukni duchownej i do porzucenia

tak pięknego stanu, jak pański. Bo dla mnie to wszystko ciemne, jak nieprzymierzając tabaka w rogu.

— Darujcie mi — odparł Teodor — że z wami, którzy jak widać, zajmujecie się mną z prawdziwie ojcowską pieczołowitością, nie mogę w tym względzie być otwartym, gdyż wyjawienie smutnych moich stosunków mogłoby i mylnie być tłumaczonem. Tecia wie o wszystkiem, i pomimo żem ją prosił o zachowanie tajemnicy, by się nie pokazać względem was niewdzięcznym, uwalniam ją od danego słowa, niech wam opowie cały zbieg okoliczności, mnie zgubę grożących i wydzierających mi jedyną nadzieję szczęścia, a wy bywajcie mi zdrowi i pomnijcie, że tylko ostateczność zmusza mię do wyrzeczenia się zapewno tylko raz znalezionego ideału.

Te słowa, wypowiedziane z męską stanowczością, zastanowiły głęboko starych Dorobców, poznali, że jakiś nadzwyczajny wypadek musiał tak silnie oddziałać na dalsze losy Teodora, dlatego też w milczeniu podali mu ręce, gdy tenże, żegnając się z nimi, pokój opuścił.

Na ganku spotkał Tecię, bladą, z rozpuszczonym włosem, a oczy jej we łzach skąpane, nadały jej fizjognomii wyraz żałoby i rozpaczy. Na widok Teodora wyraz twarzy jej przybrał znamię silnego postanowienia i niezłamanej woli. Wpatrzyła się w Teodora namiętnie i przeciągle i spytała:

— Kiedy będziesz znowu u nas?

— Kiedy rozkażesz i kiedy widok mój będzie znośnym dla rodziców twoich — odparł krótko Teodor. Skłonił się nisko przed dziewicą i oddalił się szybko w kierunku wsi, w której mieszkał.

IV.

Minęły wakacje, ze smutkiem żegnały matki swych synów, ojcowie dawali nauki, na jak wiele niebezpieczeństw narażone życie młodzieńca, zwłaszcza w wielkiem mieście. Nie jedno serce jękło złowieszczem przeczuciem, nie jedna łza spłynęła przy pożegnaniu ojczystych stron. Teodor uczucia tego w piersi

swej nie zaznał; poszedł tylko do państwa Dorobców na pożegnanie i jak widać, panna Tecia dzielnie broniła przed rodzicami tajemnicy, jej przez kochanka powierzonej, gdyż niezwykła radość biła z całej fizjognomii powracającego do brata Teodora. Zebrał pospiesznie niewielkie swe ruchomości, kazał je wynieść na furę i z uśmiechem podał ręce bratu swemu do pożegnania.

— Zaczekaj jeszcze, wypijesz kawę a i pomówić mam coś z tobą — rzekł zimno Jan. Zabawiwszy na podróży poza domem cokolwiek dłużej niżli od razu mógł przypuścić, przez te dwa dnie dziwnie się jakoś zmienił na twarzy. Twarz ogorzała straciła wyraz dawnej dobroci, a widok jej przejmował grozą i strachem. Oko siwe nabrało jakiegoś dziwnego blasku, cała postać świadczyła o tem, że duszę tę hardą musiał dotknąć cios okropny a niespodziewany, jednak dusza zanadto silna, aby mu się poddać, widocznie pozostała panią boleśnych tajemnic serca.

Teodor wyjął cygaro, zapalił i siadł wygodnie naprzeciw brata, który długo milcząc wpatrywał się w niego. Pierwszy nie śmiał przerwać milczenia, drugi dumał i zastanawiał się. Nareszcie Jan, wypogadzając twarz ponurą, odezwał się do brata niby obojętnie, a jednak głos jego lekkie zdradzał drżenie:

— Jakie masz otrzymanie na kursie medycznym? Idziesz na pierwszy rok do Wiednia, tam wszystko bardzo drogo, a w stolicy nikogo nie znasz.

— Bądź spokojny, bracie — odparł niechętnie Teodor — patrz, ile mam pieniędzy; co miesiąc tyle będę miał!

— A to zkąd? — zapytał chmurząc brwi Jan — czy przypadkowo....

— Nie zaręczam ci, że żadnego przypadku nie było — odparł żywo Teodor — pan Dorobca ofiarował mi się z zapomogą na prośbę Teci, ot! i cała tajemnica.

— Nędzny! — wybuchnął z oburzeniem Jan — dwakroć nędzny! Szkoda, że należysz do familii, która nigdy od drugich nic nie przyjmowała, a z takimi Dorobcami i słowa by nie wymieniła. Lecz

prawda, zapomniałem, że twoje pojęcia o szlachetności są zupełnie odmienne od pojęć ludzi prawdziwie uczciwych! Zresztą nie o to chciałem pytać, postępowanie twoje już bardzo mało mię obchodzi, ale powiedz mi, czy często byłeś u pana Żargi?

A zapytawszy się o to Jan, wzrok swój tak przenikliwie wlepił w twarz Teodora, że ten spuszczając oczy ku ziemi zmięszany, zaledwie wybąknąć zdołał:

— A tak, byłem parę razy, ale dlatego tylko, boś ty mię o to prosił.

— Wiesz co, bracie — mówił znów spokojnie Jan — po moim przyjeździe znalazłem, że Marylla czegoś bardzo źle wygląda, — oczy ma wiecznie zapłakane, zapewne w duszy jej musiało zajść coś nowego a dla mnie i dla niej nie bardzo pocieszającego. Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, co za przyczyna temu?

— Ja! — zapytał pomięszany Teodor — a zkądże ja do tego przychodzę? nie! dalipan, nic o jej smutku nie wiem, wierz mi, Jasiu!

— Nie wiesz nic!? zgoła nic?

— Zgoła nic nie wiem; jak ciebie kocham, na honor, nic a nic nie wiem.

Tu podniósł się ze swego siedzenia Jan, a głos jego drżał, a postać się jego trzęsła jakoby we febrze, a oko pałało piekielnym blaskiem.

— Dobrze! ty nie wiesz nic, bracie mój — zakrzyczał chrapliwie — ale posłuchaj mię! Jeżeli kiedy nabędę to smutne przekonanie, że ty wiesz o przyczynie jej smutku, jeżeli się pokaże, żeś ty sam spłoszył z jej anielskich lic ten czarujący rumieniec, o! wtedy przysięgam ci na tę miłość moją pierwszą ku boskiej Marylli, że biada tobie i biada twej duszy! Wtedy nie znajdziesz we mnie brata, niepomny na związki krwi nas obydwu łączące, będę ci wrogiem, który — ty wiesz — zemsty swojej dokonać będzie umiał i dokona. Czy na to nie masz mi już nic do powiedzenia?

— Nic! zgoła nic — odpowiedział wybladły Teodor. — Żegnam cię i bądź przekonany o mej niewinności.

— Bóg by to dał, byś był niewinnym — jakoby sam do siebie rzekł odprowadzając swego brata Jan.

* * *

Drżyj nieszczęśliwa, nie ma już sposobu,
Już sny przeminęły złote,
I ten sam szatan, który gnębił cnotę,
W piekło powiedzie cię z sobą.

(Byron.)

A cóż się dzieje z Maryllą, którą na chwilę opuściliśmy? Anioł cierpienia i bolu, dziewica przeznaczona na wieczne opuszczenie sieroty, istota dobrowolnej ofiary dla ojca swego, cóż innego nieszczęśliwa począć zdoła nad ronienie gorzkich łez w najskrytszych zakątkach leśnych? Porzucona, niepożegnana nawet i zapomniana od tego, który piekielny jad trucizny tak zręcznie umiał wlać w serce jej dziewicze, nędzny i opłakania godny wlokła żywot. Jak sen, jak mara zwodnicza wydały jej się te chwile, kiedy wieczory i noce spędzała na łonie kochanka na łączce obok chaty, kiedy, uśpiona jego pieszczotami i przysięgami, marzyła o szczęściu, o którem tylko zakochani marzyć mogą. A teraz? Wstyd, hańba, rozpacz zawiedzionego serca, widok ojca konającego i ponurej a mimoto tak dla niej zawsze dobrotliwej twarzy Jana, miotały tak gwałtownie tem biednem sercem, że nieraz pęknięcia bliskie zdawało się już nie bić w łonie nieszczęśliwej dziewicy. Smutek ten oddziałał mocno na cały organizm biednej dziewczyny, oczy straciły pierwotną żywość, cera twarzy przybrała zastraszający rumieniec chorobliwy, a cała postać naprzód pochylona, pobudzała do współczucia i litości. Jan poznał po części tylko, co się dzieje w skołatanem łonie Marylli, dla tego nie odezwał się ani słowem o zbliżającym się terminie wesela. Ale stary Żarga, czując że już nie wiele mu się do życia należy i chcąc przynajmniej byt materjalny swej córki na przyszłość zapewnić, wyrzekł stanowczo, że za trzy dni ślub odbyć się musi, jeżeli

Jan nic nie ma przeciw temu. Ten nie odpowiedział starcowi nic, ale błagalnym wzrokiem popatrzył na siedzącą pod oknem Maryllę. Ta zrozumiała to spojrzenie i pojęła całą ważność i doniosłość chwili. Kochała ojca nad życie i wolałaby dziesięć razy umrzeć, aniżeli tego złamanego chorobą a dla niej zawsze tak dobrego starca zasmucić. Wiedziała dobrze, że wiadomość o stanie jej serca, że wyjawienie stosunku jej do Teodora zabiłyby go w jednej chwili. Dla tego, chociaż z pewną trwogą i niepokojem, odpowiedziała Janowi:

— Ty wiesz, wola ojca jest dla mnie świętą.

— Czy tylko wolą ojca powodujesz się, Maryllo? — smętnie zapytał Jan — czyż nigdy moje zabiegi nie zostaną uwieńczone inną odpowiedzią nad odpowiedź głosu przywiązania córki? Maryllo! bądź dla mnie otwartą, jak ja dla ciebie. Powiedz, droga, czemu mam przypisać tę oziębłość serca twego, czem sobie na nią zasłużyłem?

— Niczem! dla Boga! przestań pan, mówię jeszcze raz, niczem! — przerwała szybko dziewczyna. Wszakże sam wiesz najlepiej, jak wiele my, opuszczeni rozbitki losu mamy ci do zawdzięczenia. Oziębłość z mej strony równałaby się czarnej niewdzięczności. Ja czuję ku tobie, dobry Janie, szacunek słowami nieobjęty, ofiaruję ci dozgonną przyjaźń, a serce..... bądź dobrej myśli i to w krótce się znajdzie.

Janowi na te słowa oczy zabłysły zadowoleniem i podzięką, łza rozczulenia przyćmiła jego oko zazwyczaj tak suche, raz jeszcze uścisnął dłoń dziewicy i starca i oddalił się szybko.

. . . .

Nadeszła wkrótce chwila uroczysta, — chwila szczęścia i upojenia dla jednych, rozpaczy i bolu niewypowiedzianego dla drugich. Marylla jak trup blada i drżąca przysięgła w obec Boga miłość i wierność dozgonną Janowi. Szczupły, bo zaledwie z kilku osób złożony orszak, powrócił do starego Żargi, który dziękując niebu za szczęście córki, pobłogosławił lube swe dzieci i w parę dni później przeniósł się do krainy wieczności, gdzie żywot jego,

złamany niepowodzeniami i rozczarowaniami, znalazł zapewne nagrodę zasłużoną za trudy tego świata.

. . . .

Minęło 6 miesięcy od śmierci starego Żargi; czas to nie długi dla ludzi — kochanków fortuny i szczęścia, lecz jakażto okropna wieczność dla serc, które już nie biją dla ziemskich interesów i powabów, ale z tęsknotą oczekują przeniesienia się do innego życia.

Wejdźmy do domku Jana, do szkółki miejskiej. Patrz! tam na łożu spoczywa postać, wydobywająca z głębi łona jęk podobny do kaszlu suchego, podobny do skargi: Na co mię trzymasz na tej ziemi, Boże! — Wejdź bliżej, kobieta... — nie! szkielet, mara jakaś pozagrobowa wyciąga rękę chudą jak ręka upiora, bierze szklankę i przytyka do spiekłych ust. Czy poznajesz...? To Marylla, to to samo dziewczę, które przed kilku miesiącami widziałeś i podziwiałeś jak bóstwo piękności nadziemskiej. Bezmięsna jej skóra, podobna do zżółkniałego pergaminu, oczy jej zapadłe, świecące blaskiem gorączkowym —, tak była podobną raczej do trupa leżącego kilka dni, aniżeli do istoty żyjącej.

Skrzypnęły drzwi i lekko wsunęła się do izby postać Jana. I na jego twarzy czas krótki lecz bezlitośny zostawił swe nieszczęsne ślady. Pobladł, wymizerniał, czoło wysokie pokryło się zmarszczką smutku i cierpień. Z lekka przystąpił do łóżka, na którem zwolna dogorywało jego szczęście i nadzieja w pomyślną przyszłość.

Marylla podniosła ku niemu wychudłą swą rękę, on podał jej prawicę, którą ona z zapałem do ust przycisła.

— Siadaj przy mnie — wyjękła chora, a Jan usiadłszy, milcząco się w nią wpatrywał.

— Jasiu drogi! przyjacielu i ojcze mój! dziś jak ci wiadomo mam przyjąć ostatni pokarm, ostatni posiłek na długą drogę do wieczności, która się przedemną ściele. Lecz pierwej nim się wyspowiadam przed ojcem niebieskim, wysłuchaj ty mię, któryś mi zastąpił wszystko na ziemi.

— Jasiu! czy możesz mi przebaczyć błąd, przez który wydarłam tobie szczęście całego życia! Uwierz, że za żonę masz kobietę, która wiedząc, że ci szczęścia dać nigdy nie będzie mogła, mimoto przysięgła ci przed Bogiem i ludźmi wieczną miłość. Czy nie wzdrygniesz się na głos tej, która ci krzywoprzysięgła, która szczęście dlatego tylko ci wydarła, by przez to okupić parę godzin szczęścia ojcu swojemu? Ach Jasiu, Jasiu! Gdybyśmy byli prędzej związek nasz przyspieszyli, ja byłabym spokojniejszą i ty szczęśliwszym. Lecz zjawił się ten... ty wiesz kto, a jadem swym zatruł me serce, spaczył całą przyszłość. I cóż mi z tego przyszło, mój Boże! Nawet się nie pożegnał ze mną, opuścił, wzgardził i zaprzedał się drugiej. Czy ty mężu pojmujesz, co to znaczy u kobiety, być wzgardzoną przez kochanka? Jasiu! on dosyć pomsty nieba wezwał już na swoją głowę, daruj mu jego winę tak, jak ja mu ją w godzinę śmierci darowała. Powiedz mu, że jest Bóg, w którego jeżeli nie wierzy, uwierzy w godzinę śmierci swej. A teraz zaklinam cię, powiedz, czyś usłuchał prośby umierającej żony? Czy przebaczasz jej? czy przebaczasz równocześnie jemu? Drogi! ty milczysz?... Więc przeklinasz?... Ha! czyż ja powinna się była za takie występki spodziewać przebaczenia? Więc przeklinaj! niechaj głos twój sprawiedliwy mnie potępi, niechaj, nie doznawszy litości, której dla ciebie nie miałam, umieram i ginę.

— Stój, nieszczęśliwa — ze wzruszeniem zawołał Jan — nie rozpaczaj, nie wyzywaj gniewu sprawiedliwego nieba w ostatniej godzinie. Czy nie wiesz, jak kocham, jak ubóstwiam cię, Maryllo? Czy myślisz, że nie przewidziałem tajników serca twojego? A jednak... ja łudziłem się, bom myślał, że ty droga! znajdziesz szczęście przy mnie — tyś go nie znalazła — ja go na zawsze utraciłem; bądź dobrej myśli, ja ci już dawno przebaczyłem.

— Przebaczyłeś? a jemu? — jękła błagalnie.

— Jemu? — odparł dziko Jan. — Ty dla niego żebrzesz przebaczenia, dla niego, zabójcy szczęścia mojego, zabójcy twego, Maryllo? Nie! ty tego, droga, niemożesz wymagać, jam człowiek a nie istota bez

życia. Niechaj Teodor dozna całej zemsty, jaką wywrzeć może człowiek zrozpaczony, człowiek zawiedziony w najświętszych swych uczuciach. Niech gromem spadną na głowę jego te łzy, którychś ty tyle wylała, które z mych ócz się wysączyły. Słyszysz droga, on brat mój — a ja ze śmiertelnym wrogiem nie postąpiłbym tak, jak on ze mną!

— Więc nie przebaczysz...? Więc on zginie...? Więc ty Janie nie wzdrygniesz się na myśl bratobójstwa, choć was jedna matka urodziła? Jeżeli to wszystko cię nie zastanawia i nie powstrzymuje, to miej przynajmniej litość nademną. Ty wiesz, jak przedtem nim pogardzałam, tak w chwili ostatniej lituję się nad nim. Nie jest to już ta miłość, która tak wdzięcznie uśmiechała się do płochej dziewicy — ale miłość bliźniego, miłość i litość chrześcijanki, która pamięta słowa Zbawiciela: odpuśćcie, a będzie wam odpuszczonem. Daruj mu więc.

Tu podniósłszy się a uchwyciwszy zimną jak lód rękę męża, przycisnęła ją do krwią zaszłych ust i płacząc z jękiem przez łzy mówiła:

— Daj się wzruszyć słowami umierającej żony, nie dozwól, by grzech zemsty twej policzony był do grzechów, mających ją potępić na wieki.

— Uspokój się Maryllo — wyrzekł z ciężkiem westchnieniem Jan — Teodor nie zginie z mojej ręki!

— Przysięgnij!

— Przysięgam na pamięć twoją, że prócz słów skargi sprawiedliwej nic więcej nie dozna i nie ucierpi odemnie.

— Dzięki, stokrotne dzięki — wyszeptała nieszczęśliwa, zaniosła się suchym kaszlem i ciężko upadła na łoże.

Srebrzysty głos dzwonka zwiastował przybycie księdza z utajonym Bogiem miłości. Wszedł staruszek, Jan wyszedł, a Marylla zaczęła się spowiadać. Gdy ksiądz wychodzący zobaczył Jana w sieni czekającego, ponuro i w milczeniu zbliżył się do niego a dając mu pocałunek w czoło, wyrzekł grobowym głosem:

— To od Marylli.

Jak obłąkany wpadł Jan do izby, rzucił się na ciało żony, lecz ta nie popatrzyła już więcej na niego, nie ruszyła się, nie przemówiła, gdyż przestała mówić już na wieki . . . . .

V.

DOKOŃCZENIE.

Jesteśmy u końca powieści. Przedstawiłem ci, miły czytelniku, obraz smutku i rozpaczy zawiedzionej dziewczyny, która pod ogromem boleści ugięła się, zniszczała, jak ta roślinka polna pod skwarem słońca letniego. Ileż to młodych dziewcząt nie ginie w podobny sposób, ileżto dramatów podobnych nie przedstawia nam codzienna kronika życia naszego. Mężczyźni uwodzą, bo czują chęć nieprzezwyciężoną do popisów zdobyciem serca niedoświadczonej dziewczyny, lecz wierzajcie mi, popis to niebardzo zaszczytny i chwalebny. Dowiodę ci tego, miły czytelniku! słuchaj tylko, jaki koniec pozostałych półtrupów mej powieści.

Pan Dorobca w krótce dowiedział się i przekonał o tem, jak go Teodor okłamał, jakie niemoralne prowadził życie na uniwersytecie, jak daleko mu jeszcze do człowieka, mogącego utrzymywać rodzinę. Odmówił wszelkiej dalszej pomocy, a panna Tecia?.. Ta nie bardzo się temu sprzeciwiała, gdyż emancypowane kobiety są wyższe nad żal i rozpacz miłośną. Co więcej, panna Tecia czuła się szczęśliwą jak nigdy, gdy z pobliskiej wioski pan asesor o jej rękę się oświadczył. Wprawdzie nie młody kandydat do małżeństwa, ale bogaty!... A cóż na tym świecie zdziałać można bez pieniędzy?!

Jednak dawny jej kochanek Teodor nie czuł się tak szczęśliwym. Mając utrzymanie, lekcje a więc i dochody — rzucił się z całym zapałem gwałtownego swego charakteru w wir zabaw, ale zabaw takich, jakich miasto wielkie tylko za monetę brzęczącą daje. Wkrótce bladość śmiertelna jako ślad bezsennych nocy pokryła jego twarz a kaszel wzma-

gający się usiłował nędzarz przytłumić paleniem cygar i używaniem nadmiernem trunków rozpalających. Zaniedbywał lekcyj, których mu następnie wypowiedziano, o inne zaś było trudno, a gdy pan exekonom w liście pełnym wyrzutów a nawet obelg, odmówił swej pomocy, wtedy nasz Teodor nie wiedział, czem jutro żyć będzie. Cóż mu pozostawało uczynić, kiedy drugiej panny Teci nie mógł znaleźć? Przypomniał sobie, że dawną boginię i panią serca swego straszył był wstąpieniem do klasztoru. Dlaczegożby teraz nie miał planów, dawniej tylko urojonych, zrealizować? Podumał — i zastanowił się. Ależ tam nie ma wolności — rzekł jakby sam do siebie — a głos żołądka jak lekka fala morska odbił się o uszy jego: „ale jest bardzo dobry pokarm.“

Głos ten był rozstrzygającym. W godzinę później Teodor został już przyjęty do klasztoru OO. Franciszkanów, po upływie tygodnia dostał suknię zakonną i imię Innocenty. Lecz w ciszy klasztornej nie znalazł tego, za czem tęsknił. Sumienie, ten robak wiecznie gryzący umysł grzesznika, wiecznie trapił go wyrzutem: Tyś niegodny, żyć między ludźmi; giń i umrzej i uwolnij ludzkość od ciężaru twej osoby, albo czyń pokutę.

Pokutę? To słowo śmiesznem się wydawało Teodorowi. Któż miał mu wlać tę prawdziwie głęboką wiarę o niezmiernem miłosierdziu Stwórcy wszechrzeczy? On tyle wiedział, że nie znał litości nad innymi, a więc i dla siebie jej się nie spodziewał. Zresztą miałby się głęboko zapuszczać w dociekaniu prawd odwiecznych, on, który wszystko nazwał krainą ułudy i fantazji? Ale za to zamknąwszy się w swej celi, tem częściej przyglądał się misternie rzeźbionemu a nabitemu rewolwerowi. Myśl jednak samobójstwa odpędzał jeszcze ze wstrętem od siebie, choć myśl ta, tysiąc razy wygnana, jak widmo tam powracała. Wśród nocy dręczyły go straszne sny, Marylla wybladła z raną głęboką na śnieżnem swem łonie śniła mu się najczęściej. To znów matka biedna, od tak dawna już w grobie spoczywająca, a którą jedynie nieszczęśliwy młodzieniec w pamięci przynajmniej ukochał, ze łzą w oku zjawiała mu się. Wów-

czas zrywał się Teodor, spiesznie zapalał świecę i chodził całą noc, złorzecząc ludzkości i towarzyszom dawnym, od których wyśmiany i odepchnięty, na tak zgubną dostał się drogę.

Był właśnie dwa miesiące w klasztorze, gdy pewnego dnia, kiedy się znowu bawił rewolwerem, usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Szybkim ruchem schował broń morderczą do kieszeni i prosił pukającego wejść. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył przed sobą brata swego Jana. Popatrzył na niego, przeraził go ten włos pobielały i oko pełne wzgardy, i nie witając się już jak dawniej z bratem, ze spuszczonym na dół wzrokiem jak winowajca oczekiwał spełnienia wyroku.

Jan długo patrzał na niego wzrokiem wściekłości i rozpaczy, na koniec jak lew raniony rzucił się na Teodora. Lecz nie dobiegłszy do niego, zatrzymał się i jęknął tylko:

— Podły!.... Słuchaj, nędzarzu! Marylla umarła, zabita przez ciebie, a wymusiła odemnie przyrzeczenie, że się nie zemszczę. Pogardzam tobą i cała rodzina wyrzeka się pokrewieństwa twego. Marylla konająca kazała ci powiedzieć, że, jeżeli nie wierzysz dotąd, to w godzinę śmierci uwierzysz w istnienie Boga, dla tego czyń pokutę.

To powiedziawszy Jan rzucił na brata swego jeszcze raz wzrokiem, w którym się malowały na przemiany najwyższa chęć zemsty i pogarda, a potem zwolna opuścił celę grzesznika. W tem gdy spuszczał się schodami, usłyszał wystrzał, wzdrygnął się, wzniósł oczy ku niebu i usta jego, przedtem tak gniewne, szeptały do Boga modlitwę o miłosierdzie.

Bratu — wrogowi a już umarłemu, z duszy przebaczył....

KONIEC.

Lwów, 13. Marca 1883.

Starzec umierający

(z Radmachera.)

Wiekiem już ku ziemi pochylony,
Klęczy starzec, pracą unużony
Przed okienkiem, w które promyk wpadł,
Jak zakonnik w cichej klęczy celi.
Lica smutku moc ponura bieli,
A na twarzy srogich bolów ślad.
Dusza modły wznawia skołatana
Do niebiosów wszechwładnego Pana,
Życie gorzkiem się wydaje snem;
Pierś oddycha tchnieniem bolów srogich,
Usta sine w kurczach drgną złowrogich,
Febra pali starca tchnieniem swem.
Wtem się ocknął... patrzy dookoła...
Pot śmiertelny leje mu się z czoła,
Wszystko bliski już zwiastuje zgon;
Zbladły lica i zadrgały wargi,
I do Boga głos ulata skargi
Gdyby modłów konających ton:
„Otóż już i ja u życia celu,
Które drwiło ze mnie tak jak z wielu,
Trując jadem samotnego dni.
Gorycz tylko piłem ja z kielicha —
Życie, które innym się uśmiecha,
Męty tylko zostawiło mi!
Bóg przebaczy w łasce niezgłębionej,
Jeśli serce, smutkiem przyciśnione,
Z bolów swoich mu się zwierza dziś;
Wszakże jemu serca stan mój znany,
Niezgłębione serca tego rany
I cierpieniem zaprawiona myśl!

Wpośród ludzi żyjąc opuszczony,
Przyjaciela ręką nie pieszczony,
Szklannem okiem patrzę w zimny grób!
Panie! niech modlitwa ma cię wzruszy!
Tchnienie niech ostatnie mojej duszy
Anioł-Zbawca złoży u Twych stóp!"
A wtem słońce świta i rumieni
Izbę skromną blaskiem swych promieni,
A na oknie starzec oparł dłoń,
Modląc się że skruchą i z wzruszeniem,
A słoneczko grzeje swym promieniem,
I ogrzewa — bladą trupa skroń. —

Sambor, dnia 8. Kwietnia 1884.

G. Kohn.

Pieśń ludowa

(z Maksymiliana Lambecka.)

Z czarnej powodzi zamierzchłych czasów
Baśń się znów rodzi walk i zapasów,
Dźwięk jak ulewa rośnie i wraz
W sercu rozbrzmiewa: porywa nas.
Stuletnie pleśnie tych otaczają,
O których pieśnie nam powiadają,
I tak też z lirą; poszła już w kąt,
Choć radość szczérą niosła w dnie świąt.
I z piersi młodej dźwięki przebrzmiały,
Co o nagrody się obiegały;
Lecz choć rozwiany dźwięk echem burz,
Nie pod kurhany uciec mu już.
Przysłuchał słowu naród się cały
I odżył znowu pamiątką chwały,
I głosem cudu odmłodnił krew,
Ustami ludu brzmiał stary śpiew.
Rolnik go nucił przy orce mile,
Mieszczan nim skrócił samotne chwile;
Czy to w alkierzu, czy w izbie też,
Melodją świeżą pieśń brzmiała wszerz.
W gruzach komnaty, gdzie się zrodziła,
Natomiast z chaty pieśń dźwięczy miła,
I dźwięczy w koło melodją tą,
Brzmiąc z serc wesoło otuchą swą.

Sambor, dnia 27. Lutego 1884.

G. Kohn.

Tułacz,

Melodramat w II. aktach.

(Grany po raz pierwszy na scenie narodowej Emiljana Baczyńskiego.)

Osoby:

Marcin Oskierko, szlachcic zaściankowy, p. Gębicki.
Klara, jego żona . . . . p. Baczyńska.
Zosia, ich córka . . . . p. Matauszowa.
Stach Kalinka } dzieci na wychowaniu Marcina p. Karpiński.
Małgorzata, jego siostra } dzieci na wychowaniu Marcina p. Olszańska.
Janusz Zadora . . . . p. Werner.
Bartek, ojciec Janka . . . . p. Lubicz.
Stary podróżny . . . . p. Olszański.
Franciszka, stara służąca Oskierków. p. Grafczyńska.

(Rzecz dzieje się w Krakowskiem.)

Akt I.

Scena I.

(Chata wiejska z dwoma drzwiami i jednem oknem, umeblowanie porządne, bogate, w kącie ołtarzyk Matki Boskiej.)

Klara *(wbiega zaperzona, pierwsze słowa za sceną wołając:)*
Hej, Zosiu! Zosiu! Zosiu! — To skaranie Boże!
Tej roztrzepanej dziewce nic już nie pomoże!
Jak gdzie pójdzie, przepadnie — nikt się nie dowoła,
Ani się jej doczeka. — Szukam dookoła!
Może — myślałam — poszła w ogród do sapania...
(Patrzy oknem.)
Szukałam w stajni, gdzież tam. — Ledwie od [śniadania
Powstała, fyrk — fyrk tędy! *(Przedrzeźnia.)* „Matusiu [kochana!
„Pozwólcie dzisiaj z Magdzią pójść mi na nieszpory!“...
I już się ubierała, stroiła od rana,
I jak poszła z południa, tak aż do tej pory
Ani słychu, ni dychu.... Czas by dawno było
I nieszpory wysłuchać, odśpiewać różaniec,
Z procesją obejść kościół, i nawet wieś całą
Dwa razy bym obeszła. — Chyba gdzie na taniec
Zaciągnęły dziewczęta, bo cóż by się stało....
(Po namyśle.) Ach! na śmierć zapomniałam! ani mi [się śniło,
Że to dzisiaj sobota, a jutro, w niedzielę —
Akurateńko jutro, Marysi wesele! —
Żebym była przeczuła! Byłabym nie dała
Zosi pójść na nieszpory — byłabym kazała
Zostać w domu i kwita! Jeszcze czego trzeba!
Zachciało się wesela! Patrzajcie! *(Z przestrachem.)* [O nieba!

Niechybnie z Stachem hula! Dolaż moja, dola!
Cóż ja z tą dziewką pocznę?! *(Przedrzeźnia.)* „Matu-
[nia pozwolą
(Franciszka wchodzi niespostrzeżenie.)
Na nieszpory!“ Przemyślna — by się wyrwać z domu...
Ale któż się spodziewał? Czy śniło się komu?
Do kościoła — no dobrze — pomodlić się Bogu,
A ona fyrk... skłamała... fyrk, i inną drogą —
Niechno mi przyjdzie! Powiem: Co to myślisz sobie,
Tylko hulać, figlować... Już ja wiem, co zrobię!
A za piec! — do kądzieli! do krosień! na grzędy! —
A do krów! a do garczka! nie tędy owędy,
To śpiewać, to tańcować z wieczora do ranka;
Zachciało się hulanki — zechce się kochanka,
A pracować się nie chce, lecz strzelać oczami. —

Scena II.

Klara, Franciszka.

(W połowie pierwszej sceny wchodzi Franciszka z miską i kładzie ją na stole, słuchając obiera kartofle.)

Franciszka. Przesadza pani matka.
Klara. Dalibóg nie kłamię!
Ledwie słonko powstanie, zbudzi się jutrzenka,
Wymuska się, wystroi i fyrk do okienka,
I przez dzień cały kołkiem przy okienku stoi. —
Franciszka. Kiedyż bo cudnie śliczna, jak się no
[wystroi.
Klara. Niechby się ta nareszcie czesała, stroiła
I dzień i nockę całą, by się nie mizdrzyła
Do Stacha sowizrzała, do brata Małgosi.
Franciszka. Gotów myśleć doprawdy, że mu dacie Zosię.
Ej nie dla niego ona — nie dla takich przecie!
Warta i królewicza. — To jak pańskie dziecię
Delikatna, pieszczona, zwyczajnie szlachcianka
Nieprzywykła do pracy. —
(Marcin wchodzi i słucha.)
Klara. Zofia Oskierczanka
Jest panią całą gębą, stu morgów dziedziczka
I w szkatule nie prożno...

Franciszka. Dziesięć krów, cieliczka...
Klara. Trzy pary wołów, konie...
Franciszka. Stado owiec, świnie...
Klara. Płótna, futer, korali, odzieży trzy skrzynie,
A wszystko to na wiano dla mojej córusi!
Franciszka. I o taką perełkę, taki smyk się kusi!
Klara. Zje sto djabłów, a ślicznej Zosi nie dostanie! —

Scena III.

Klara, Franciszka, Marcin.

Marcin (*wchodzi niepostrzeżony i słucha.*)
Doprawdy? nie dostanie?
Klara. O tak, wiedz mospanie!
Póki słońca na niebie, póki stanie świata,
Kalinka z Oskierkami nigdy się nie zbrata.
Marcin. A gdyby, dajmy na to, dziewka go kochała?
Klara. Co wasan głupstwa pleciesz?!
Marcin. Ależ gdyby chciała?....
Klara (*przerywa.*) O niech ją Święty Marcin, Święta [Klara broni! —
Franciszka. Ostrobramska Panienka od nieszczęścia [chroni.
(*Bierze dzbanek i wychodzi.*)
Kartofelki obrane, śliczne jak jagody —
Idę rozniecić ogień, taj trza przynieść wody. (*Odchodzi.*)
Klara. Nasze dziecię Zosieczka dla innego żona.
Marcin. Za tego Zosia pójdzie, komu przeznaczona.
Klara. Ino się waść nie mięszaj! — już w tem moja [głowa!
Marcin. No prawda! bardzo mądra, strasznie, ani [słowa.
Ale i moja może na co się tu przyda,
Bez mego zezwolenia Zosia się nie wyda
I tego będzie żoną, którego pokocha,
Czy Macieja, czy Bartka, czy Szczepka, czy Rocha.
To mnie jest wszystko jedno — byleby Polaka,
Byleby krew szlachecka, religia jednaka,
Żeby kochał ojczyznę, pracy się nie wstydził,
Ze świętego kościoła broń Boże! nie szydził,

Umiał użyć lemiesza, dzielnie władał bronią,
Dobrze hulał i śpiewał, i jeździł na koniu...
Klara *(przerywa.)* A przy okazyi z teściem palnął
[gorzałeczki!...
Marcin *(nie słucha.)* Takiego ja chcę chłopca dla mojej
[dzieweczki!
Klara *(przerywa.)* Włóczył się po jarmarkach, wese-
[lach i chrzcinach,
Zaglądał gdzie się dymi po cudzych kominach,
Tydzień pił na praźniku, a dwa na weselu...
Marcin *(gniewnie.)* Ej! nie pleć głupstwa, babo!
Klara. O! takich jest wielu
Całkiem do twego gustu, podobnych do ciebie.
Ale dokąd ja żyję, jako Bóg na niebie,
W ten sposób nie dam Zosi rozporządzać losem!
Jeżeli jaki hołysz, — *(pokazuje)* z takim pójdzie
[nosem!
Mój zięć ma być bogaty; rozumiesz — i kwita!
Marcin. Ale czy ja się zgodzę?
Klara. Kto się waści pyta?
Marcin *(łagodnie.)* Pewno Janka Zadorę łagodzisz
[dla Zosi?
Klara. A co? nie ładny chłopiec? Prawda, aż się prosi!
Marcin. Ładny? Prawda, przystojny!
Klara. A jaki bogaty!
(Cicho po namyśle.)
Niechybi wódkę przyśle tu do naszej chaty.
Marcin *(z niedowierzaniem.)* Ej gdzież tam!
Klara. Nie wierzycie? A ja wam
[powiadam, —
Że przyśle, już ja nigdy na próżno nie gadam. —
(Po namyśle.) Ot powiem całą prawdę. Podsłuchałam
[wczora,
Jak rozmawiali Bartek i Janek Zadora,
I prosił Janek Bartka, żeby poszedł w swaty —
Rozumiesz? I wskazał tu na naszą chatę,
Tu na nasze obejście. —
Marcin. Dobrzeście widzieli?
Klara. Akurateńko tutaj. —
Marcin. Czyście nie słyszeli
Nic więcej ino tyle? Może nie do Zosi?
Klara *(niecierpliwie.)* Na nasze wrota wskazał.

Marcin. Może do Małgosi?
Klara. Tere fere! gdzież znowu? On taki bogaty,
Chciałby wziąć sobie żonę biedną Małgorzatę?
Marcin. Kto tam wie parobczaka? Mnie się jakoś
[widzi,
Że się do niej zaleca...
Klara. Że się waść nie wstydzi,
Pleść mi tu takie bzdurstwa! Co Janek Zadora!
Cha! cha! cha! Z Małgorzatą! cha! cha! cha!
Marcin. Już pora
Mnie, by iść do roboty. Trza zajrzyć do pługa,
Bo bezemnie Bóg wie tam, jak zaorze sługa!
(Zagląda do garnka.)
A jejmość niech doglądnie tymczasem wieczerzy.
(Wychodzi, wraca od drzwi.)
Ot ponoś Zosia idzie... niech waść zbyt nie gderze.
[*Wychodzi.*)
Klara *(biegnie do okna.)*
Już przyszła, chwała Bogu! toż złaję!
[Hej Zosiu!
(Wraca.) Ej nie, to Małgorzata! Małgosiu! Małgosiu!
[*Wybiega.*]

Scena IV.

Małgosia. *(Niesie w koszyku kwiaty, ogląda się w koło.)*
Czy mi się przesłyszało, że mię tu ktoś woła...
Słyszałam moje imię — to pewnie gosposia
Rozgniewana, że późno przyszłyśmy z kościoła.
(Słucha, oknami dochodzi krzyk Klary.)
Oto już łaje córkę.... biedna, biedna Zosia!
(Słucha.) Mówi, żeśmy chodziły pewno na wesele,
A my zbierały kwiatki na wieniec Maryi...,
(Słucha.) Zamiast się Bogu modlić, tańczyły z chło-
[pcami...
O Mateczko cudowna! Ach święci anieli!
Myślałam że ze złości biedactwo wybije —
Jej! aż biedna Zosieńka zalewa się łzami!

Scena V.

(Zosia wchodzi i płacze. Małgosia naprzeciw do drzwi idzie ze współczuciem, bierze ją za rękę i wprowadza naprzód sceny.)

Czegóż płaczesz, kochanie! Moja Zosiu droga!
Zosia. Matusia mię łajała. (*Szlocha.*)
Małgosia. Jakaż ona sroga!
Ej nie płacz! Jeszcze z żalu pęknie ci serduszko,
Ot lepiej na pociechę zaśpiewaj co, duszko!

Zosia (*śpiewa Chopina mazurek: „Czyjaż wina?“ słowa Ujejskiego:*)

Tak mnie matka ciągle łaje,
Napomnienia ostre daje. } (*powtórzyć.*)
Ach! osądźcież sami, proszę,
Czy ja słusznie kary znoszę?
I powiedźcie czyja wina?
Moja, czy też matulina?

Gdy z bojaźni ścieżkę zmylę,
Powrót spóźnię choć na chwilę,
To dla tego, że z daleka
Matka woła już i czeka:
A serduszko bije w łonie,
Myśl w wspomnieniu lubem tonie. } (*powtórzyć.*)

Wtem z dumania matka zbudzi,
Sądząc, że mnie praca nudzi.
Ach! powiedźcie, czyja wina?
Moja, czy też matulina? } (*powtórzyć.*)
Gdy na niego skinę główką,
Lub mu z cicha szepnę słówko,
(Bo wzrok matki mnie pilnuje,
Głośno mówić zakazuje) —
Ach! czyż moja w tem jest wina,
Czy nie zawsze matulina?! } (*powtórzyć.*)

Lub gdy skrycie oczkiem rzucę,
Gdy przechodząc się odwrócę,

Wszak dla tego, że wzbronione
Mi jest spojrzeć w tamtą stronę. —
Czemuż takie oko żywe }
Matka dała, serce tkliwe? } (*powtórzyć.*)

Wdziękiem lica ozdobiła,
Do kochania mnie stworzyła:
Więc mnie lubią... czyjaż wina? }
Oczywiście matulina. } (*powtórzyć.*)

Małgosia (*plecie tymczasem wianki i zawiesza na obrazie.*)
Zosia (*kończy śpiewać:*) „Więc powiedźcie, czyja wina?“
Małgosia (*odpowiada.*) Oczywiście matulina. —
Ot nie warto się martwić — wszystko w mocy
[Bożej,
A najświętsza Panienka pewno dopomoże;
Boś ty Mateczkę Bożą kochała i czciła,
Co sobota wiankami Jej obraz zdobiła.
Więc ona zrzuci z serca troskę, co ugniata,
Otoczy ciebie szczęściem... Tyś taka bogata!
Mnie to by raczej płakać, mnie sierocie biednej.
Ty masz ojca i matkę, wygody, dostatki,
A ja z łaski przyjęta tu do waszej chatki,
I ciężko mi na świecie żyć tak samej jednej
Bez ojcowskiej opieki, serca matczynego.
Ciebie mam tylko jedną, a Stacha drugiego.
Zosia. Ja cię kocham jak siostrę.
Małgosia. A Stacha?
Zosia. Jak brata.
Małgosia. Gdybyś siostrą mi była, więcej nie po-
[trzeba
Nic do mojego szczęścia!... Gdyby dały nieba!
(*Wznosi ręce w górę.*)
Zosia. Kiedyż Stach mnie nie kocha...
Małgosia. On nie ma śmiałości,
Wyjawić tobie tylko, Zosiu! swej miłości.
Bo do ciebie królewicz w swaty zjedzie młody.
(*Pompatycznie.*) Na ognistym, sypiącym z nozdrza skry
[rumaku,
W srebrnej zbroi zakuty, w złocistym szyszaku.
Przypnie konia przy bramie, sam wejdzie do chaty

I rzecze: (*kłaniając się.*) Ojcze! matko! przyjechałem
[w swaty!
Upadnie tobie do nóg, pierścień z palca zdejmie,
Zosia spuści oczęta (*naśladuje*) . . . . i pierścionek
[przyjmie.
Zaproszą dużo gości na weselne gody,
I w złoconej kolasie przyjedzie pan młody,
Przywiezie złota, pereł, korali bez miary
Dla swojej narzeczonej, na weselne dary. —
Z samego mirtu wianek twe skronie otoczy,
Jedwabne, śliczne wstążki wpleciesz w te (*pokazuje*)
[warkocze,
Aksamitny gorsecik, spodniczka pąsowa,
Na koreczkach trzewiczki! a biały fartuszek,
Wyszyty jelitkami! Jej! Jak cukiereczek
Moja śliczna Zosieńka! (*Kłania się nisko.*) Ty moja
[królowa!
(*Porywa ją w pół i nucąc krakowiaka, tańczy z nią po scenie.*)

Zosia (*wyrywa się.*) Puśćno, puść mnie psotnico, dość
[już tego tańca.
I tej cudownej bajki... wianuszki gotowe?
Zapal koło obrazu dwie świece woskowe,
Bo nie będzie już czasu odprawić różańca. —

Małgosia. Wszak mówiłyśmy dzisiaj różańce w ko-
[ściele.
Na cóż dwa razy mówić?

Zosia. Może ci za wiele?
To niechże i tak będzie — a więc uklękajmy,
I do Bogarodzicy tę pieśń zaśpiewajmy,
Cośmy się nauczyły ostatniej niedzieli
Na odpuście w Krakowie, we farnym kościele.
(*Klękają i śpiewają „Zdrowaś Marya“ Kükena, po pierwszej strofie Małgosia wstaje i Zosia sama śpiewa.*)

Scena VI.

Ciż, Stach.

Zosia. Najświętsza Matko! błagam Cię!
Chciej się nad dzieckiem ulitować!

(*Wchodzi Stach, Małgosia go spostrzega, on daje znak milczenia.*)

Stasieczka miłość mi zachować,
Ażeby wiecznie kochał mnie. —
Od kiedym Stasieczka poznała,
Stał mi się milszym niźli brat.
Ach! jam go bardzo pokochała —
Bez niego za nic cały świat!

(*W ostatni wiersz wtorują Małgosia i Stach, Zosia spostrzega go, zrywa się, i stoi pomięszana, spuściwszy oczy, Małgosia się śmieje.*) —

Stach (*z zapałem za obie ręce przyciągając do siebie Zosię:*)
Zosiu moja jedyna! Moja ukochana!
Ja cię kocham od dawna każdem serca biciem.
Tyś mi wszystkiem na ziemi, ty jesteś mi życiem!
Zosia. Dzięki ci, Matko Boska! prośba wysłuchana!
Stach. Nie tylko twoją prośbę, lecz i modły moje
Bóg wysłuchał przez ciebie, boś ty go błagała,
Tyś święta jak aniołek, jak lilijka biała!
Pozwól spojrzeć w te gwiazdki, te oczęta twoje!
Niechaj w nich czytam słodkie miłości wyznanie.
Zosia. Więc ty mnie kochasz dawno?
Stach. Ja, moje kochanie!
Nie śmiałem ci wyjawić, musiałem ukrywać
Na dnie serca, bo bałem się ciebie rozgniewać,
I nie wiedziałem, czy ty kochasz, jak ja kochał.
Myślałem: możeś serce oddała innemu —
Ale teraz upadnę do nóg ojcu twemu
I matkę będę prosił, będę błagał, szlochał
I muszą mi dać ciebie, bo jak Bóg na niebie
Chyba by lepiej umrzeć, niźli żyć bez ciebie.

(*Śpiew Zosi i Stacha, duet, melodja z Gumberta „wdzięczni śpiewacy.“*)

Stach.

Powtórz mi, Zosiu! jeszcze raz,
Czyli mi rączkę swoją dasz?
I czyli bardzo kochasz ty?

O Zosiu! powiedz, powiedz mi!
Bo moja dusza, serce me
Świętym miłości ogniem wre! —

Duo.

Razem.

Zosia. Dla czego jeszcze pytasz się,
Czyli ja kocham, Stachu, cię? —

Stach. A więc ja jeszcze pytam cię,
Czyli ty Zosiu! kochasz mnie!

Razem. Nie tak jest jasny słońca blask,
Jak mej miłości ranny brzask.

Stach.

Choć się sprzysięży przeciw nam
I całe piekło, zwalczę sam,
Świat cały złożę u twych stóp,
Rycerzem swoim ty mię zrób,
Koroną ci otoczę skroń,
Berło królewskie włożę w dłoń.

Duo.

Dla czego jeszcze pytasz się etc.

Stach.

Nad chóry piewców, ptaszząt dźwięk,
Milszy mi głosu twego wdzięk;
Nad niezabudki, fiołki te,
Piękniejsze stokroć oczy twe,
Piękniejsze niźli róży kwiat,
Niżeli cały Boży świat! —

Duo.

Razem.

Zosia. A więc nie pytaj więcej się,
Czyli ja kocham, Stachu, cię?

Stach. A więc nie pytam więcej się,
Czyli ty kochasz, Zosiu, mnie?

Duo. Nie tak jest jasny słońca blask,
Jak mej miłości ranny brzask.
(*Powtórzyć ostatnie dwa wiersze.*)

KONIEC I. AKTU.

Akt II.

Scena I.

(Ta sama chata Marcina, stół na środku i krzesła, z boku przy maselniczce Franciszka.)

Franciszka (*do siebie.*)
Powiadają: fortuna w kółeczko sie toczy
I raz będziesz pod kołem, a potem na kole.
Sama się przekonałam na me własne oczy,
Jak to ludzie przechodzą złe i dobre dole. —
Ot naprzykład — pan Marcin z rodu ubogiego
Sierota się wychował tu na pańskim dworze,
I choć to prawda, było z rodu szlacheckiego,
I ojciec był leśniczym w niedalekim borze,
Ale zawsze biedactwo, zwyczajem sierota!
Potem się rozmiłował w ubogiej szlachciance
I wziął ją w spodniczynie jednej i katance —
A teraz jak sie stroi! aż błyszczy od złota!
Zrazu im nie szło dobrze, i dzieci nie mieli,
Aż raz — było to w zimie — pamiętam w nie-
[dzieli —
Był to rok Tysiąc siedmset dziewięćdzie-
[siąt czwarty —
Przez trzy dnie śnieg miotało wietrzysko uparte,
Że psa by niewygonił, aż jakoś z wieczora
Wchodzi do izby biedna kobiecina chora,
Jedną ręką prowadzi małą chłopaczynę
A do łona przytula zziębniętą dziecinę. —
Choć w łachmanach, znać było że z lepszego rodu,
Ale nie długo poszła, czy z zimna, czy z głodu,
Czy z wielkiego zmęczenia do lepszej krainy.
Niechaj z Bogiem spoczywa! A biedne dzieciny

Zostały się tu u nas; bo niebyło komu
Opiekować się dziećmi, i od tego czasu
I szczęście i fortuna przybyły do domu,
Że na całą wieś nie ma domu bogatszego.
Bóg nadgrodził, że biedne przyjęli dzieciny,
Pokochali jak ojciec, jak rodzona matka....
Odtąd prawdziwem szczęściem zajaśniała chatka:
Bo za rok od dnia tego sprawialiśmy chrzciny,
Więc rośnie piękna Zosia jak różane kwiecie —
(*Po pauzie.*) Jednak nie ma wdzięczności podobnoś [na świecie!
Choć niby pracowite, potulne, te dzieci,
Ale kto tu i owdzie, jak ja oczkiem rzuci,
Dostrzeże, że Stach skrycie Zosię bałamuci
I tak ją zbałamucił, że doszło do tego,
Że Zosia się zgodziła zostać żoną jego;
Lecz pani Marcinowa powiedziała z góry,
(Choć się pan Marcin skłaniał), że mu nie da córy,
A pani Marcinowa — (*ogląda się*) — mówiąc między [nami,
Co zechce, tak być musi — dalibóg! nie kłamię!

Scena II.

(*Wchodzi Bartek.*)

Bartek. Niech będzie pochwalony!
Franciszka. Na wiek wieków! proszę! (*Podsuwa krzesło.*)
Bartek. Cóż wy sama, Franciszko? a gdzież jest [gosposia:
Pani Klara? Zosieńka i piękna Małgosia?
Franciszka. Są w domu, zaraz przyjdą, (*n. s.*) nie [dam i trzech groszy,
Że to w swaty.... Pan Bartek ma interes może?
Bartek (*wyciąga flaszkę i stawia na stole.*)
Tak —
Franciszka. Widzę gorzałeczka... Niech Bóg do- [pomoże!
Bartek. A jużbym rad ożenić jedynego syna,
Bo ja już chory, stary — mnie nie długie życie!
Chciałbym pobłogosławić jeszcze swoje dziecię!

Scena III.

Franciszka *siada do kądzieli,* **Bartek.**

Marcin (*wchodzi.*) Jak się macie, mój kmotrze!

Bartek (*witając.*) A witam Marcina!
Co słychać? Jak tam zdrowie? A żona, dziewuchy?
(*Siadają.*)

Marcin. Dziękuję, wszystko dobrze jest na chwałę [Bożą,
Pszeniczka się zieleni, owieczki się mnożą.

Bartek. Przysparzacie na wiano dla swojej có-[ruchy.

Marcin. Chwalić Boga, pracuję, a Bóg pracę moją
Pomnaża, błogosławi, wspiera łaską swoją.
Na starość mam dach własny i chleba dostatek,
Będzie też co zostawić dla żony i dziatek —

Bartek (*zdziwiony.*) Dla dziatek? Wszakże macie [tylko jedną Zosię?

Marcin. Zośka, moja rodzona, a Stach i Małgosia
Przez Boga mi są dane, a więc także moje,
Zarówno je więc kocham i obdzielę troje. —

Bartek. Bóg wam da za to niebo! (*Ściska go.*)
Mój kmotrze kochanku!
Króciutko, węzłowato powiem z czem przychodzę:
Chciałbym już coś pomyśleć i o moim Janku,
Bo ja już jedną nogą na grobowej drodze. (*Kaszle.*)
Chcę go żenić: ja zawsze marzyłem o Zosi,
Jeszcze kiedym ją do chrztu maciupeńką nosił.
Lecz cóż? kiedy chłopczysko przylgnął do Małgosi
I was jak opiekuna o jej rękę prosił.

Marcin. Z serca, całego serca dziewczynę wam [daję!
Kocham waszego Janka, — choć w szkołach u-[czony —,
Pracowity, pobożny, skarbem on dla żony —
Niech im Bóg błogosławi jako ja to czynię.
Chodźmy zapytać Klary, czy na to przystaje,
A potem wasze chęci oznajmim dziewczynie.

Bartek. Oto właśnie nadchodzi.
(*Małgosia i Zosia zbliżają się.*)

Marcin. Chodźmy wpierw do żony.
(Wychodzą, jakoteż i Franciszka, która mimiką udaje zaciekawioną.)

Scena IV.

Zosia, Małgosia, za nimi podróżny starzec, porządnie ubrany.

Podróżny. Pokój temu domowi! Chrystus po-
[chwalony!
Zosia. Na wieki wieków, dziadusiu! spocznijcie
[troszeczkę!
(Podaje krzesło.)
Małgosia, *(podaje przekąskę.)*
Może co przekąsicie?
Podróżny. Bóg zapłać, dziateczki! —
(Bierze chleb i je.)
Małgosia *(z boku do Zosi.)*
Wiesz Zosiu, Stasiek chodził do twojej
[matusi
I powiedział, że z tobą ożenić się musi!
Zosia. Jezu Chryste! Toż się gdzieś gniewała, sro-
[żyła!
Małgosia. I jak jeszcze! o mało że go nie obiła!
Zosia. Biedny Stasiek! Matusi wlazł w głowę
[Zadora,
Za niego mię chce wydać, ale już nie pora!
Bo Janek przeznaczony przez Boga dla ciebie,
A ja chyba się złączę ze Stasieczkiem w niebie!
(Płacze.)
Małgosia. Nie płacz Zosiu! miej ufność w rodzi-
[cielce Boga,
Ona wszystko przemieni. Chociaż matuś sroga,
Ale ojciec jest dobry i kocha cię szczerze,
Będziesz żoną Stasieczka, ja w to silnie wierzę.
(Do podróżnego.) Zkądże to Bóg prowadzi? Z dale-
[kiej krainy?
Bo wyście nie tutejsi.
Podróżny. Nie tutejszy, dziecię! —
Ot błąkam się oddawna już po całym świecie,
I dawno już wyszedłem z naszej Ukrainy...

(*Zamyśla się i płacze.*)
Lecz pocóż mi zasmucać tę dziatwę wesołą?
Po co chmurą przysłaniać te majowe słonka,
Krzykiem puszczyka głuszyć luby śpiew skowronka?
Ot lepiej wam zaśpiewam, usiądźcie tu w koło!
Niech mi się zdaje, że mnie okrążyły dziatki
Jak niegdyś, niegdyś w progach mojej własnej
[chatki,
Kiedym młody, szczęśliwy, przy ognisku jasnem
Z żoną i dziećmi siedział w swoim domku własnym.
Żona święta, a dzieci dwa aniołki białe...
O moje biedne dziatki! Gdzieście się podziały!
Małgosia. Biedny, biedny dziadunio... Najświętszy
[Bóg w niebie
Każdym się opiekuje, o wszystkich pamięta:
On ci zesłał krzyż wielki, lecz pocieszy ciebie,
We wszystkiem niechaj będzie wola Jego święta!
Kto go kocha, pociechy winien się spodziewać,
Nie rozpaczać! Podobno miałeś nam coś śpiewać?
(*Podróżny śpiewa.*) (Melodja Moniuszki „Czaty“ — przy czwartej zwrotce wchodzą Klara, Marcin, Bartek. Klara z Marcinem na migi się sprzeczają, ona bardzo zaperzona odwraca się od wszystkich, siadają cichutko w głębi i słuchają śpiewu, w miarę postępowania tegoż Marcin uderza się po czole, robi znaki niecierpliwości, wyjmuje z zanadrza w pugilaresie zaszyty papier, chce wstawać i zbliżać się do podróżnego, jak gdyby się czegoś domyślał.)

BALLADA.

Jako dziki zwierz w kniei
Ryczy, wyje, szaleje
I z wściekłością na łup swój wypada,
W szpony swoje porywa,
Kłami pierś jej przeszywa,
Biada biednej ofierze, o biada! —
    Tak przed laty dzicz sroga
    Wbrew praw ludzi i Boga,
    Jak zwierz dziki na nas się rzuciła.
    Wioski, miasta, pałace,

Zamki, chaty wieśniacze
Rabowała, niszczyła, paliła! —
Ojców, mężów i braci,
Ileż to niewiast traci!
Co sieroctwa! Ach! ileż niedoli!
Ileż dziatwy ubogiej,
Krwi męczeńskiej a drogiej,
Że przypomnieć, to serce aż boli!
Nasza Matka zabita,
Pierś potrójnie przeszyta,
A jej dzieci z ojczyzny wyparte.
Moskwicynie ty srogi!
Ha! ukarzą cię Bogi!
Pomszczą święte ołtarze odarte!

I ja miałem swą chatkę,
Wioskę, zamek, dostatki,
Miałem żonę w postaci anioła,
I jak różane kwiecie
Dwoje maluczkich dzieci —
Porzuciłem — Ojczyzna mię woła!
Żono i dziatwo droga!
Nad wami oko Boga!
Sam idę, gdzie Ojczyzna mnie wzywa.
Bywaj, żono, mi zdrowa,
A najświętsza Królowa
Niech was strzeże! — Bądź, dziatwo, szczęśliwa!

Ogarnęła mię trwoga!
Wzywam pomocy Boga,
Raz ostatni ich może widziałem!
Lecz nad żonę i dziatki
Milsza wolność jest Matki!
Krzyż na drogę! Na koń! odjechałem!
Tak minęły, ach! wieki!
Ja od swoich daleki
W Syberyjskich podziemiach się grzebię;
Zmiękł dziki zwierz zajadły,
Kajdany z rąk opadły,
Ja z powrotem już spieszę do siebie!

Lecz, o Boże mój drogi!
Rozpacz! Ból serca srogi!
Nikt nie wyszedł mię witać u proga.

O! przeczucie ja miałem,
Kiedy dom ten żegnałem,
Ciebie, żono! i dziatwo ma droga! —
Do sypialni przychodzę,
Ach! od zmysłów odchodzę:
Rozburzone jest łoże mej żony
I łóżeczko chłopczyny
I kolebka dziewczyny:
Więc wypadam z komnaty szalony! —
Już wiem wszystko; na Boga!
Tutaj była dzicz sroga,
Widać, w nocy ten dom plądrowali,
Wioskę, folwark spalili,
A ich może zabili,
Lub wprost z łoża na Sybir zagnali.
Żegnam każdy tu kątek,
Zbieram resztki pamiątek,
Zamek daję w opiekę sąsiada,
Łzami roszę jej łoże —
W drogę! Pomocy Boże!
A w tem sługa zdyszany przypada:
„Napadli nas, spalili,
W zamku wszystko zniszczyli,
Pani z dziatwą umknęła z pożogi,
A ja wszystko rzuciłem,
Swoją panią śledziłem,
Lecz niestety! powracam sam z drogi.
Na wschód, zachód chodziłem,
Lodem, śniegiem brodziłem,
Każda w świecie znajoma mi droga:
W pałacach, chatach, borach
I w rozbójniczych norach
Pójdę szukać ich jeszcze do Boga!“
(*Stoi do publiczności zwrócony i zakrywa twarz rękami, nie uważając co się w około niego dzieje.*)

Scena V.

Ciż sami, Marcin.

Marcin. Ciężka, oj! bardzo ciężka bracie! twoja dola,
Ale musisz ją znosić, bo to Boża wola.

Co człek cierpi, to wszystko jest zrządzenie Boże:
On zasmuci, lecz potem i pocieszyć może.
Ufaj! ufaj, człowieku, a dobry Bóg w niebie
Wynadgrodzi ci krzywdy i pocieszy ciebie;
Odnajdziesz swoje dziatki, przytulisz do łona.
Podróżny (*gwałtownie.*) Ty wiesz może co o nich?
[Gdzie jest moja żona?
Marcin (*spokojnie.*) Tam gdzie ją Bóg przeznaczył;
[przeciw woli nieba
Narzekać, ani szemrać, bracie! nie potrzeba:
Jeśli jej tu nie znajdziesz — u kresu twa droga,
Tyś stary — niezadługo spotkasz ją u Boga!
Podróżny (*płacze, z zakrytą twarzą na nic nie uważa.*)

Scena VI.

Ciż i Janek.

Janek (*wbiega przerażony.*)
Na miłość Boga! mówcie, co się tutaj dzieje?
Stach płacze i rozpacza, jeszcze oszaleje.
Przyszedł się ze mną żegnać, że zaraz odchodzi
I wstępuje do wojska — o cóż że mu chodzi?
Coście jemu zrobili? Cóż się stało przecie?
Marcin (*patrzy na żonę.*)
Ja nic o niczem nie wiem.
Janek. Co? wy nic nie wiecie?
A więc nic się nie stało? Nie żegnał się z wami:
Ot idzie jak śmierć blady. — Pytajcie go sami.

Scena VII.

Ciż sami i Stach.

Stach (*padając do nóg Marcinowi.*)
Pobłogosław mi ojcze, porzucić was muszę,
Jutro równo ze słonkiem już w drogę wyruszę,
Za wasze dobre serce niech wam Bóg nadgrodzi.
Zosia. A więc nas chcesz porzucać?

Marcin. O cóż więc ci chodzi?
Stach. Nie pytajcie mnie o nic, ja odjechać muszę.
O! gdybym mógł pozostać! Oddałbym swą duszę,
Lecz zostać dla męczarni, smutku i boleści
I widzieć, jak z mą lubą — przebóg! ktoś się pieści,
A do tego przyjaciel, mój przyjaciel własny!
Puśćcie mnie w świat szeroki! dom ten mi za [ciasny!
Bądźcie zdrowi, ojcowie! siostrzyczko! bądź zdrowa!
(*Całuje Małgosię.*)
Bóg z tobą! (*Robi krzyż nad Zosią.*) Oszaleję! Ach! [pęka mi głowa!
(*Zatacza się i pada w objęcia podróżnego.*)
Podróżny (*przerażony cuci się.*)
Co to jest? Gdzie ja jestem? to głos mojej żony!
Czegóż chce ten młodzieniec? (*Wpatruje się weń.*)
Te rysy! Na Boga!
Jej oczy, ona sama, moja Marja droga!
Marcin. Mój bracie! ten młodzieniec, to twój syn [rodzony.
Podróżny. Mój syn? Boże! Szaleję! Czy Stach [imię twoje?
Stach i Małgorzata (*rzucają się w objęcia jego.*)
Ojcze nasz! ojcze drogi!
Podróżny. Lube dziatki moje!
(*Ściskają się.*)
Dzięki ci, Boże drogi! wróciłeś mi życie!
O! jak jestem szczęśliwy wpośród moich dzieci!
A matka wasza gdzie jest? czyż i ją obaczę?
Małgosia. Nasza matka już w niebie!
Podróżny (*zanosi się od płaczu.*)
Małgosia (*łzy mu obcierając.*) Niech ojciec nie [płacze.
Marcin. A oto jest dokument, przed śmiercią spi- [sany.
Podróżny. Więc ona tu umarła?
Marcin. Tu, bracie kochany! (*Oddaje mu papier.*)
Przybyła z dziateczkami i niedługo żyła,
Zatrzymałem więc dzieci; jak moje kochałem,
Nauczyłem pracować, do szkół posełałem,
A dokument ten, gwoli nieboszczki twej żony
Przed ślubem twoich dzieci ma być otworzony.

Otwórz więc i odczytaj, właśnie teraz pora,
Bo o rękę Małgosi prosi (*pokazuje*) — Jan Zadora.
Stach (*przerywa.*) Janku! więc ty nie chciałeś ode-
[brać mi Zosi?
Nie chciałeś się z nią żenić?
Janek. Ja kocham Małgosię.
Marcin. Ja ze swej strony chętnie dziewczynę mu
[daję,
Nie wiem tylko, czy panna Małgosia przystaje?
(*Pod brodę ją głaszcząc, figlarnie:*)
Cóż, Małgosiu? (*Do podróżnego.*) Wy bracie, czy się
[też zgadzacie?
Małgosia. Jeśli rodzice każą....
Podróżny. Wy go dobrze znacie —
Wyście ją wychowali, losem rozrządzajcie...
Marcin. A więc zgoda, tymczasem dokument
[czytajcie.
Podróżny (*wyjmuje fotografią i papier, czyta.*)
Ostatnią wolę swoję dziatkom przekazuję,
Bo niedługie me życie, blisko Boga czuję.
Na ziemi Ukraińskiej, nad Dniepru brzegami
Stoi zamek, w około wioską otoczony —
Po lewej płynie rzeka, a tu z prawej strony
Na brzegu krzyż tam stoi pod trzema sosnami;
W tym lesie przed tyranem kryłam się noc całą,
Bez ciepłego odzienia, z drżącą dziatwą małą;
Pod krzyża kamiennemi wśród sosen stopniami,
Skryłam w pośpiechu wziętą skrzynkę z klejnotami.
To spuścizna mych dzieci: jeśli Bóg pozwoli,
Wynajdźcie te klejnoty — osłodzą wam dolę —
Wieś i zamek zbrodniarze pewno zagrabili,
Uciekając widziałam, jak folwark palili!...
Więcej pisać nie mogę, ustępują siły,
Nad memi sierotami czuwaj, Boże miły!
Powróć dziateczkom ojca a mnie przyjm do siebie....
Podróżny (*wznosi ręce w górę.*)
Wieczne odpoczywanie duszy zacnej w niebie,
A światłość wiekuista niech jej zawsze świeci!...
Straciłem drogą żonę, odnachodzę dzieci.
O jaki Pan Bóg łaskaw! Utraciłem dwoje,
A teraz odzyskuję z woli Bożej troje. (*Ściska Janka.*)

Marcin. I więcej ich mieć będziesz! gdy na to
[przystaniesz,
To jeszcze naszą Zosię w dodatku dostaniesz.
Podróżny. Jak to?
Marcin. Oto rzecz prosta: dzieci się ko-
[chają. *(Wskazuje Stachowi Zosię.)*
Stach *(z uniesieniem.)* Więc rodzice kochani Zosię
[mi oddają?
Marcin. A jakże? *(Do żony.)* No cóż, Klaro?
Oddamy mu Zosię?
Klara. Ha! kiedy ją tak kocha i tak o nią prosi.....
Stach. Więc mi, matko! dajecie Zosieńkę z ochotą?
Klara. No daję, naturalnie.
Marcin *(n. s.)* Podoba się złoto.
(Stach i Zosia ściskają ojca i swoich rodziców.)
Podróżny. Boże! jakiż ty dobry! za tych cierpień
[wiela
Zgotowałeś mi taki piękny dzień wesela!
Bartek. Gdy o weselu mowa, to się poradzimy,
Kiedy nasze dziateczki ślubem połączymy.
Podróżny. O czas jeszcze! A teraz pójdźcie, lube
[dzieci!
Mnie już nic niepotrzeba, wcale nic na świecie,
Więc wszystko wam oddaję, dla was tom uzbierał,
(Rozpina trzos z dukatami i stawia na stole.)
Co mi wierny mój sługa z mojej wsi przysełał.
Teraz mi nic nie trzeba, kiedy jestem z wami.
Zosia. Ojciec z nami zamieszka.
Małgosia *(żywo.)* Nie! nie! z nami!
[z nami! *(ściskają się.)*
Podróżny. Z wami, z wami, dziateczki, dokąd
[starczy siły!
O gdybyż mi się lata me młode wróciły!
Żebym się mógł z wnukami małymi pobawić,
Jak me dzieci, tak wnuki jeszcze błogosławić!
(Robi znak krzyża w powietrzu, wszyscy powstają two-rząc grupę. Na prawo Oskierkowie, przed nimi Zosia i Stach, na lewo Bartek i podróżny, przed nimi Małgosia z Jankiem, przyklękają bokiem do widzów — przy końcu ukazuje się biała postać Maryi, błogosławi i znika.)

Śpiewają chórem.

ŚPIEW,

(Melodja duetu Mendelssohna „Volkslied.“)

O Boże! wspieraj dziatwę tę,
Błogosław je!
W opiekę swoją świętą bierz,
Kroki ich strzeż!
Niech cnoty ich wonieje kwiat
Dla chwały Twej!
W nagrodę cnót tych, cały świat
W raj zmienić chciej! —
A Ty! co w niebie mieszkasz tam,
Wyzywam Cię!
Z niebiańskich sfer przybądź ku nam,
Błogosław je!
Niech się ich życia złota nić
Snuje wśród róż,
W ciemnościach życia Ty im świeć
Jak Anioł — stróż!
A dla mnie uproś cudów cud,
By mocny Bóg
Z niewoli wywiódł wierny lud,
Co gnębi wróg!
By zmartwychwstania przyszedł czas,
Swobody brzask....
Wskrześ naszą Matkę! Ojcze nasz!
Wróć dawny blask!

(Oświetlenie bengalskie.)

KONIEC.

Podhajce, 16. Stycznia 1885 r.

Felicja z T..... Ł.....

OBRAZY
z wystawy czerniowieckiej,

(z planami ilustrowanemi, wykonanemi według pomysłu i rysunku architekta, profesora Karola Romstorfera z Czerniowiec.)

I.

Wystawa krajowa!... Kogo nie znęciłoby to słowo do zwiedzenia tego wszystkiego, co nam uzmysłowić ma ruch pracy krajowej; bo w oczach naszych wystawa nie jest jedynie bawidełkiem, ani też targowiskiem wielkiem narodów, na którem każdy zbywa lichoty tego rodzaju, na jakie w domu dotąd nie znachodził kupców. Wystawa krajowa, jak my ją rozumiemy, ma wyższe cele; ona ma nam uwydatnić postęp w kierunku pracy, ona ma pobudzić do szlachetnego współdziałania najzdolniejszych robotników kraju, ona ma laurem zasługi uwieńczyć zasłużonych, ona wreszcie ma się przyczynić do wykrycia nieznanych dotąd krajowi sił roboczych. Tak być powinno, choć nie zawsze się tak dzieje!

Te też względy spowodowały mnie do zwiedzenia wystawy krajowej bukowińskiej, w Czerniowcach się odbywającej, choć chwilowa niedyspozycja stała mi na przeszkodzie. Po rozmaitych intermezzach, przerywających mi nie bardzo miłym sposobem jazdę, a których opis opuszczam jako niekoniecznie należny do rzeczy, stałem wreszcie na dniu 17. Września b. r.

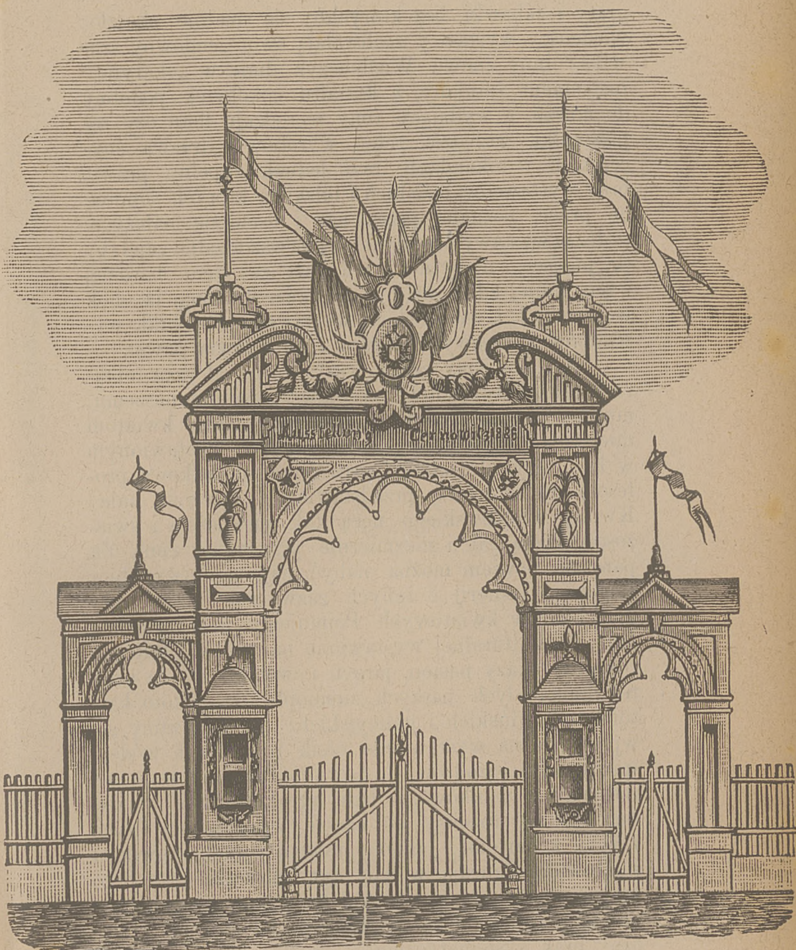
u celu: t. zn. w domu, zamieszkałym przez redakcję „Gazety Polskiej,“ której kierownik mnie przyjął z niekłamaną, staropolską gościnnością, choć dwóch gości miał już u siebie, a nowych się jeszcze spodziewał.

Zaraz w dzień następny, t. j. 18. Września zaś puściłem się w drogę, aby zwidzieć wszystkie te skarby ukryte a może i drobiazgi bez wartości, upiększone wyrazem przedmiotów wystawowych, a które każda taka wystawa wydobywa na wierzch.

Przedewszystkiem nie musimy wyrazu „Wystawa krajowa w Czerniowcach“ brać zanadto ściśle. Tak jak Bukowina a zwłaszcza Czerniowce przedstawiają niesłychaną mięszaninę języków, „Małą Austrję,“ jak ją jedni nazywają, „Tohu Wabohu narodów,“ jak ją nazywają drudzy, tak też i wystawa jest bardzo mięszana a wystawcy rekrutują się nietylko z samej Bukowiny.

Wystawa krajowa czerniowiecka (patrz rysunek profesora Karola Romstorfera, przedstawiający główne wejście) mieści się malowniczo w ogrodzie ludowym i ma wiele ponęt dla niejednego, ale także i ujemne swoje strony. Entuzjaści dobrego jadła i napoju mogą się tu do sytu delektować rozmaitemi napojami i przysmaczkami, bibosze i piwosze nasi nie odejdą spragnieni od wspólnego stołu. Tu Czyński z Jarosławia zachwala swoje pierniki hygieniczne, tam znowu Litwiński i Zimmer w osobnych pawilonach sprzedają ciasteczka i słodycze rozmaite; opawskie towarzystwo akcyjne szynkuje piwem, pełnomocnicy barona Mustatzy sprzedają kolosalne śliwy sadagórskie za bezcen (3 za centa) a chałatowiec Elkune Mordmann ma cały kram owocowy, składający się z gruszek, jabłek i śliwek najrozmaitszego rodzaju na sprzedaż. Brak chyba, aby wystawa i pod tym względem zaspokoiła potrzeby wszystkich, aby zagorzali fanatycy jej, tak jak Chusydzi w bożnicy w dzień sądny, nocować mogli na placu wystawy; ale czy na tem koniec? Zdaje nam się, że nie, a zdaje nam się nawet, że właściwa wystawa przemysłowa mniej licznie została obesłana, niżli wystawa jadeł i napojów. Widzimy na wystawie niektóre

WYSTAWA CZERNIOWIECKA.



Główny portal (według rysunku profesora Karola Romstorfera.)

Na prawej stronie kasa biletowa i rozsprzedaż katalogów wystawowych.

graty i zabawki, bez którychby się snadnie obeszło; wiedeńscy wystawcy zachwalają swój „cudowny szuwiks,“ inny znowu Wiedeńczyk dmie w „okarynę,“ instrument gliniany, z kształtu cokolwiek podobny do muszli, a wydający tony w rodzaju fletu czy też piszczałki, wszędzie pełno wyrobów z drzewa snycerskich i tokarskich, razi jednak zupełny prawie brak wystawców bialskich i bilskich, których sumienne prace, poznane przez nas i ocenione należycie podczas wystawy przemyskiej, pierwszorzędne zajęłyby tu miejsce, niebytność ich razi zaś tem bardziej i tem mniej zdaje się być usprawiedliwioną, iż obok węgierskich i wiedeńskich wystawców nie brak wystawców z Opawy, Cieszyna i Wrocławia nawet.

Nie mieliśmy czasu, wszystko to od razu obejrzeć, zaledwie częściowo wydoławszy zadaniu naszemu; musimy jednak zasłużone pochwały oddać kwiatom miejskiego ogrodnika Piotrowskiego, wystawionym w hali agrykulturalnej (patrz rycinę dodatkową profesora Romstorfera, przedstawiającą rzeczoną halę.) Kwiaty Piotrowskiego nęcą tak pięknością i świeżością swoją, jak i niezmiernie przystępną ceną. Za parę złr. bowiem można nabyć najpiękniejszy zbiór Begonij, Gesnerij i innych zazwyczaj bardzo drogich okazów kwiatowych. Pojmujemy, że w tej samej hali agrykulturalnej wystawiono na widok publiczny rozmaite okazy nasion, jarzyn i owoców, że nie brak też domorosłych naszych ziemiopłodów, jakoto kartofel bukowińskich i galicyjskich; nie zgadzamy się wprawdzie na wystawienie obok rozmaitych wódek, spiritusów i rozolisów, ale usprawiedliwiamy wystawę rzeczonych trunków w hali agrykulturalnej bodaj tem, że się rozolisy po części wyrabia ze zboża, z żyta, z kartofel; jakiem prawem jednak szuwiks i smarowidło figurują w hali agrykulturalnej, — tego niepojmujemy już wcale. Ani buty, ani czernidło nie należą przecież do ziemiopłodów. Tu razi już widoczny brak systematyczności; według naszego zdania bowiem najwłaściwsze miejsce dla czernideł i smarowideł byłoby nie w hali agrykulturalnej, lecz w dziale industrji domowej.

WYSTAWA CZERNIOWIECKA



Hala agrykulturalna (według rysunku profesora Karola Romstorfera.)

Z lewej strony portalu, w środkowym pawilonie wystawa towarzystwa rolniczego, z prawej strony biuro komisji wystawowej.

Sawicki, stolarz z Kosowa, zajmuje wspólnie z kilku wiedeńskimi i galicyjskimi wystawcami osobny pawilon i wystawił w nim garnitur elegancki, składający się z dwóch szaf i łóżek, każda para po 180 złr.; lecz wystawca sam wątpi o rozsprzedaży tych kosztownych sprzętów na miejscu, a ja pozwalam sobie także, wątpić o tem; minęły bowiem czasy, w których dobrze płacono za dobry towar, a każdy chciałby dzisiaj mieć wszystko za półdarmo, choć jak to mówią „tanie mięso psy jedzą."*) W sąsiedztwie Sawickiego Wiedeńczyk przemyślny nęci publiczność do nabycia „okariny," instrumentu muzycznego, dla naszych melomanów zupełnie niepraktycznego, ten sam instrument muzyczny figuruje także osobno w maszynowej hali, a w dalszem sąsiedztwie Sawickiego szkoła wyrobów tokarskich z Krasnego sprzedaje swoje wyroby: pjanki, cygarniczki, wykłuwacze, guziki do koszul i t. p. drobiazgi.

W dziale industrji domowej zwraca na siebie uwagę publiczną lalka kolosalna — zdaje się — z wosku wykonana, a nosząca na sobie cały ubiór kobiecy huculski: jest to rzecz, we wszystkich szczegółach niepospolicie wykończona, a domorosły artysta lub artystka, któremu pracę tę zawdzięczamy, zasłużył sobie na najwyższe pochwały. Nierównie mniej w tym samym oddziale zadowoliły nas rozmaite kubki i

---

*) Powie może ten lub ów, że cena wymienionych tu mebli była za drogą a tem samem nieprzystępną dla szerszej publiczności. Ale kto tak twierdzi, ten się chyba nie zna na wartości pracy. Dobra praca nigdy nie jest drogą, gdyż najwyższa nawet płaca nie wróci robotnikowi i w dziesiątej części kapitału, włożonego w jego dzieło. Sawicki stolarz, odrywając się od prac zawodu, przez dwa lata pilnie i wytrwale pracował nad swemi przedmiotami wystawowemi. Jeśli dzienny zarobek zdolnego rzemieślnika ocenimy na 5 złr., co jest minimalną nawet kwotą, wtedy nie powiemy z pewnością, że garnitur Sawickiego był za drogi, tem mniej jeśli zważymy, że organ Polaków bukowińskich, „Gazeta Polska" z uznaniem się wyraziła o pracach samouka Sawickiego, które nie znalazły zwolenników, podczas gdy przedmioty wystawowe niejakiego Ondraczka z Wiednia, dla tego chyba że z Wiednia pochodziły, mimo wątpliwej wartości i szalenie drogiej ceny, od razu znalazły nabywcę.
(Uwaga autora.)

pudełka — zdaje się — domowej roboty huculskiej, a które są do nabycia. Jest to praca tak pojedyncza, tak nieszczególna, że i taniość jej nie nęci do kupna; bo komu zechce się dziś nabyć na wystawie grat jakiś, który za te same pieniądze dostać można na wszystkich jarmarkach i targach galicyjskich? Chętniej nabylibyśmy już a z nami niejeden gość rozmaite kraszanki i pisanki huculskie, odróżniające się oryginalnym rysunkiem, gdyby nie ta okoliczność — że towar w drodze rozbić się może. Nigdzie zastępowanie prawdziwego materjału sztucznym nie byłoby tak pożądanem, jak tutaj; gdyby owe kraszanki wyrobione były z twardego drzewa albo z innej jakiejś materji, nie ulegającej zepsuciu, a dopiero potem obwleczone barwą, wybraną przez domorosłych naszych artystów — pokup byłby niesłychany, podczas gdy tak większa połowa tłucze się niemiłosiernie i idzie na śmietnik.

W 19. grupie kwiaty sztuczne p. Teofili Zielińskiej zasługują na wielkie pochwały, nie zastąpią jednak nigdy znawcy prawdziwemu ani barwą, ani też układem — kwiatów naturalnych, choć mnie może za to zdanie ganić będzie fanatyczny zwolennik pracy kobiecej, szanowny redaktor „Strażnicy,“ który się tuż pod bokiem moim w towarzystwie kilku pań przechadza, dla których w znanej swojej uczynności zakupuje rozmaite drobiazgi.

Godne oglądania są też chaty huculskie z całem wewnętrznem urządzeniem, stanowiące własność chłopa z Putylli (pow. Wyżnicki) i chłopa i chłopki z Gurahumory (pow. Suczawski.) Cóż, kiedy z tą ostatnią nawet rozmawiać się nie można, gdyż nie zna innego języka prócz rumuńskiego? Trzeba się natomiast zadowolić oglądaniem wyrobów huculskich, w chacie nagromadzonych, nie oczekując bliższego objaśnienia, jakoteż albumem, na stole rozłożonym i mieszczącym rozmaite ciekawe widoki bukowińskie.

Co chwila napływają i oddalają się goście, choć dzisiaj jeszcze nie jest właściwy festyn wystawowy; bo jutro dopiero jako w dzień świąteczny spodziewają się całego orszaku gości z Stanisławowa, Kołomyi i Lwowa.

Jeśli hucułka z Gurahumory tylko po rumuńsku umie, jeśli poczciwy Sawicki z Kosowa się użala, że zniewolony jest, tylko „baranim językiem“ porozumiewać się z ludźmi i nie słyszyć dźwięków ojczystej mowy, to natomiast niepospolicie uderza nas szczegół, że widzimy na tem targowisku narodowem i chłopa huculа, który z niezmierną biegłością i wprawą po niemiecku rozmawia z ludźmi!

Nie rozglądałem się jeszcze należycie wśród przedmiotów wystawowych, a tu trzeba już wystawę porzucić; bo nie tylko słowem bożem, ale i chlebem żyje człowiek, a głodny żołądek upomina się o swoje prawa. Rzucam tedy całe widowisko z zamiarem zwidzenia go powtórnie przy pierwszej lepszej, mogącej się nadarzyć zręczności, dzień następny zaś przeznaczyłem na zwiedzanie przedmiotów szkoły przemysłowej w Czerniowcach.

I znowuż z rozmaitych stron przybywają nowi goście do Czerniowiec; wszystkie hotele, wszystkie domy zajezdne przepełnione nimi, w domach prywatnych zaledwie miejsca znajdziesz dla nich. Przybyli już goście oczekiwani ze Lwowa, Stanisławowa i Kołomyi: 130-tu Lwowian, 110-ciu gości z Kołomyi i Kosowa wraz z trupą artystów dramatycznych i reżyserem tejże, 50-ciu Stanisławowian, przybyli także zastępcy redakcyj rozmaitych pism, jakoto: „Kurjera Lwowskiego,“ „Kurjera Stanisławowskiego,“ „Gazety Narodowej“ i innych. Szkoda, że nie ma między nimi owego niefortunnego mecenasa i redaktora pisma, który tak szeroko lubiał prawić o strojach i potrawach. Możeby artykułami swemi zazdrość budził w niejednym krawcu i traktjerniku i powodował skargi uzasadnione za fuszerkę zawodową. Goście z tak zwanego Podola galicyjskiego — po większej części szlachta małomiejska — przybyli osobno bez porozumienia się poprzedniego z komitetem lwowskim, i wynajęli nawet osobny dla siebie lokal, aby innym swoją odrębność i wyższość okazać, co im naturalnie bardzo za złe wzięto.

Tymczasem przyjęcie gości odbywa się według wszelkich warunków programu. Deputacja Czerniowieckich obywateli, na ich czele prezes czytelni

polskiej (Dr. Dylewski) i redaktor jedynego pisma polskiego, wychodzącego na Bukowinie, (Kołakowski) witają ich na dworcu kolejowym gorącemi przemowami. Wszystkie miejsca na dzisiejsze przedstawienie teatralne rozkupione o cztery dni naprzód. Redaktor „Gazety Polskiej“ wita gości swoich żartobliwie:

— Zabiliście doskonałością waszych przedstawień biedną scenę czerniowiecką, a teraz przyszliście tutaj, aby urągać upadłemu naszemu towarzystwu dramatycznemu. Ale mimoto witamy was w stolicy bukowińskiej. Ave Caesar! morituri te salutant!

II.

Ale rzućmy od niechcenia także wzrok na wystawę szkoły przemysłowej w Czerniowcach, stanowiącą integralną część wystawy krajowej czerniowieckiej. Na ulicy, zwanej „Nowy świat“ mieści się jednopiętrowy budynek, w którym w siedmiu mniejszych lub większych salach, rozrzuconych po piętrze i parterowem zabudowaniu, oglądać można rozmaite, po części dosyć ciekawe przedmioty wystawowe.

Przybyłem dnia 19. Września o ósmej godzinie z rana, a tu każą jeszcze czekać, bo wystawa otwarta dopiero o dziewiątej. Czekajmy tedy i kreślijmy wrażenia chwili! niebawem otworzą się przed nami wrota nauki i wiedzy, a wtedy będzie można tem swobodniej korzystać z nadarzającej się sposobności. Trudno zaiste opisywać każdy przedmiot z osobna wśród nawału przedmiotów tak dalece różnorodnych, a niekażdy przedmiot zasługuje też na wzmiankę. Ograniczymy się tedy na wyliczenie najznaczniejszych.

I tak w sali parterowej, zaopatrzonej numerem czwartym ściąga na siebie uwagę powszechną praca ręczna uczennicy z siódmej klasy, Anny Schmelzer. Jest to poduszka z czerwonego aksamitu, garnirowana wieńcem białych liści i kwiatów, składających się z samych łusek rybich. Białe jak mleko i lśniące paciorki szklane tworzą pręciki tych sztucznych kwiatów i

gałązeczki, co bardzo gustownie odbija od koloru samych kwiatów i liści, wpadających więcej w siwawy. Sali Gronich wystawiła ołtarz wielki przecudnej roboty, ozdobiony haftami, kwiatami i ornamentami rozmaitemi, na którym austrjacki hymn ludowy widnieje, wyszywany złotemi paciorkami, a tuż obok mieści się praca ręczna nauczycielki Krzyżanowskiej, przedstawiająca kompletne ubranie chłopki, wykonane z zadziwiającą prawdziwością i realizmem.

Zegar wskazuje $^1/_2$ na 11-stą. Oglądajmy zatem następną salę parterową, odznaczoną numerem 3-im. Natłok zwiększa się u samego wejścia do sali, a wszystkich oczy zwracają się mimowoli na pracę snycerską Karola Königa, nauczyciela muzyki: na biurku z olchowego drzewa o kunsztownej snycerskiej robocie widzimy w samym środku umieszczoną grupę dwóch alegorycznych smoków, trzymających herb, mieszczący w środku zegar, po obu bokach widnieją mitologiczne figury, przedstawiające kopje z obrazów Jana Benutza i Mackarta. W pośrodku zaś stoi całkiem wolno i odrębnie postać Wenery, z gruszkowego drzewa wyrzeźbionej i czarno politurowanej. Biurko — to zwyczajna robota stolarza czerniowieckiego; rzeźby zaś, stanowiące główną ozdobę biurka, pochodzą od Königa. Cena 200 złr. za ten okaz nie jest wygórowaną w stosunku do niezmiernie sztucznej i skomplikowanej pracy.

Grupa 30, nr. 20. mieści piłeczkowe roboty Karola Newtony, samouka, stolarza z Gurahumory. Prace te słusznie zwracają na siebie uwagę publiczności. Podstawka na kwiaty kosztuje 8 złr., klatka w stylu renesansowym 5 złr., klatka w stylu gotyckim 10 złr., kałamarz 2 złr. i t. d. Ceny bardzo przystępne. Sztuczniejszą o wiele jest praca dyletanta ks. Euzebiusza Konstantynowicza z Pożoryty (pow. Kimpolungski), przedstawiająca pulpit damski: nie brak tu figur alegorycznych, ozdób snycerskich, aniołków, kwiatów, kolorów gustownie dobranych; ale też i cena po temu 150 złr. Kto to kosztowne cacko nabędzie!

Całą ścianę i stół zajmuje artysta Rosenbusz ze Lwowa sztuczną pracą bądźto galwanoplastyczną,

bądźto wykonaną na gipsie, lub w sposób ulubiony, zwany „Papiermaché.“ Widzimy podstawki rozmaite na listy, jakoto: lewka i myszy obsiadujące jajo; widzimy w ramkach sztucznie wykonanych obrazy, przedstawiające sceny mitologiczne lub religijne, wzięte z ksiąg ewangelii, osobno zaś leży w całej okazałości swojej handżar serbski. Trzy okazy znalazły już nabywcę, reszta nie jest do nabycia.

Na stole w środku sali przed ścianą główną widnieją roboty piłeczkowe 20-letniego samouka Józefa Weisselbergera z Draczyńca, a mianowicie ściąga na siebie uwagę publiczną jedna, przedstawiająca koszyk z kwiatami sztucznemi. I koszyk i kwiaty — wszystko to jest robotą wyżwymienionego samouka. Przedmiot ten nie jest na sprzedaż przeznaczony. Wszystkie przedmioty, na rzeczonym stole wystawione, a więc: notesik sztuczny, wyrzeźbiony z drzewa, flakonik na kwiaty, kasetki większe i mniejsze, harfa sztucznie wyrzeźbiona z drzewa i mieszcząca w wnętrzu swojem ramkę z wizerunkiem Beethovena — mają tylko służyć ku upiększeniu wystawy i nie są przeznaczone na rozsprzedaż — młodziutki samouk bowiem, który je wystawił, zadowalnia się sukcesem artystycznym i nie pragnie innych korzyści.

Sala nr. 2. parter w kącie mieści znowu roboty kobiece, hafty, koronki, suknie i t. d. To wszystko widzieliśmy już niejednokrotnie i na innych wystawach. Wzmianki godne są tedy chyba tylko sztuczniejsze okazy, jakoto: nr. 84, praca Charikiry Andronik z Ostricy (pow. Czerniowiecki), przedstawiająca kostjum rumuński, wyszywany bogato jedwabiem i różnokolorowemi pstremi paciorkami, przedstawiającemi harfy, kwiaty, wieńce i t. d. Jest to wprawdzie cokolwiek pstre i krzyczące, ale też narodowe. Nr. 86, podstawka pod lampę Julii Talpalar z Żurynia (pow. Czerniowiecki), wykonana z samych ziarn owocowych i paciorków — zasługuje na wyszczególniającą wzmiankę z powodu wysokiego artyzmu, z którym uzdolniona wystawicielka wykonała ten wieniec różnokolorowy i ogromny, okalający poduszkę, czyli podstawkę. Okaz ten nie jest

na sprzedaż przeznaczony. Na wzmiankę zasługuje także nr. 45. Zofji Passakas z Witelówki, stolik ozdobowy z wykonanym w środku a pięknie odbijającym od szklanej zakrywki rysunkiem czy raczej haftem paciorkowym, przedstawiającym szachownicę.

Ale czas już, spieszyć nam na pierwsze piętro, inaczej bowiem nie dojdziemy końca i za dziesięć godzin.

W głównej sali wchodowej, mieszczącej się naprzeciwko schodów, widzimy okazy roboty typograficznej, numizmatycznej, malarskiej (malowidła na szkle) i t. d. Malowidła kościelne i świeckie, wykonane na wszystkich oknach frontonu zasługują na wszelkie uznanie, również toporki, kosy i inne sprzęty, służące dla domowego użytku włościan. Poco jednak w gablotce osobnej pod szkłem umieszczono cały zapas numizmatyczny, składający się z najpodrzędniejszych i najpodlejszych okazów — tego nie pojmujemy rzeczywiście. Numizmatyk prawdziwy nie skorzysta z takiego zbioru nic a nic, a wystawić rzecz bez wartości naukowej — to lepiej było nie wystawić wcale. Dobre są natomiast plany i wzory architektoniczne, jakoteż wzory, rysunki i rzeźby rozmaite.

Mimowoli ściąga na siebie uwagę garnitur cały, składający się ze stolika i sześciu krzeseł politurowanych niezmiernie sztucznej roboty. Wystawca nieznany nam, przedmiot nie przeznaczony na rozsprzedaż. Anglia wystawiła osobno cały szereg okazów, wchodzących w dziedzinę nożownictwa. Są to wyroby ze stali lub żelaza najrozmaitszej wielkości i jakości. Talerzyki Loli Podlewskiej z Czernelicy (pow. Horodenka) ściągają na siebie uwagę publiczności starannem wykonaniem. Okazy Podlewskiej, przedstawiające malowidła na porcelanie czy majolice, są do nabycia i kosztują po pięć złr. sztuka.

Następna (druga) sala na pierwszem piętrze jest już nieco mniejszą, mieści jednak również ciekawe okazy. Na głównej ścianie widnieją gobeliny staroświeckie, ogromne rozmiarami i kształtem (bo zakrywają całą ścianę od góry do dołu), a wyhaftowane na jedwabiu przez rodzinę księcia Jeremiego Mogiły jeszcze w r. 1592. Gobeliny te wystawiło towarzystwo

archeologiczne bukowińskie, a wartość ich oceniona na 300.000 złr. Wystawa ta odgrodzona barjerą, aby ją skuteczniej chronić od naruszenia ręką profana.

Pod szkłem, w gablotce, ustawionej wpośrodku sali widnieją okazy sztuki kościelnej, jakoto: krzyże, monstrancje, drzewca na chorągwie, wystawione przez trzy klasztory bukowińskie. W osobnej szafie zaś, mieszczącej się w kącie przy oknie naprzeciwko gobelinów, wystawiono modlitewniki i mszały, biblie liczące wieki, krzyże mosiężne, wyrzeźbione z wielką dokładnością i starannością.

Sala ta nosi na sobie widocznie cechę ponurą i grobową, pleśń wieków, a ksiądz obrządku wschodnio-greckiego, brodaty jak wszyscy księża, dzielący jego wyznanie, objaśnia gościom każdy szczegół tej wystawy.

Strząsnąwszy z siebie pleśń grobową ubiegłych wieków, wstępujmy do trzeciej sali, mieszczącej w pierwszym rzędzie prace uczennic a więc udatne rysunki, malowidła, wyroby szkolne. Pierwsza dochodzi, napływ gości zmniejsza się cokolwiek. To ułatwia nam rozglądanie się w pojedynczych działach wystawy. W szafce osobnej wystawione całe abecadło wielkie i małe celem skuteczniejszego uzmysłowienia nauki czytania i pisania dla dzieci. Pod szkłem na ścianie figurują okazy motyli i owadów, na przeciwnej stronie hafty, poduszki, koronki i t. p. przedmioty. W tej sali, która z pomiędzy wszystkich najmniej prawie zawiera przedmiotów, omówienia godnych — jeden tylko dom włościański z śpichlerzem, ogrodem, studnią, z całym inwentarzem ruchomym i nieruchomym, wykonany z miniaturową prawie dokładnością zasługuje z powodu wielkiej precyzji i staranności w wykonaniu na najprzychylniejszą ocenę. Wystawcą jest nauczyciel Jan Prokopowicz z Kocmania, a cena objektu, wynosząca 25 złr. powinna ułatwić rozsprzedaż pięknego tego przedmiotu wystawowego.

W sali czwartej, czyli ostatniej widnieją znowuż rozmaite przedmioty. Nie wszystkie z nich mają może wartość ściśle naukową, ale musimy się pod tym względem także cokolwiek liczyć z prądem

czasu. I tak uderzają na samym wstępie dwa albumy kolosalne ze znaczkami pocztowemi Hermana Mittelmanna, mieszczące w sobie razem 5000 okazów a mające wartość tysiąca reńskich. Jest to po zbiorze barona Mustatzy z Sadagóry największy zbiór tego rodzaju na Bukowinie, i tem się tylko różni od zbioru barona Mustatzy, że podczas gdy zbiór tegoż zawiera same tylko europejskie marki w ilości nie o wiele mniejszej od Mittelmanna a tem samem jako rzadszy większą ma wartość pieniężną, zbiór Mittelmanna natomiast mieści bez różnicy marki z wszystkich pięciu części kuli ziemskiej. Albumy Mittelmanna figurowały zresztą na wystawach filatelistycznych w Monachjum, Paryżu i Londynie, i zostały w Monachjum wyszczególnione honorową wzmianką.

Na wszystkich ścianach sali, przez nas omówionej, widnieją geometryczne rysunki uczniów szkoły przemysłowej, arabeski i wzory, na stołach zaś figurują wzory pracy maszynowej, domki, narzędzia rolnicze w zdrobniałych rozmiarach, oraz prace piśmienne, rysownicze i rachunkowe uczniów rozmaitych zakładów naukowych bukowińskich, wchodzące w dziedzinę geometrji, rysunków fachowych, buchalterji i t. d. Wystawa ta nosi mniej więcej ściśle szkolny i naukowy charakter.

Ale oto i druga uderza: czas opuścić wystawę i na chwilowy zdążyć odpoczynek.

III.

Dowiadujemy się właśnie w tej chwili z ust wiarygodnych, że sztuka Bałuckiego „Grube ryby,“ odegrana przez towarzystwo dramatyczne kołomyjskie na korzyść czerniowieckiej czytelni polskiej, tejże przyniosła czystego dochodu 360 złr., również i składka, na ten sam cel w kościele urządzona, nie pozostała bez skutku. Chwalimy kołomyjskich obywateli za ich ofiarność i gotowość niesienia moralnej i materjalnej pomocy braciom na Bukowinie; ale czy na tem koniec? Pamiętajmy, że jako bracia po

duchu i myśli, mamy także obowiązki wobec braci, rozprószonych po dalekich krańcach wspólnej ojczyzny; pamiętajmy, że tam na dalekich kresach zachodnich żyje naród pracowity a polski na wskróś, polski myślą, czuciem i sercem; że ten naród nie tak może materjalnego, jak raczej moralnego wzywa wsparcia naszego i nie odmawiajmy braciom naszym pożądanego wsparcia.

Kreśląc te słowa mam ja na myśli Polaków w Białej, którzy opuszczeni przez współziomków swoich i uważani za posterunek tracony, mimoto nie tracą nadziei, lecz w imieniu myśli polskiej walczą na zabój z wrogami tejże. Cześć obrońcom słowa polskiego, cześć prawym synom ojczyzny; ale nie cześć, której wyraz ostateczny jak prawie wszystko u nas, zbiega się w próżnych słowach i manifestacjach. Objawmy raczej tę cześć, którą żywimy dla współplemieńcow tem, że weźmiemy gorliwy udział w sprawach kolonii polskiej w Białej, że we wszystkich sprawach żywotnych narodu uważać ją będziemy za integralną część tegoż, za którą od wieków wieki uważaliśmy i uważamy wszystkie nasze miasta polskie, jakoto: Lwów, Kraków, Stanisławów, Kołomyję, niewyłączając nawet Czerniowiec, a nasi bracia, którzy mieszkają na dalekim Zachodzie a za dumni są, aby przyznać, że mieszkają na kresach Zachodu, na kresach Polszczyzny, która się nie kończy ni w Białej, ni też w Bilsku, ale sięga, dokąd dźwięki polskiej mowy brzmią, dokąd oko sięga, od morza do morza, — bracia nasi upośledzeni dotąd przez nas, przestaną narzekać, że współziomkowie ich opuścili, że ich wydali na łup tym, którzy pragną zadławić narododowość naszą! *)

*) Uwaga o stosunkach bialskich nie została rzuconą li tylko na chybił trafił, gdyż wiadomo w jak niepomyślnych dla życia i ducha polskiego warunkach żyje i działa mniejszość polska w obec przewagi niemieckiej w Białej i Bilsku: w Białej, gdzie polski ksiądz zmuszony, nawet dla polskich owieczek kazania miewać w niemieckim języku; w Bilsku gdzie nie dawno temu oddalono sumiennego i funkcjonującego już od dłuższego czasu

Myśl polską zaś wskrzesza się z zmarłych i budzi do życia wszystkiem co polskie, a zatem polskiem słowem, polską pracą, polską sztuką, i z tego też powodu nie mamy dosyć słów uznania i pochwały gorącej dla inicjatorów wystawy dzieł sztuki malarskiej w Czerniowcach, mającej niejako uzupełnić ogólną wystawę krajową, urządzoną w stolicy bukowińskiej. Panowie Popiel i Schiller, którzy walczyć musieli z wielkiemi trudnościami, zakim im się udało, myśl swoją doprowadzić do skutku, zasługują sobie bezsprzecznie na uznanie ogółu. Wystawa tych artystów, uzupełniona także kilku odlewami gipsowemi, a mieszcząca się na ulicy Siedmiogrodzkiej w dwupiętrowej kamienicy, robi w istocie bardzo dobre wrażenie. Liczy ona przeszło sto okazów, gustownie umieszczonych w wielkiej sali na drugiem piętrze. Jeśli z jednej strony ubolewać wypada, że narodowi nasi artyści tak nielicznie ją obesłali, (nie widzimy bowiem na niej obrazów ani Matejki, ani Walerego Eljasza, ani Styki, ani Benedyktowicza, ni też wielu innych pierwszorzędnych matadorów sztuki narodowej, których patrjotycznym obowiązkiem byłoby, wspierać dążenia narodowe Polaków bukowińskich, objawione w tej wystawie międzynarodowej) — to natomiast przyznać musimy, że to, co widzimy, bardzo korzystne robi wrażenie. I tak, aby czytelnikowi bodaj słabe dać wyobrażenie o całości, przytoczę ja tu choć niektóre z najwybitniejszych tych utworów sztuki, zastrzegając się przeciwko zarzutowi niedokładności, gdyż to, co niniejszem kreślę, są tylko ulotne szkice z wystawy, nie mogące mieć pretensji do wyczerpującej gruntowności.

I tak nr. 74., obrazek o średnich rozmiarach, oparty na egipskich motywach i przedstawiający

---

urzędnika w osobie likwidatora kasy oszczędności, a oddalono chyba dla tego, że pan Jaworski rodowity Samborzanin nie był Niemcem. Jesteśmy nieprzyjaciołmi wszelkich prześladowań, wszelkiego ucisku religijnego, narodowego i językowego, dlatego potępiamy otwarcie wszelkie podobne dążenia, bez względu, kto jest ich inicjatorem, czy Polak, czy Rusin, czy Niemiec.

(Uwaga autora.)

zalotnicę, wyszczerzającą filuternie białe ząbki z poza wachlarza, zdaje się nam prawie z wiernością uznania godną odźwierciedlać typ naszych młodych służebnic i kucharek, z których każda upatrzyła już sobie „kawalera,“ po większej części w osobie jakiegoś „kaprala“ lub „firera.“ Obraz ten, wykonany przez Popiela, oceniony na 250 złr. Obok widnieje znowu obraz o wielkich rozmiarach, przedstawiający lanszaft egipski z przedwiecznemi sfinksami i nie młodszą od nich wegetacją. Niebo o barwie prawie ciemnoniebieskiej zawisło nad krajobrazem, przesiąkniętym promieńmi słońca tropikowego. Obraz ten, noszący numer 111. nie figuruje w katalogu.

Obraz o wielkich rozmiarach, noszący numer 33. przedstawia nam rodziców. Nie są to jednak typy naszych rodziców polskich, gdyż twarze ich noszą wybitnie germański charakter. Ojciec stary obraduje z matką niemłodszą nad losem przyszłym dzieciny, uroczej blondynki, patrzącej nieświadomie prawie przed siebie i igrającej z ufnością dziecięcą, dopóki młodość się uśmiecha. U nóg starych siedzi psisko wierne, stróż domowej zagrody. Wierność, z którą najdrobniejszy nawet rys w tym obrazie uwydatniono, jest chyba niedoścignioną. Malarz niemiecki Arends naśladował w tym obrazie widocznie manjerę rembrandtowską, tak zwane cieniowanie na tle ciemnem. Cena tego obrazu 5000 złr. Nr. 23. Witolda Pruszkowskiego Krakowianina, obraz o kolosalnych rozmiarach, przedstawia nam ludową uroczystość. Na Matkę Boską zielną spieszą gromady ludu w odświętnych sukniach, z wieńcami i chorągwiami do kościoła, aby wieńce dać wyświęcić, jak stary obyczaj każe. Fizjognomie włościan oddane z fotograficzną niemal wiernością. A idą zwartym szeregiem aż się kurzy, aż horyzont przyćmili zbitą w jedną gęstą masę ilością ciał. Obraz ten ma wartość niepoślednią, ale też cena po temu niepoślednia, wynosi nie mniej i nie więcej jak 3000 złr. Nr. 19. Henryka Rauchingera „Wskrzeszenie córki Jaira“ przedstawia nam Zbawiciela w chwili, gdy się zbliża do martwej, ujmując ją za rękę. W koło rodzina zgromadzona, w rozmaity sposób objawia uczucia

swoje. Siostra martwej z niedowierzaniem i niecierpliwością patrzy na wskrzesiciela, brat zatopiony w bolesnej zadumie, matka klęczy u stóp Zbawcy, ojciec wpada szybko a rysy jego zdradzają walkę uczuć, tylko twarz Zbawcy nie zmienia się, acz blada. Cały ten obraz wykonany sposobem rembrandtowskim a mający rozmiary wielkie, oceniony na 2000 złr. Według katalogu został na wystawie wiedeńskiej złotym medalem wyszczególniony.

Wielce interesujący jest szereg obrazów Tadeusza Popiela, odnoszący się do życia wewnętrznego i publicznego żydów. I tak nr. 64 przedstawia nam udzielanie nauki tałmudycznej: stary żyd w charakterystycznym kostjumie narodowym, wtajemnicza syna czy wnuka w zasady tałmudu. Przed starym leżą stosy ksiąg podartych i zanieczyszczonych, foljały, na których leży pył wieków. On z namaszczeniem otwiera jedną z tych ksiąg, a uczeń posłuszny, rzuciwszy wzrok na nią, powtarza za swoim mentorem słowo w słowo naukę świąteczną. Typy tego obrazu, z życia uchwycone, uderzają podobieństwem życiowem i wiernością niemal fotograficzną, szczególnie rysy starego żyda. Cena obrazu 400 złr. Nr 62, „Żyd modlący się“ tegoż samego artysty zdradza te same realistyczne zalety, co i obraz poprzedni: stary żyd, owinięty koszulą śmiertelną, modli się. Cienie rembrandtowskie, gęste otaczają cały obraz, podczas gdy poprzedzający w półcieniu trzymany i wykonany. Cena „modlącego się żyda“ wynosi 200 złr. Nr. 73, przedstawiający „emigrację żydów,“ przekraczających granicę w kierunku ku Brodom, jest tylko szkicem niewykończonym i dla tego też nie przeznaczono tej pracy artystycznej na rozsprzedaż. Szczegół ten nie ujmuje jej jednak innych zalet: nie brak i tu dokładności i ścisłości w wykonaniu, chociaż obraz, przez nas wymieniony, już z natury rzeczy nie może mieć wszystkich tych zalet, jakie mają obrazy z wszystkiem wykończone.

Nr. 97, akwarela Maksymowicza, przedstawiająca kościół Św. Jana w Suczawie, ma chyba archeologiczną, nie artystyczną wartość, tem bardziej, gdyż nam z przerażającem podobieństwem odtwarza

bohomazy w kształcie obrazków świętych, szpecących szczególnie wschodnie cerkwie. Jeśli artyście tylko na tem zależało, zatrzymać charakter świątyni staroświeckiej, odmalowanej przezeń, to nie ganimy go za to; ale ganić musimy za tworzenie kilku żywych a obok kościoła przechadzających się postaci, które co do martwoty i sztywności kubek w kubek odpowiadają zaskrzepłym na ścianach kościoła bohomazom. Nierównie więcej natomiast zalet artystycznych i życiowych ma akwarela włoskiego malarza Folli'ego, zaopatrzona nrem. 90-m a przedstawiająca Kondottiere'go z czasów Visconti'ch i Sforzi'ch. Każdy muszkuł w twarzy tego człowieka zdaje się drgać życiem, życiem nieokiełznanem i dzikiem samowoli, nie krępującej się żadnemi ustawami prawnemi ni też względami dla słabszych.

„Idyla wieczorna“ Popiela (nr. 78.) obrazek z życia wzięty, dosyć jest udatny, twarze miłośnej pary wiernie są oddane, a z niemniejszą wiernością — wieprzak, spoczywający u nóg kochanków. Szczegół ten, z natury wzięty, razi cokolwiek naszych idealistów, którzy nie uwzględniają, że widownią „idyli wieczornej“ nie jest salon wielkiej pani, ale salon matki natury, której najpiękniejszy kobierzec tworzy trawnik, podczas gdy firmament, zaścielony gwiazdami zastępuje powałę o lśniących kandelabrach i żyrandolach. Mimoto radzimy uzdolnionemu artyście celem zabezpieczenia go na przyszłość od zarzutów krytyki, aby, jeśli nam znowu jakąś „idylę wieczorną“ wymaluje, kota przedstawił u nóg bogdanki, jeśli się rzecz odbywa w salonie, a capa, jeśli widownią „idyli wieczornej“ jest przyroda. To już z pewnością nikogo razić nie będzie.

Milutkie wrażenie robi Waldmüllera obrazek rodzajowy „Spoczynek wiejski“ (nr. 4.), przedstawiający grupę włościańską, składającą się z babki, matki i dwojga dzieci. Starsza siostrzyczka uklękła na trawniku i droczy się z młodszym braciszkiem, podczas gdy stojąca po prawej stronie babka, dobrodusznie uśmiechnięta na ulubieńca swego spogląda. Natomiast utwory starych mistrzów, po większej

części w kolorycie rembrandtowskim, niemal czarnym odtworzone, ponure robią wrażenie.

Do tego rodzaju obrazów należy Paola de Mathei „Diana i Akteon“ (nr. 7, mylnie w katalogu zatytułowany: „Diana i Aëton“), przedstawiający chwilę, gdy nierozważny i zakochany Akteon boginię łowów w otoczeniu nimf jej, bez odzieży w chwili leśnego spoczynku przydyba. Mielibyśmy temu obrazowi jeszcze do zarzucenia, że bogini głównie obrażona przez śmiałka, najmniejszem drgnięciem muszkułów nieruchomych — uczutej tak głęboko obelgi nie zdradza, twarz jej bowiem, acz poważna, mimoto spokojna w najwyższym stopniu. Oko nie skrzy się gniewem, twarz nie zdradza pomięszania, nic jednem słowem nie uwidocznia nam uczucia zemsty, które tak starannie ukryć — i bogini byłoby może za trudno, podczas gdy twarze nimf, stanowiących tylko podrzędne akcesorja obrazu, właśnie wszystkie te uczucia zdradzają, których daremnie szukamy w twarzy głównej bohaterki obrazu.

Przykre wrażenie nagim swoim realizmem wywołuje tego samego mistrza obraz, przedstawiający Apolina w chwili, gdy skórę zdziera z Marsyasza (nr. 13.) Obraz ten budzi mimowoli wspomnienia o torturach średniowiecznych, o katowaniu ofiar w podziemnych lochach, któremu to katowaniu nasz Paolo de Mathei, żyjący na początku 18. stulecia dobrze przypatrywać się musiał, aby znaleźć stosowny model na takiego Marsyasza. Tem milszą wydaje się twarz francuskiej owocarki, odźwierciedlona w obrazie, noszącym nr. 15. Cena obrazu tego przy tem bardzo tania, wynosi 125 złr. „Hucuł“ Obsta (nr. 37), obraz według natury wykonany, tak wiernie i z taką żywością jest przedstawiony, że zdaje się przemówić do widza. I tego obrazu cena w stosunku do rozmiarów jego nie jest drogą, wynosi bowiem 400 złr. Niejako uzupełnienie do „hucuła“ tworzy „hucułka“ tego samego artysty, na ścianie obok umieszczona. Cena również 400 złr.

Małego figla artystycznego pozwolił sobie niemiecki malarz Reichert, odźwierciedlając nam w małym, ale trafnie oddanym obrazku jako „anarchistę“

z przykrzywionym na bakier kapeluszem na głowie — brytana, trzymającego w pysku fajkę, depcącego nogami manifest rządowy przeciwko anarchistom i opierającego się o stół, na którym widnieją flaszka i kieliszek z wódką. Cena tego obrazka, nie uwidocznionego w pierwszym katalogu, wynosi 120 złr. Nie brak też na wystawie rozmaitych portretów (jakoto: królowej serbskiej), krajobrazów, obrazów rodzajowych Schillera, Gauermanna i innych, ale szczupłe ramy naszego wydawnictwa nie pozwalają nam na dokładne omawianie wszystkich przedmiotów wystawowych.

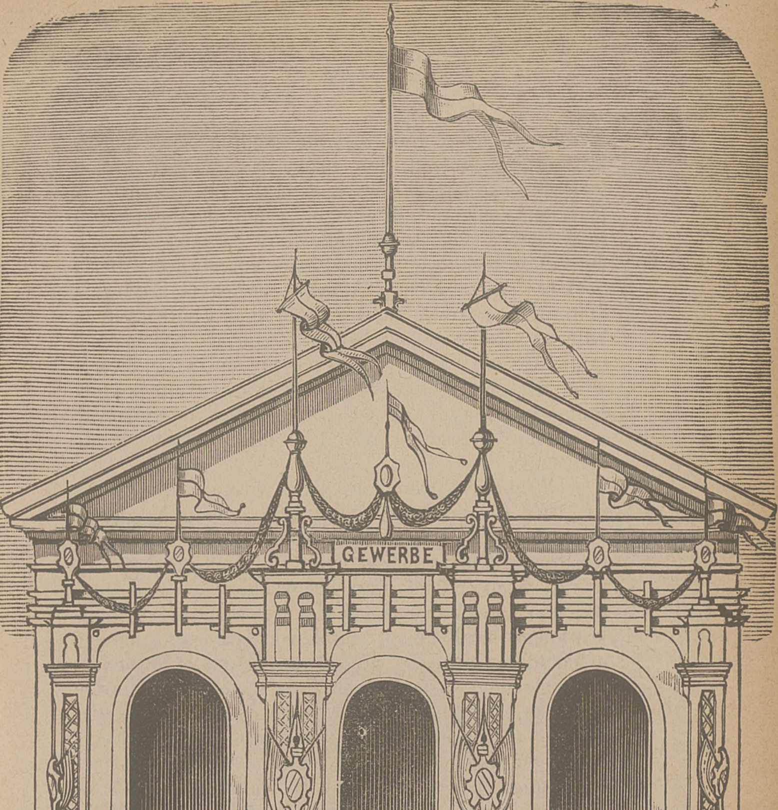
IV.

Wstąpmy w salę, tak zwaną „Schützenhaus", czyli strzelnica (patrz rysunek odnośny profesora Romstorfera), przeznaczoną dla rozmaitych gałęzi przemysłu i industrji.

Zaraz na wstępie w pierwszym pokoju widnieją fotografje znane nam Dutkiewicza z Kołomyi. Obok na osobnym stole umieścili pp. Kruliz, Wandt i Mozer z Wiednia cały zbiór wyrobów ślusarskich, rzeźbiarskich, złotniczych i t. d.

W drugim pokoju pani Adamek z Wiednia usiłuje rywalizować z naszym Ihnatowiczem: wystawiła bowiem cały zbiór perfum i mydełek pachnących w kształcie różnorodnych owoców, jarzyn i kiełbasek. Trudno oprzeć się pokusie, gdyż wszystko to tak tanie i nęcące. Kupuję i ja więc jeden z tych sztucznych owoców. Obok pani Adamek umieszczone sztuczne kwiaty pani Teodorowiczowej ze Lwowa usiłują rywalizować z kwiatami Zielińskiej. W innej znowu sali wystawia Szczepan Peters z Czerniowiec pędzle, koszyki, wyroby szczotkarskie, drukarz Unczowski, również z Czerniowiec, produkuje się z dosyć udatnemi próbami typograficznemi, Serb w stroju narodowym sprzedaje rozmaite wyroby specjalnie serbskiej industrji, jakoto: kubki posrebrzane po 1 złr. sztuka, czapki tureckie i t. d., a nie dochodziłbym do końca, gdybym chciał wyliczyć wszystkie

WYSTAWA CZERNIOWIECKA.



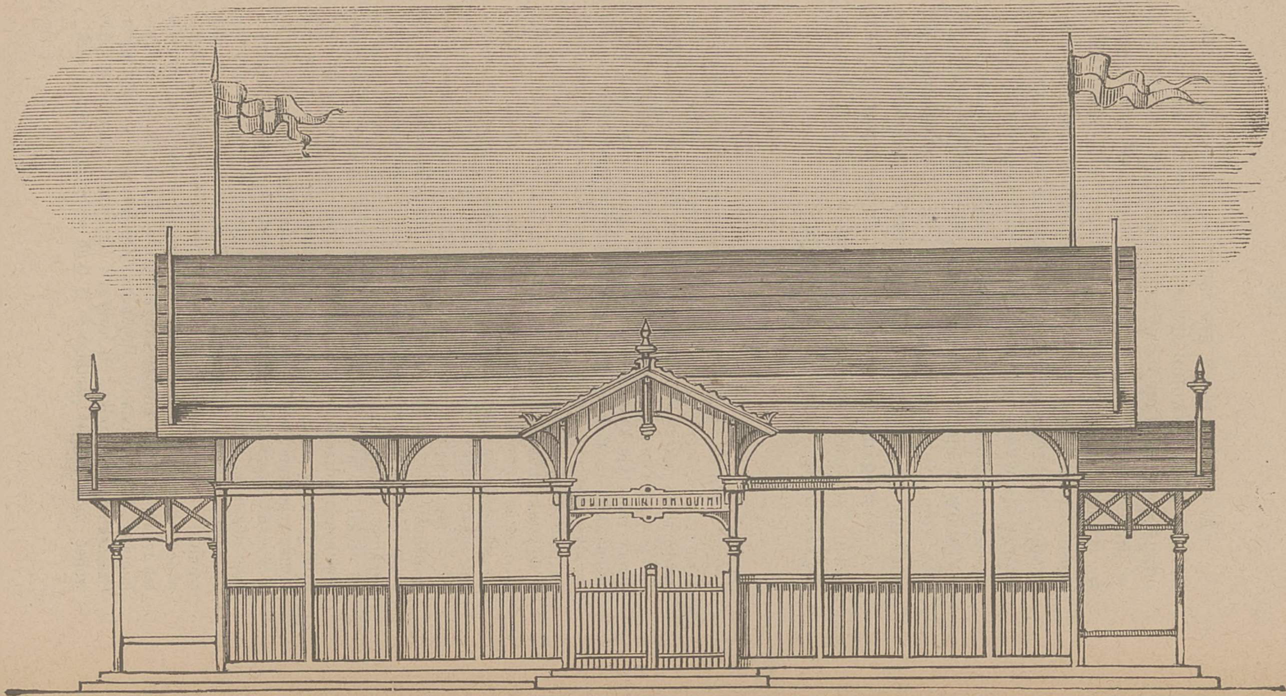
SCHÜTZENHAUS, czyli **STRZELNICA,** na frontonie zaopatrzona napisem: „GEWERBE."
Według rysunku profesora Karola Romstorfera.

wyroby domowe, porozwieszane wzdłuż ścian, porozkładane na stołach, lub też z poza szkieł szaf i toaletek rozmaitych wabiące oko przechodnia. A przecież — zdaje mi się — jeden dział industrji tutaj słabo tylko reprezentowany. Papier bowiem wystawiła tylko jedna, mało nam znana firma Berla Secklera we Lwowie. A gdzie pozostała papiernia czerlańska, gdzie fabryki papieru braci Fijałkowskich, Klimka, Robinsohna i Seruga z Bilska? Niema ich tutaj. Ale mniejsza o to, że ich nie ma. Czy Bukowina włącznie stolicy swojej Czerniowiec nie posiada żadnej papierni, mogącej lub chcącej rywalizować z innemi? Szczegół ten daje nam cokolwiek do myślenia.

W maszynowej hali (patrz ryciny odnośne na str. 107 i 109 profesora Romstorfera) widnieją znowu rozmaite okazy rozmaitej, czasem bardzo wątpliwej wartości. Na uznanie zasługuje jako wielce praktyczny wyrób firmy Schneidra z Pragi: nóż do obskrobywania kartofel, którym także w skutek wcale nie skomplikowanego mechanizmu marchewki skrobać i narośle u kartofel i owoców wyjmować można. Natomiast zdaje się tego samego wynalazcy maszynka w formie kluczyka, mającego nibyto ułatwić nawlekanie nici na igłę — więcej służyć ku zabawie niż do praktycznego użytku. Obok p. Schneidra znowu Hiszpan w kostjumie narodowym, pan Salwador Alonzo sprzedaje biżuterje wcale wątpliwej wartości, jakoto długą na pół łokcia szpinkę z czerwoną gałką i t. p. drobiazgi, a drukowane szumne reklamy, któremi Hiszpan zarozumiały każdego gościa hojnie obdzielać raczy, są uosobnieniem nieprzebierającej w wyrazach blagi.

Ja tymczasem, chodząc od stołu do stołu i rozglądając się po rozmaitych wystawach, nabywam niektóre drobiazgi na pamiątkę mego pobytu w Czerniowcach: medaliki wystawowe, maszynkę do wyciskania monogramów i t. d. Zaledwie ujrzeli to niektórzy, a już obsiadła mnie cała gromada i każdy chciałby coś zarobić u mnie. Nie ma rady, trzeba się wynieść coprędzej, inaczej wrócę chyba bez grajcara do domu.

WYSTAWA CZERNIOWIECKA.



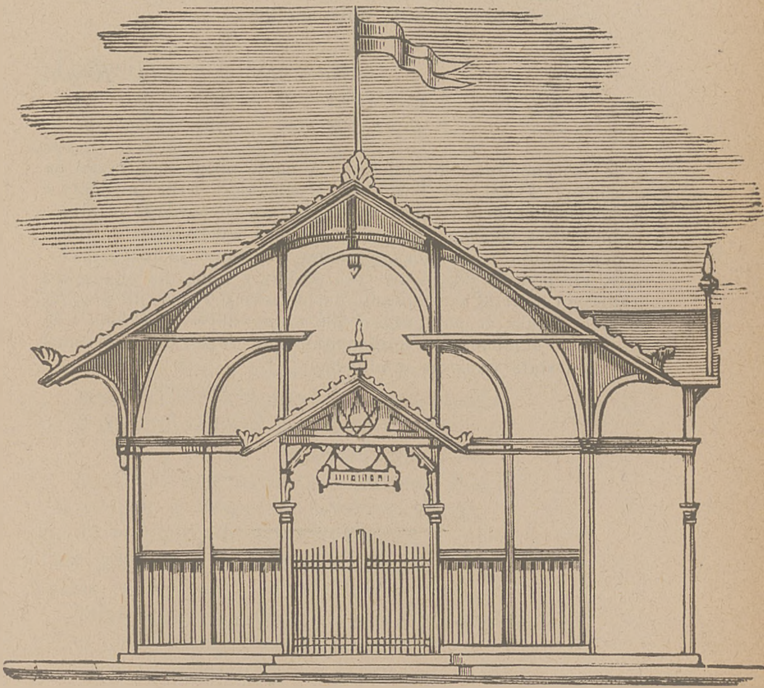
Hala maszynowa, z przodu widziana. — (Według rysunku profesora Karola Romstorfera.)

A tam na placu gra muzyka: fortepjan Bösendorfera głuszy swoimi dźwiękami wszystkich, okarina odzywa się na nowo; wrzask, harmider, rwetes jak w dniu sądnym. To tryumf pracy, ale nie naszej, to tryumf nie przemysłu polskiego, ale przemysłowości niemieckiej, i czem wytłumaczyć taki upokarzający nas rezultat? czem wytłumaczyć, że nawet ci, którzy najwyżej podnieśli wartość i doniosłość pracy polskiej, przecież może więcej zakupili niemieckich wyrobów u niemieckich fabrykantów, niżli polskich? Oto tem, że polscy fabrykanci i przemysłowcy po większej części nie umieją się liczyć z prądem czasu i z wymaganiami publiczności i że towar polski, towar krajowy częstokroć droższy jest od towaru zagranicznego, nie będąc lepszym. *)

---

*) Nie skreśliłem tych uwag celem poniżenia przemysłu krajowego. Ale powiem otwarcie, że przemysł krajowy u nas bardzo wiele jeszcze pozostawia do życzenia. Tam gdzie praca dobra i odpowiedna wszelkim wymogom, tam też z pewnością trzy i cztery razy tyle kosztuje co za granicą; gdzie znowu cena przystępna, tam po większej części wyrób lichy, niedokładny, niżej wszelkiej krytyki. Szczególnie — a mogę to stanowczo twierdzić na podstawie własnych doświadczeń — szczególnie odnosi się to do sztuki drzeworytniczej i litograficznej, które wobec rozwoju tych sztuk nietylko w Wiedniu i Lipsku, ale nawet w Pradze czeskiej, u nas w Galicji zaledwie że się znachodzą w powijakach. Introligatorowie na prowincji po większej części oprawiają byle zbyć; ale niejeden nawet introligator stołeczny oprawia choć elegancko i gustownie na oko, jednak bez trwałości. Druk pozostawia także bardzo wiele do życzenia: we Lwowie nawet jest stosunkowo mało porządnych drukarzy, czego najlepszym dowodem, że więksi wydawcy dzieła swoje drukują w Lipsku i Cieszynie, a wykonanie drzeworytów po większej części na równie z drukiem dzieł poruczają zagranicznym pracowniom. Wyżej o wiele stoi sztuka typograficzna w Krakowie: drukarnie Anczyca, Korneckiego i „Czasu“ wprawiają w zadumę i zachwyt oko znawcy niepospolicie udatnemi drukami. Z niemi rywalizuje skutecznie prowincjonalna drukarnia Zamarskiego w Białej. Są także niektórzy ambitni i uczuciem artystycznem wyposażeni drukarze na prowincji, którzyby się wstydzili, wyszczególnić się lichotami. Do ich rzędu zaliczam między innymi także: Pawłowskiego w Tarnopolu, Rozenheima w Brodach, Zukerkandla w Złoczowie, Czaińskiego w Gródku, Schwarza i Trojana w Samborze. Ale wobec nich ilu jest partaczy? O tych wolę już milczeć całko-

WYSTAWA CZERNIOWIECKA.



Hala maszynowa, z boku widziana.

Według rysunku profesora Karola Romstorfera.

Zaprawdę! taka wystawa, to rzecz bardzo pouczająca i piękna, ale nie dla wszystkich. Człowiek przygląda się dziełu rąk swoich i znajduje, że wszystko to było bardzo dobre, „bardzo dobre — rzeczywiście — z wyjątkiem wszystkiego tego, co było bardzo złe.“

Zaczęte w Czerniowcach 18. Września, skończone w Załuczu 21. Września 1886.

G. Kohn.

---

wicie; bo „nomina sunt odiosa.“ A nasze pisma polityczne na prowincji? Pożal się Boże, jak wyglądają! Druk niedbały i pełen pomyłek drukarskich, którychby się powstydziło ostatniorzędne nawet pismo polityczne, za granicą wychodzące, a papier, to istna bibuła! Nie pomogą żadne wzajemne chwalby i adoracje, nie pomoże potępienie tych, którzy z ujmą dla przemysłu krajowego zasilają zagraniczny, dopóki robotnicy nasi nie przyjdą do przekonania, że publiczności nie wolno zbyć byle czem i że się należy sumiennie i inteligentnie pracować, jeśli się chce liczyć na stałe wsparcie inteligencji.

(Uwaga autora.)

Pieśń niewolnika.

O myśli moje dzikie, szalone!
Lećcie w daleki, rozległy świat!
Lećcie, gdzie morza fale spienione...
Orkan południa, ach! on wasz brat!
Gdy ciało moje los tu przykuwa,
Gdy muszę żyć tu w niewoli sam,
Niech się myśl wolna z kajdan wyzuwa,
Niech leci lekka, gdzie słońce tam.
Jam dziecię puszczy, jam syn południa,
Mnie kraj słoneczny kolebką był,
A tu tak zimne zawieje grudnia,
I w lód się ścina krew moich żył.
Mnie dzika przemoc tutaj przewiodła
I tryumf odniósł szatański wróg,
I świecą w koło tyrańskie godła —
Ha! nad przemocą przecież jest Bóg!
On zdepce w końcu tę przemoc wroga,
Ja do rodzinnych powrócę puszcz,
Tam gdzie wolności kraina błoga,
Gdzie szare skały osnuwa bluszcz.
Gdzie jaśniej gwiazdy świecą na niebie...
O dziki wrogu! ty litość miej!
Czyś ty człowiekiem? ja błagam ciebie,
Łaskę wolności ty na mnie zlej!
Ha! cóż to? prośba, podłe błaganie?
O precz z pokorą, z prośbami precz!
Niech duma syna puszczy zostanie,
Skoro mu wzięto wolność i miecz.
Czy słyszysz, dziki wrogu północy?
Ja się nie skarzę, nie błagam cię,
Ja nie ulegnę wściekłej przemocy,
I miasto prośby — wzgardę ci ślę!

Choć tyś mię okuł, konam powoli,
Lecz myśli mojej nie skujesz ty,
Nie zgnębisz duszy, nie zniszczysz woli
I w oku mojem nie ujrzysz łzy.
 Jeśli nie wolność, śmierć wyjdzie w końcu,
 O! wtedy tryumf będzie mi dan!
 Wtedy się duchem wzbiję ku słońcu,
 A nad mym duchem tyś już nie pan.
Płyńcie me myśli, lekkie, swobodne,
Płyńcie w tę mglistą, sinawą dal,
Kędy się srebrzą kryształy wodne,
Gdzie szumi morskich melodja fal.
 Na skrzydłach burzy pieśń niewolnika
 Niechaj się wznosi jak lekka mgła,
 Niech swą żałością w bratnią pierś wnika,
 Niech ją choć jedna uświęci łza.
O bracia moi! wy tam szczęśliwi,
A ja w niewoli a ja tu sam!
Jeśli wam pieśń ta duszę roztkliwi,
Wierzcie mi, proszę — jam bratem wam.
 O! wy myślicie, żem ja w niewoli,
 To już mnie w marny zdeptano pył?
 O bracia moi! choć serce boli,
 Ja w tej boleści zaczerpnę sił. —
Czasem wracają dawne marzenia,
Czasem rozkoszne jawią się sny,
Czasem się lube snują wspomnienia,
Czasem, najmilsza! jawisz się ty.
 A tyś tak piękna, rumieniec zorzy
 I archanielstwa zdobi Cię blask,
 I z czoła świeci majestat boży,
 Przy Tobie blednie jutrzenki brzask.
Tyś była moją w rodzinnej stronie,
Jam obok Ciebie niebiosa śnił,
Do rąk Twych tulił płonące skronie,
Jam życiem Twojem, najmilsza! żył.
 Byłem szczęśliwy — wieki czy chwile,
 I tych pamiątek nie wydrze wróg,
 I gdy na wieki legnę w mogile,
 To je do nieba zabierze Bóg!
W mogile, Boże! na obcej ziemi
Jakże samotnie będzie mi tu!

O Boże! pozwól umierać z niemi,
Daj choć tę chwilę rajskiego snu!
By mi w ostatniej mojej godzinie
Wicher południa owiewał skroń,
By mi w pustynnej ojców krainie
Oczy braterska zamknęła dłoń. —
Cóż? znów modlitwy, znów łzawe skargi?
Znów do mej pieśni wdziera się jęk?
Ja z Bogiem nawet nie chcę iść w targi,
A w pieśni dumy niech zabrzmi dźwięk.
Wszak ja mam władzę, skrócić i życie
I ziemski, nędzny zakończyć byt...
Lecz nie ulegnę, chcę cierpieć skrycie,
Przecie wolności błyśnie mi świt.
O niechaj wiecznie będzie przeklęta
Owa zbrodnicza tyranów moc,
Która dozwala wolnych kuć w pęta,
Która wieczystą przynosi noc.
Myśli bez ładu w tej mojej pieśni,
Lecz wy przebaczcie — bo myśl się rwie;
Chociaż zamknięta w grobowej cieśni,
Nie wiem, czy żyję, lub tylko śnię!
Ha! bądźcie zdrowi! po raz ostatni
Pieśń do rodzinnych posyłam stron,
I uścisk jeszcze posyłam bratni,
Nim grób mój zimny ubieli szron.

Janina Antonowiczówna.

AFORYZM.

Mówiono w starożytności, że oczy są źwierciadłem duszy. Oczy są przepaścią głębszą, niż otchłanie wulkanów, niż głębie oceanów. Czasem jedno spojrzenie wystarcza, by zginąć na wieki. —

Janina Antonowiczówna.

Aforyzmy i złote myśli

(z Frydryka Salleta.)

Choć w sercu mieszka miłość boża,
A ranić może ostrzem noża.

*

Ten, kto wszystkiemu potakuje,
Niezdarność tylko okazuje;
Prawdziwa miłość depce srodze
Mierności, pnące się po drodze.

*

„Starców niech wiek poważa młody!“
Uwierzę, skoro dasz dowody,
Że w obec młodszych ryku — osła
Starego ryk harmonja wzniosła.

*

Że włos mu począł srebrem lśnić,
To mam przed łotrem czołem bić?

*

To wino tylko, co szumiało,
Czyści się, skoro się wystało;
Ten, co przehulał wiek swój złoty,
Na starość da nam przykład cnoty.

*

Skoro na cześć zasłużysz mą,
To uznam to, a uznam z czcią;
Lecz mechanicznie się tej czci
Wyuczyć — ani mi się śni.

*

I Bogu skąpił bym jej codzień,
Gdybym nie uznał, że czci godzień.

*

W miłości świetle będzie lśnić,
Kto zastanowi się, — co czcić?

*

Nie ten pokorę w sercu mieści,
Kto się poniża i bezcześci:
Lecz ten pokorny jest prawdziwie,
Kto działa dumnie a uczciwie.

*

Twarz własną oplwać śliną swą,
Nie znaczy, Boga przyjąć z czcią.

*

Samego poniżając siebie,
Poniżasz Twórcę twego w niebie.

*

Ach! co za podłość w marnem słowie:
„Dzięki żeś po mej deptał głowie!
Dzięki, że będąc moim panem,
Tyś mi pozwolił, być gałganem!“

*

Światło boże nawet swym prześlepiasz wzrokiem,
Chociaż opromienia brata twego oko —
Jakże światło Tego ci ogarnąć okiem,
Co zdrój życia boski wskrzesił pod opoką?

*

Drogą pokory iść codziennie,
W Bogu rozpływać się niezmiennie,
Okiem w niebiańskich tonąć światach,
Podczas gdy pleśń, na wszystkich gratach
Niestarta, lśni się już za progiem,
To znaczy: zmysły łechtać Bogiem!

*

Tworząc duchem i dłonią dzieła godne uznania,
Udowodnisz ty prawdę twego z niebios powstania.

*

Są tacy, co się wciąż kłaniają
I błaznów kornych udawają;
Lecz nie posądźcie ich też o to,
Że świat dźwigali swoją cnotą.

*

Kto po kazaniu każdem wciąż
Wzrok rosi łzami — to nie mąż,
To baba, która uczuć grą
Świat łudzi jak udaną czcią.

*

Dobrem sercem męstwa brak tłumaczy
Piękna płeć, gdy widzi, że kto płacze.

*

Jeżeliś na nieprawej drodze,
To żwawo opuść ją, lecz wodze
Powstrzymaj także zbytniej skrusze,
Bo ta osłabia tylko duszę.

*

Choć się przeżegna kto co krok
I wyje psalmy głosem tub,
Choć ku niebiosom wznosi wzrok,
Nie myśl, że z niebem zawarł ślub.

*

Natury znając drogi,
O innej nie wiesz cnocie?
Te znają i bezrogi,
Gdy się walają w błocie.

*

Kwiat uczuć, w który serce obfituje,
To nie bodjaki, które dłoń kaleczą;
Ogrodnik wierny niech go pielęgnuje,
By wzrósł i dojrzał pod troskliwą pieczą.

*

Nie to Bóg ceni, czem cię zdobił,
Lecz to, coś z siebie sam wyrobił.

*

Ulegaj w wszystkiem otoczeniu,
Lecz nie w uczuciach, ni w myśleniu.

*

Myłka z krwi własnej twej wysnuta,
Lepsza niż prawda, z ksiąg wykuta.

*

Myl się i gub w manowcach wszędy!
Życie rozjaśni wszelkie błędy.

*

Boskości znamię z czoła zdzierasz,
Gdy do swej mety nie docierasz.

*

Ten, kto się sprzedał kiepskiej sprawie,
Ten pisze stylem złym na jawie.
A stylu złego w czem znamiona?
Moc fałszerstw, w których prawda kona.

*

Nie dla partaczów brzmiał głos czci
Z Corregia ust natchnionych:
„I ja malarzem tak jak ci,
Cześć moja — to cześć onych!“

*

Jak wzniosły szał, co życiem darzy!
Jak nędzny spokój pieczeniarzy!

*

Gdy się uwalnia z pęt ludzka myśl swych,
Wtedy panowie, nie wstrzymać jej już,
Straszna, bo grozi odgłosem burz.
Cóż to? wy gromów boicie się tych?

*

Nie ujął czasu ster w swej dłoni,
Kto wieczną wrzawą czas swój trwoni.

*

Sługi formy i pogańscy syny,
Co nie różnią ziarna od łupiny.
Czy się korzą przed Jowisza twarzą,
Którą mistrza dłonie życiem darzą,
Czy Chrystusa wielbią rzeźbę biedną —
To pogani! dla nich wszystko jedno!

*

Atlasem duch twój, a więc cały świat
Jak Atlas nieś, bo siłę Bóg dał tobie,
A jeśli pod ciężarem duch tym padł,
Samemu chyba przypisz winę sobie.

*

Nie myśl, że Boga podług wzoru czcisz,
Gdy bez oporu się poddawszy, drżysz;
Jak Jakub, walcząc z Nim się w siły wprawił,
Tak zwycięż Boga, by ci błogosławił.

*

Gdy rzekniesz: „Boże! czemuś mnie opuścił?,“
Przebaczy Bóg zwyczajem tobie swym;
Lecz dopust losu, jaki na cię spuścił,
Wytrzymaj też, choć śmierć się kryje w nim!

*

Choć Bóg ci chlebów pięć dał a nie więcej,
Ty urządź w sposób taki twe zapasy,
Byś duchem twym nakarmił stutysięcy,
A jeszcze coś zostawił na złe czasy.

*

Bądź skałą twardą! zdrój ożywczy, zdrowy
Przed ludźmi kryj, zagłębiaj w wieczną noc;
Lecz gdy cię laską dotknie Mojżesz nowy,
To daj mu skarbów twych obfitą moc.

*

Bądź lwem! gdy błaznów plemię
Zaczepi ciebie śmiało,
To powal ich o ziemię,
Jak czynić lwom przystało.

*

Nie bądź stokrocią, rosnąc tam nad kładką,
By lada gąsior ciebie nie obrywał,
Nie bądź migdałem, pocukrzonym gładko,
By lada smakosz cię nie oblizywał.

*

Skorupę miej jak orzech kokosowy,
Co opór stawia pełen wytrwałości,
By się udało tylko dłoni zdrowej,
Rozłamać go i dotrzeć do wnętrzności;
Lecz gdy owładnie tobą dłoń ofiarna,
To podaj się w pokorze jej i w skrusze,
Zwycięzcy nie skąp myśli twoich ziarna,
Ni uczuć mleka, co orzeźwia duszę.

G. Kohn.

Kometa.

(Tekst do pierwszego obrazu z „Wojny“ Grottgera.)

Urocza cisza panuje w około,
Cisza letniego, jasnego wieczoru,
Księżyc srebrzyste z za drzew wznosi czoło —
I blask na białe rzuca ściany dworu.
Najlżejszy wietrzyk liśćmi nie szeleści,
Natura cała spoczywać się zdaje,
Lecz choć spokojna — spokoju nie daje,
I złe przeczucia jakieś ludziom wieści.
Bo na tle nieba — ot tam od Zachodu,
Świeci kometa jak łuna ognista,
Straszna zapowiedź wojny albo głodu,
I klęski jakiejś wróżba oczywista.
Więc choć spokojnie i cicho na świecie,
To jakoś ludzie cieszyć się nie mogą,
Jakieś przeczucie złowieszcze ich gniecie,
Krwawa kometa przejmuje ich trwogą.

Rodzina cała wyszła z dworku swego,
By się orzeźwić miłym chłodem nocy,
Ale ją trwoży ten niemy znak złego,
Co tam na niebie ogniście migoce.
Stara matrona oczy weń wlepiła,
Modląc się w duchu do Matki dziewicy,
By złe od Polski odwrócić raczyła;
A przerażenie widne w jej źrenicy.
Pacierze nawet ukoić nie mogą
Wielkiej bojaźni, co jej serce ściska,

A załamane ręce proszą z trwogą
O zachowanie rodziny ogniska.
Dzieci rzuciły wesołą zabawę,
Do kolan babki tulą się ze drżeniem,
Jakby i one czuły tę obawę,
Która na wszystkich ciąży dziś kamieniem.
A w progu chatki, niby w progu życia,
Stoi dziewica wsparta o młodziana,
I ich serc także przyspieszone bicia,
I jakaś trwoga dręczy je nieznana.
A choć szczęśliwi — bo razem przy sobie —
To jakieś tęskne przeczucie gra w łonie,
Każde się pyta, czy w jutrzejszej dobie
Będą jak dzisiaj stali dłonie w dłonie?
Czy też to światło, ciężarne klęskami,
Im nie zasępi jasnej ich przyszłości,
Co im dziś świeci zasiana gwiazdami
Cichego szczęścia, serdecznej miłości?
I tak to światło złowróżbne na niebie
Jakiś niepokój duszny budzi wszędzie,
I każdy z trwogą pogląda przed siebie
I z drżeniem pyta: „Boże! co to będzie?“

Wyżnica na Bukowinie.

Alma Kováts.

Zadanie hydroterapii przy suchotach,

wykład, miany przez profesora

DRA. WILHELMA WINTERNITZA WE WIEDNIU,

a podany w przekładzie polskim przez

Ferdynanda Kasparka,

słuchacza medycyny.

Zapewne należy uważać to za objaw postępu, jeżeli pozornie niewzruszone pewniki upadają, skoro tylko dowiedzioną została ich bezpodstawność, bo usunięcie zawady czyni drogę znów wolną do przejścia. Jednak nie rzuca to wcale korzystnego światła na umiejętną stronę podstaw takich pewników, jeżeli się to zbyt często przydarza na jednem polu. A da się to powiedzieć zwłaszcza o terapii. Tutaj to widzimy często, że co dziś jeszcze okrzyczano za wielki błąd przeciw sztuce, nazajutrz już się wychwala jako sztukę leczenia, aby następnego dnia zapełnić już tylko kartkę w dziejach ludzkich zabłąkań. A wtedy szczęściem jeszcze mienić można, jeżeli te przejścia szybko po sobie następują i obłęd nie ciągnie się całemi pokoleniami.

Długi czas uważano za bardzo słuszną zasadę leczniczą, że w chorobach oddechowych nie można stosować leczenia zimną wodą. Sam nawet Priessnitz nie przyjmował do leczenia chorych na płuca, a jemu przecież trudno zarzucić już zbyt ciasnego określenia pola działania dla hydroterapii.

Otóż postaram się Panom wykazać, że to przeciwwskazanie ustanowiono niesłusznie i że właśnie

chorzy na płuca doznają często najpomyślniejszych skutków z metodycznego i indiwidualizującego zastosowania hydroterapii.

W patologii suchot poczyna się uwagi godny przewrót, odkąd doświadczeniem stwierdzone ważne zjawiska ziewalają nas, „zarazki“ uważać za przyczynę wielu tych przemian, które prowadzą do suchot. Jeżeli tuberkuły i zeserowacenie powstają pod wpływem jakichś swoistych ustrojów drobinkowych, wtedy należy nam się przedewszystkiem zastanowić, czy wobec tego przy tak powstających suchotach oprócz swoistej terapii przeciwzarazkowej może znaleźć umiejętne uzasadnienie jeszcze i inny kierunek terapii?

Odpowiedź musiałaby wypaść najpewniej przecząco, gdyby dotyczące zjawiska nie naprowadzały na to, że do poczęcia suchot potrzebną jest oprócz tej swoistej szkodliwości jeszcze jedna okoliczność, którą zwiemy „skłonnością,“ pokrywając tem tylko brak istotnych wiadomości.

Zarażenie bowiem, prowadzące do suchot powstaje tylko przy ściśle określonej skłonności ustroju nawiedzonego odpowiednemi ciałkami drobinkowemi lub z niemi zniewolonego się zetknąć, jakoteż przez przypadkowe przeniesienie tych ciałek do narządów, już poprzód osłabionych lub skłonnych do osłabienia.

Bezskuteczność dotychczasowej terapii przeciwzarazkowej i owa nieznana może a dająca się przezwyciężyć skłonność pozostawiają wolne pole i dla innej rozumnej a umiejętnej terapii chociaż nie swoistej. Oprócz tego znamy jeszcze nadto mało dzieje tych swoistych ciałek drobinowych, ażebyśmy się już mieli pozbywać tej nadziei, że ustrój ludzki posiada dosyć sił żywotnych, aby przy pomyślnych warunkach usunąć albo zobojętnić te nieznane szkodliwości zwłaszcza, że mamy dosyć podobnych przykładów tego z innych chorób zakaźnych. Otóż wybadać te pomyślne warunki i takowe sprawdzić, jest wdzięcznem zadaniem dla terapii choć nie swoistej, a doświadczenia i powodzenia naprowadzają nas stanowczo na tę drogę.

A teraz przejdę do zadań, jakie przy tem i obecnie jeszcze przypadają hydroterapii, i na przykładach z praktyki spodziewam się dowieść w ciągu niniejszego wykładu, że nie teoretyczne to spekulacje, dla których Panów o uważne posłuchanie upraszam.

Chcąc rozważać zadania hydroterapii przy suchotach płucnych, musimy z konieczności zacząć od pierwszej niewiadomej w tej nauce, od nie dającej się zaprzeczyć skłonności do tej choroby i starać się przecież bliżej z nią zaznajomić.

Doświadczenia i dedukcja każą nam rozróżniać skłonność dziedziczną i nabytą. Na czem zaś polega istota przeróżnych skłonności, tego jeszcze dotąd nikt napewne nie wybadał. Jedni mniemają, że dziedziczność polega na pewnej swoistej właściwości całego ustroju, na pewnej wrażliwości komórek i tkanin, z powodu której swoista szkodliwość raz sprowadza we wczesnej młodości tuberculosis meningum lub tabes mesaraica, inną razą już w późniejszym wieku doprowadza przez różnorodne schorzenia płuc do suchot płucnych. Inni uważają skłonność za odziedziczoną małość i wątłość serca i wązkość układu naczyniowego, przez co już każde zwykłe cierpienie płucne staje się groźną chorobą, albo też już przy najlżejszem zakażeniu wyklucza możność wydalenia zarazków i wyleczenia. Wszystko to jednak jeszcze tak niepewne, jak również i sprowadzanie suchot, nabytych w każdym wypadku do istniejącego gdzieś w ciele ogniska serowatego. Tak samo wątpliwem jest, czy takie ognisko za każdą razą przez zakażenie własnego ustroju dało pobudkę do wybuchu suchot, gdyż napewne jest wiadomem, że różnorodne zmiany chorobowe mogą doprowadzić do objawów suchotniczych a z drugiej strony także wiele złogów serowatych znika przez wessanie bez wywołania cierpienia ogólnego.

Owszem zdaje się, że przy odziedziczonych jak i nabytych suchotach domniemana szkodliwość znajduje możność do nadwerężenia w miejscowych lub ogólnych warunkach osłabiających. T y l k o o s ł a b i o n y u s t r ó j z d a j e s i ę n i e m i e ć d o s t a t e c z n y c h s i ł s w o b o d n y c h d o w y d a l e n i a

lub zobojętnienia szkodliwości. W ten sposób zbliżamy się bardzo do zapatrywań starożytnych badaczy, którzy mniemali, że skłonność staje się groźną dopiero w obec wpływów sprowadzających tak zwaną wsteczną przemianę. Jak też często widzimy suchoty, pozostałe dopiero w następstwie tak zwanych osłabiających czynników. Mogą one dotykać układu nerwowego, od dawna też posądzano w tym kierunku przygnębiające wrażenia. Dopatrują się też tej skłonności w stanie układu krwionośnego, bo małość i wątłość serca, wązkość tętniczego układu naczyniowego utrudnia odżywienie i rozwój i powoduje tem ową usposabiającą wątłość w ustroju. Wrodzone lub nabyte braki w płucach, choroby żołądka, przeróżne zboczenia odżywcze mogą jako czynniki osłabiające dać pobudkę do suchot równie jak zbytki, utraty soków, choroby krwi i inne schorzenia mogą w podobny sposób takowe wywołać. Pewnem jest, że osoby pozornie niewątpliwie do suchot usposobione, dosięgają starości i umierają na inną wcale chorobę, podczas gdy u innych wysoce usposobionych dopiero jakieś ze wspominanych przypadkowe schorzenie roznieca objawy suchotnicze. Z drugiej strony nie rzadko widzimy phtisim floridam ustającą w postępie, jeżeli się uda powstrzymać wsteczną przemianę a natomiast odżywienie poprawić i doprowadzić do przemiany dodatniej, do przyrostu ciężaru ciała.

W tym zatem kierunku zadanie terapii jest ściśle określone i polega na tem, aby niedopuścić przemiany wstecznej a już istniejącą usunąć.

Ze względów zapobiegawczych i leczniczych będzie tu wskazanem postępowanie ściśle indywidualizujące a w ogólności skrzepiające.

Należy podnieść innerwacją, wzmocnić i uspokoić czynność serca, spowodować głębsze oddechanie, wszelką przemianę pierwiastków miernie przyspieszyć i przy wzroście żądności pokarmów sprowadzić i ułatwić przybieranie istoty komórkowej.

Złagodzenie zatem grozy takiej skłonności chorobliwej będzie polegać na tem, ażeby ustrój uczynić

oporniejszym na telluryczne, klimatyczne i społeczne szkodliwości, miejscowe i ogólne zboczenia odżywcze wyrównać — słowem: ustrój skrzepić.

Jeżeli teraz Panowie żądacie odemnie przepisu hydriatycznego, jakby podołać tym zawikłanym zadaniom postępowania skrzepiającego, to wprowadzacie mnie we wielkie zakłopotanie.

Termiczne i mechaniczne wpływy, które stanowią istotę hydroterapii, będą tu tylko działać jako środki pomocnicze reszty czynników hygienicznych, djetetycznych i farmaceutycznych. Ja mogę tylko podać pewne zasady, oparte na ogólnych zagadnieniach sposobu działania na ustrój wpływów termicznych i te dopiero mogą być wykonane w każdym pojedynczym wypadku w sposób najrozmaitszy.

W hydriatycznej części takiego djetetycznego leczenia mamy tego twardo się trzymać, że nie należy 1.) używać silniejszego drażnika nerwowego termicznego czy mechanicznego, niźli go znieść zdoła dotyczący ustrój bez zbytniego oddziaływania,

ani

2.) więcej odciągać ciepła, niżeli osłabiony ustrój raźno powetować wydoła.

Kochajmy się!

Jak dzieci jednej matki — kochajmy się szczerze!
Nieśmy dla niej i serca i życie w ofierze;
A tak razem, przebojem idąc przez wiek cały,
Umocnimy fundament do przyszłej budowy,
Dorzucim ziarno plenne do przyszłej jej chwały,
Co wzrośnie, jako wzrosło pokolenie nowe.
A gdy zbratawszy serca, pójdziemy do czynu —
Jak bracia, silni duchem i sercem jednacy,
O! to pewnie zdobędziem gałązkę wawrzynu,
Społem zbierzem obfite plony wspólnej pracy. —
Lecz wpierw nam młode serca zbratać w dobrej [wierze:
Przebaczajmy! — pracujmy! — kochajmy się szczerze!!! —

Lwów, 17. Grudnia 1884.

Mieczysław Romanowski junior.

PTASIA MATKA.

BALADA.

W zielonych liści strzesze,
W gniazdku z brzozowej kory,
Żółtych pisklątek rzesze
Gwizdały ciche chory....
Ztąd gniazdko — dzień czy burza,

Płonęło dzióbków grotem,
Jak wielka, pełna róża,
Swoich pręcików złotem.
Nadfrunął kobus srogi.....
Zamilkły ptaszków śpiewy;
Na matki okrzyk trwogi
Pierzchnęły starsze w krzewy.
Najmłodszy, słaby jeszcze,
Schronić się nie pośpieszył,
Porwał go kobus w kleszcze,
Gdy szponem piersi przeszył.....
Trysnęła krew na krzaki,
Jak z koralików sznura....
W tem zewsząd bijąc ptaki,
Zerwały łup z pazura.
Upadł na stokroć białą,
Krew z piersi szła ponikiem.....
Spadła i matka strzałą
Z krającym serce krzykiem,
I do żółtego dzióbka
Wkładała z rosą ziółko,
To znów małego trupka
Oblatywała w kółko,
To z rzewnem mu kwileniem
Dźwigała końce lotek,
Ale wciąż spał kamieniem
Nieczuły jej świergotek.

Z ócz mi łez trysły zdroje,
Gdy z śmiercią, do ostatka
O pisklę wiodła boje
Ta biedna, ptasia matka.
Od śmierci nie ma ziela!
Przecież w obronie dziatek
Na śmierć się iść ośmiela
Ach! każda — z dobrych matek.

Stefan z Opatówka.

Z mej pieśni.

„Samotność! — cóż po ludziach, czym śpiewak dla
[ludzi?“
Głos niknie w puszczy świata, choć wpadnie do ucha,
Przemknie senny, — śpią wszyscy — ducha nie
[obudzi,
Pieśni nikt nie rozumie, i nikt jej nie słucha!
O gdybym tchnąć mógł w zimną duszę waszą,
[ludy!
Cząstkę tego płomienia, co się tli w mej duszy,
Gdybym wielkie wam wskrzesił, gdybym wskazał
[cudy,
Czyżbym zbudził w was ducha? czy was pieśń ma
[wzruszy?
Choć chwilowo was dźwiękiem pieśni tej zapalę,
Senni znów i bezwładni, w ciężkiej się zadumie
Pogrążycie na powrót i zniknie pieśń w szumie
Życia, które swym trybem głuszy serca żale.
Kiedym ludom pieśń moją niósł, gdym z mojej duszy
Sączył smutek i boleść, taką pieśń im śpiewał,
Oni palcem niechęci zatykali uszy,
A gdym skończył, spał jeden, — a drugi..... poziewał.
Jakież chcecie więc pieśni? — „Pieśń ta dla kamieni!
„Śpiewaj szczęścia nam pieśni, niech szczęsna dzie-
[wica
„Siędzi z tobą; — świat błyszczy i niech się rumieni,
„Daj jej radość, i uśmiech na rumiane lica!“
— Chcecie pieśni miłośnej? gęśl mą nastroiłem
Na ton marzeń miłości — i z pod palców duszy
Wydobyłem pieśń serca, — ducha w niej skupiłem,
Myśląc że ta pieśń moja zajmie ich i wzruszy.

Lecz gdym z tonów marzenia przeszedł w rzeczy-
[wistość,
Rzekły ludy te do mnie, — i rzekli mi różni:
„Nie kończ pieśni! ustami kalasz ty jej czystość,
„Schowaj sobie człowiecze! twą piosnkę na później!“
I przestałem im śpiewać — bo nie rozumieli,
Jam nie pojął ich także — różna nasza droga.
Chciałem śpiewać im więcej, znów by nie pojęli,
A dziś któż mię rozumie? — nikt prócz Niej i Boga!

Kazimierz Satkowski.

Dąb samotny.

SONET.

Piękna, ach! piękna młodzieńcza przyroda,
Kiedy się wiosny sukienką osłoni,
Kiedy zroszona kropelkami woni,
Wdzięczy się mile jak niewiasta młoda.
W miękkiem łożysku szemrze jasna woda,
Kwiatek na kwiatka pochyla się skroni,
W cieniu topoli topola się chroni,
Wszędzie w powietrzu zgododźwięk, pogoda. —
Tylko wśród jaru dąb samotny stoi,
Żadna drzewina czoła mu nie wspiera,
Burza go targa, wicher liść odziera
I dziki potok konary mu poi; —
Na smutną nutę szum konarów stroi,
Zanim go czasu obali siekiera. —

Pius Nałęcz z Witoszyna.

Opracowanie tematu,

przeznaczonego do obrad na konferencją okręgową nauczycieli:

„O przyzwyczajeniu jako środku pedagogicznym; konferencja zastanowi się nad skutkami tegoż i wskaże, do czego i jak należy dzieci w szkole przyzwyczaić.“

Odczyt miany przez Janinę Antonowiczównę.

„Idź i ufaj imieniu mojemu, nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam.“

„Choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, czyń ciągle i bez wytchnienia.“ —

(Irydion Zygmunta Krasińskiego.)

Zaiste! zaparcia się i trudów otwiera się droga przed tym, kto precz rzuciwszy puchowe węzgłowie próżniactwa i bezmyślnego spędzania dni swoich na spożywaniu cudzej myśli i cudzej pracy i krwi cudzej owoców — chwyta się jasnych promieni wiedzy i z tą wiązką świateł u skroni, sam sobie toruje ścieżkę wśród owych gwarnych tłumów ludzkości, goniącej coraz to dalej a dalej w nieskończonym pochodzie ku otchłaniom wieczności. Ile to razy uporną stoczyć będzie musiał walkę z rozlicznemi przeszkodami zewnętrznemi! Ile razy bój wypowiedzieć własnym buntowniczym myślom swoim, ani przeczuwał nawet ten kto widział tylko idealną gwiazdę postępu a wiedzy i nie dojrzał czarnych chmur w około, gdy patrzył w tęczowe barwy przyszłości w zaraniu prac swoich.

I ty kierowniku owych maluczkich, powierzonych twej pieczy serdecznej u progu zawodu twego, weź sobie za godło życia pracę i „czyń ciągle a bez wytchnienia.“ Zwalczaj trudy i fałsze a idź coraz dalej a dalej, aby cię inni nie uprzedzili, nie ubiegli, nie stanęli z całym szeregiem czynów przed sądem potomnych — a ty abyś tam z próżną nie jawił się dłonią. Boć i teraz już wielu patrzy na ciebie, choć nieraz cię jeszcze ranią szyderstwem i miotają potwarzą a płacą miedzianą monetą i lodowatem uznaniem i poznać się na tobie nie mogą. Epoka przejściowa wrzeć musi i kłębić się i kipieć, póki nie ukształtuje się w doskonalszą formę całe społeczeństwo ludzkie, bo w niem jest nieśmiertelna idea wieków. Ta idea dziejowa rozwijać się musi, a objawem jej najwyraźniejszym ten ruch ciągły, to nieustanne dążenie do doskonałości. Zdania, opinje, wywody naukowe, pojęcia religijne, polityczne mięszają się i ścierają gwałtownie. Ucisk materjalny, ciążący na uboższych warstwach społeczeństwa, budzi tam straszne rozgoryczenie, niechęć, nienawiść nawet przeciw wszelkiej przewadze a w szczególności przeciw przewadze materjalnej. Powstają idee socjalistyczne, a z nich rodzą się czyny wstrętne i groźne dążeniem do bezwzględnego obalenia i zniszczenia tego, co wieki budowały, bez uwagi na dobre lub złe następstwa i skutki. A więc ty pracowniku około dobra tych maluczkich a ciemnych, przypatrz się tej rozterce nieopisanej, temu rozszczepieniu ducha, przypatrz się tej walce ustawicznej, a dziwić się przestaniesz, bo zapomnienie to chwilowe, krótkie, pozorne — bo po za niem przezierają ogniste nadzieje, które ludzkość złożyła w tobie, w twej cichej, zapoznanej i ukrytej pracy. Tego, co ty dać możesz ludzkości — nie wielu jej dać może, boć tego nie spali ogień, nie zabierze woda i wróg żaden nie wydrze. Przyjdzie chwila, kiedy ludzkość zawiedziona w niejednem, do ciebie się zwróci, a wówczas wskażesz na jasne godła wiedzy rozwieszone nad wnijściem do pałaców i do chat wieśniaczych i do pracowni rzemieślnika. Są wprawdzie tacy, co w świętość twego powołania i we wzniosłą przewodnię ideę twej pracy nie wierzą

i dziwią się, żeby takie olbrzymie zadanie twoim miało być udziałem. — I ty sam nieraz, onieśmielony brakiem uznania, ostudzony wzgardą wątpisz i niedowierzasz i cel swój zapoznajesz i stajesz się robotnikiem — z dnia na dzień. To najsmutniejsze chwile twego żywota! Więc najlepiej, w chwilach tych smutnych i czarnych, nie po za sobą lub w koło siebie szukaj pociechy i ukrzepienia, lecz wejdź po nią w głąb samego siebie, w głąb swego sumienia. A zresztą spokojniej i lżej ci będzie położyć się na spoczynek do trumny, gdy zadanie twe na ziemi będzie spełnione!

Mimowoli myśl tak daleko od właściwego tematu odbiegła: lecz i oprzeć się temu trudno, bo epoka obecna sama przez się niesie głębsze refleksje, a ominąć je lub usunąć — niepodobna prawie.

Lecz czas już zwrócić się ku właściwemu zadaniu niniejszego opracowania, i zastanowić się szczegółowo nad tem, do czego i jak mamy dziecię przyzwyczajać, abyśmy je wychowali na człowieka w najtreściwszem znaczeniu tego słowa.

Między innemi psychicznemi właściwościami człowieka, i tę znachodzimy, że umysł nasz jest nadzwyczajnie skłonnym do przyzwyczajenia. Nie jest to żadną odrębną władzą umysłową, ani przymiotem lub wadą, a powstaje w skutek kilkakrotnego powtarzania tej samej czynności. Nie potrzeba ani pracy, ani woli, ażeby je wywołać, przeciwnie po dłuższym czasie mozołu dopiero i pracy potrzeba, aby je wykorzenić. Objawia się ono na każdym kroku a nie tylko moralna i umysłowa strona człowieka podlega przyzwyczajeniu, lecz i strona fizyczna najzupełniej do zewnętrznych warunków i okoliczności się przyzwyczaja. Wszystkie umysły nasze ulegają po dłuższym czasie przyzwyczajeniu, i zmiana jakichkolwiek zewnętrznych warunków robi niekorzystne wrażenie. To też do klimatu, do sposobu życia, do pożywienia, do całego otoczenia w ogóle przyzwyczajamy się bardzo łatwo, a gdy później czegokolwiek zabraknie, brak ten działa ujemnie, często nawet bardzo szkodliwie na nasz organizm.

Dla czegóżby wychowawca nie miał skorzystać z tak ważnego środka, jakiem jest przyzwyczajenie i dla czegóżby nie miał wyrobić sobie w niem dzielnego współpracownika w owem wzniosłem zadaniu tworzenia człowieka! Lecz u wstępu już zastrzedz się należy, iż ma ono być środkiem tylko a nie celem wychowania, ma być środkiem pedagogicznym do wykształcenia i wyrobienia rozumu i woli, które stanowić powinne rdzeń charakteru człowieka, a w około nich dopiero powinne się grupować inne władze i przymioty duchowe. Dla tego ostrożnym być potrzeba w praktycznem zastosowaniu przyzwyczajenia, aby nie uczynić je sobie celem lecz środkiem tylko i dzielnym współczynnikiem. Mogłoby się zdawać, iż kto się przyzwyczaił do dobrego, już wszystko zdziałał, tymczasem zawiódłby się bardzo; bo ktoby dobrym był tylko z przyzwyczajenia, ten w skutek zmiany zewnętrznych stosunków łatwo przyzwyczai się być złym, a czynności jego, tak w pierwszym jakoteż i w drugim wypadku, będą mechanicznemi skutkami przyzwyczajenia. Ażeby czynności człowieka były moralnie dobre, muszą wypływać z wewnętrznego przekonania, z wolnej woli, którą poddać należy bezwarunkowo pod kierownictwo rozumu. A zatem, w celu wyrobienia samodzielności i rozwinięcia rozumu i woli, wyszukiwać powinniśmy wszelkich możliwych środków i sposobów pedagogicznych, a ponieważ przyzwyczajenie jest jednym z nich, więc na nie również, jak najbaczniejszą trzeba zwrócić uwagę.

Przyzwyczajeniem najsnadniej posłużyć się możemy w domu od najwcześniejszych lat dziecięcia. Najsnadniej posłużyć się niem może matka, jeśli pragnie dziecię swe już w najrańszej dobie życia chronić od wad i plam grzechu, a stroić je kwiatami cnót rozmaitych. Ponieważ zadanie nauczyciela polega nietylko na kształceniu umysłu lecz również na wychowywaniu, więc łatwo mu będzie wdrożyć się w ten zakres obowiązków, które odnoszą się do strony moralnej dziecięcia.

Podzielmy działalność nauczyciela na dwie kategorje; w pierwszej ugrupujmy te przymioty i

cnoty nasze, które on jako wychowawca rozwijać, a przyzwyczajeniem umacniać i utrwalać w duszy dziecięcia powinien: — a w drugiej zamieścimy te przymioty, które jedynie w celu wykształcenia umysłu przyzwyczajeniem wzmacniać należy.

Jako wychowawca powinien nauczyciel przyzwyczajać dzieci do:

1) myślenia i zastanawiania się,

2) okazywania zewnętrznie uczuć religijnych, o ileżto leży w zakresie szkolnych obowiązków,

3) okazywania w czynach miłości bliźniego i przywiązania do ojczyzny,

4) posłuszeństwa,

5) zamiłowania pracy,

6) okazywania szacunku i uszanowania dla starszych,

7) porządku i czystości,

8) poszanowania cudzej własności,

9) oszczędności,

10) odnachodzenia piękna w naturze i sztuce. —

Dla ułatwienia pracy nad umysłowem wykształceniem ucznia przyzwyczajać go należy do:

1) zastanawiania się i do myślenia,

2) pilności i uwagi,

3) karności szkolnej,

4) zamiłowania pracy umysłowej. —

Przejdźmy teraz szczegółowo każdą z wymienionych cnót i przymiotów moralnych i zastanówmy się po części, w jaki sposób i dlaczego utrwalić je mamy przyzwyczajeniem w duszy dziecięcia. —

Myślenie i zastanawianie się.

Dziecię każde ma w duszy władzę myślenia i myśli już wtedy, kiedy z ramion piastunki drobne rączęta ku matce wyciąga i uśmiecha się do niej i prosi niezrozumiałem szczebiotaniem o różne cacka błyszczące. Ale myśli to jeszcze bardzo niejasne.

Dziecię widzi przedmioty otaczające je dokoła, więc odbiera wrażenia, a z tych dopiero wytwarzają się z czasem wyobrażenia i słabe, nieudolne pojęcia. Gdyby zmysły nie dostarczały wrażeń dziecięciu, nie mogłoby myśleć wcale, bo o przedmiotach abstrakcyjnych, czysto duchowych myśleć może tylko umysł dojrzały, wyrobiony, rozwinięty pracą umysłową, dziecię zaś myśli tylko o tem, co widziało albo słyszało. Otóż zachodzi pytanie, czy można tę zdolność myślenia wzmocnić przyzwyczajeniem?

Nie waham się odpowiedzieć twierdząco, — można!

Przedewszystkiem należy rozwinąć w dziecięciu władzę myślenia, nauczyć je myśleć po prostu i zastanawiać się nad tem, co doń przemawia przez zmysły. Uczmy je patrzeć na świat i zastanawiać się, jak to i owo jest dla nas dobrem i pożytecznem a niejedno zgubnem i szkodliwem. Jaka wszechmoc Boga niezmierzona, jaka dobroć Jego niezmierna i niezrównana. Uczmy je z otwartej księgi ziemi i nieba czytać okiem i sercem a z dzieł Stwórcę poznawać. Powtarzajmy mu to często i ciągle a przyzwyczaimy je do tego, że nie będzie bezmyślnem okiem wodzić w koło siebie, lecz zastanawiać się będzie i badać i w skutkach szukać przyczyny. Ta umiejętność myślenia, do której dziecię przyzwyczai się, nawyknie za naszem staraniem, opierać się jednak nie będzie na mechanicznem przyzwyczajeniu, lecz będzie aktem woli i wysiłku duchowego — bo tak nawyknie do tej pracy ducha, iż zdawać mu się będzie, że być inaczej nie może, że niepodobna żyć bez myśli. I to przyzwyczajenie stanie się wewnętrzną jego potrzebą, za którą iść będzie musiało przez całe życie.

Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć o pewnych granicach w tym względzie. Przyzwyczajając do myślenia potrzeba zwracać uwagę na psychiczne usposobienie dziecka i na groźne niebezpieczeństwo, ażeby zamiast rozsądnego myślenia i zastanawiania się nie rozwinęło się melancholiczne marzycielstwo i chorobliwa fantazja. W jakich granicach zamknąć należy tę

pracę około wdrażania i rozwoju umiejętności rozsądnego myślenia, każdy rozumny nauczyciel sam oznaczyć potrafi stosownie do usposobienia dziecięcia.

Zewnętrzne objawy uczuć religijnych.

Rozwinięte i myślące dziecko pewnie serdecznie kochać będzie Boga-Stworzyciela. Pewnie wdzięcznem Mu będzie za ten świat cały tak piękny, zasiany kwieciem różnobarwnem i szmaragdowym kobiercem zieloności! Serce dziecka przywiązuje się tak łatwo, tak szczerze, tak prędko a tak stale, że to co tam w tem młodziuchnem raz się przyjęło i wzrosło serduszku, to już zostanie na długo a często nawet do końca życia. Lecz dziecię jest przy tem żywe, roztrzepane, a wreszcie leniwe, więc chociaż kocha Boga, niechętnie poddaje się praktykom religijnym choćby tak zwykłym nawet jak pacierz codzienny. Modlitwa, nabożeństwo, nauki moralne nudzą ruchliwy i wrażliwy umysł dziecięcia. Otóż na podstawie rozwiniętej i rozbudzonej miłości Boga, przyzwyczajać należy wcześnie dziecię, aby ta jego miłość serdeczna objawiała się w czynie, w modlitwie, w pełnieniu przykazań bożych i w spełnianiu dobrych uczynków. Niech się dziecko przyzwyczaja do chętnego i uważnego odmawiania modlitwy, do przykładnego zachowania się w kościele i do szczerego zajęcia się nabożeństwem. W pełnieniu tych zewnętrznych praktyk religijnych rzecz naturalna że przyzwyczajenie nie powinno być bodźcem jedynym, owszem siłą pomocniczą tylko, działającą bez wiedzy i woli tego kto uledz jej musi, a główną pobudką powinno być wewnętrzne przekonanie i poczucie. Wszakże w chwilach znużenia, zwątpienia chwilowego, w chwilach onych, gdy nie tylko ciało mdłe, ale gdy duch także nie skory, wówczas przyzwyczajenie nie pozwoli na zaniedbanie tej lub owej praktyki religijnej — pójdziemy na mszę dla zwyczaju,

a tam któż wie czy iskra gorącego natchnienia nie rozjarzy serdecznego usposobienia naszego, a modlitwa rozpoczęta z przyzwyczajenia, czy nie rozpłynie się w natchnionem i głębokiem wzruszeniu duszy.

Z religją łączą się także niektóre zwyczaje, a i te również pielęgnować potrzeba i przyzwyczajać dzieci do tego, aby je szanowały i zachowały. Do takich należy uroczysty obchód wigilii Bożego Narodzenia, łamanie opłatka, dzielenie się jajkiem święconem na Wielkanoc i inne.

Zwyczaje te dawne bardzo, cechują nierozwinięty jeszcze umysł człowieka wówczas, kiedy lubował się w zewnętrznych objawach uczuć swych, wyrażając je obrazowo lub symbolicznie. Fantazja, wyobraźnia brała górę nad innemi władzami umysłu, bo kiedy tamte nierozwinięte, spoczywały w uśpieniu, ona lotniejsza wyrobiła sobie obywatelstwo w dziedzinie religji i poetycznym urokiem oblała niejeden akt religijny. I dla tego właśnie, że te wszystkie zwyczaje strojne są takim świeżym, naturalnym wdziękiem poezji, tak łatwo czepiają się świeżej, niezepsutej natury dziecięcia i wrastają w nią silnie — na zawsze, tak że na obczyznie każdy zatęskni za tym lub owym zwyczajem, który w rodzinnym domu, w dziecięcych latach tyle miał nieopisanego powabu. Któż z nas zapomni owych dni błogich, kiedy dziecięciem małem wyczekiwał, kiedy już ta pierwsza gwiazdka zabłyśnie na niebie, by można świece zapalić i rozpocząć uroczysty obchód wigilii! Któż z nas zapomni owej łzy rozczulenia w źrenicy ojca lub matki, kiedyto z miłością tulili nas dzieci do piersi i serdeczne życzenia a błogosławieństwa z ich ust na nas spływały, a jak często nic więcej prócz onego błogosławieństwa nam na dalsze drogi życia dać nie mogąc, jeno wychowanie domowe — nas żegnali! O warto doprawdy, być ubogim, by taki skarb wielki posiadać, by czuć ten pokój w duszy i to błogosławieństwo serdeczne, co niby talizman cudowny od zwątpienia i rozpaczy uchroni, i mieć w pamięci ową łzę rozczulenia na poważnem obliczu ojcowskiem! Takich chwil nie zapomina się nigdy w życiu!

Dla czegóż więc dziatkom naszym nie przysparzać owych czystych a najprawdziwszych może radości! Dzisiaj kiedy chłód i obojętność wszędzie się wkradać poczyna, kiedy moda rugować poczyna wiele pamiątek i zwyczajów religijnych i narodowych — stójmy na straży i wdrażajmy w dziatki nasze poszanowanie tego, co nam w spuściznie po przodkach zostało a co się nie sprzeciwia rozumnemu postępowi, owszem jest niby kroplą rosy w skwarnej moczy materjalnych warunków bytu naszego.

Zewnętrzne objawy miłości rodzinnej, miłości bliźniego i ojczyzny.

Trudno by doprawdy znaleźć dziecię, któreby rodziców swoich nie kochało, lecz prawie równie trudno jest znaleźć takie, któreby wzorowem zachowaniem swojem nigdy im powodu do zmartwienia nie dało a zawsze czyniło im radość i pociechę. Takiej doskonałości od dziecka też żądać nawet nie można. Otóż zadaniem nauczyciela-wychowawcy jest właśnie, przyzwyczajanie dzieci do tego, aby postępowaniem swojem okazywały rodzicom, że ich kochają, aby ich nie martwiły i zmuszały do gniewu i surowości. Zresztą rodzice tak mało zwykle wymagają od dzieci dla siebie, a wszystko czego żądają, opiera się najczęściej na tem, co dla dziecięcia samego na przyszłość jest potrzebne. Należy więc dzieciom jasno przedstawić całą ohydę takiej czarnej niewdzięczności, jakiej dopuszczają się te dzieci, które złem sprawowaniem się martwią rodziców swoich. Położenie nauczyciela jest w tym razie rzeczywiście dosyć trudne, albowiem nieoświeceni rodzice bardzo często psują w domu to wszystko, co nauczyciel mozolnie i pracowicie w szkole zbudował. Lecz i tu nadziei tracić nie potrzeba, wytrwałość w usiłowaniach pomyślnym

skutkiem uwieńczona być musi, a jeśliby nawet znalazły się jednostki, w obec których wszelka praca okazuje się bezskuteczną, przecież ogół zyskuje wiele, a co do owych niepoprawnych — nagrodę znajdziemy w błogiem przekonaniu, żeśmy robili co było można.

Inna rzecz znowu co do stosunku wzajemnego między rodzeństwem. Dzieci nie zgadzają się często ze sobą a jedno drugiemu ustąpić nie chce. Mimo wszelkich upomnień, trudno czasem nakłonić dzieci do zgody. Otóż jestto rzeczą nader ważną, abyśmy zwrócili uwagę na to właśnie, żeby przyzwyczajać dzieci do okazywania czynami wzajemnego przywiązania. Kochając najszczerzej nawet, można być leniwym w pełnieniu obowiązków względem siebie — można w ogóle nie umieć lub niechcieć zewnętrznemi czynnościami objawić swych uczuć. Otóż właśnie przyzwyczajać należy dzieci, aby były chętnymi do zgody, do ustępstwa, do oddawania sobie przysług wzajemnych, bo tak jak niedosyć jest na zimno, mechanicznie lub dla zwyczaju oddawać przysługi wzajemne, tak też nie wystarczy samo wewnętrzne choćby najszczersze uczucie, jeśli się nigdy czynem nie okaże. Cześć dla starszych w rodzinie, względność i dobroć dla młodszych, łatwość znoszenia się wzajemnego, grzeczność, uprzejmość, usłużność, łagodność między rodzeństwem — oto przymioty, które są najwyższą ozdobą życia rodzinnego. Gdzie te cnoty przyjmą się w sercach i w czynach zajaśnieją, tam harmonja i zgoda rodzinna będzie stałą rękojmią szczęścia i zadowolenia. Jakkolwiek przymioty te cenne są i drogie, przecież same przez się, przez mechaniczne ich spełniania węzła rodzinnej miłości stanowić by nie mogły — przecież brak ich zgubne wiedzie za sobą następstwa. Z niegrzeczności rodzą się obrazy i obelgi — te często powtarzane ostudzają uczucie a w końcu do zupełnego zobojętnienia lub nawet i niechęci doprowadzić mogą. A przyzwyczaiwszy się w dzieciństwie do wzajemnego wspierania, w późniejszem życiu pewnie jedno drugiemu chętnie i raźnie na pomoc pośpieszy. Ponieważ wszystkim ludziom Bóg jeden na niebie ojcem — więc my wszyscy jako bracia kochać się i wspierać nawzajem

powinni. Każdy człowiek to brat nasz, to bliźni, którego Bóg sam miłować poleca i który bliźnim, t. j. bliskim naszemu sercu być powinien. Rozlicznemi przykładami, słowem i czynem rozbudzajmy tę żywą miłość bliźniego, a im więcej ziarn tej miłości rzucimy w serca dziatwy naszej, tem lepiej jej później będzie w życiu, bo miasto szkodzić, pomagać sobie będzie nawzajem. Przyzwyczajajmy więc dzieci do owych licznych cnót, które w licznym szeregu się jawią i kojarzą z owem wewnętrznem poczuciem miłości bliźniego. Wdrażajmy je do okazywania litości nad ubogimi jałmużną i pomocą, do przebaczania uraz wzajemnych, do gościnności, grzeczności, usłużności, do chętnego oddawania przysług rozmaitych. Cnoty te łatwo już w obrębie murów szkolnych rozkrzewiać i wdrażać, bo ten gwarny i ruchliwy ludek szkolny, to niby maleńkie społeczeństwo, a w niem już często objawiają się wady i zalety, mające w przyszłości cechować wybitnie charaktery poszczególnych jednostek. Największy nacisk położyć potrzeba na ogólnie rozpowszechnioną wadę okraszania się wzajemnego i wytępiać ją zupełnie.

Miłość ziemi rodzinnej również surowem poczuciem obowiązku objawiać się powinna i sumiennem tegoż wypełnianiem. I jeżeli dziecię przyzwyczai się do ścisłego pełnienia obowiązków swych względem rodziny i współuczniów, toż śmielej żywić można nadzieję, że z niego wyrośnie dobry obywatel i użyteczny członek społeczeństwa.

Posłuszeństwo.

Rozwinięte, myślące i kochające rodziców swych dziatki, łatwo jest wdrożyć do posłuszeństwa. A wdrażać je potrzeba miłością, sercem, częścią wskazując im dobre skutki tegoż, częścią opierając je na

nieograniczonej wierze i zaufaniu, jakie dziecię względem rodziców i nauczyciela mieć powinno. Trudno by nawet rozpoczynać pracę około wychowania, jeżeliby dziecię nie było wychowawcy posłuszne, dla tego wadę nieposłuszeństwa starannie i w samym zarodzie wypleniać potrzeba. Zanim się jakiekolwiek wyda polecenie, dokładnie się nad niem zastanowić potrzeba a konsekwentnie obstawać, by dziecię je wypełniło i danego polecenia, czy zakazu nie cofać nigdy. Jeżeli dziecko pozna, że może raz i drugi nieposłuchać, wtedy z łatwością przyzwyczai się do nieposłuszeństwa; i odwrotnie — poznawszy, że wychowawca baczy pilnie na staranne i dokładne wykonanie każdego polecenia — wdroży się tak do posłuszeństwa, że nawet bez upominania lub kar, posłusznem będzie rodzicom i nauczycielowi. —

Zamiłowanie pracy.

Od wczesnego przyzwyczajenia do pracy, rzec można śmiało, zależy przyszłość człowieka. A rzec to można bezwzględnie, czy to o dziecięciu pałaców, czy wyrobniczej lepianki, czy tam gdzie powodzie złota i kryształów, czy gdzie strzecha słomiana — bez pracy nie ma człowieka. Próżniak — to nie człowiek! To nie owa istota, w której widnieje owa ożywcza idea boskości — to nędzny pasożyt żywiący się krwią społeczeństwa. Wszak życie całe — ruch wszechświata, to praca bezustanna, a gdzie zastój, tam próchno, zgnilizna, z której wytwarza się tylko rój wstrętnego robactwa — zbrodnie.

Lecz jakże dziecko małe, wesołe, ruchliwe, przyzwyczajać do pracy? Czy je zamknąć nad książkami lub nad ręczną robotą przez dzień cały, do nocy, a na drugi dzień tak samo niech wstaje o świcie i dalej a dalej jak w pługu? Bywały i takie

przykłady, a dzieci albo zdrowie straciły lub nienawidziły wszelką pracę i tych, którzy ją jak ciężkie jarzmo na wątłe ramiona wkładali, albo w dziecięctwie już zgrzybiały i jako blade widma smutku i nieszczęścia przeszły od kolebki do wczesnej mogiły. Dziecięciu i swobody potrzeba i zabawy i towarzystwa rówieśników i słońca i świata całego; bo ten świat jego taki mały, tak uroczo zamknięty granicami wioski rodzinnej lub miasta, lub ciaśniejszym jeszcze obrębem zagrody rodzicielskiej! Toż mu tę swobodę zostawmy! niech biega, niech się bawi, niech buduje mosty na małym potoczku, niech stawi domki drewniane i zakłada zielone ogródki. Byleby tylko te wszystkie zabawki miały treść jakąś, jakąś myśl przewodnią, a nie opierały się na złośliwem dokuczaniu drugim lub na pastwieniu się nad zwierzętami.

Przyzwyczajenie do pracy polegać powinno przedewszystkiem na surowem i ścisłem przestrzeganiu, by dziecię wszystkie obowiązki swoje sumiennie i dokładnie wypełniało, a rzeczą wychowawcy jest przydzielenie odpowiednego zakresu tych obowiązków. Zakres ten powinien odpowiadać zdolnościom dziecięcia, usposobieniu jego i ustrojowi fizycznemu. Zdrowe i żywe dzieci więcej i prędzej mogą zrobić niżeli flegmatyczne lub chorobliwe. A potrzeba koniecznie tak umiejętnie naszkicować ten plan zajęć i obowiązków dziecięcia, ażeby po dokładnem i starannem ich wypełnieniu — koniecznie mu zostawić trochę swobodnego czasu na zabawę, inaczej bowiem ono nic robić nie będzie, zniechęci się i będzie robić niedbale, aby tylko się pozbyć i to jedynie ze strachu przed karą a zawsze ze szkodą swych obowiązków, poczem umknie, by użyć swobody. Przez przyzwyczajenie rozbudzić się musi także zamiłowanie w pracy, a gdy chęć żywa i wewnętrzna potrzeba pracy utrwali się w duszy, wtedy ta praca stanie się warunkiem zadowolenia, treścią życia całego. Stanie się szlachetnem przyzwyczajeniem, które już jako wierny towarzysz i przyjaciel aż do późnej — późnej jesieni życia stale człowieka wspierać będzie mocą swą i siłą niezmierną. A w smutkach i czarnych

godzinach niedoli! a w nieprzewidzianych zmianach fortuny czyż nie praca jedynie ratować może od zupełnego upadku? A tyle łzawych dramatów rodzinnych, czyż nie w tem biorą źródło po największej części, że niejedni przyzwyczaili się za młodu do zbytków, do rozrzutności, a nie przyzwyczaili się wcale do pracy?

Niech więc dziecię pracuje od najrańszej doby życia — niech pracuje z chęcią i zamiłowaniem! Niech nawet nie wie o tem, że praca może być ciężarem. Niech pomaga rodzicom w domu i niech się przyzwyczai wcześnie już, w pracy widzieć zadanie całego życia, a próżnowanie będzie je męczyć i nużyć i nie znajdzie w niem nigdy żadnej przyjemności, owszem jako wstrętne i niemiłe precz usuwać będzie. —

Okazywanie szacunku względem starszych.

Od dawnych już wieków cześć i poszanowanie dla starszych należało do cnót obyczajowych i było troskliwie pielęgnowane. Przy wpajaniu tego uszanowania dla starszych, które zewnętrznie czynami objawiać się winno, przeważnie zwracać należy uwagę na dzieci bogatszych rodziców, którzy wychowani w zbytkach a przynajmniej wygodach i dostatkach, sami często bardzo cenią tylko majątek albo pozycją w społeczeństwie, a pomiatają wiekowym i uczciwym człowiekiem, jeżeli on nie ma majątku lub wybitnego stanowiska, i tak samo przyzwyczajają swe dzieci. Otóż na nie to zwracać należy najbaczniejsze starania, aby się wdrożyły do okazywania szacunku tym nawet, o których by w domu słyszeli, że dla tego iż są biedni, nie mają prawa do szacunku. Kolizje podobne rzadko się zdarzają, ale zdarzają się przecie — i tak nawet bywa, że uczeń własnego nauczyciela się wstydzi dla jego ubóstwa.

W tem trudnem zadaniu powinno się wytrwale pracować nad tem, aby w miejsce lekceważenia szacunek i poszanowanie dla starszych a uczciwych ludzi w dusze powierzonych nam dziatek zaszczepić.

Z powyższem zagadnieniem połączyć można także zagadnienie o stosunku, który zachodzić powinien między nauczycielem a dziatwą szkolną. Dzieci powinne kochać, ale zarazem i szanować swego nauczyciela, i ten szacunek w czynach objawiać się powinien. Jeżeli dzieci będą grzeczne, uprzejme, posłuszne, w tem samem znajdziemy najlepszy dowód, że nauczyciel potrafił sobie zdobyć ich szacunek, a bez obszernych teoryj już się w zupełności obejdzie.

Możnaby jeszcze przy spsobności nawiązać kilka uwag o poszanowaniu władzy świeckiej i duchownej. W obecnych czasach, gdzie niby zaraźliwe epidemje, grasują różne prądy socjalistyczne, tem bardziej działać potrzeba przeciwko nim, a działać właśnie nieznacznie, bez wyraźnego objawiania tendencyj naszych, działać przyzwyczajeniem do poszanowania władzy i zwierzchności. —

Porządek i czystość.

Wielką też rolę w życiu odgrywa ład i porządek. Już pierwotni Słowianie bóstwo swoje pod tem imieniem obrali i twierdzili, że ładem tylko ostać się może naród lub państwo. Dla zdrowia ciała i duszy czystość jest nieodzowną potrzebą, więc wpajać należy poczucie i zamiłowanie porządku i czystości, a wstręt do nieładu. Dzieci bywają próżne i lubią, gdy się je pochwali, więc trzeba wyzyskać tę słabą stronę dziecięcego umysłu i wpoić to przekonanie, że to tylko ładne, co ład—ne, co jest w pewnym ładzie, porządku i czystości. Ład — to

zgodność i harmonja, a suknia choćby najpiękniejsza, przy brudnej ręce lub twarzy nie okazuje ładu, nie robi miłego wrażenia, nie może się podobać. Tak samo i w domu, w rzeczach, w ubraniu, w książkach, zeszytach, w opracowaniach piśmiennych i rysunkach czystość i porządek jest nieodzowny.

Poszanowanie cudzej własności.

Własność cudza jest świętą, i bacznie a surowo przyzwyczajać dziatwę należy, by cudzą własność za świętą uważała. Szczegółowe nauczanie o poszanowaniu własności wchodzi w zakres nauki religji i przykazań bożych, które nam nie tylko przywłaszczać sobie, ale nawet pożądać cudzej własności zabraniają, mimoto jednak przy ogólnych uwagach o przymiotach, do których należy przyzwyczajać dzieci w najwcześniejszej dobie ich życia, potrzeba i o poszanowaniu cudzej własności nadmienić, bo właśnie między naszym ludem tak często brak tego poszanowania spostrzedz się daje. Dzieci wiejskie mało mają przykładów domu, dotyczących poszanowania cudzej własności, a przeciwnie patrzą na ciągłe kradzieże, tak że bywają miejscowości, gdzie trudno nawet zebrać czy to owoce jakiekolwiek z sadów, czy miód z pasieki. Otwiera się więc nauczycielowi obszerne pole do działania i na tej drodze wiele pracy potrzeba, aby wpoić w dzieci to przekonanie, że cudza własność jest świętą, aby je przyzwyczaić do poszanowania każdej, chociażby najdrobniejszej cudzej własności; bo jak się przyzwyczajają na małem, w późniejszem życiu i w późniejszych stosunkach przy sprawach ważniejszych prawością i rzetelnością kierować się będą, albowiem nie tylko kradzież jest przywłaszczeniem cudzej własności, ale jest niem także wszelkie oszustwo, zatajenie lub przytrzymanie znalezionej rzeczy lub takiej, o której nie wie prawy jej właściciel. —

Oszczędność.

O zaszczepianiu oszczędności u dzieci wiele w ostatnich czasach rozprawiano. Wiele powag naukowych oświadczało się za nią lub przeciw niej, tak że zbytecznem teraz byłoby, szczegółowo nad nią się rozwodzić. W każdym razie epoka powszechnych prawie materjalnych niedoborów, w której żyjemy obecnie, mimowoli nasuwa nam niektóre myśli co do tej kwestji.

Najlepiej by było, w początkowem wychowaniu zupełnie prawie omijać to wszystko, co ma związek z oszczędnością. Wystarczającem będzie rozbudzanie wstrętu do rozrzutności i objaśnianie, iż lepiej zawsze wydać grosz na coś takiego, co korzyść przynosi, aniżeli na łakocie — chociaż i tutaj trudno dzieciom zabronić stanowczo, aby sobie nie kupowały nigdy żadnych zabawek, ani łakoci. Dziecko przecież potrzebuje i zabawki i pierniczka i cukierka i owoców, a jak kupi dla siebie, z drugiemi podzielić się może, trudno bowiem z niego tak wcześnie już robić taką stateczną i poważną istotę, któraby tylko o korzyściach myślała. Rodzice najważniejszy i decydujący głos w tej kwestji mieć mogą, bo od nich najwięcej zależy, czy mają dawać dzieciom do rąk pieniądze, czy nie. Z dojrzalszemi dziećmi można tę kwestją oszczędności bliżej omawiać, ale w każdym razie brać ją należy ze strony jak najidealniejszej, z tej mianowicie, że oszczędnością możemy przyjść do majątku i drugim czynić dobrze, n. p. osnuwając rzecz na powiastce p. n. „jedno nakrycie."

Gdyby ten pan bogaty, do którego przytoczona powiastka się odnosi, majątku swego nie szanował, nie mógłby u stołu swego biednych przyjmować, bo majątek choćby największy rozrzutnością zmarnować się może. I drugą jeszcze dodatnią stronę oszczędności podnieść można, t. j., że oszczędni są niezależnymi, a przeciwnie lekkomyślni i rozrzutni, przetraciwszy swe własne mienie, stają się ciężarem dla drugich.

Są też niektórzy tego zdania, że dziecku cały świat nędzy ukazać można i zedrzeć wszelkie złudzenia, by chłodne już i trzeźwe wstępowało w życie, a zatem wychowaniem zabić w niem młodość a uczynić je starcem bez ideałów i bez żadnych illuzyj młodości! Teorja to straszna! piekielna chyba, a tem dziwniejsza, iż wypłynęła pozornie z miłości. — W każdym razie ostrożnym być potrzeba, aby nie pozwolić rozwinąć się lekkomyślności i rozrzutności, a z drugiej strony zamiast umiarkowanej oszczędności nie nauczyć dzieci skąpstwa, które obrzydliwe zawsze, prawdziwie potwornem jest w młodości.

Widziałam raz małego chłopca przy kartach, drżał cały na poły z radości gdy wygrał, na poły z trwogi, aby nie przegrał. Wygrane pieniądze schował, cieszył się niemi, liczył, pieścił formalnie, a potem pożyczał matce na procent. Procenta rosły i kapitał się powiększał, a z nim razem rosło i zwiększało się skąpstwo malca, a matka cieszyła się, że syn tak umie grosz szanować. —

Odnachodzenie piękna w naturze i sztuce.

Życie nasze potrzebuje pewnej okrasy, pewnego ubarwienia, tem są wszelkie przyjemności, uciechy, zabawy, których szukają wszyscy we wszystkich sferach i warstwach ludzkiego społeczeństwa. Czyż można szlachetniejszych rozrywek i przyjemności szukać jak te, które już sam Stwórca tak hojnie w około nas rozrzucił po ziemi i niebie! a potrzeba tylko umieć odnaleźć je i zobaczyć! A obok nich równie piękne nastręczają się nam w sztuce. Śpiew, muzyka, malarstwo, poezja, rzeźba — oto zajęcia godne człowieka. Nie myślę bynajmniej poniżać sztuki przez to, iż zalecam ją jako środek nastręczający miłe rozrywki — owszem jestem stałą jej

wielbicielką i sądzę, że sztuka istnieje sama dla siebie i jest nieśmiertelną; — lecz rozwój jej, jej idealne doskonalenie się i postęp spoczywa w ręku wybranych, którym już Bóg sam gwiazdę genjuszu nad czołem zawiesił, a obok tego nie masz może piersi ludzkiej pod słońcem, w którejby nie tliło się poczucie i potrzeba piękna, tylko nie ma komu rozdmuchać tej iskry w jaśniejsze płomienie, więc gaśnie wśród niesprzyjających okoliczności.

Otóż uczmy dziatki nasze, by w tem co prawdziwie piękne szukały przyjemności, a ponieważ wszyscy artystami być nie mogą, więc niechaj się oddają sztuce w chwilach wolnych tylko od pracy, zamiast nużyć się we wstrętnych rozrywkach karczemnych.

Musi też być naturalnie nader szczupły zakres tej artystycznej działalności wieśniaka lub rzemieślnika, a podstawę i zamiłowanie wynieść powinien ze szkoły. Śpiew, muzyka, wyroby tokarskie lub jakie inne, dla dziewcząt także różne rodzaje robót ręcznych — oto zajęcia, którym powinien się oddawać w chwilach wolnych każdy człowiek uczciwy a mający poczucie piękna w swej piersi.

Strasznie smutne musiałyby być myśli człowieka, któryby nigdy od poziomu rzeczywistości i codziennych zajęć swoich myśli nie oderwał i nie podniósł. Mózg jego byłby jako istna machina skomplikowana i warcząca niemiłosiernym zgrzytem kół i kółek rozmaitych.

Uczmy więc dziatki szkolne poznawać i kochać, co piękne i wzniosłe — a przysporzymy im wiele czystej i niewinnej radości, która tylko w czystem sumieniu i prawem życiu istnieć może. —

Tak więc doszliśmy do kresu pobieżnie wprawdzie i nie wyczerpująco, szkicując tylko z lekka ważniejsze zarysy, dotyczące moralnego ukształtowania naszego ucznia, a teraz należy nam również zastanowić się trochę, czy we względzie naukowym można posłużyć się przyzwyczajeniem dla umysłowych korzyści uczących się a ku ułatwieniu pracy uczącego. —

Zastanawianie się.

I tutaj przedewszystkiem rozwijać potrzeba umysły a przyzwyczajać do umiejętnego patrzenia się na wszystko i do zastanawiania się i myślenia. Tysiące sposobności do tego nastręcza nam nauka poglądu, a skoro dziecko przyzwyczai się zastanawiać i myśleć, daleko raźniej postępować będzie nauka i głębiej utrwali się w pamięci, jeśli się ją oprze na dokładnem i całkowitem zrozumieniu przedmiotu, o ile to w danym zakresie jest możliwem i koniecznem.

Pilność i uwaga.

Mówiliśmy już poprzednio o przyzwyczajaniu do pracy, a teraz zastanowimy się nad pilnością, która jest jakoby siostrą rodzoną pracowitości a przecież nie identyczną tejże. Pracowity może wiele robić a niekoniecznie dobrze, pilny stara się wszystko wypełnić na czas i dokładnie — oto różnica. Nauczyciel powinien się starać jak najbardziej rozkrzewiać ten przymiot pilności i przyzwyczajać dzieci, aby były pilnemi, aby starały się zawsze, wypracowania swe pisać czysto i dokładnie, wyuczać się również jak najdokładniej wszystkich lekcyj zadanych i w ogóle wszystkie polecenia spełniać w oznaczonym czasie i dokładnie.

Karność Szkolna.

Takt w postępowaniu, ścisłe przestrzeganie tego, by żadne zuchwalstwo i swywola nie pozostały bez

upomnienia i skarcenia; konsekwentne przeprowadzanie danych poleceń, powaga i rozsądek nauczyciela — oto zasadnicze warunki karności szkolnej. Gdzie któregokolwiek z nich braknie, tam wszelkie teorje o karności zupełnie na nic się nie przydadzą.

Przedewszystkiem potrzeba przyzwyczajać dzieci do posłuszeństwa, a za niem pójdzie snadniej karność szkolna, bo upomnienie wystarczy, a z czasem będzie nawet zbytecznem. Zresztą obecność nauczyciela w klasie przed i po godzinach szkolnych, ścisły dozór zabaw i nastręczanie im takowych będą także bardzo dobremi środkami do zachowania porządku i karności.

Zamiłowanie pracy umysłowej.

To cośmy powiedzieli przy uwagach o poczuciu piękna, da się i tutaj zastosować. Mianowicie ażeby w chwilach wolnych przyzwyczajały się dzieci szukać rozrywki w śpiewie, w rysunku, lub w czytaniu, bo nic innego tutaj przez wyraz: pracę umysłową nie rozumiemy. A nauka nasza nie będzie zmarnowaną, skoro dziecię rozmiłuje się w czytaniu i w chwilach wolnych czytaniem rozszerzać będzie wiadomości w szkole nabyte. Rzecz to dosyć trudna takie przyzwyczajanie do czytania, lecz dojść możemy do celu, jeżeli będziemy dawać do czytania dziatwie szkolnej dziełka jej wiekowi odpowiedne a ciekawe i zajmujące. Skoro dzieci się zajmą i zasmakują w czytaniu, będzie łatwo przyzwyczaić je do stałego rozmiłowania się w niem.

A zatem cenne i błogie są skutki przyzwyczajenia i może ono jako pomocniczy środek wychowawcy być wybornym czynnikiem w pracy naszej około dobra tych maluczkich.

Toż w nauce szkolnej i w nauce uzupełniającej posługujmy się niem ciągle, aby ono dopomogło do rozkrzewienia się wiary, cnoty i moralności, rozumu

i wiedzy, które z krwawym trudem i mozołą w umysły i serca tych przyszłych obywateli kraju zasiewamy, a ponieważ każdy czyn dobry i zacny sam w sobie jest nagrodą, więc i my nagrodę a chwałę naszą znajdziemy w błogiem przekonaniu, żeśmy czynili wszystko, co było w naszej mocy, aby obowiązki nasze spełnić i mieć staranie około dobra tych, których nam powierzono.

Pruska dziewica,

POEMAT NA TLE HISTORYCZNEM z czasów Konrada, księcia Mazowsza.

W DOWÓD WYSOKIEGO POWAŻANIA

Wielmożnemu Panu

G. KOHNOWI

w rocznicę jubileuszową wydawnictwa przypisuje

Bolesław Andruszewicz.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Szumi modremi Wisła falami,
A w nich się kąpią Chełmu wieżyce,
Owite jeszcze rannemi mgłami,
Co okrywają pruską ziemicę.
I Wisła bieży, ku morzu bieży,
Niesie na barkach szkuty ładowne,
Niesie z zachodnich Polski rubieży,
W ponadbałtyckie miasta handlowne

Złotą pszenicę i ziarna żyta,
W zamian odbiera żółte bursztyny,
Które wyrzuca fala obfita,
Wyrwawszy burzą z morskiej głębiny.

I szumi Wisła i falą bije —
A brzeg się wstrząsa i drży opoka,
Na której sterczy wieża wysoka —
Tam się w jej oknie światełko kryje.

Przy tem światełku w pełnej zbroicy
Siedzi za stołem rycerz w zadumie,
W światło zwrócone ponure lice —
Snać coś rozważa — i w myśli tłumie
Jedną jaśniejszą spostrzegł gdzieś w dali....
Wnet mu się oko ogniem zapali:
„Dobrze — rzekł — pójdę, zwołam rycerzy,
Niech trębacz zaraz w rogi uderzy,
Niech się zgromadzą zbrojne szeregi.
Wojskom się Wisły poddadzą brzegi,
A nurty czarne koń nasz przepławi,
Brzegu dosięgnie w pruskiej ziemicy:
Tam się nasz oręż stalny okrwawi,
Po trudzie spoczniem w pogan świetlicy!“ —

Dawno to było — rok mija cały,
Jak Krystyn Gródek odwiedzał biały
I tam w tym Gródku w rówieśnic wianku
Ujrzał Jadwigę jak kwiat w poranku. —
I odtąd wiecznie w jego pamięci,
I odtąd wiecznie widok jej nęci,
I odtąd Krystyn kochał bez miary,
Posełał listy, bogate dary...
Ale daremna — bo już innego
Jadwiga kocha!... I nie dla niego
Uśmiech czarowny, oczu wejrzenie....
Daremna kochać! na nic marzenie!

I teraz Krystyn w długiej zadumie
Śniąc o dziewicy zabolał srodze,
W smutnych się myśli zagłębił tłumie
I myślom wolno popuścił wodze.

Smutek i żal mu serce rozdziera,
Rozpaczy słowo z ust się wydziera:

„Ach! tak ją kocham, szał mię porywa....
Do stóp się kłonię pruskiej dziewicy;
Ona szyderstwem zimnem przeszywa
I precz odgania!... Czyż mej prawicy
Nie dźwignąć miecza? Nie chcesz być moją?
O mam ja zbrojnych służalców krocie,
Co za mną w orlim podążą locie!
Wyniszczę, spalę krainę twoją!
A ciebie piękna! na Chełm zawiodę,
W chełmskich pałacach twoją urodę
Niechaj podziwią! Tyś mi królową,
I za twe jedno serdeczne słowo
Koronę wzniosę, tron ci wystawię,
Albo nałożę sam w bojach głową,
Albo świat cały mieczem okrwawię!“

Tak mówił Krystyn i klasnął w dłonie:
„Hej tu rycerze! zaraz na konie!
Nam się wyprawa w pruski szlak znaczy,
Noc chmurna, ciemna — nikt nie obaczy
Przeprawy Wisłą!“
Surmy zagrały,
Wnet się szeregi zbrojnych zebrały —
Wódz okiem przejrzał i skinął dłonią:
Jako się zboża od wiatru kłonią,
Jak fale rzeki płynąc od brzegu,
Tak się skłoniły głowy w szeregu:
Znak, że rozumią. Most padł zwodzony
Przez rów szeroki na drugą stronę,
I oddział zbrojnych stalą rycerzy
Już przez równinę ku Wiśle bieży.

II.

Jako huragan na morza toni
Leci, wzbijając fale w obłoki
A potem fala chyla się, słoni
I już łagodzi swoje wyskoki,
Tak oddział zbrojnych w Wisłę się wali,
Rozburza do dna jej nurt głęboki

A potem cicho z spokojnej fali
Na brzeg się czarny wdziera wysoki.
I jadą cicho, tylko czasami
Zbroica szczęknie, stuknie podkowa,
I kamień pod nią błyśnie iskrami,
Lecz nie usłyszysz głosu, ni słowa.

Już się noc ciemna ku dniowi zbliża,
Mgła szara, gęsta na błoń się zniża
I obejmuje w koło rycerzy,
Co przeciągają miecze, pancerze;
Bo już szarzeje wioska w oddali
I widać, światło w Gródku się pali.
A wojewoda patrzy ponuro,
Niepewny w stronę uderzy którą.
Stanął, wzniósł dłonie: „Słuchajcie, wiara!
Kto mi przywiedzie pruską dziewicę,
Dla tego będzie złocista czara,
Pełna czerwieńców. Łupów nie liczę:
Te dla was!“
Jako wicher wśród boru,
Jako się wali dąb od toporu,
Tak tłumnie ruszy wojsko i zbrojnie...
Gródek spał we śnie cicho, spokojnie.
Runęły bramy, stalą zrąbane
I legły straże, co rozespane
Nie wiedzą, wróg li, czy swój się zbliża;
I tak jak z góry lawina chyża
W dolinę wartko z siłą się toczy,
Tak Krystyn z swemi w zamek poskoczy.

Któżto śmie opór stawić wodzowi?
Biada szablicy i jego głowie!
Już miecz o pancerz zgrzyta, uderza;
Lecz widno rycerz spotkał rycerza,
Bo się zwycięztwo długo wahało,
Nim w moc Krystyna młodzieńca dało.
U zamku Krystyn stanął podwoi,
Nie czuje wagi żelaznej zbroi,
Tak go szał pędzi. Wchodzi w świetlice:
Tam jak gołąbki białe dziewice
Tulą się w strachu, co z niemi będzie,

Bo kędy spojrzą, krew płynie wszędzie,
A wszędzie jasno, bo zamek płonie,
Więc wszystkie płaczą i łamią dłonie.

Pomiędzy niemi jakby królewna
Stoi dziewica. Brew się jej gniewna
Marszczy nad czołem, w dłoni stal błyska
A drugą dłonią piersi przyciska,
I czeka z sercem, bijącem w łonie,
Nim w niem morderczy sztylet utonie.
Chwila już tylko. Spiesz wojewodo,
Bo wnet zapłaczesz nad jej urodą!
Dziewica stoi, waha się jeszcze,
Śmierci ją czarnej przechodzą dreszcze.
Lecz nie — nie śmierci ona się lęka.
Nie straszy oręż, choć groźnie szczęka,
Jej tylko straszne więzy niewoli,
Tylko niepewność straszna ją boli,
Bo wie: Świątosław poszedł do boju.
Czyż zdrowo wyjdzie z krwawego znoju?
Waha się jeszcze... może zwycięży.....
Lecz coraz bliżej już szczęk oręży,
I do świetlicy Krystyn już wbiega....
O znak to straszny! widno nie żyje
Świątosław luby! I krew spostrzega,
Co po pancerzu wężem się wije....
Opuszcza sztylet bezsilna z ręki,
Chyli się, słania i tak omdlona,
Ciche westchnienie wydała z łona,
Białością kryjąc swoich lic wdzięki.
Po chwili bladość znów ustąpiła,
Zabłysło oko dawnym płomieniem,
I miasto bolu, co przemknął cieniem,
Duma się tylko w licach żarzyła.....

Krystyn się pojąc pięknem uroku,
Śledził płomieni w jej ciemnem oku,
I ów zwycięzca dumny, zuchwały,
Stał jak pacholę przed nią nieśmiały.
„Czemuż się wahasz? Uderz w pierś moją!
Patrz! nie okryta żelazną zbroją!“...

A z twarzy bladej przebija tuha*),
Lecz wzrok jej dumny jakby królowej,
Gdy do Krystyna przemawia słowy:
„Tyś mnie zatracił, tyś zabił druha!
Czemuż się wahasz?... Uderz Krystynie!“ —
„O nie! przenigdy — rzekł wojewoda —
Piękna Jadwiga z rąk mych nie zginie,
Bo nie dla grobu lic jej uroda,
Ale dla ludzi, dla mnie, dla ciebie,
Byś była szczęsna jak anioł w niebie! . . . .
Ty moją będziesz, moją na zawsze....
Spojrzenie twoje będzie łaskawsze
I tuszę sobie, kiedyś ty przecie
I mnie pokochasz, lube me dziecię!“ —
„O nie!“ — odrzekła dumna dziewica,
Kryjąc we dłonie białe swe lica:
„O nie! przenigdy — ty miast kochanki
Znajdziesz w Jadwidze żmiję ukrytą,
Co cię, miast róże zwijać na wianki,
Zemstą uraczy, w całun owitą,
I poić będzie ciebie trucizną
I rozpacz tylko weźmiesz spuścizną!“ —
„Jadwigo! błagam! zmień swoje słowa!
Ja cię tak kocham.... ciebie tęczowa
Dola osnuje przez moją wolę.
Ja twego życia okraszę dolę
Cudnemi barwy: będziesz jak w niebie,
A ja twym sługą, wielbiącym ciebie.
Będę cię pieścił, bawił jak dziecię,
Tylko twem słowem powróć mi życie....
O bądź łaskawszą, bądź moją wiecznie,
A ja ci dolę twą usłonecznię,
Ja cię ogłoszę moją królową,
Tylko rzecz jedno, jedyne słowo!“ —
„Dość już, Krystynie! precz próżna mowa!
Próżnych słów szkoda, drogie są słowa —
Masz mię bezbronną, wiedź do swej ziemi,
Tylko się pozwól pożegnać z temi“ . . . .

---

*) Tuha — tęsknota.

I ściska wszystkie dziewy z kolei,
I wszystkie cieszy słowem nadziei,
Co od niej samej już odleciała,
Choć wprzód tak jasno do niej się śmiała . . . .
Najdłużej żegna mamkę rodzoną:
„Bądź zdrowa moja! w daleką stronę
Idę me życie wieźć w poniżeniu,
Miejcież Jadwigę we swem wspomnieniu!“
Stara Rogneda tuli dziewicę:
„Któż ci w obczyznie scałuje lice?
Kto ukołysze ciebie na łonie?
Kto z potu twoje obetrze skronie?
Bądź zdrowa, dziecię! Lecz nie — proś jego,
Niech mię zabierze tam na swe grody:
Tam ja strzedz będę twojej urody,
Twojej młodości od zła każdego!“

III.

Znów Wisła szumi goniąc falami,
Fale się burzą w walce z wiosłami,
Lecz wiosła dzielne i Wisłę zmogą,
I statek wiodą znajomą drogą.
Pysznyż to statek! Wiatr w żagiel wieje,
A żagiel oku z dala bieleje,
A statek płynie, brzegu dobija;
Na brzegu wojsko, lud się uwija
I głosy tłumów płyną wesoło.
Lud wita wodza, otacza w koło,
Rad że on zdrowy z wojny powraca.
Zachodne słońce ziemię ozłaca
I wieczór cichy na ziemię pada,
Lecz skądeś czarnych kruków gromada
Przelata górą w ciemnym obłoku,
I smutno, straszno kracze i biada!
Z pysznego statku Jadwiga schodzi
Dumna i śmiała, choć ze łzą w oku.
Okrzyk podziwu w tłumach się rodzi:
„Jak piękna ona! branka dziewica!
Jaka postawa, jakie jej lica!

Jak dumnie okiem spogląda w koło
I gniewną chmurką marszczy swe czoło!“
Lecz nie jak branka, jak niewolnica
Wszystkim się zdaje, lecz jakby pani —
A łzą jej zaszła czarna źrenica
Współczucie budzi i serce rani.
Ona podbiła wszystkich wejrzeniem,
Niedolą swoją żal w tłumach budzi,
Bo kto się tylko zna z łzą, z cierpieniem,
Dumną postawą jej się nie łudzi.

IV.

Krystyn dziewicę na zamek wiedzie.
Paziowie niosą świeczniki w przedzie.
Weszli w komnaty: „Tu twe pałace,
Tu cię królową moją obaczę!“
Rzekł wojewoda — „na twe rozkazy
Gotowe paziów, służebnic roje;
Co ci się kiedy zarządać zdarzy,
Spełnią tej chwili skinienia twoje.
Tu będziesz szczęsna, a ja przy tobie
Wszystko zapomnę, o moja droga!
O niebie tylko śnić będę sobie,
Lecz gdy ty zechcesz, zapomnę Boga!“ —
„Idź wojewodo, zostaw mię chwilę!
Niech ból mój ciężki w sercu ukoję,
Niechaj łzę oddam tym, co w mogile,
Tym co zginęli za wolność moję.
Tyś rycerz, umiesz ból uszanować,
Pofolguj prośbie i racz darować
Choć dziś dzień jeden brance niewolnej,
Do innych uczuć dzisiaj niezdolnej.“ —
Odszedł, posłuchał i nie rzekł słowa —
Tylko na progu szepnął:„ Bądź zdrowa!“

W komnacie w koło wszędy makaty,
Wszędy złotogłów i sprzęt bogaty —
Ściany z kamienia, stropy sklepione
Jakby niebiosa w górze zwieszone.

Jadwiga patrzy okiem zdziwionem,
Lecz podziw znika, a ból zostaje....
Daleko za nią we mgle jej kraje,
Minęło szczęście z kochanka zgonem,
Bo on nie wróci — on w walce zginął.....
I sen złocisty w oddali spłynął,
I tylko straszna mara niewoli
Przed okiem stoi, więc serce boli....
Weź ty ptaszynę z przestworu świata,
Weź ją do klatki, oddziel od brata,
Tak i Jadwidze te złote ściany
Mówią, że sny jej na wiek rozwiane,
Mówią: nie wrócą ci szczęsne lata,
Dla ciebie tylko więzienna krata.
Stała Jadwiga z twarzą nadobną,
Piękna jak anioł, jak bóstwo jakie,
Piersi przyciska prawicą drobną:
„Za cóż ja cierpię ach! bole takie?
Za cóż dnie złote w chmury się skryły?
Czemu mi łzami dnie się owiły?“
Pochyla główkę w smutnej zadumie —
O któż jej pojmie ból i zrozumie?
Klasnęła w dłonie — na ławę siada.
Ze ściany czarna opona spada,
Z po za opony Rogneda stara
Jakby duch jaki, jak jaka mara
Zwolna wychodzi: „Dziecino moja!
Nie płacz — nie wskrzesisz łzami twych braci,
Łzami przybladnie lic krasa twoja
I oczko czarne swój blask utraci.
Nie płacz — lic szkoda i oczu szkoda,
Tyś taka piękna, tyś taka młoda!“ —
„Nie mów mi, nie mów o mej młodości —
Cóż ztąd żem młoda, kiedym w niewoli,
Kiedy mię serce tak strasznie boli
I w niem nadzieja już nie zagości“....
„O nie dziecino! szczęście powróci,
Ono cię z smutku twego ocuci:
Krystyn cię kocha!“ — „Milcz, milcz przez Bogi!
I nie ćmij bardziej mi życia koła,
Które już dosyć ściemnili wrogi!
Kochać go serce moje nie zdoła!“ —

„O przebacz dziecię! jam nie wiedziała,
Żem ci tem ranę w serce zadała;
Przebacz dziecino — bo ja dla ciebie
Chciałabym szczęścia, jakiego w niebie
Sami Bogowie tylko doznają.“ —
„O mamko droga! Wrogi nie dają
Chwil szczęścia nigdy; oni je trują,
Ich wzrok zakaża serca, co czują,
Ich widok wstrząsa duszą do głębi,
Ich mowa piersi gorące ziębi!“ —
„Lecz Krystyn? on ci przecie nie wrogiem?“ —
„Krystyn nie wrogiem? Więc czemż on będzie,
On, co mię bolem okrył tak mnogim,
On, co jak Zły - bóg straszy mię wszędzie,
On, Światosława zabójca srogi,
On, co znieważył domowe bogi,
On, co mię pojął w swoją niewolę
Na gorszą hańbę, gorszą niedolę!
Więc czemż on będzie?“ — „Cicho, dziecino!
Niechaj łzy z oczu twoich nie płyną!
Światosław może nie zginął jeszcze,
Tak mi przeczucia coś mówią wieszcze.
Jeśli nie zginął, to tu powróci
I twej żałoby dnie prędko skróci.“ —
„O dajcież bogi, by on nie zginął,
By nam powrócił zdrowy we zbroi,
By mi sen straszny z myśli przeminął,
Co serce, duszę wciąż niepokoi —
Lecz nie, daremna, on musiał zginąć,
Nie wszedłby w Gródek Krystyn inaczej;
On Światosława nie mógł ominąć,
Światosław w boju zaginął raczej....
Lub może ranny?... rana się zgoi....
O ta myśl błoga wszystko mi koi!“
Płakała biedna i łzy po twarzy
Jasnemi perły się potoczyły....
O bo Światosław tak był jej miły!
Spuściła główkę i myśl coś marzy:
O ukochanym, rodzinnej ziemi.
O! czyż się kiedy połączy z temi,

Co byli braćmi, były siostrami —
A więc łez jasnych płacze perłami.
Rogneda tuli w smutku dziewicę,
Lecz sama dłońmi zakryła lice.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Kołysz się, kołysz łódko na fali,
Lśniącej się blaskiem srebra, korali!
Kołysz się, kołysz, łodzi wesoła!
Piany się bielą u twego czoła,
Rybki pląsają na fal lazurze,
Myjących czarnej skały podnóże.
Tem bursztyn w słońcu złotem pobłyska,
Wyrwany burzą z morza łożyska.

Czarna noc w koło już się rozsiadła,
Zorza wieczorna ciemniejąc zbladła —
A tam na skale ognik jaśnieje,
Wiater nim rzuca, kręci i chwieje.
Płomień ten wiecznie tutaj się pali,
Świecąc błądzącym po morzu z dali.

Łódka rzucona falą burzliwą,
Piersią dotyka ziemię życzliwą;
I z łódki rycerz w zbroi wychodzi,
Hełm zapuszczony lica mu kryje,
Pancerz mu piersi chrobre owije
I kord zaszczęknął o krawędź łodzi.
Rycerz go dłonią przytrzymał skoro
I wśród ciemności mrocznej wieczoru
Szukał drożyny, wiodącej w strony,
Gdzie jaśniał płomień słabo roztlony.

Tam przy ognisku burką owity
Siedzi Warcisław. Wicher mu kitę

Rozwiał na jasnym hełmie ze stali,
W którym się płomień odbity pali.
Głowę pochylił na dłoń w zadumie,
W myśli się czarnych zagłębił tłumie:
Ojczyzna jego we krwi, w płomieniach,
A bracia, siostry w wroga więzieniach!
Ciężko żyć w świecie — krew zemsty woła....
Lecz któż przeważnym tłumom podoła?
Tam Krzyżak dziki, Lach niespokojny
Ciągle szukają powodów wojny —
Ciągle zarzewia niezgody niosą:
Ziemiom i lasom krew teraz rosą.
O smutno, smutno na pruskiej ziemi:
Niebo owite chmury czarnemi
I jasny promyk już nie wystrzela,
Na pruskiej ziemi nie masz wesela! . . . .

Warcisław siedział w smutnej zadumie,
I smutnych myśli spędzić nie umie.
W tem słyszy kroki i widzi śmiałą
Rycerza postać — woła wzruszony:
„Tyś to? Światosław! A mi się zdało,
Że cię śmierć w swoje porwała szpony —
Ty żyjesz? powiedz, powiedz mi bracie,
Co się tam dzieje, jak się tam macie,
Jak wam te chwile wśród bojów biegą,
Czy dobrze Prusy Gródka mi strzegą.
Niepewne tylko wieści tu miałem,
Mów, co się dzieje na Gródku białym.“ —
„Nie pytaj lepiej, o Warcisławie!
Patrz! ja krwią własną pancerz mój pławię,
Wróg zburzył zamek, ona porwana....
Mię z nóg zwalila śmiertelna rana,
Nic nie pamiętam. Po mojem ciele
Krystyn w komnaty podążył śmiele:
Jadwiga w Chełmie!... Ranny, złamany
Tutaj przybyłem, daj kroplę wody, —
Upadam z trudu, pieką mię rany,
Duszno mi w piersi — trochę ochłody!“...
„Ona w niewoli? w ręku Krystyna?
O straszna, gorżka mi ta godzina!
Jadwiga moja! Ty jej kochanek

Czemuś nie bronił, raczej nie zginął!“ —
„O ja walczyłem, lecz wrogów wianek
Objął mię w koło; miecz mię nie minął,
We krwi upadłem — widzisz — umieram!“ —
„O nie! żyć musisz, bo zemsty trzeba,
Ja zaraz druhów na pomoc zbieram,
A skoro zmieni się księżyc z nieba,
Na Chełm pójdziemy!“ — „O tak, pójdziemy
Obalić w gruzy Chełmu wieżyce,
Polskie rycerstwo w puch rozbijemy,
Z ziemią zrównamy Krysta stolicę —
O tak, tak trzeba! Sił mi przybywa
I dłoń się sama do miecza zrywa.“

I długo jeszcze obaj radzili,
I dłonie bratnie milcząc spoili.
A tam na wschodzie jutrzenka blada
Zwolna się z cieni nocy wykrada.
Mgły się podnoszą, a morza fale
Szumią i skaczą na brzeg zuchwale.
I szumi, kipi i wre toń morza,
A wicher fale wzbija w obłoki;
Na wschodzie słońca promienna zorza
Złoci płomieńmi skalne wyskoki.
I fala kipi i noc uchodzi,
I już się słońce przegląda w wodzie.
Raz jeszcze przewiał wiatr od brzegu,
I gdzieś zaginął w szalonym biegu.
Więc rozhukana fala przypada
I w ciszy morskiej do snu się składa.
Powstał Warcisław, broń podniósł z ziemi
I Światosława drogi znanemi
Wiódł w swoje sioło, w swój dwór drewniany,
Co w koło rowem był okopany.

We dworze cisza — tylko sług kilka, . . .
Ci zbroją jasną lub skórą wilka
Okryli barki kute z kamienia.
Drudzy broń czyszczą koło podsienia.
Warcisław klasnął w dłonie na sługi:
Wszyscy ujrzeli że był coś gniewny,

Bo miał na twarzy czerwone smugi,
I krok choć rześki, chwiał się niepewny.

„Hej tu rycerze i wierna służba!
Za broń! za tarcze! Na konie siadać!
Kraj nasz wróg zalał, nie czas nam biadać.
Tam niebo płonie — dobra nam wróżba,
Bo ogień zbrojnym jaśniejąc w dali
Rozbudzi serca i krew rozpali,
I mścić się każe rodzinnej ziemi,
I krwi braterskiej, co się czerwieni
Szeroką strugą. Wszyscy pójdziecie
Po pruskiej ziemi, braci wezwiecie,
Aby się zbrojno tu w moim dworze
Wszyscy stawili o jednej porze:
Kiedy się księżyc na niebie zmieni.
Ja tam gdzie zwykle siędę na górze,
Płomień rozniecę śród nocnych cieni,
Płomień ten niechaj za cel im służy,
Gdyż tutaj wszyscy zebrać się mają!“ —

Pomknęła służba do brony*) zgrają,
I za chwil kilka tylko w oddali
Jeszcze stuk słychać podków i stali.

II.

W Chełmie niepokój, rozruch się wszczyna,
Bo obwieszczona wszystkim nowina,
Że książę Konrad jutro przybędzie
I do książęcych sądów zasiędzie.

Straszne to sądy! Srogie, surowe —
Nie jeden straci mienie i głowę,
Bo książę Konrad nic nie przebacza!
Wszyscy drżą w strachu, winni, niewinni,
Bo księcia groza tylko otacza,

---

*) Brona — brama.

Siepacze tylko u niego czynni,
Tylko schlebianie księciu popłaca.
Chytry, lubieżny, władca ospały,
W rozpuście tonie i w pianstwie cały;
A biada kto się jemu sprzeciwi:
Nad tym zapłaczą cicho życzliwi,
I grób tajemnie kopią w cmentarzu,
I głośno słowa wyrzec nie ważą. *)

Chełm zadrżał cały na wieść straszliwą:
„Konrad przybywa! Konrad w te mury!“
Rozległ się w koło okrzyk ponury.
I Krystyn wyszedł, skinął co żywo:
„Wiara na konie! powitać księcia
Pośpieszym wszyscy za mury grodu!“
Każdy z rycerzy poprawia spięcia
Pancerza, hełmu i już do zwodu
Wszyscy się śpieszą. Krystyn na czele
Jeden do księcia zbliża się śmiele,
I pozdrowiwszy z pokorą sługi,
Prowadzi orszak książęcy długi
Na gród, do miasta.
„Mój wojewodo!
Zawoła książę — w Płocku słyszałem,
Że tu się boje z Prusaki wiodą
I o zwycięztwie twojem wieść miałem.
Dzięki ci za nie; pewnie te boje
Przyniosły tobie zdobycz niemałą,
Co opłaciła trudy i znoje.
A może dziewę jaką z Prus białą
Przywieść zdołałeś? Piękne tam dziewy!
No cóż Krystynie! czemuś ponury!
Czy nie weselą ciebie jej śpiewy,
Żeś na swe czoło naciągnął chmury?“ —

---

*) Charakter Konrada ks. mazowieckiego skreślony wiernie podług kroniki Kromera (str. 386), z której to kroniki i pomysł niniejszego poematu wzięty. Krystyn wojewoda chełmski jest również postacią historyczną, trzeba go tylko odróżnić od szlachetnego Krystyna, wojewody mazowieckiego.

„Panie! bój wiodłem, łupy zdobyłem
I te w książęcym skarbcu złożyłem —
Lecz co do dziewic — żadnej nie brałem!“ —
„Ho, ho, Krystynie! tak kłamstwem śmiałem
Ty się nie wyprzesz, daremna próba,
W kłamstwie, Krystynie, dla ciebie zguba!
Znam ja Jadwigę, znam ja jej lica —
Piękniejszych niema druga dziewica
Na świecie całym — a więc, Krystynie,
Przyślesz ją do mnie wraz w tej godzinie!“ —
Zakończył Konrad, spojrzał wesoło,
A wojewoda opuścił czoło.
„Idź, wojewodo! pomnij rozkazy!“

Konrad wszedł w zamek. Krystyn wzniósł dłonie,
Zatrząsł się cały: „O nie! Sto razy
Rozkaż — rozkazom twym się nie skłonię!
Jadwiga moja! Któż się poważy,
Własność Krystyna przywłaszczyć sobie?
O dumny książę! ona nie tobie,
Nie tobie, dziki tyranie pjany,
Ten łup mój pruski będzie oddany!“

I poruszony, gniewny, szalony
Podąży w komnat Jadwigi strony.
Wpadł do komnaty. Jadwiga stała
W bieliznie, sama jak lilia biała,
Na cudnych licach przygasł rumieniec,
Białe jej czoło oplatał wieniec
Wodnej lilii. Jej cudne oczy
Pełne łez czystych. Kruczy splot włosów
Po jej ramionach bujnie się toczy.
Jak posąg stała bolem przejęta,
Co go jej dała dola przeklęta.
Skoro Krystyna postać ujrzała,
Wzniosła ku niemu swe drobne dłonie,
Spuściła oczy i tak nieśmiała
Na licach cudnym rumieńcem spłonie:
„Krystynie słuchaj, ja błagam ciebie,
Puść mię do brata, do mojej ziemi!
Mnie smutek tutaj tak życie cieni,
Że tam w ojczyznie przy suchym chlebie,

Stokroć szczęśliwsze życieby było,
Bo mnie tęsknota tam ciągnie siłą,
Której nie zmoże nic tu na świecie!“ —
„Jadwigo moja! o drogie dziecię!
Przebacz mi wszystko — ja cię kochałem,
Ja ci dać dolę i szczęście chciałem,
Lecz dzisiaj widzę, nie w mej to mocy:
Bo cię czarniejsze od czarnej nocy
Losy otoczą, bo ciebie pragnie
Mieć Konrad książę! Przebacz, o droga!
Lecz nim ku celom swoim mnie nagnie,
Przysięgam tobie na cześć, na Boga,
Że raczej zginę niż w jego dłonie
Oddam cię, piękna! Ja cię obronię
Tym mieczem moim, a potem skrycie
Do Prus umkniemy — tam inne życie!
Nie — już zapóźno! — Słyszysz szczęk broni?
Wiesz, co to znaczy? To idą oni —
Lecz miecz mój z twardej wykuty stali,
Podłych służalców sprosta nawale!“

I dobył miecza, stanął jak skała,
Bronić Jadwigę i życie swoje.
Od licznych kroków ziemia zadrżała,
I już poparte pękły podwoje . . .
Sam książę Konrad idąc na czele,
Zbrojnych siepaczy prowadził wiele.
Spojrzał na Krysta, co z pod przyłbicy
Słał blask ponury z ciemnej źrenicy —
I zadrżał cały, cofnął się w kroku,
Do miecza sięgnął, co miał u boku:
„Poddaj się Kryście, sługo zuchwały,
Jeśli żyć pragniesz i chcesz być cały!“ —
„Książę mój! panie! nie dla mnie groźby —
Tych się nie lękam, niedbam o życie,
Lecz ty wysłuchać musisz mej prośby,
Musisz dać wolność pruskiej dziewicy —
Inaczej tobie nie złożę broni,
A miecz mój wierny nie pryśnie w dłoni!“

I stanął dumny na bój gotowy,
Bo Krystyn nigdy nie zniża głowy.

Jadwiga w głębi z Rognedą stała
Spokojna, cicha — coś jej szeptała,
Potem ją żegna, żegna na wieki:
„Żegnaj na zawsze, mamko, bądź zdrowa!
Jutro snem wiecznym zawrę powieki,
Jutro się moja nie wzniesie głowa.
Żegnaj kochana — żegnaj — bądź zdrowa!“
Ściskając mamkę coś jej szeptała,
Potem węzełek z rąk jej zabrała —
I gorżki uśmiech przemknął po twarzy,
Bo już spokojna, co bądź się zdarzy.

Wspaniałym, dumnym i pewnym krokiem,
Z wzniesionem czołem, z płomiennem okiem
Staje przed księciem: „Czekaj Krystynie! —
Niechaj krew tutaj darmo nie płynie,
Nie chcę twej śmierci — żyj, wojewodo!
Książę Konradzie! niechaj mię wiodą
W twoje komnaty, lecz wiedz to panie,
Że mię nie ujrzy słońca świtanie!
O bo Jadwiga nie jest niczyją,
Śmiertelni z ust jej rozkosz nie piją!
Pójdźmy!“ — Zawoła — i krokiem śmiałym
Z komnat wychodzi z licem zbielałem.

W pustej komnacie, sam jeden w zbroi
Bez ruchu, czucia, wojwoda stoi.
Ból dech mu zaparł, strętwiały dłonie,
W ogniu stanęły lica i skronie,
Łza męska, duża z pod powiek płynie
I na powietrzu stapia się, ginie.

O ta łza męska, to łza niezwykła!
To najstraszniejsza z wszystkich łez w świecie,
To łza rozpaczy wylęgłej z piekła,
Co samowolnie czynami miecie!
O kto w rozpaczy z mężów łzy leje,
Ten stracił wszystko: wiarę, nadzieję!

I długo, długo Krystyn bez ruchu
Stał sam, sam jeden — a w dali głucho . . .

Grom dolatywał, w oknach ciemniało
I burza biegła straszną nawałą.
Podniósł dłoń w górę: „O grzmijcie nieba!
I bijcie gromy — burzy mi trzeba!
O lżej mi teraz . . . . . wy gromy, burzo!
Bądźcie świadkami przekleństwa mego,
O śpiewy wasze w porę mi służą,
Gdy ja gotuję zemstę dla niego.
O tak przekleństwo, klnę się na Boga,
Zemsta dla ciebie, Konradzie, sroga!
A ty, Jadwigo, nieszczęsne dziecię!
Jam ci tak zatruł jasne twe życie,
Jam ciebie wtrącił w przepaść niedoli,
Aż myśl się mąci, aż serce boli.
O rycz tam burzo, gromy trzaskajcie
I zemście strasznej zasnąć nie dajcie!
O ryczcie burze, wichry szalone,
Do zemsty budźcie jędze uśpione!“

Zachrzęsła zbroja; Krystyn zemdlony
Upadł na ziemię zemstą trawiony,
A gromy biły, burze szalały
I błyski jasne noc rozświetlały.
O straszna noc to — Wisła burzliwa
Jakby do walki z niebem się zrywa.
Grom bił w nią z trzaskiem — nie straszny fali —
Tylko ją olśnił blaskiem korali,
I Wisła zda się by krwawa struga,
Bez końca wielka, szeroka, długa.
Wreszcie ucichły gromy szalone
I chmury czarne zbiegły na stronę,
A księżyc jasny po niebie płynie,
I blaski sieje swe po równinie.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Po drugiej stronie Wiślanej fali
Słychać szczęk broni, huk podków, stali,

Słychać rozkazy z gniewem rzucane,
Widać rycerstwo pruskie zebrane:
Wszyscy gotowi Wisłę przepłynąć,
Lecz baczą naprzód, jak czaty minąć,
Co bród pilnują. Wisła burzliwa,
Wzmożona dziką deszczów nawałą,
Pieni się, szumi, brzegi zarywa,
Chciałaby siłą wściekłą, zuchwałą
Wszystko znieść morzu jako dań swoją.
Nad jej falami rycerze stoją;
Czekają tylko wodza skinienia —
I chociaż Wisła szumi, wre, pryska,
To zapał wszystkich pierś opromienia,
Nie straszna głąb im. Fala się ciska,
Piany rozbija, mąci kryształy,
Pędzi do morza polotem strzały;
Lecz konie dzielne fale przemogą,
Wisła ich nigdy nie przejmie trwogą:
Bo one nieraz już ją przebyły
I prąd szalony piersią rozbiły.

Lecz wódz stać kazał — myśl jakąś snuje
I myśl mu ciężka czoło rysuje,
Więc wszyscy patrzą, hasła czekają
I silniej w dłoniach miecze ściskają.
A burza ryczy, a gromy biją,
A fale Wisły pienią się, wyją.

Warcisław duma, długo myśl waży,
Na licu zapał ogniem się żarzy:
Już podniósł miecz swój, Wisłę wskazuje,
Lecz go Światosław jeszcze wstrzymuje:
„Stój Warcisławie, słuchaj mej rady,
Ja się przebiorę i wprzód pojadę
Na Chełm, na zamek. Gród to potężny —
Nie łatwo zmoże go lud orężny.
Ja pójdę naprzód a wtedy może
Brama się zamku prędzej otworzy.
Gdy będę gotów, z narożnej wieży
Jasne światełko wzrok twój uderzy;
Gdy światło ujrzysz, wnet spiesz do brony,
Ujrzysz ją wolną na wszystkie strony —

Lub może prędzej gdy światło błyśnie,
Jeszcze tej nocy brama rozpryśnie,
Jeszcze tej nocy łuna zaświeci,
Chełmski gród stary z dymem uleci!“ —
„Jedź Światosławie, lecz wracaj skoro!
Czekać będziemy jutra, wieczoru,
A jutro — tuszę — noc nas powita
Na chełmskim zamku, nim dzień zaświta!“

Światosław skoczył z koniem do fali;
Fala go z razu całkiem okryła.
Rycerze za nim z brzegu patrzali,
A Wisła wściekłe nurty toczyła.
Lecz koń zwyciężył wodne nawały,
I przeciw wodzie płynął zuchwały.
Już przebył Wisłę i w oddaleniu
I koń i jeździec zniknęli w cieniu . , . .
Czasami tylko, gdy piorun strzeli,
Stal się pancerza w ogniu zabieli.
Warcisław skinął, żołnierze zbrojni
Gdzieś poniknęli cisi, spokojni.

II.

W komnacie księcia ciemna noc włada,
Okien zasuwy szczelnie zaparte,
Lecz i tu słychać, jak grom tam gada,
Jak deszcze leją nieba rozwarte.
Burza się dziwnie sercu dostraja,
Bo i niem walka miota straszliwa,
Jej huk, szum, świsty myśl uspokaja,
Co umorzona chwilę spoczywa,
Nim się znów zerwie na bój, na srogi,
Straszniejszy stokroć niż walka burzy,
Co przelatując świata rozłogi
Wszystko wyniszczy, nim się unuży.
O i myśl także, nim się ukoi,
To słabsze serca złamie, rozerwie,
Rozpacz i pancerz stalny rozkroi,
Rozpacz i pasmo życia dni przerwie!

„Rycz burzo, szalej! Przy twoim tonie
Nie takim żarem czoło me płonie,
Lżej mi tu w sercu. Wyj, wichrze mroźny,
I ty bij gromie, tyś mi nie groźny!
Co? ty ucichasz, burzo szalona?
Wy wichry sił już zadąć nie macie?
O! do was wznoszę z prośbą ramiona,
Uderzcie gromy, spokój mi dacie!“

Konrad się zaśmiał, i śmiech piekielny
Echem się odbił o strop komnaty,
Konrad z dziewicy śmiał się bezczelny,
Że aż zadrżały pyszne makaty:
„O wołaj gromów, o wołaj burzy,
Burza nie tobie, dziewo, usłuży,
Grom nie usłucha i nie uderzy
W twoją pierś białą, co się tak śnieży
I blaskiem swoim wabi i woła.
O tyś mi piękna! Z twojego czoła
Takie promienne blaski mi płyną,
Że w nich świetlące brylanty giną!“ —

Pomknął lubieżnik, wyciągnął dłonie,
I cały sprośną chucią zapłonie.
Jadwiga z grozą na licu stała,
Dumnem spojrzeniem księcia wstrzymała,
Że książę pełen żądzy i pychy,
Stanął jak wryty, spokojny, cichy,
Przelękły blasku źrenic płomiennych,
Świetlących ogniem śród mroków ciemnych.
„O czekaj książę — czekaj zuchwały!
Ty nie znasz czarów siły potężnej,*)
Ja niemi władam! Nie ujdziesz cały —
Nawet za tarczą zgrai orężnej!
Czary cię moje zgubią, uśmiercą,
Jeśli ty będziesz czci mej mordercą —

*) Wiadomo, jak w wiekach średnich a nawet i w nowożytnych w najoświeceńszych klasach, ludzie wierzyli w czary i obawiali się takowych.

Precz lubieżniku!“ — Konrad struchlały
Cofnął się w kroku; straszne mu czary,
On drżał przed niemi nawet w dzień biały,
Jak gdyby niebios trwożąc się kary.
„Stój, stój, Konradzie! Śmierć cię nie minie!
Od czarów moich wnet książę zginie:
Więc póki pora, precz ztąd przez Boga,
Bo już za chwilę nie przejdziesz proga!“ —
I dumnie ręką księciu skinęła,
A potem w głąb się izby cofnęła.

Książę w przestrachu wyszedł z komnaty,
Bojąc się swego życia utraty.
Jadwiga z wzgardą za nim patrzała
I dzikim śmiechem cicho się śmiała;
Lecz tchu jej brakło — okno otwiera:
Na dworze wicher i grom zamiera,
Cisza nastaje, a z poza chmury
Miesiączek patrzał jak przez łzy z góry:
„Ha! umrzeć trzeba, taka ma dola!
Taki sąd w niebie i bogów wola!
O ja was żegnam: kraju rodzony,
Wiosko ty moja i śnie miniony,
Żegnam cię Wisło, twe szumy smętne,
Twe fale ciemne, kwiaty na brzegu,
Te lilie jasne, bielsze od śniegu,
Te gajów cichych cienie ponętne —
I was, o ptaszki! żegnam na wieki,
Bo nie podniosę jutro powieki
I już nie ujrzę słońca, ni nieba,
Wszystko porzucić, pożegnać trzeba!
A jam tak młoda! Jasną wróżono
Mnie od powicia dolę tęczową —
A teraz ziemi skryć ma mnie łono,
Pod deską spocząć mam ja grobową!
O umrzeć trzeba!.... wyrzec się świata!“...

W tem ją pieśń cicha zkądeś dolata:
Tej pieśni nuta, to pruska nuta,
I z pruskiej piersi tęsknej wysnuta;
Zna ją Jadwiga, zna jej ton smętny,
Tak rzewny, miękki, cichy, ponętny.

Wtem przy niepewnym blasku księżyca
Błysła jej dobrze znana przyłbica,
I w nocnym mroku postać rycerza
Prosto swe kroki ku oknu zmierza.
„To on! Światosław!“ — Serce poznało
I silniej w piersiach dziewy zadrgało.
„Tyś to? Jadwiga?! Dzięki wam bogi,
Żeście tak szczęśnie wiedli me drogi!“ —
„O Światosławie! przez litość proszę,
Wyrwij mię z więzów strasznej niewoli,
Nieznane tobie ja męki znoszę —
O nie wiesz, serce jak bardzo boli!
Wyrwij mię, zabierz, bo za godzinę
Ja śmierć tu znajdę, ja umrę, zginę!“ —
„O nie! żyć będziesz, jam tu do ciebie
Spieszył, dnie skrócić twojej niewoli —
Długoś czekała, lecz człowiek doli
Zmienić nie umie, ona na niebie
Jest w bogów ręce!“ — „O tak, mój drogi,
Widno, tak chciały złe Czerno - bogi,
Byś był przez wroga w boju zmożony
I tam cierpiałeś ranny, skrwawiony,
A ja nie mogłam bolów ci słodzić,
Nie mogłam skroni twej z ogniów chłodzić!....
O jak cierpiałam!“ — „O drogie dziecię!
Dzięki ci, dzięki — czyż moje życie
Warte tak wiele?“ — „Cicho mój drogi —
Życie twe dla mnie! to moje życie!
Boś ty mi jeden, jeden na świecie,
Drugi Warcisław — mów, czyli bogi
Zawsze go strzeżą?“ — „Gdzie Wisła rzeka,
Warcisław wieści odemnie czeka.
On w noc jutrzejszą na wojska czele
Chełm opanuje — wojska ma wiele.
On mścić chce krzywdy pruskiej krainy:
Zapłaczą lasze córki i syny —
Jutrzejszą nocą zamek zdobędzie,
I jutro męce twej koniec będzie.“ —
„Jutro? ach jutra czy ja dożyję?
W pierwszy blask słońca wnet wyrok padnie,
Ja mój zatruty puhar wypiję...

Czy jutro ujrzę nikt to nie zgadnie....
Za chwilę może Konrad przybędzie,
Jedna śmierć tylko wtedy ocali....
O umrzeć wtedy lepiej mi będzie,
Nim rozpacz dzika i wstyd mię spali!
W czarną noc teraz Konrad się boi,
Bom go straszyła czarów potęgą,
Lecz noc się długo już nie ostoi —
O Światosławie! klnę cię przysięgą:
Zabierz mię dzisiaj!... już ranek świta!“...
„Ha! bogów wola dziej się na niebie —
Więc dzisiaj, zaraz zabieram ciebie,
Lecz czyż się uda, przebyć nam bronę,
Co tak strzeżona na wszystkie strony?“...
„Może się uda!“ — „Lecz gdy poznają?
Gdy nas w około otoczą zgrają?“ —
„Wtedy zginiemy razem oboje,
Ja się przy tobie śmierci nie boję!“ —
„Nie! nam nie zginąć, ale na wieży
Trzeba światełko zatlić. Czas bieży,
Spieszmy się luba. Gdy światło błyśnie,
Wnet tu Warcisław zbrojno się wciśnie,
A wtedy, wtedy i Konrad zginie,
I ciebie luba, lęk twój ominie.“ —
„Nie Światosławie! wszystko daremna!
To okno w górze, ta wieża ciemna,
To wieża Krysta!“ — „Nie bój się Krysta,
Nie bój, Jadwigo! Krystyn skorzysta
Sam przezto wiele — bo zemstę znajdzie.“

Nigdy straszniejsza trwoga nie najdzie,
Jak gdy wróg nagle tak się ozowie,
I gdy szyderstwo brzmi w jego słowie.
Lecz Krystyn prawdę mówił im całą,
Bo zemsty rządzą serce mu drżało:
On chcąc ujść z zamku do pruskiej ziemi,
By pomoc zbrojną sobie uprosić,
A potem mściwą ramiony swemi
W Chełmie pożogę straszną roznosić, —
Wyszedł z swych komnat, lecz raz ostatni
Zapragnął spojrzeć w okna dziewicy —

A szedł po cichu, choć był w zbroicy
I słyszał wszystkie słowa rozmowy,
Więc płomyk zatlić sam był gotowy.
„Czekajcie tutaj, za chwilę z wieży
Światło źrenice wasze uderzy,
I brony także rozerwę zwory,
Niech Chełm i Konrad zginą tej pory!“
Rzekł i co prędzej znikł między mury.
Wnet jasny płomyk błysnął u góry:
„Teraz, Jadwigo, niech lęk twój zginie,
Już nam jaśniejsza dola tu płynie,
Już płomyk jasny świeci się z wieży —
Lecz czemuż Krystyn tak szybko bieży?
Jakiż lęk goni jego w te strony?“ —
I patrzał w lice jego zdumiony:
Krystyn był dziwnym ogniem oblany,
I chwiał się trwożnie gdyby pijany.

W tem dzwon zadzwonił i okrzyk: „Zdrada!
Zdrada, o zdrada!“ brzmi z naokoła,
I tłum żołnierzy z bliska wypada.
Krystyn się broni, lecz nie podoła
Przeważnym tłumom. Pada przeszyty
Pięciu mieczami, zemsty nie syty.

Konrad, co śledził kroki Krystyna
Rozesłał szpiegi, i nim godzina
Północnej pory nadeszła skoro,
On miał wiadomość, że ponad Wisłą
Pogańskich Prusów zeszło się sporo.
Daremnie światło z wieży zabłysło,
Bo szpieg mu przyniósł wieści o zdradzie:
Że skoro płomyk błyśnie na wieży,
Wnet i Warcisław na Chełm uderzy.
A więc rozkazał swojej gromadzie
Pilnować wieżę i wojewodę
I brankę pruską, dziewicę młodę,
I tak w tej chwili, gdy płomyk błysnął,
Cały rój wojska Krystyna ścisnął,
A gdy padł Krystyn, wnet tłum żołnierzy,
Kędy komnaty Jadwigi, bieży.

Światosław objął w koło dziewicę
I raz ostatni jej białe lice
Całując żegnał. „Razem zginiemy!“
Rzekła Jadwiga: — „razem, mój luby!
Razem przed sądem bogów staniemy,
I tam na wieki zawrzemy śluby,
Tam już moc żadna nas nie rozdzieli!“ —
„Tak, nie rozdzieli!“ — I podniósł dłonie,
I spojrzał dumnie; wszyscy zadrżeli —
Lecz książę Konrad, co stał na tronie,
Krzyknął na swoich: „Śmierć zuchwalcowi!
Dziewicę porwać!“ — Światosławowi
Nie zadrżą piersi, a miecz dotrzyma
I zapalczywa walka się wszczyna,
A ile razy mieczem uderzy,
Zawsze na ziemię trup pada świeży.
Ale już ranny, rana głęboka,
Oczy zakrywa czarna pomroka:
„Żegnaj Jadwigo, żegnaj jedyna!“
I miecz opuszcza, kolana zgina —
Jeszcze raz wzniósł się, podniósł powieki
I znowu zamknął, lecz już na wieki.
„O żegnaj luby . . . . o żegnaj drogi . . . .
O i mnie sen już ogarnia błogi
I ja umieram . . . . o jak to miło! . . . .
Jak koło serca ciepło i duszy —
O ty nas razem złączysz, mogiło,
A węzłów naszych wróg nie rozkruszy!
O tak mój luby . . . . razem . . . w mogile,
Razem spoczniemy za krótką chwilę!“ —

I tuląc usta swe do ust jego,
Złożyła główkę do snu wiecznego.
Węzełek który Rogneda dała,
Sprawił, że zmarła dziewica biała.

III.

Cóżto? czy znowu burza się zrywa?
Czy to grzmot słychać stłumiony w dali?

Czy może huczy Wisła burzliwa?
Nie, to na zamek tłum jezdnych wali.
Pękła w natarciu brama kowana,
Padła straż mieczem w chwili zrąbana;
A już i zamku wieżyce płoną
I pruskie miecze we krwi już toną.

Tam gdzie zamkowa tłumnie załoga
Stoi skupiona, tam Warcisława
Gnały niepokój i straszna trwoga
O los Jadwigi i Światosława;
Bo zdala dojrzał w niepewnym zmroku
Dwa ciała drogie w jednem objęciu.

Pierś mu zadrżała, łza błysła w oku,
Jak jasny brylant w kosztownem spięciu.
. . . .
Pierzchły przed wodzem tłumy rycerzy —
Wódz miecz odrzucił — patrzy, nie wierzy.
Przeciera oczy: „Ha! wy nieżywi!
Późno przybyłem, moja to wina,
Lecz mię przyjmiecie, o nieszczęśliwi,
Bo i mnie tutaj śmierci godzina.“

Rzekł, miecz porywa w żelazne dłonie
I po rękojeść zanurza w łonie.

Tymczasem padła zamku załoga
I Konrad ledwo umknął w przebraniu:
Na płocki zamek gnała go trwoga.

Noc się zbliżała już ku świtaniu:
Lecz nim słoneczna zorza powstała,
Prusy podnieśli trzy martwe ciała!

Koniec.

Lwów, dnia 30. Stycznia 1885 r.

PRZYCZYNEK

do materyałów

REFORMY POLSKIEGO ALFABETU.*)

Wiadomo, iż nie masz może pomiędzy wszystkimi, przynajmniéj europejskimi językami, języka z alfabetem tak zawikłanym i tak obfitym w różne brzmienia głoskowe, niemające osobnych, specyalnie utworzonych znaków, ale określone tylko za pomocą krések, kropek i zestawień głosek — jak polski.

Alfabet czeski mógłby może zająć po nim jedno z pierwszych miejsc przez swój las krések i haczków, ale daleko jeszcze czeskiemu alfabetowi do naszego z powodu braku w czeskim języku miękkich naszych brzmień, jak ć, dź, dż, a po części i szcz.

*) Umieszczamy artykuł szanownego autora tylko jako projekt i to taki, któremu do urzeczywistnienia jeszcze bardzo daleko. Sami jesteśmy za zrównaniem o ile można największem zawiłości, których bez liku nastarcza nam obecna pisownia polska; ale czy projekt szan. autora doprowadzi do pożądanego rezultatu — pozwolimy sobie o tem wątpić. Zresztą kreskowane e zostało już stanowczo zarzucone przez lwowskie dziennikarstwo; inaczej ma się rzecz z kreskowanem o. Jaka bowiem różnica istniałaby wtedy między słowami Bóg (najwyższe stworzenie) a Bug (rzeka), nie mówiąc nawet o innych licznych synonimach. Zresztą zaprojektowana mięszanina ruskich i polskich liter w polskiem abecadle utrudniłaby tylko sprawę, zamiast ją ułatwić. Polak nie przyzwyczaiłby się nigdy do podobnego czytania i pisania, Rusin zaś nie czułby się bynajmniej obowiązanym do wdzięczności wobec wynalazcy tego nowego abecadła. *(Przyp. red.)*

Język nasz rodzinny byłby jednak może dość szczęśliwie wybrnął z tych zawiłości, gdyby nie fatalny pomysł określenia najznaczniejszéj części obcych innym językom (mianowicie niesłowiańskim) brzmień za pomocą kombinacyi głoski z z innemi spółgłoskami jak c (cz), d (dz), r (rz), s (sz) i nakoniec złożone, najgorsze ze wszystkich szcz. Dlatego nie dziwmy się zabawnéj na pozór anegdocie o narzekaniu jakiegoś Niemca na trudność wyuczenia się polskiego abecadła. „In diesem Alphabet — piorunował wspomniany Niemiec — muss beinahe bei einem jeden Buchstaben ein zett (z) stehen: c-z, d-z, d-z mit einem Punkt oder einem Strich dazu (dż i dź), r-z, s-z, s-z c-z: überall ein zett!“

To nieszczęśliwe z daje się także dziatwie naszéj, uczącéj się abecadła, nieźle we znaki, a oprócz dziatwy także nam samym, zmuszonym na jednéj ćwiartkowej stronicy napisać według mego pobieżnego obliczenia około 34 z pomocniczych, gdy zwykłych z samoistnych tylko około 7 wypada.

Otóż nasuwała się już niejednemu myśl, czyby się tego pomocniczego z, wziętego może z języka węgierskiego, w którym i dziś figuruje (aby długo nie szukać, niech na przykład ten, komu los daje jeszcze monetę, czyta na węgierskim guldenie: Ferencz, czytaj Ferenc, Franciszek), czyby się tedy tego pomocniczego z nie dało usunąć i największa część tych nowatorów poszła tu nieostrożnie na lep czeskiego alfabetu, mającego znaki č (cz), ř (rz) š (sz), przy czém las krések i haczków mający jeszcze powiększyć się naszémi kréskami i kropkami nad c (ć), dz (dź i dż), n (ń), z (ź i ż) — bynajmniéj ich nieodstraszał.

Natomiast o klejnocie starosłowiańskiéj skarbnicy, o alfabecie utworzonym przez św. Cyryla (albo, jak chcą niektórzy, jeszcze przódy przez Hieronima), o tym nikt nie pomyślał, a to może dla politycznego antagonizmu wobec Rosjan a nawet Rusinów, którzy

podobnego alfabetu używają. Pomimo to nie da się zaprzeczyć, że alfabet ten, mimo niższości swéj w porównaniu z łacińskim — a to głównie z tego powodu, że za wielka stosunkowo ilość głosek zajmuje linją środkową tylko — że alfabet ten tedy posiada kilka bardzo cennych głosek specyficznie słowiańskich, których żadną miarą pominąć nie można w żadnym rozsądnym słowiańskim alfabecie. Temi głoskami są: ж (ż i rz), ч (cz), ш (sz), щ (szcz), a dodajmy nawet х (ch). Nie trzeba długo dowodzić, że pomimo wszelkiego antagonizmu politycznego, wolałby jednak każdy z nas pisać: чęsto zamiast często, шéroki zam. széroki a zwłaszcza téż щéry zamiast szczéry, a nieszkodziłoby nawet dodać хata zam. chata. Tu nie można pominąć téj myśli, że jak z jednéj strony używającym cyrylicznego alfabetu nie ma potrzeby zazdrościć znaków „jir“ i „jor,“ pomimo że wielu z nich zdają się być prawie dumnymi z tych znaków, tak z drugiéj strony alfabety łacińsko-słowiańskie, jak polski lub czeski, muszą Rosyan czyli Moskali, Rusinów, Serbów, Bułgarów odstraszać mimo wykazanéj przezemnie wyższości nad kirylicą, głównie przez swoje z pomocnicze jako téż kréski i kropki. Co prawda tym ostatnim już trudno byłoby dać radę, gdyż tu trzebaby chyba powymyślać nowe znaki, do czego ja przynajmniéj nie mam wielkiéj ochoty, już ze względu na to, że nie łatwo znalazłby się ktoś, któryby na to chciał zamawiać nowe czcionki.

Natomiast nie mogę pominąć na tém miejscu fałszywości, z jaką w polskim języku używamy głoski i. Że pisownia takiego cisnąć, ciebie, niszczyć, niewinny, wiele, biorę i t. d. nie oddaje dokładnie brzmienia, nie ulega żadnéj wątpliwości, jak nie mniéj, że mając takie ć, dź, ź, nie potrzebuję kłaść c, z, dz i i dla wyrażenia zmiękczenia, którego i właśnie wyrazić nie może, gdyż chcąc być dokładnymi nie możemy n. p. od zgłoski ci żądać innego brzmienia jak od niemieckiego zie w ziehen, od zgłoski ni innego jak w nie-

mieckiem nie (ni nie ńi). Tu należałoby koniecznie pisać: ćisnąć, ćebe, ńiszczyć, ńewinny, wele, borę, perze, żelony i t. p.

Kończę tych parę uwag kilkoma wierszami z Mickiewicza, w których pisowni uwzględniam wyżéj podane myśli, przy czém muszę zaznaczyć ubolewanie, że w starosłowiańskim alfabecie nie znalazłem nader potrzebnéj głoski na nasze dz, dź, dż, które téż na razie pozostawić czuję się zmuszonym.

Natenczas Wojski xwyćił na taśme pжypęty
Swuj rug bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąж boa; oburąч do ust go pжyćisnął,
Wzdął poliчki jak bańe, w oчax krwą zabłysnął,
Zasunął wpuł poweki, wćągnął wgłąb puł bжucha
I do płuc wysłał z ńego cały zapas duxa.
I zagrał. Rug jak wixer wirowatym dexem,
Ńeśe w puщę muzykę i podwaja exem.
Umilkli stжelcy, stali щwaчe zadżiweńi
Mocą, чystośćą, dżiwną harmonią peńi.

Pan Tadeuщ, kśęga IV.

Miejmy nadzieję, że pienia Adama w téj nowéj pisowni zadziwią nawet szczwaczów swą mocą, czystością i dziwną harmonią i zmuszą do umilknięcia nawet strzelców, którzyto strzelają, nie wymierzywszy porządnie, a nawet nie naładowawszy jak się należy. —

Przypuśćmy jeszcze, że na dz, dź, dż mielibyśmy osobną głoskę, a tu dodam, że pomimo iż starosłowiański znak x (cha) używany bywa za iks, choć i tak zastępujemy go zwykle przez ks lub gz, to wolałbym może ten prosty znak widzieć używanym jak w starosłowiańskim i greckim alfabecie (x),

lub pozostawiony wprawdzie, ale na ch wymyślony jaki inny.

Swój, róg, pół piszę podług zasady pisowni fonetycznéj jedynie rozsądnéj, pomimo że w razie przyjęcia téj zasady zachodzić mogłaby obawa, ażeby ci, co dotąd, zwłaszcza w normalnych szkołach, otrzymywali nieraz trójki za taką pisownię, nie wystąpili z pretensyami wobec dotyczących nauczycieli.

Dodam na tém miejscu, że alfabet stenograficzny podniesie w przyszłości swoją potężną chorągiew i wyruguje wszystkie inne, dobrze przestarzałe i pożerające zbyt wiele czasu i mozołu przy pisaniu i czytaniu.

Wł. Gr. Kozłowski.

Po powrocie z pogrzebu.

Wróciłam z pogrzebu.... I kiedyż, mój Boże!
I ja moją głowę już w trumnie położę,
I ja już też zamknę zmęczone powieki,
I usnę snem cichym — spokojnym — na wieki?
I czegóż ci wszyscy, co nad trumną stali,
Rozpaczą i łkaniem zmarłego żegnali?
Czyż, gdy całe życie przechodzi wśród znoju,
Godzi się zazdrościć choć w grobie spokoju?
Łzy żalu wyciska nam zimna mogiła,
Co drogą istotę w swem wnętrzu ukryła,
A gdy trup żyjący błąka się po świecie,
O! to łzę współczucia pewnie nie znajdziecie!
I nikt nie pomyśli, że taka mogiła,
Co wiarę, nadzieję i miłość pokryła,
Cięższa do zniesienia niźli trumny wieko,
I wtedy od życia — śmierć lżejsza daleko!
Bo jakież to życie, kiedy żyć potrzeba,
A my nie widzimy ni ziemi, ni nieba,
Przed nami pustynia bez gwiazdy i słońca
I ciemno nam w duszy — och! ciemno bez końca!
I gdy nam tak wszystko co święte zabrano,
Co wzniosłe w nas było nogami zdeptano,
Obdarto z ułudy — — czyż naszą to winą,
Że życie nam wtedy li czarną godziną?
A czarna godzina gdy trwa długie lata,
A my choć wśród ludzi — samotni wśród świata,
To grzech ciężki łzami przerywać tę ciszę,
Co w grobie snem wiecznym nas już ukołysze!

Marja Grochowalska.

Przemyśl, 1881.

AFORYZM.

Cały żywot do niczego,
 Skoro duch się wykolei,
Brak nam serca ofiarnego,
Wiary brak i brak nadziei.

G. Kohn.

Stacja Krasne, 27. Lipca 1886.

Lwem naród polskiej ziemi,

(epigram skreślony z powodu prześladowań narodowości polskiej ze strony Prusaków i Moskali.)

Uwięź lwa; lew więziony będzie schlebiał tobie,
 Paszczę jego pogłaskasz, nie zgrzytnie zębami,
Lecz gdy więzy pozrywa, to na twoim grobie
Z zemsty pomnik wywróci; wróg pan — a my [lwami.

Władysław Łonicki.

Epigramy Marjana Ciesielskiego.

NASI KRYTYCY.

Pseudo - literat siedział przy stole,
Wzrok wlepił w kartę swej teki:
Tysiąc mu myśli biegło po czole,
Lecz koncept uciekł na wieki.
— I pocóż — rzecze — tak się mozolić
Nad jakimś głupim wierszykiem?
Źle napisawszy, mógłbym się zgolić,
Więc wolę zostać krytykiem.

NIESTETY!

Miała usta jak korale,
A oczy z błękitu —
A śpiewała . . . doskonale!
Grała . . . do zachwytu!
Była godłem cnót kobiety
I jak anioł święta!
Miała wszystko, lecz niestety!
Ni jednego centa!

OTUCHA.

Gdy się cały świat sprzysięga
 Na mą zgubę i cierpienia —
Gdy mię srogi los zaprzęga
W rydwan bolu bez sumienia —
Gdy już mam wyzionąć ducha,
Przygnieciony męką biesa —
Jedna czeka mię otucha:
Idę szukać.... handełesa!

NIESZCZĘŚCIE POETY.

Mam zdolności, talent, humor
 I wszelkie zalety —
Piszę wiersze i nowele:
Mam duszę poety!
Mimo tych podniosłych zalet
Jedno mię dotyka.
Bo świat mówi, że mam jeszcze,
Że mam jeszcze . . . . bzika!

MY I GRECY.

Pomyśl sobie, ile głupców
 Sławna Grecja mieć musiała,
Jeśli mędrców tylko siedmiu
W dziejach swoich zapisała.
My nie znamy mędrców wcale —
Cóż więc o nas przyszłość powie?
Tyle tylko, żeśmy wszyscy
Kruhom dur . . . . .
 A pcich! na zdrowie!

Warszawa dnia 7. Września 1831 roku.

Wiersz Mikołaja Bołoz Antoniewicza

na 50-tą rocznicę 29. Listopada 1830*).

Na cmentarzu dzisiaj tłumno . . .
Wielki pogrzeb, — trumnę niosą;
W krzyż na trumnie pika z kosą,
Pop brodaty, czerń za trumną.
W trumnie Olbrzym; — chciwość, zdrada,
Przemoc, życie mu wydarły;
Czerń go zbrojna w grobie składa:
Bo jej straszny ten umarły,
Co krwią znaczył swoje ślady,
Nim mu zwarła śmierć powieki.
— Wiecie kto ten olbrzym blady,
Złożon w trumnę jak na wieki?
Ach, to Naród wielki, dzielny,
Naród polski — zgnębion losy;
Ten to starzec srebrnowłosy,
W samej śmierci nieśmiertelny!
Wieniec z cierni mu w bladawe —
W bohaterskie wbił się skronie;
Ręce w krzyż zatopił w łonie
Tam, gdzie rany ciężkie, krwawe.

---

*) Powtarzamy niniejszem bodaj w przedruku improwizację sławną Antoniewicza, wydaną następnie we Lwowie jego nakładem a przedrukowaną także w „Dzienniku Polskim.“ Dla rzeczy podobnych bowiem najlepsze miejsce w księgach zbiorowych celem utrwalenia ich w pamięci przyszłych pokoleń.
(Przyp. red.)

Świat spogląda nań boleśnie —
I na zimny grób otwarty;
Starzec leży jakby we śnie,
Bo wielkości ślad nie starty.
    Puzan żalem nie zawodzi;
    Pogrzebowe milczą pienia;
    A brodaty pop dowodzi —
    Że „co prochem — w proch się zmienia.“
Już obsypał prochem zwłoki;
Już się trumna w ziemię spuszcza;
Już ją połknął grób głęboki . . .
„Amen!“ woła pop i tłuszcza.
    Wtem się wznosi postać blada:
    W ręku wagi, w biel odziana;
    Czerń przelękła gnie kolana,
    Woła: „Sprawiedliwość! — biada!“
Tak, to ona! — staje w kole,
Jak wysłany Prawdy goniec;
By położyć kres niewoli,
I męczeństwu zrobić koniec;
    Tym kajdanom w kość wrośniętym;
    Piętnowaniu w Sybir słanych;
    Do podziemnych prac skazanych;
    Łzom do lica przymarzniętym;
Wydzieraniu matkom dziatek —
By zaludniać step, pustynie;
I zatrzymać krwi ostatek,
Co z narodu serca płynie.
    I podniósłszy czoło dumne,
    Groźnem okiem tłum przeszywa;
    I wskazując w grób, na trumnę,
    Głosem gromu się odzywa:
„Jak męczeństwo Apostolskie
Świat do zbawczej wiodło wiary:
Tak do bytu wiodą Polskę
Jej męczeństwa, jej ofiary!
    „I jak Chrystus ożył w grobie,
    Żeby śmierć nie miała mocy:
    Tak chorągiew Wielkiej nocy,
    I ten trup zdobędzie sobie!“
Rzekła, — i patrz! — Starzec w grobie
Wzniósł się, stanął, — już Młodzieniec...

Cierń zamienił w lauru wieniec
I na skroń go włożył sobie.
    Włożył: p r a c y w y t r w a ł o ś c i ą,
    Kraj z upadku podnoszącą;
    S i ł ą d u c h a i j e d n o ś c i ą
    I m i ł o ś c i ą d ł a ń g o r ą c ą!
Hej, młodzieży! — niech to słowo
Wciąż ci w duszy, w sercu tętni!
A zbudujesz P o l s k ę n o w ą,
Znikną dla n i e j obojętni!
    A my, bracia Weterany!
    Dziś okryci już siwizną —
    I nie jedną chlubną blizną —
    Z odebranej w bojach rany:
Chwyćmy w niegdyś dłoń orężną,
Dziś już drżącą od starości:
Puhar na P o l s k ę w p r z y s z ł o ś c i —
P r a c ą i d u c h e m potężną!
    Puhar!: niech M o n a r c h a żyje!
    M i ł o ś c i w y nam, w s p a n i a ł y!
    A ten głos nasz J e g o chwały,
    Niech o P ó ł n o c się odbije! *)
„A n i o ł P a ń s k i!“ za tych braci,
Co polegli w boju krwawym...
Niech tym P o l s k i synom prawym,
B ó g z b a w i e n i e m k r e w z a p ł a c i!

---

*) Ustęp przedostatni, umieszczony jedynie w wydaniu autora, a nie w „Dzienniku polskim“ — ma jednak głębsze znaczenie, niźli się na pozór wydaje. Antoniewicz, który w r. 1830-m do boju wyruszał przeciwko ciemięzcy Północy, i który wówczas prawie ciągle miewał przed oczyma srogie przykłady samowoli tyrana — podnosi w wierszu rzeczonym swobodę, którą się cieszą mieszkańcy konstytucyjnego państwa w porównaniu z tymi, u których knut i nahajka zastępują prawo, rządząc z absolutną samowolą. *(Przyp. red.)*

Przygoda na Hulajpolu

(Z OKOLIC ZBARASKICH.)

HISTORYCZNE OPOWIADANIE.

I.

Z wielkiem zaciekawieniem śpieszyłem zeszłego roku pod koniec listopada dorożką na dworzec brodzki we Lwowie, udając się na chwilowy pobyt w mury grodu zbaraskiego, a wyznać muszę, że jechałem z pewnem zainteresowaniem się a nawet rzec mogę: zadowolnieniem. Niechaj jednakowoż nikogo nie dziwi ten gust mój, tchnący cokolwiek parafiańszczyzną; bo chociaż był on wynikiem konieczności nie zbyt pożądanej, ale świeżo po przeczytaniu powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ — brzmiały mi jeszcze w uszach przekleństwa Zagłoby, miotane na Kozaków pod Zbarażem, a Longinus ze swym zerwikapturem, broniący się pod dębem i Skrzetuski wśród szuwarów, stali mi jak widma przed oczyma, — otóż cieszyłem się, że zobaczę wreszcie miejsca owych strasznych zapasów.

Jechałem tedy żelaźnicą [1]) do Maksymówki, a ztamtąd kołowo do Zbaraża. Ale jaka to była jazda?! Zmiłuj się Boże! Muszę nadmienić, że była to już pora słotna, jesienna, w którejto kropla deszczu wytwarza korzec błota; po kilkudniowym tedy deszczu wypadła moja podróż. Umieściwszy moją osobę na wozie, pytam się woźnicy, a był nim dwudziestokil-

kuletni chłopak, czy daleko jeszcze do Zbaraża? Odpowiedział mi jakby od niechcenia, a nawet trochę rubasznie łamanym językiem z polska po rusku:

— Dneś try mile!

— Jakto? — zawołałem, czy jutro albo wczoraj, mniej lub więcej?

— Bo dneś bołoto, dla toho budym ichaty dołho, a koły sucho, to prędzej!

I nie skłamał, gdyż jechaliśmy ze 4 godziny wśród szarugi i wiatru. Przez drogę zadawałem mu różne pytania, ale jakoś nie nadawał się do pogadanki, zaledwie słówkiem odbąkiwał. Dziwiło mię to, bo na Mazurach to ino zagadnąć woźnicę, a zaraz mu się gęba otworzy jak wrota i gada bez przestanku, ani mu przerwać, ani zamknąć rozmowy. Ponieważ mię to cokolwiek zniecierpliwiło, więc pytam się go, dla czego taki zabundiuczony? A on mi na to:

— Ja tu żaden ty! ja i mij bat'ko i moi bracia majemo letymacje.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, do czego to zdąża, ale pomalutku dowiadywałem się, że mój woźnica nazywa się Winnicki i że jest szlachcicem, a owa letymacja jest to legitymacja jego szlachectwa.

Ucieszyła mię ta jego buta, bom spostrzegł samopoznanie, — tytułowałem go już odtąd „waszmość,“ choć fizjognomia, ubiór i wychowanie jego — niczem nie wyróżniały go od czystej wody chachoła podolskiego. Rzuciwszy mu jeszcze kilka pytań na temat jego szlachectwa, cały obryzgany błotem, na wskróś przeziębnięty, dojeżdżałem do kresu mej podróży, — bo już i miejskie chatki strzechą kryte i mury klasztoru bernardyńskiego widniały przedemną, — a kiedy zlazłszy z wózka [2]), mogłem się wyprostować, to tak jakbym się na świat narodził, bo jazda wózkiem podolskim, gdzie człowiek musi siedzieć prawie po turecku, jest istną męczarnią.

II.

Zbaraż od pierwszej chwili zrobił na mnie wrażenie bardzo przykre, a dalszy pobyt potęgował tyl-

ko pierwsze uczucia. Trzeba wiedzieć, że nie jest to już ten Zbaraż z czasów Jeremiego [3]), kiedy miasteczko roiło się szlachtą zbrojną, kiedy w jego mury witali kupcy ze Wschodu: Turcy, Ormianie, Persowie, a nawet i stale przemieszkiwali w bazarach, zkąd też i przedmieście jedno zbaraskie nosi nazwę: „Bazarzyńce,“ — nie jest to już ten Zbaraż sławny z miodów i kiełbas [4]), kiedy miód płynął rynsztokami a kiełbasami płoty grodzono, ale jest to dziura nad dziurami, jakby za chińskim murem, gdzie świat deskami zabity, — jest to zbiorowisko błota po pas, gdzie niegdzie tylko sterczą kamienie do przechodu, chroniące mieszkańców znających teren, od topieli, — krótko mówiąc, zdala od szczegółowego opisu, jest to siedziba nędzy, galerja mało-chałupkowych obrazów i charczące konanie życia społecznego!

W pierwszej wolnej chwili pobiegłem na zamek [5]), — ów zamek, o którego mury i bramy szczerbiły się miecze Tatarów i Kozaków, ów zamek, który blaskiem otoczył Jaremę a starł róg Bohdana, — ów zamek, w którym lęgły się rody Potockich, — w mniemaniu, że oko napasie się chlubą pamiątek, lecz niestety! dziś z zamku zostały się już tylko mury, walące się [6]), z baszt ani śladu, wały zaorane, w zbrojowniach noclegi bydła, w komnatach młocarnie i sieczkarnie, — nec locus, ubi Troja! a przecież to miejsce sławy naszych ojców, przecież to własność i pamiątka narodu. Grodowisko to stare, w chwilach ostatniej ruiny i opuszczenia, przyrównać wypadnie do chaty za wsią, w której mieszkał samotny żebrak; z jego zgonem chata została pustką, bo pacholę nawet, które go w starości oprowadzało po siołach sąsiednich, poszło na inne wsie. Chata ta stała jakiś czas, aż wreszcie ząb czasu i wybryki natury naruszyły strzechę i uczyniły zwalisko, — a powoli miejsce to stało się mieszkaniem upiorów, aż dzieci wioski straszono dziadem nieboszczykiem, którego dusza miała się tam nocami pokazywać i jęczeć! Tak się stało też i z grodowiskiem! Ostatni dziedziczny pan Franciszek Potocki, jak mi opowiadano, sprzedał Zbaraż z przyległościami księciu de Ligny, a uzyskaną

z rozprzedaży kwotę obrócił na śniadania, przyjmując u siebie w gościnę — samodzierżcę Mikołaja w Warszawie.

Z chwilą przejścia dóbr z zamkiem zbaraskim w ręce obcokrajowca, zaczęła się jego ruina. Na jakiś czas przeistoczono zamkowe komnaty na cukrowarnię, gdzie sławny nasz Bem był po rewolucji listopadowej czas krótki zarządcą, a gdy i ta upadła, mury zamkowe wypuszczono z opieki ciągnąc jeszcze resztki korzyści! Dziedzińce porosły trawą, baszty i bramy poczęły się rysować i rozsuwać tak, że dziś z nich ani śladu, — a mury okopowe, zamkowe chylą się ku zupełnemu upadkowi. Kiedy niekiedy tylko ktoś ciekawy łzawem okiem przypatrzy się temu pomnikowi przeszłości, poduma i pokiwa głową! Ale za to nietoperze i puszczyki wyprawiają tam swoje nocne tańce. Świadkiem dawnej okazałości są jeszcze — poorane zmarszczkami starości — lipy sieroty bez opieki panów, — czasami zakwili w nich jeszcze słowik jakby hymn rozpaczy zawodząc, — bo w cieniach nikt nie błądzi, ktoby go słuchał.

Przyznam się, że jakaś wewnętrzna siła prowadziła mię na górę zamkową, gdzie duch uprzytomniał sobie owe czasy najazdów i bolesnych walk, ale też krzepił się i nabierał większego hartu, bo tam każda cegiełka rumieniąca się krwią naszych bohaterów przemawiała do serca, każda piędź ziemi [7]) przesiąkła posoką krwi wroga, jakby siłą elektryczną budziła nerwy i zapalała do tem gorętszej miłości szarpanej ojczyzny. —

Wycieczki moje przerwały wnet śniegi, które grubym całunem w pierwszej połowie grudnia pokryły niwy, a towarzyszące im burze i zawieje przystęp do zamku uczyniły prawie niemożliwym. Och! te burze śniegowe podolskie [8]) dały mi się strasznie we znaki! Czytałem niegdyś opisy tych zawiei, ale jako mieszkaniec innych okolic nie mogłem sobie wyobrazić, aby się działo coś podobnego, — że mogą być tak straszne zaspy i zamiecie, aż w Zbarażu sam tego doświadczyłem w przykry

sposób! Ale jak to mówią: „nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło“ z wyjątkiem chyba złych butów, otóż i zawieje podolskie zaprowadziły mię przypadkowo do chaty, gdziem się dowiedział różnych ciekawych rzeczy.

III.

W piątek z południa zaczął śnieg padać płatami przy ostrem powietrzu; wieczorem rozdmuchał się wietrzyk, i wnet rozpoczęły się śniegowe harce! Wietrzyk się rozszalał i dął śniegiem w każdą szparkę, na ulicy o kroków parę nie dostrzegłeś przedmiotu, to też wszystko co żyło, chroniło się do chaty i błogosławiło ciepło kominka.

— Pewnie na hulajpolu [9]) djabli się żenią — rzekł jeden z kolegów, bo od kilku lat nie pamiętam tu takiej zawieruchy! Oby tylko z Jacowiec stójka się nie pokazała, bo jazda jutrzejsza nie należałaby do bardzo przyjemnych, zwłaszcza że drogi pozawiewało zupełnie!

Zaledwie tylko miałem czas zagadnąć go o hulajpolu, aż tu pod bramą słyszę:

— Wjo! hejta! a trysta by tebe!

O wilku mowa, a tu z Jacowiec stójka na sobotę do szkoły!

— Oddaj się Bogu! Toś mi wyprorokował, — bodaj cię przedtem ukamienowano! — wołałem.

— Nie zważaj na to, poznasz podolską drogę zimową, bo to ty tegoś jeszcze nie widział, — podolskie śniegi — burze — a woźnica opowie ci o hulajpolu, bo to rura jacowiecka, mudrahel, — a wśród śniegów nie pośpieszycie, będziesz miał dość czasu! Trochę się wydmucha! — a jakby na dobitek, aby już do reszty poburzyć mię, dodał po rusku:

— Smały!

Jeszcze mi wirowało po głowie o hulajpolu i rurze jacowieckiej, a tu już stoi przedemną mały chłopak i prosi, aby zaraz na noc z nim jechać, bo jutro byśmy w żaden sposób nie zajechali, gdyż drogę zupełnie zawieje, a śnieg potworzy ogromne

zaspy. Ha! cóż robić? komu w drogę, temu czas! Bandażuję ja się więc kożuchami, sadzę do kieszeni rewolwer dla bezpieczeństwa, bo tam czasem zabłąka się wilczysko, a w Zbarażu dotąd jest gadka w ustach ludu o huzarze, którego wilki pojadły wraz z koniem, tak że zostały tylko podkowy i szabla, nawet ostróg i guzików nie odszukano, otóż myślę sobie, jak mnie wilki połkną, to już całego z habitem i paskiem, zostanie przynajmniej ślad: mój rewolwer i brewiarz, bo wilczyska jednego się zlękną a nad drugim, jak jenerał rosyjski nad bibułą, kiwną głowami i pójdą dalej. Siadam tedy na sanie, i z Jaśkiem, — bo takie było imię mego woźnicy — w imię boże ruszamy w drogę! —

Mróz pomalutku podnosi głowę, wiaterek dmucha śniegiem, a gdyśmy wyjechali w pola, ściemniało się i śladu prawie żadnego [10]), a że drogi nie było znać zupełnie, więc jedziemy ciągle w prostym kierunku naprzód!

Po dwóch blisko godzinach zobaczyliśmy światełko zdaleka na lewej stronie; tam też nasze oczy i konie skierowaliśmy. Biedne koniska brną śniegiem wyżej kolan, — ledwie jedziemy —, aż tu nagle koń jeden przewraca się na bok, a ja znalazłem się o kilka kroków od sani w śniegu głową na dół! Zajechaliśmy w jakieś doły pełne wody, bo gdym zrobił krok ku saniom, wpadłem jedną nogą w wodę, a twarzą na śnieg — na szczęście buty juchtowe z cholewami po kolana zachowały mię od niespodziewanej kąpieli!

— Masz babo reduty! to ty mię dobrze wieziesz?! — wołałem rozwścieczony.

Po chwili udało nam się jednak konie rozplątać i prowadząc je, dotarliśmy mozolnie do światełka, — a była to karczemka na granicy między Kretowcami a Łubiankami w czystem polu na drodze jacowieckiej. W karczmie ogrzaliśmy się zewnątrz i wewnątrz; a po naradzie z moim Jaśkiem, który wył w niebogłosy, czy nocować tu, czy jechać dalej, zapadła wspólna uchwała, aby jechać! Jaśko powiada, że teraz już nie zbłądzimy, bo on prosto pojedzie. Ruszyliśmy znowu w drogę, a było to już około ósmej

wieczorem, — jedziemy i jedziemy, a tu ani słychu o Jacowcach! Śnieg robi sobie ciągłą z nas igraszkę; tak nas pokrył, że wyglądaliśmy jak dziady ze śniegu, które żaki szkolne stawiają po drogach. Ciemno, choć oko wykol! a my ciągle jedziemy naprzód!

Wtem rozlega się blisko nas jakieś grube szczekanie i czuję, że mnie coś za futro ciągnie w tył i warczy. Oho! może wilk! Chwytam za rewolwer i przez ramię palę po za siebie! Plecy moje zostały oswobodzone i ze skowyczeniem coś się oddaliło!

Tu znowu coś trzeszczy pod nami, konie zapadły się po brzuchy i ani rusz dalej!.... Jaśko złazi, bada teren i ogłasza jakby wódz naczelny, że jesteśmy blisko jakiejś chaty — na podwórzu. Konie przeszły szczęśliwie, a sanie ze mną wiszą na płocie. A to historja! Bodaj cię z twoją jazdą...! To nie mogli posłać jakiegoś rozumniejszego, tylko ciebie, takiego bałwana?!

Gramolimy się pomału i bombardujemy wejście do chaty, a ledwie dopiero po dłuższych tłumaczeniach się i przysięgach, żeśmy nie złodzieje ani zbóje, wpuszczono nas do wnętrza izby obszernej, co tylko oświetlonej. Mój Jaśko aż podskoczył, bo trafem zajechaliśmy do jego krewnego na Czacharach zbaraskich [1]), do starego Popiela.

Poczciwina zapalił na kominku łuczywo brzozowe, porozbierał z nas kożuchy mokre i zadecydował, że nas dalej nie puści, bobyśmy jeszcze gdzie w zaspie pomarzli; ale u niego musimy zanocować. Przyniósł na ogrzanie się domorodnego wiszniaku a na przekąskę zastawił w donicy ogromne pierogi z kapustą. Jaśka nakarmiwszy porządnie, wyprawił na nocleg do stajni do koni, a mnie przygotował łożysko w alkierzu.

Staruch przypijał do mnie co chwila wiszniakiem, — czułem gorąco a staremu język rozwiązywał się coraz bardziej.

— Możeby Jegomość posłuchali, tobym opowiedział, jaką my to mieli przeprawę na hulajpolu, bo nawet mam jeszcze krótkie zapiski.

Od razu zapomniałem o wszystkich przebytych trudach i niewygodach, a z radości ażem go uca-

łował, bo co mię najmocniej interesowało, to lazło mi prawie samo w ręce.

— Ach! gadaj ojcze, co ino wiesz!! —

IV.

I Popiel w ten sposób rozpoczął swoje opowiadanie:

„Pamiętam, jak dziś. W r. 1830. przyjechał do nas w samo Boże Narodzenie do Jacowiec, zkąd ja rodem, — bo dopiero przed laty kilkunastu osiadłem na Czacharach —, o. Mikołaj Ruszczyński, gwardjan z klasztoru zbaraskiego, z p. Chruścikowskim, który od Rządu Narodowego w Warszawie miał polecenie udać się na Wołyń i Podole w celu tworzenia oddziałów do walki z Moskwą.

W cerkwi klebanowieckiej, gdzie proboszczem był ś. p. ks. Jan Sochacki, odprawił o. Mikołaj nabożeństwo, a po nabożeństwie miał kazanie, w którem opowiedział nam o zaszłych wypadkach w Warszawie — jak cała Polska staje pod broń, jak Moskale z Warszawy i z granic królestwa uciekli, i że Rząd Narodowy wzywa wszystkich wiernych synów Ojczyzny do walki z wrogiem, a Chruścikowski rozdał pomiędzy nas drukowane odezwy, wzywające do ogólnego powstania.

Kiedy o. Mikołaj zawołał całą piersią: „Bracia Polacy! Tam w Warszawie ziomkowie nasi chwycili za kord przeciw najazdowi! Tam w Warszawie rozległy się strzały, echem przebiegające najodleglejsze krańce naszej Ojczyzny! Tam już polała się polska krew w sprawie wiary i wolności polskich dzieci! Cały naród jęknął głosem rozpaczliwym, nawołując swe syny do wygnania Moskali z łanów ojczystych, a wy, bracia szlachta, Jacowianie! mielibyście siedzieć w domu?!“ — wśród tych słów łzy się nam z ócz puściły i wydaliśmy jeden okrzyk: „Niech się leje i nasza krew za sprawę Ojczyzny!“

Powstał ruch wielki w całej wiosce, we wszystkich dworkach szlacheckich, — bo musi Jegomość wiedzieć, że Jacowce [12]) całe zamieszkałe przez szla-

chtę drobną herbową, i każdy dworek ma pergamin w blaszanej rurze, i ztąd to zwią nas wszystkich: rury jacowieckie! We wioskach sąsiednich: w Dobromirce, Obodówce, gdzie również jest dużo szlachty rozrzuconej, zaczęło się gotować i wrzało jak w garnku. Przy końcu stycznia 1831. r. zjechaliśmy na jarmark do Zbaraża i zebraliśmy się w klasztorze zbaraskim u o. Mikołaja. Był tam ze mną Górecki, Leśniowski, Dobrzański, Hryniewicz z Obodówki, Poniatowski ze Zbaraża, Winnicki i Kalinowski ze Zbaraża, Borejko i Ganowski ze Stryjówki i wielu innych.

O. Mikołaj powiedział nam, że jenerał Dwernicki ma polecenie, z silnym oddziałem wkroczyć na Wołyń i tam wzniecić powstanie, a przy tem nadmienił, że Oktaw Rozwadowski z Lisiczyniec i Michał Szwejkowski z Kołodna, kilka dni temu przysłali nocą kilka wozów broni na uzbrojenie oddziału, i ta broń złożona w grobowcach kościelnych, a część przechował w piwnicach zamkowych p. Franciszek Dembiński, pełnomocnik dóbr zbaraskich. Na dowód tego wprowadził nas przy zamkniętych drzwiach kościelnych do grobowców [13]), gdzie obaczyliśmy kilkaset karabinów, szable, piki, puszki z prochem i kulami. Niepotrzeba dodawać, że tam wskazawszy nam spoczywających snem wiecznym księży zakonnych, — rody Potockich i wiele innej szlachty, odebrał od nas słowo szlacheckie, że o tem ludzie niepowołani nigdy się nie dowiedzą.

Dziś jeszcze dreszcz mię przechodzi, kiedy wspomnę, jakeśmy uklękli i powtarzali za nim wśród ciszy i chłodu grobowego, przy szkieletach, modlitwę błagalną o zwycięztwo dla Polski, i słowa przysięgi!

Z grobowców wyszliśmy jakby ludzie nowi; w każdej żyłce drgała chęć boju i poświęcenia bez granic. W skarbcu kościelnym po dłuższej naradzie postanowiliśmy zebrać się w oddział, uzbroić należycie, zaopatrzyć w żywność i na wieść o wkroczeniu Dwernickiego na Wołyń, śpieszyć co tchu pod znaki orła białego. W najlepszej myśli i nadzieją ukołysani, rozjechaliśmy się do domów,

wyznaczywszy popielec, t. j. 16-go lutego, jako najbliższy dzień zjazdu, na którym mieliśmy na pewne uradzić, kto nas poprowadzi, gdzie przekroczymy granicę, a zarazem mieliśmy zgłosić nazwiska wstępujących do oddziału.

Powróciwszy do Jacowiec, rozpoczęliśmy gorączkowo wszelkie przygotowania, a dwaj jeszcze podówczas żyjący bohaterowie z pod Maciejowic poczęli nas ustawiać w szeregi obrotów. Dodawaliśmy sobie wspólnie ducha i odwagi zwłaszcza, że w samych Jacowcach zebrało się nas około 50-ciu starszych i młodszych, pragnących jak najprędzej wyruszyć na plac boju, a najwięcej prawie zapału okazywał diak z Kujdaniec, niejaki Fedory Czerniak.

W popielec, jako w oznaczony dzień zjazdu, zebrało się w kościele oo. Bernardynów w Zbarażu mnóstwo szlachty z okolicy; z prawdziwą pokorą ducha chylono głowy jak Niniwici, aby je kapłan posypał popiołem z bożem błogosławieństwem, gdyż gotowano się do sprawy, która chłonąć miała tysiące obrońców. Cały kościół zapełniał cichy jęk i bicie się w piersi, aby snać Stwórca pozwolił kiedyś wznieść nad wrogiem okrzyk zwycięztwa!

Po nabożeństwie i kazaniu na słowa: „prochem jesteś i w proch się obrócisz,“ zebrało się nas w zamku zbaraskim pod nieobecność właściciela, hr. Potockiego, przeszło sto szlachty, gdzie wśród okrzyku: „Niech żyje Ojczyzna! za Ojczyznę ostatnią kroplę krwi przelejemy!“ — po kilku ognistych przemówieniach, które się już w pamięci mojej zatarły, bo to temu 50 lat z górą, — przewodniczący nam z podwyższenia, p. Oktaw Rozwadowski odczytał wiadomości z placu boju o zwycięztwach oręża polskiego, o zwycięzkim pochodzie i zbliżeniu się wojska polskiego pod wodzą Dwernickiego ku granicom Wołynia. Co kilka chwil przerywaliśmy mowę jego okrzykiem na cześć wodzów, a my młodzi krzyczeliśmy najbardziej, nawołując, aby nas bezzwłocznie prowadzono w szeregi powstańcze i na pole bitwy, a gdy diak Fedory Czerniak huknął całą piersią: na pohybel wrahom! — to aż sklepienia trzeszczały! Jakoż starsi uradzili do wymarszu dzień 15-go marca! Dwory miały dostarczyć

koni, bośmy mieli stanąć do boju jako oddział konny, a jako miejsce zebrania naznaczono tak zwane jary załuzieckie. Atoli przyspieszono dzień wyruszenia do obozu Dwernickiego, bo Rozwadowski dowiedziawszy się, że starosta cyrkularny tarnopolski, zabity Niemiec i polakożerca, mając lancdragona Koutzky'ego rodem Czecha, który wyposażony bogato sprytem szpiegowskim, wąchał się w całej okolicy z wysłużonymi żołnierzami, pałamarami i diakami, został zaalarmowany przygotowaniami do wojny w Zbarażu, — Rozwadowski tedy postanowił zapobiedz katastrofie, jaka groziła ze strony cyrkułu.

Koutzky, jak to się później pokazało, dowiedział się przez zdradę o wszystkich przygotowaniach, narobił w cyrkule ogromnego rajwachu, że w Zbarażu ogromne składy broni i prochu, że klasztor obsadzony armatami, że cała okolica burzy się i powstaje a 15. marca mają uderzyć na Tarnopol, wyrżnąć urzędników i wojsko a potem iść na Lwów i dalej prowadzić wojnę z cesarzem, aby oderwać od korony cesarskiej całą Galicję i utworzyć królestwo polskie! Starosta przestraszony ściągał i kompanjami kwaterował wojsko po wsiach, zbliżając się pod Zbaraż, — aż tu nagle w nocy na 14-go marca wpadła do Zbaraża komisja wraz z wojskiem; zajęli klasztor, zamek i całe miasto, szukali w grobowcach, wyrzucali ciała z trumień, rozrzucali kości i odzierali z ubiorów, kopali doły — a tu ani jednej strzelby, bo to wszystko było już w rękach naszych, gdyż myśmy jeszcze 10-go marca w nocy wyruszyli za granicę! —

Powiadomieni przez wysłańców Rozwadowskiego o tem co się święci, poczęliśmy się 9-go ściągać do Zbaraża i gubiliśmy się po dworkach i domach mieszczańskich, myląc i gubiąc w sposób możliwy wszelki trop u władz austrjackich. W nocy tedy dnia 10-go marca zebraliśmy się w lesie konno, ale zaledwie oddział do stu ludzi dochodzący; — wielu się bowiem cofnęło zwracając broń, pozorując swe ociąganie się różnymi sposobami i przyczynami. Pomiędzy brakującymi był także i diak Fedory, który zawsze objawiał nam wielką chęć walki, a nawet prawie pierwszy ze składu pochwycił broń i dostał

od Rzyszczewskiego pięknego konia deresza; wspominał nam tylko Borejko ze Stryjówki, że Fedory ostatnimi dniami ciągle gdzieś jeździł.

Na naszem czele stanął Głowiński z Dobromirki, który się bił pod Lipskiem, i w imię Boga pobłogosławieni przez o. Mikołaja, przekroczyliśmy granicę zabierając straż rosyjską na komorze; ze świtem opasaliśmy Kłodno, gdzieśmy zabrali kasę z kilku tysięcy rubli złożoną. Właściciel Kłodna Szwejkowski przyjął nas gościnnie, opatrzył w pieniądze, dołączył kilkunastu swych strzelców i gajowych i polecił, abyśmy szli prosto do Krzemieńca. Pod Krzemieńcem przyłączyło się do nas 50-ciu Wołyniaków, zbrojnych w kosy i strzelby, i ztąd forsownym marszem przez lasy nocami śpieszyliśmy pod Zamość, gdzieśmy stanęli dnia 15-go marca.

W obozie zastaliśmy najlepszego ducha, a Dwernicki przyjął nas jak prawdziwy ojciec, — niemal każdego z nas całował i wypytywał o różne stosunki. Podzielono nas na dwa oddziały; jeden większy oddano pod rozkazy Lipskiemu, a drugi oddano majorowi Szymanowskiemu, który kierował armatami. Odtąd dzieliliśmy wszystkie losy z wojskiem Dwernickiego.

Przykre to były chwile, bo niemal ciągle człowiek był w ogniu, a Moskale szli za nami jak złe duchy, i nieraz zabieraliśmy się pokrzepić ciepłą polewką, a tu trąbią na pogotowie; trzeba było siadać na konia i harcować z Kozakami. O głodzie biliśmy się, a zwycięztwa nasze miały ten tylko skutek, że na chwilę powstrzymywały hordy moskiewskie. Około Wielkiejnocy zbliżaliśmy się wreszcie ku Zwierzyńcowi, gdzieśmy stanęli dnia 4-go kwietnia pod wieczór, w trzecie święto wielkanocne! Tam już zastaliśmy kosze placków, mięsiwa — jakby rzesze głodne na puszczy ze łzami w oczach patrzyliśmy na jenerała, trzymającego okruch święconego jaja i słuchaliśmy przemowy, w której polecił nam modlitwę do Boga, abyśmy z grobu naszej niewoli zmartwychstali i wkrótce mogli Go czcić jako wolni na wolnej ziemi! W dniu 6-go kwietnia zaś odprawił w kaplicy dworu zwierzynieckiego nabożeństwo

kapelan obozowy ks. Puławski, gdzieśmy wszyscy z małym wyjątkiem przyjmowali św. komunję.

Po krótkim wypoczynku, znów wśród ciągłych utarczek, posuwaliśmy się wzdłuż granicy ku Radziwiłłowu, gdzieśmy byli 21-go kwietnia. Tu nie wstrzymując się, przeszliśmy Poczajów, gdzie zacni Bazylianie, jak opowiadano, dali dużo pieniędzy i różnych naczyń złotych i srebrnych na sprawy Ojczyzny, i wnet stanęliśmy w Kołodnie, zkądeśmy przed miesiącem przeszło wyszli pełni nadziei. Widać, że wódz Dwernicki poznawał wielkie niebezpieczeństwo grożące nam, bo nam nakazano całą noc maszerować, aż pod Koszlakami wkroczyliśmy w granicę austrjacką, napierani ciągle przez Moskali.

W Koszlakach obsadziliśmy wąwozy i laski, gotując się do krwawej rozprawy, lecz już nie przyszło do żadnego starcia, tylkośmy przez Suchowce i Terpiłówkę cofając się — zdążyli w las klebanowiecki, gdzieśmy stanęli obozem, a Moskale nie śmiejąc już dalej napierać, cofnęli się nazad, zwłaszcza że pokazali się z naszego boku huzarzy węgierscy, a pułkownik ich zagroził wykonaniem szarży, gdyby natychmiast nie ustąpili z terytorjum austrjackiego.

Wkrótce w lasach klebanowieckich wojsko nasze miało złożyć broń i poddać się Austrjakom, którzy też od nas tego się domagali i opodal stali w pogotowiu. W dwa ognie wzięty Dwernicki nie widział ratunku! Kilkunastu naszych deklarowało się przedrzeć z depeszami do Warszawy, — a myśmy wszyscy z naszego oddziału stanęli przed jenerałem i oświadczyli, że jako żywo broni nie złożymy i nie oddamy się w niewolę, ale chcemy wrócić do domów, zwłaszcza że Austrjacy mieli nas wcielić do swego wojska i posłać hen do Siedmiogrodu.

Dwernicki rozpłakał się i odpowiedział nam, że możemy obóz opuścić nawet z bronią, byle tylko on o tem nic nie wiedział. Po takiej odprawie porozumieliśmy się szybko i postanowiliśmy w przyszłą noc uciec z obozu. Dnia następnego odwiedzali nas w obozie okoliczni księża i obywatele, przynosili jeść i pić, a nawet i diak Fedory zkądeś się wziął

i namawiał nas najusilniej, abyśmy uszli z obozu i przekradli się w lasy, a po kilku dniach, gdy wojsko złoży broń i ztąd odejdzie zupełnie, to pocichu nazad będziemy mogli wrócić do domów. Ochotnicy, którzy mieli przewieźć depesze i kasę obozową do Warszawy, przyłączyli się do nas, i mieliśmy razem w nocy opuścić obóz, przekupiwszy wprzód gdyby się udało, straż austrjacką i skierowawszy jej czujność w inną stronę, a gdyby to było niemożliwem, to zbrojno przedrzeć się przez ich linię i uciec w lasy kujdanieckie.

Plan ten powinien się był nam udać o tyle prędzej i pewniej, żeśmy jako tutejsi znali okolicę i żaden kąt nie był nam obcym, gdyby tylko grosz judaszowski, który wśród braci rodzi zdrajców, nie był odegrał swej roli! Ale stało się! Dziś, gdy sobie to przypomnę, jeszcze mię ciarki przechodzą, ale wspomnienie to jest mi po części także miłem, bo i ludzie złej woli otrzymali wówczas sowitą zapłatę.

Jak my sobie ułożyli, tak się też i zdziałało! W nocy jakby bożem zrządzeniem dość pochmurnej, powsiadaliśmy na konie, poowijawszy poprzednio kopyta ich szmatami, aby nie robić stukotu, i szeregiem w największem milczeniu wyszliśmy z obozu. Czaty w tem miejscu nie stały! Myśmy szczęśliwie odjechali dobrą milę po za linje i ukrywaliśmy się pod lasem kujdanieckim w zaroślach dębowych, na tak zwanem hulajpolu, konie zaś puściliśmy na paszę, aby cośkolwiek pojadły i wypoczęły, sądząc że po wypoczynku rozbiegniemy się w sąsiednie wioski i dwory, i tak jakoś nam to przejdzie! Ale gdzie tam! „Pop swoje, a djabeł swoje!“

Nie trwało pół godziny, aż tu blisko nas tentent, i zanim myśmy się upamiętali i skoczyli do koni, wpadli nam na kark huzarzy z hałasem i krzykiem: „Basama teremtete! Polak! Verfluchte Rebellanten!“ Zaczęła się bójka w pojedynkę po krzakach i siekanina, bo bestje poczęli nas rąbać na prawdę. Konie nasze pasące się luzem urządziły nogę; zaledwie kilkunastu nas zdołało uchwycić się strzemion, dosiąść koni i stanąć w obronie. Trudno było uwijać się z nieprzyjaciółmi, bo nas od razu niespo-

dziewanie rozbili! dla tego odcinając się na wszystkie strony, gdy już w żaden sposób nie można się było utrzymać, — cofnęliśmy się w przyległy las kujdaniecki i wśród drzew znikliśmy napierającym huzarom, którzy nas też już nie ścigali. Na szczęście, cośmy mieli najdroższego, tośmy uratowali, bo i kasę [14]) i depesze a nawet ołtarz polowy! [15])

Nad ranem o huzarach ani słychu! Ażeśmy mieli niezbyt daleką drogę na hulajpole, ukradkiem poczęliśmy podchodzić, aby zobaczyć, co się tam stało?! Serce mi się krwawiło, gdym zobaczył znajomych druhów posiekanych — bez duszy! ale też i huzarów kilku leżało skostniałych. Jeden jeszcze, w mundurze jakimś dziwnym, niby żołnierz, niby jakiś urzędnik leżał pod krzakiem z łbem rozciętym, w ręku trzymał jeszcze szlif z naszego munduru i strasznie wyrzekał! Stojący przy mnie Górecki wpatruje się weń — z wściekłością porywa szablę i zamierza się płatnąć go jeszcze, aby raz zadany poprawić!

— Mam cię, ptaszku! już więcej nie ujdziesz mi! To Koutzky lancdragon! sobaczy syn! ten nas tak przywitał! ten naprowadził huzarów! to zdrajca! to padlec! to hadiuka!

Powstrzymaliśmy zamach Góreckiego, bo Koutzky był i tak już w ostatnich podrygach! Wykrzywiał okropnie usta, jakby go sam lucyper mordował! Słabym ruchem wskazał na swoją kieszeń i na jakieś indywiduum, leżące o kilka kroków od niego a całe krwią oblane, że mu i ócz i twarzy znać nie było — łypnął oczyma i skończył swój wierny żywot.

Sięgamy do jego kieszeni i wyciągamy papier, na którym było napisane:

„Dneś in Nacht wtikajut z logru rebelanty, ałe ne mnoho! — powezut Kassu und ne znaju jakoweś wichtige Papiery. In Hulajpole będą ruhig. Treba Husaren nehmen, a bude Geld i łapówka, und ich takoż. Denken na mene treuen diak Fedory. Czekaju pered neu kreutz' neben Skałackoj dorohy."

W oczach nam zajaśniało! Tym drugim to był diak Fedory! Dyszał jeszcze życiem, — poraniony i bezwładny, patrząc na swoje ofiary!... Zgon jego był szybszy, lżejszy i niezwyklejszy, bo skończył na pod-

wyższeniu, między niebem a ziemią — na gałęzi, a wierzgnięciem nogi za pośrednictwem naszem, przesłał swej żonie i dzieciom ojcowskie błogosławieństwo! — W dwa dni później wojsko złożyło broń i zostało częścią odesłane do Siedmiogrodu, częścią wcielone do różnych pułków austrjackich, a Dwernicki wyjechał gdzieś za granicę. Po tych wypadkach rozbiegliśmy się po okolicy, gubiąc za sobą wszelkie ślady, chroniąc się przed poszukiwaniami i możliwem więzieniem; z rok kryliśmy się po lasach, aż pomału to ucichło i znowuśmy wrócili do domów swoich!

Tak to się skończyła nasza wyprawa! Taką to mieliśmy przygodę na hulajpolu! Gdy Jegomość kiedy posłyszy o hulajpolu, to już będzie wiedział, dla czego to nazwa ta stoi tak na pamięci całej okolicy.“

Na tem zakończył stary Popiel swoje opowiadanie, a ja anim się spostrzegł, że to już czwarta po północy. Życząc staremu „dobranoc“, urządziłem sobie krótką drzymkę, bo około siódmej z rana pojechałem już do Jacowiec. Wróciwszy do domu w poniedziałek koło południa, zaraz zapisałem sobie niektóre okoliczności z opowiadania Popiela i określiłem je obecnie jako krótkie wspomnienie czasów ubiegłych.

V.

Opowiadano mi później na Czacharach, że pobitych na hulajpolu huzarów i powstańców pogrzebano na tak zwanych górach stryjowieckich; a ów diak Fedory wisiał tak długo, aż ciało samo spadło, bo się go nikt nie chciał tknąć; żaden nakaz nie mógł zniewolić ludzi, aby go z gałęzi odcięto. Gdy kości z resztkami ciała opadły, przywalili je na ziemi gałęziami, kamieniami i ziemią, tak że powstała mała mogiłka, która zarasta bujno ostem i różnem zielskiem, a pastuchy wśród dzikich i nagich gór stryjowieckich zwą ten kurhan: „diakowa hora“, ale nigdy tamtędy nie chodzą! Opowiadają, że tam coś straszy, a są tacy, co twierdzą, że południem widują jakiegoś panicza przy ostrogach, w kusem ubraniu, z warkoczem, w trójgraniastym kapeluszu, który wy-

braja różne hopki i gdzieś nagle ginie, a nocami znowu widują błędne światełka i słyszą jęki podziemne.

Wieść o Dwernickim i jego pobycie w Klebanówce ginie powoli u ludu w okolicach Zbaraża, boć schodzą z widowni i świadkowie tych wypadków. Mylnie już teraz nawet przechodzą z ust do ust podania o hulajpolu, ale — zdaje mi się, — że podanie o kurhanie „diakowa hora“, — że tam leży diak, za zdradę przez powstańców powieszony, nigdy nie zginie!! —

PRZYPISKI.

[1]) Kiedy po raz pierwszy przyjechał pociąg kolei żelaznej do Krakowa, stały na dworcu niezliczone tłumy, a zdala i kilku górali karpackich, z ciekawością patrzących na lokomotywę, wyrzucającą dym obficie. Gdy pociąg stanął w miejscu osadzony, łamano sobie głowę, jakiby temu nadać wyraz czysto polski? Wtedy stary góral podszedł do rozmawiających i rzekł: „A dyć panowie, taż to *żelaźnica!*“ — Wyraz całkiem swój! —

[2]) Wózki podolskie są krótkie i nader wązkie. Gdy siedzi z przodu poganiacz, to za nim już trzeba siedzieć chyba kłębkiem, bo nie można nogi wyprostować; a w dwójkę znowu obok siedzieć jest tak wygodnie, jak śledziom w beczce. Sanki są w stanie jeszcze zupełnie pierwotnego ustroju. Na dwóch saniach rzucona wiązka barłogu, bez żadnego oparcia, dla tego nie trudno spaść, ale też i dość bezpiecznie, bo nisko. Nic dziwnego, że gdy się jedzie przez wieś, to trudno ognać się przed psami!

[3]) W maju 1886 r. ukazały się wzmianki po różnych pismach polskich, że w Zbarażu ma stawiać pomnik Wiśniowieckiemu Jeremiaszowi przełożony klasztoru o. Duklan Jaworski; sprawa ta pomnikowa jak ją znam, był to czysty humbug amerykański obrachowany na chwilowy efekt, to też spełzła na niczem. Godziło by się obrońcy Zbaraża postawić kamień

pamiątkowy, ale do tego konieczna szczera chęć i rzetelną wola, poparta bratnią dłonią!

[4]) W dawnych czasach, ale pewnie było to — co najmniej — jeszcze za Sasów, miały być dobre kiełbasy zbaraskie, ale teraz?! Gdym jechał koleją, spotkałem pewnego obywatela z Radziwiłłowa, który dowiedziawszy się, że jadę ze Zbaraża, począł strasznie wymyślać na zbaraskich rzeźników i kiełbasy i zaraz podał przyczynę. Otóż jadąc on raz przez Zbaraż, chciał zakosztować tych osławionych kiełbas, bo nie godziło się być w Zbarażu a nie jeść kiełbasy zbaraskiej. Ale gdy zjadł porcję, to później mało nie umarł, tak gwałtownych dostał boleści! Prawdopodobnie dawniej inne było powietrze i inne żołądki, a mówią, że i ludzie dawniejsi byli silniejsi i dłużej żyli, otóż niezawodnie mieli i silniejsze zęby! Dziś, gdy wszystko delikatniejsze, i kiełbasy zbaraskie, aby były zdrowe, musiałyby być inne, nie takie jak za Sasów lub za czasów napadów tatarskich, kiedy żywiono się na pół surowem mięsem!

[5]) W Zbarażu były dwa zamki. Jeden ponad Załużem i Starym Zbarażem, i ten dawniejszy, a drugi ponad miastem od wschodu. Z pierwszego już tylko kawałek jednej ściany, a drugi, o którym wspominam, chyli się ku upadkowi. Zamek dawniejszy był na stromej i wysokiej górze, z którego miał być rzucony most skórzany na górę przyległą, noszącą nazwę „babiej góry“. Taka krąży wieść pomiędzy ludem.

[6]) Godziłoby się, aby konserwatorzy starożytności i w te kąty rzucili okiem, a pamiątki narodowe zechcieli bodaj słabą otoczyć opieką!

[7]) Na błoniach zbaraskich jest dużo mogiłek, mieszczących kości poległych Kozaków, Tatarów a może i braci z szeregów polskich. Przy mnie raz wykopał robotnik, biorąc warstwą glinę na cegłę w głębokości metra, mnóstwo kości, kawałki żółtej materji, guziki metalowe; nie bez powodu tedy wyraziłem się, że w Zbarażu ziemia krwią przesiąkła, a wiatry roznoszą prochy ludzkie na wszystkie strony.

[8]) Okolica zbaraska wychyla się ku równinie na północ, dla tego jest otwartą na wichry stepowe.

Wiatr z północy dmie całą siłą, a zimą niesie śnieg jakby j e d n ą nieprzerwaną masą. Zdarzają się wypadki, że chałupy odosobnione, do tego na wygonach, zasypuje ze szczętem, a ludzie dopiero robią sobie przechody jak kraty. W zimie o drogach stałych, zwłaszcza wśród gęstych śniegów i wiatrów prawie mowy być nie może, bo którędy jechałeś przed godziną, tam spostrzeżesz górę śniegową. Nieznającym położenia, jechać niebezpiecznie, bo można najniechcącej i z końmi zapaść się w jakie parowy i przepaść w śniegach bez śladu.

[9]) Hulajpole — jest to wyraz, złożony z dwóch, a raczej trzech, t. j.: H a - u ł ł a i p o l e. Ha-ułła miał to być Tatar wzięty w niewolę, który panom zbaraskim okazał się bardzo wiernym i zdziałał wielkie usługi, w uznaniu tedy jego pracy i wierności uwolniono go i darowano w dobrach pańskich sporo gruntu, zbudowano mu dworek i wyposażono chudobą. Ten Ha-ułła miał się ochrzcić i ożenić nawet z jakąś starą panną na dworze zbaraskim. Powszechnie zwano go Hulaj, a posiadłość jego zwano pole Hulaja, z czego wyrobiło się później Hulajpole. Co się z nim stało, nie mogłem się nic a nic dowiedzieć.

[10]) Drogi podolskie, zwłaszcza prywatne, są zupełnie bez wszelkich znaków. Gdy śnieg zawieje, nie ma żadnej wskazówki. W niektórych miejscowościach są przynajmniej gdzie niegdzie krzyże i figury, ale i te bardzo odległe. Drzew nie chcą mieszkańce tych okolic sadzić około dróg w żaden sposób, — zapewne mając w tem jakieś przesądy.

[11]) Czachary zbaraskie, — jest to osada niedawno powstała na korczowiskach z lasów. Przy pomiarach rozdzielono pomiędzy różne gminy ogromne masy ziemi, zarosłej dębami i przeróżną krzewiną, ztądto powstały czachary zbaraskie, kretowieckie, stryjowieckie, staro-zbaraskie, jacowieckie, etc. — Pomiędzy niemi znajduje się i hulajpole. Dawniej były dzikie pustkowia znane złodziejom, dziczyznie i Tatarom chyba, a dziś tworzy się tam ładna osada, bo gleba urodzajna nęci każdego. I dziś jeszcze ściągają się tam ludzie z różnych stron i różne oczajdusze, to też kursuje po okolicy — gdy kto wszystko przehula,

przepije i przetrwoni, przysłowie: „Hejże na Czachary!“ —

[12]) Wioski: Jacowce, Klebanówka, Dobromirka, Obodówka są obok siebie, a blisko nich i Kujdańce, tylko już w stronie południowo-zachodniej.

[13]) Grobowce pod kościołem zbaraskim były urządzone bardzo dobrze i porządnie, ale w czasie rozbiorów i przechodów różnych wojsk, i te miejsca spokoju wiecznego ucierpiały wiele. Z trumień pozdzierano srebrne obicie, z trupów kosztowności, jakie mogły być, a nie darowano nawet i ciałom, spoczywającym snem wiecznym, boć ze zemsty i igraszki rozrzucano je po sklepach. Dziś są one w największym nieładzie. Kilka szczątków zachowało się jeszcze dość dobrze, ale znowu kuny dopełniają zniszczenia. Są w grobowcach rodziny Potockich w osobnej krypcie. W osobnej krypcie chowali się także bracia zakonni, dostając cegłę pod głowę.

[14]) O kasie obozowej i o dalszych jej losach opowiadał mi zamieszkały gospodarz na Czacharach, zwany: Florys, taką anegdotę: „Gdy z tą kasą uciekali przez Kujdańce i przez jakąś inną wieś, czego sobie już dobrze nie przypominam, wstąpili pod noc na plebanją do ruskiego popa, nazwiskiem F.... Opowiedzieli mu całą rzecz, a ten rzekł: „Nie bójcie się, nie ma bezpieczniejszego schowku jak cerkiew, tam zanieście, cerkiew zamkniemy i kwita! Nikt się nie domyśli, że tam mogą być schowane pieniądze, a rano weźmiecie sobie i pójdziecie dalej!“ Ci zaufali jego dobroci i najspokojniej pokładli się spać, zwłaszcza że byli przy zamknięciu i opieczętowaniu drzwi, a nawet klucze i pieczątki pop im oddał. Rano wstają, idą odmykać, wchodzą do cerkwi, kasy nie ma, w miejscu gdzie stała, jest kupa mazi i różnych nieczystości! Pop upadł plackiem na ziemię i począł się modlić o zmiłowanie boże, bo widział taką dziwną odmianę! „Pieniądze czort zabrał, zawołał pop, i zostawił ślady!“ Uspokajał jak mógł wiarusów, że te pieniądze pewnie nie pochodziły z dobrego źródła, kiedy ditko je przycapiło!... Odeszli z kwitkiem powstańcy.... W lat kilka po tym wypadku pop ten miał sobie kupić gdzieś majątek ziemski i został

obywatelem, i nawet ma się podpisywać jak szlachcic, kładąc przed nazwiskiem de, a diak jego również nabył jakąś posiadłość większą! Ów Florys wymieniał mi nawet nazwiska, których nie powtarzam, bo baśni tej dają bardzo słabą wiarę. Ciekawych odsyłam do żyjącego jeszcze Florysa na Czacharach.

[15]) Ołtarz polowy cały z wszelkimi przyborami, t. j. kielichy, ornaty, alby, krzyże etc., wszystko to oddano oo. Bernardynom w Zbarażu, i to się ciągle przechowuje. Jest także w klasztorze zbaraskim krzesło składane po Dwernickim.

Pisałem w Zbarażu, dnia 29. Września 1886.

O. Metody, bernardyn.

Co lubię.

Lubię wichrów smutny śpiew,
Lubię jęki wodnych fal,
Lubię dzikie szumy drzew,
Huragany, burze w górach —
Gromy, błyski pośród hal,
Czarne chmury na lazurach!
Lubię echo dzikich dum,
Lubię czarną, zimną noc,
Mię zachwyca wichrów szum,
Mię upaja bój natury,
Gdy się z mocą ściera moc,
Gdy płomieniem świecą chmury!
Lubię ogniów straszny wir,
Jadowity wężów syk,
Pogrzebowy czarny kir
I upiorów taniec straszny,

Przeraźliwy piekła ryk,
Pośród zlewy piorun jasny!
Jam nie winien temu, nie! —
Że tak kocham wszystko złe,
Bo aż dotąd w moim śnie
Tylkom widział bój żywiołów —
I cierniste drogi me,
I nadzieje wśród popiołów!

Bolesław Andruszewicz.

Drohomyśl, 1. Stycznia 1886 r.

Zagadka życia.

Często utoniesz w tęsknej zadumie,
Przeszłość cię wspomnień otoczy kołem,
I gdy cię z ludzi nikt nie zrozumie,
Pytasz się blady z posępnem czołem,
Czem jest to życie?
Lecz odpowiedzi nikt ci nie daje...
Milczy Bóg, ludzie i serce własne,
Życie się tobie zagadką zdaje,
I zapatrzony w niebiosa jasne,
Ty płaczesz skrycie! — — —
O nie płacz dziecię, choć świat cię rani!
Dwie drogi życia stoją otworem:
Po jednej kroczą niebios wybrani,
A druga wiedzie ubitym torem
Tłumy ludzkości.
Chcesz wybrać pierwszą, poświęcisz siebie,
Po drugiej krocząc staniesz się głazem;
Lecz pomyśl wcześnie — ostrzegam ciebie —
Że się te drogi znów schodzą razem
U bram wieczności. —
Jeśli dla piękna serce twe bije,
Jeśliś ukochał ideał boży,

To się z twych czynów wieniec uwije,
I na poświęceń ołtarzu złoży
Na trudów szczycie.
    A kiedy dojdziesz do dni twych końca,
    Zwalczywszy wszystko, nawet i siebie,
    I sam stanąwszy u prawdy słońca,
    Dowiesz się wtedy u Boga w niebie,
    Czem jest to życie!

Lipnik, dnia 25. Stycznia 1887.

Janina Antonowiczówna.

MŁODA SUCHOTNICA,

(z francuskiego Anais Ségalas.)

Jakże mi duszno, gorąco, nieznośnie —
  Ręka ma sucha, lica zapłonione...
Słabam? powiedzcież? w pierwszej życia wiośnie?
Ach! nieraz widzę czoła zasępione,
I nieraz z wzrokiem, łzą żalu zamglonym
Mówią coś o mnie głosem przytłumionym.
    Gdy widzą, że ich śledzę nieszczęśliwa,
    Mimo łez w oku, już się uśmiechają,
    Chociaż westchnienie z piersi się wyrywa,
    Usty, oczyma wesołość udają.
    Widząc łzy matki, nieraz siostra mała
    Przyszła do łóżka mego i płakała.
Łzy te, łzy wasze, te was dziś zdradziły;
Wiem, że choć młodam, wkrótce umrzeć muszę!
Boże! nad śmiercią nie maszże Ty siły?
I prośby memi Ciebie czyż nie wzruszę?
Dziś żyję, myślę, kocham świat i ludzi,
A jutro może nic mnie już nie zbudzi!
    Suknia ma, wstęgi i te piękne kwiaty,
    Które na balu niegdyś mnie zdobiły,
    Świeże są jeszcze bez barw swych utraty,

A ja już jestem tak bliską mogiły!
Czyliżby życia mojego osnowa
Słabszą być miała jak tkanka gazowa?
Zwiędłam jak kwiatek, gdy mroźny wiatr wieje...
Wy, moje siostry, zdrowiem się cieszycie,
Los wasz tak świetny, wam tak miłe życie,
A dla mnie zgasły już wszelkie nadzieje!
Twarz ma wybladła, zmarszczona przedwcześnie,
Zda się być marą straszącą nas we śnie!
A tak niedawno jak byłam nadobna,
I jak mnie zewsząd głośno podziwiano!
Mnie, któram dzisiaj do mary podobna,
Jakby królowej hołd u nóg składano!
A za koronę, za dyadem cały,
Młode me lata na czole jaśniały!
Wasza, me siostry, ta przyszłość łudząca
Blaskiem świetlanym; wasz zachwyt młodości,
Ciche wyznanie i odpowiedź drżąca —
I wieniec z mirtu — cel każdej miłości;
Mnie, za strój ślubny, za welon weselny,
Stać musi biały mój całun śmiertelny!
Smutna to szata rzucona na trumnę,
Która w swem łonie na wieki zamyka
Szczęścia wyśnione i marzenia dumne,
Wszystkie zabiegi, wielkości człowieka,
Ach! taka szata nigdy nie zadrżała
Od bicia serca, co miłością pała!
Więc umrzeć muszę — umrzeć tak żałośnie!
Ileż to zgrozy słowo: śmierć, zawiera —
Ach! czyż w różannej nawet życia wiośnie
I z szczęściem w sercu także się umiera?
Czyż mych szesnaście wiosen, matko droga,
Mnie nie wyproszą od śmierci u Boga?
Nie — ja żyć będę, mnie tak wszystko bawi,
Te wonne kwiaty na wzorzystej łące,
Ten ptak, co śpiewem dobroć Boga sławi,
Ten błękit nieba, te zdroje szemrzące.
Ja pragnę życia — Bóg litości przecie
Nie da mi umrzeć w samem wiosny kwiecie.

A w dzień następny o wieczornej dobie,
Dzwon wszystkich wiernych do świątyni woła,

Tam świece, ołtarz i księża w żałobie
I w szatach białych dziewice dokoła.
W trumnie, w tym domku spokojnym, bezpiecznym
Leży dziewica, ujęta snem wiecznym.

Wyżnica na Bukowinie.

Alma Kovats.

Dumka popielcowa.

Już cisza! — przebrzmiały odgłosy kapeli,
Szał zabaw ustąpił znużeniu;
I umysł się dźwiga z rozkosznej topieli,
A rozkosz... już tylko w wspomnieniu.
I tylko sen czasem odtworzy te chwile
Rozkoszne, choć puste i marne,
I tylko w marzeniu przypomni się mile
To oczko błękitne lub czarne.
Ta kibić powiewna, — ten oddech gorący,
To pełne obietnic wejrzenie,
To słówko ulotne, uścisk ręki drżący,
Lub owo rozkoszne westchnienie...
A łono! jak pączek rozpustny pulchniutkie,
A rączka — bielutka i zgrabna,
A usta, — usteczka! miluchne, słodziutkie,
A nóżka — tak lekka, powabna.
. . . .
Już wszystko minęło... już nas pożegnały
Zabawy, szał, radość, wesele.
Gotówka i kredyt — lecz z nami zostały
Wspomnienia i.... i wierzyciele.

Potok złoty, 1885.

Julian Nowakowski.

BLIZNA,

HUMORESKA.

Marji F. we Lwowie poświęca pracę tę autor.

Przy ulicy Gródeckiej stołecznego miasta Lwigrodu, wznosił się przed kilkunastu laty dom piętrowy w zagłębieniu ulicy. Budowany w wielki czworobok, otoczony ogrodem wyglądał ponuro i nieprzyjemnie, mury miały barwę czarną ze starości, a deszcz spłukując ściany, pozostawił zielone smugi. Otaczający dom staroświecki — ogród, skopany w grzędy, zasadzony był warzywem, a środkiem ogrodu zacząwszy od sztachet, oddzielających dom od ulicy, prowadziła ścieżka piaskiem wysypana do drzwi wchodowych.

Właścicielem a raczej właścicielką domu była pani Barbara tertio voto Kuropatnicka, wdowa po śp. Pawle Kuropatnickim. Kiedy żył p. Paweł? jak dawno opuścił ten padoł płaczu i szanowną połowicę swoją? nie wiedziały... nawet liczne kumoszki, mieszkające w sąsiedztwie, których przecież zadaniem odwiecznem jest — interesowanie się dobrem współbliźnich, i pomimo mych najskrzętniejszych poszukiwań i wywiadywań się, nie mogłem zebrać w tym względzie od nich dostatecznych dat. Na pytania moje, dotyczące tego przedmiotu, kiwały głowami a westchnąwszy pobożnie, odpowiadały: „Bóg jeden, proszę Jegomości wie o tem!“ — i gdyby nie przypadkowa znajomość moja z p. Kupidyńskim, który ciekawym na ucho opowiadał w tej kwestji niestworzone rzeczy, ze szkodą dla potomności zaginęłaby pamięć o losach pana Pawła i pani Barbary.

Na podstawie więc opowiadań tegoż i osób w dalszym ciągu mojej powieści wystąpić mających, dzieje żywota Barbary Kuropatnickiej, ku zbudowaniu i nauce wąsatego pokolenia spisałem.

Barbara z domu Wurst, primo voto Gerstmann, secundo Marecka, tertio Kuropatnicka, właścicielka domu i obywatelka miasta Lwigrodu, była osobą liczącą lat około... nie wiem ilu, gdyż w metrykę niezaglądałem — dla zadowolnienia czytelnika mogę jedynie powiedzieć, że błogosławiony dzień urodzin p. Barbary musiał zdaniem mojem z pewnością przypadać w perjodzie od początku do końca XVIII. wieku.

Zresztą wiadomo wszem w obec i każdemu z osobna, że głębsze badanie tak drażliwej kwestji dla panien a tem bardziej dla podtatusiałych panien i wdówek — jak mój nieboszczyk dziaduś mawiał — jest niebezpiecznem. Nic więc dziwnego, że i p. Barbara jako nieodrodna córa Ewy o wieku swym nigdy niewspominała.

Była zatem osobą wzrostu średniego, tuszy okazałej, oczu siwych, nosa kształtów proporcjonalnych, ciekawie trochę do góry zadartego, twarzy czerstwej i zdrowej, koloru „buraka ćwikłowego w przekroju.“ Wszelką odpowiedzialność za toż wyrażenie zrzucam na p. Kupidyńskiego, z mej strony dodaję tylko, że w ogóle fizis p. Barbary byłaby dość znośną, gdyby jej nie szpeciło kilka dorodnych „brodawek.“ Rozwielmożniły się one w okolicy nosa, dodając mu niepospolitego wdzięku swymi okrąglutkimi łebkami.

Historję tychże, gdyż i one miały swą historję, opowiadał mi Kupidyński pod wielkim sekretem kilkanaście razy, gdyśmy przy szklaneczce piwa gawędzili u Naftuły. Wspomnieć muszę, że pasjami lubiał ze mną tamże chodzić, gdyż ja będąc w nauce nieśmiertelnego Pitagorasa dość biegłym, załatwiałem wszelkie rachunki z szanownym właścicielem piwa.

Opowiadanie to brzmi:

P. Barbara pewnego pięknego poranku spoglądnąwszy w źwierciadło, zobaczyła z wielkiem przerażeniem kilka punkcików na twarzy. Niespodziewane to odkrycie przejęło ją nadzwyczajną trwogą, —

ta twarz, którą ona codzień białkami, żółtkami oraz przeróżnemi ingredjencjami chemicznemi myła, która była tak piękną, tak gładką, miała być z niewiadomej jej przyczyny oszpeconą, — za nic więc jej praca lat tylu. Kilka dni upłynęło a wszelka nadzieja możliwego ratunku zagrożonej części ciała od oszpecenia znikła, z pierwiastkowych punkcików utworzyły się brodawki z odpowiednemi pióropuszami. Zmartwiona zamknęła się p. Barbara w swoich pokojach, oddając się różnorodnym kombinacjom, jakimby sposobem tych nieproszonych gości się pozbyć. Lecz nadaremnie... po siedmiodniowych bowiem kombinacjach nad możliwymi środkami zaradczymi, pomimo natężenia wszystkich władz umysłowych nic wymyśleć nie była w możebności. O poradę do lekarzy i chirurgów nigdy, choćby miała cały wdzięk swej amarantowej twarzy utracić, nie byłaby się udała. Ta antypatja przeciw nim pochodziła z tej przyczyny, że ciesząc się wyśmienitem zdrowiem, pomocy ich dotychczas niepotrzebywała.

Czego nie mógł uczynić rozum, to zdziałał przypadek. W kilka dni po wyżej opisanej katastrofie siedziała z pobladłą twarzyczką, z podsiniałemi oczyma w fotelu i przeglądała gazetę, czytając kronikę i anonsy, — polityką nie zajmowała się wcale szanowna właścicielka pięciu brodawek. Znudzona chciała już gazetę odłożyć, gdy... oko jej spoczęło na anonsie a następstwem tegoż był okrzyk, lecz wcale nie bolu, ale okrzyk tryumfu, radości, natrafiła bowiem na następujące ogłoszenie, wielkiemi literami wydrukowane: „Nie ma już łysin!!! Mego wynalazku wodą myjąc łysinę, każdy spodziewać się może bujnych włosów. Nie tylko łysiny, lecz kufry skórzane potarte muszą się po użyciu mego środka okryć sierścią.“ — Dalej następowało wyliczenie bezimiennych i fikcyjnych podziękowań, listów pochwalnych od obojga płci, które środek tenże z wyśmienitym skutkiem użyły na swych czaszkach. Podpisano: Sprzedaje: „Karol Boromeusz Jankowski, nadworny farmaceuta Pekińskiego dworu, kawaler orderu „Bum-Bum“, honorowy obywatel kraju Eskimosów etc. Lwigród, ulica Zaświatowa Nr. 46.“

P. Barbara przeczytawszy, poczęła kombinować ponownie a skutek tychże kombinacyj był ten, że natychmiast wysłała służącę, aby jej tej wody przyniosła. — Jeżeli Jankowski zapewnia, że na starych kufrach i łysinach, nota bene starych, włosy po natarciu porosną — myślała — to z pewnością, gdy ja nią twarz potrę, pióropusze poznikają. Twarz i łysina, to dwa przeciwległe bieguny, spodziewam się więc, że musi i skutek wywrzeć przeciwny. — Rzeczywiście po użyciu wody skutek był wyśmienity, gdyż włosy poznikały, lecz — o losie garbaty! — brodawki się powiększyły.

Opisawszy ptaszka, oglądnijmy i klatkę, zapoznawszy czytelnika z bohaterką opowiadania, zaznajomię go też z jej mieszkankiem.

P. Barbara miała do swego wyłącznego użytku dwa pokoje i kuchenkę w parterze, których okna wychodziły do ogródka. Pokoiki były skromnie umeblowane, — w pierwszym, który miał pretensję pozowania na salonik, stała kanapka i kilka foteli pokrytych niebieskim w pasy dreliszkiem, przed kanapą stół, po rogach pokoju dwie z orzechowego drzewa szafy, dalej komódka i klęcznik; otóż i całe umeblowanie. Niewyliczyłem jednak wszystkiego, gdyż powyższe przedmioty miały podstawę stałą a tą była podłoga zawsze czyściutka; lecz znajdywały się tam prócz tego przedmioty, które zajmywały miejsce między sufitem a podłogą, czyli wisiały. Przedmioty te swemi rozmiarami i kształtami uderzały każdego wchodzącego; były to obrazy a właściwie bohomazy, któremi wszystkie cztery ściany zawieszono. —

Prócz obrazów wisiała w jednym rogu pokoju gitara o dwóch strunach a w niezbyt dobranem towarzystwie zajmywał miejsce obok niej wysmukły z piękną kozią łapką dwułokciowej długości, skórzanny... boćkowiec.

Do drugiego pokoju wchodzić nie mamy prawa, gdyż zdaniem gospodyni popełnilibyśmy grzech wołający o pomstę do nieba. Mogę jedynie powiedzieć, że było to sanctuarium p. Barbary, miejsce jej samotnych rozmyślań i kryjówka wdowiego... łoża.

W chwili zaczęcia naszego opowiadania p. Barbara w pięknym, rannym negliżyku, w czypeczku na głowie uwija się ze szczotką po pokoju, oczyszczając meble i zmiatając prochy. Są to przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, które solennie co roku obchodzi. Zajęta rozmyśla nad czemś, gdyż co kilka chwil przerywa swe zajęcie, pociera dłonią czoło a urywane monologi wyrywają się z jej ust... Niedyskretnie jest wprawdzie podsłuchiwać, lecz chcąc sobie zasłużyć na względy pięknych czytelniczek, starać się będę choć w części powtórzyć słowa p. Barbary.

— Przyjdzie czy nie przyjdzie? — mówiła zamyślona gospodyni — już od kilku dni go nie widziałam... Może chory?... myślę, że powinnam się dowiedzieć, lecz jakim sposobem?... mnie nie przystoi iść do niego, obraziłabym przez to moją godność kobiecą. — Co za myśle?... uwiadomiłby mię! — żachnęła się p. Barbara — on będąc tak skromniutki, tak niewinny jak nowonarodzone dziecię, miałby przysełać do mnie z wiadomością, że chory! W jakim celu? — przecież niezaprzeczenie wie, żebym go nieposzła odwiedzić. W nieznośnem jestem położeniu... ja nie mogę iść do niego... on mi nie daje znać o sobie... co mam robić?... Miałam niedobre sny w nocy... dziś rano wstawszy widziałam pająka na ścianie... źle... wszystko wróży bliskie nieszczęście. — Lecz... aha! mam już sposób... a gdybym posłała Kasię z rozkazem, by przyszedł, gdyż nie wypada mi go prosić. — Także źle... on się domyśli, że mi nieobecność jego sprawia przykrość, kiedy aż po niego posyłam... muszę jakoś upozorować. —

Mężczyzna winien kobietę słuchać zawsze, kobieta zaś mężczyznę tylko niekiedy — było zasadą p. Barbary.

— Kasiu! — zawołała — Kasiu! — powtórzyła głośniej. —

Po chwili wsunęła się do pokoju postać skulonej starowiny, zapewne głuchej, bo pani domu tubalnym głosem z nią konferuje.

— Dlaczego dajesz na siebie tak długo czekać? — woła zniecierpliwiona wdówka. Pamiętaj co ci powiem, za dwa dni mamy Wigilję, trzeba, żebyś mi podłogę

wymyła w obu pokojach i kuchni, wiesz jak lubię, prędko, porządnie i czysto. Przynieś mi zaraz wody, poobmywam ramy u obrazów, później pójdziesz do p. Kupidyńskiego i każesz mu, by natychmiast przyszedł; właściwie powiesz, że kazałam — poprawiła p. Barbara. Możesz odejść, a wracaj mi prędko.

— Dobrze — prowadziła dalej rozmowę z sobą po przyniesieniu wody i odejściu Kasi — kazałam mu przyjść, lecz gdy przyjdzie, jaki powód dam mego wezwania?... muszę go najprzód ułożyć, bym się nie znalazła w kłopocie... gdybym na przykład... dobrze, powiem mu, że posłałam dla tego, by go prosić na wieczerzę wigilijną. Lecz to nie pięknie, żebym go zapraszała, będąc samą.... ludzie będą zaraz niestworzone rzeczy mówić o tem, że ja wdowa pozwalam w domu moim bywać kawalerowi wieczorem, gdyż jeżeli w dzień mię odwiedza, to całkiem co innego.... i nieuczyniłabym tego, gdyby nie okoliczność, że przyrzekła mi Żółwiowska przyjść do mnie z córką, ukochaną Kuncią, którą z prawdziwym zaszczytem dla mojej osoby, nazywam chrzestną córką moją... ale może nie wypada prosić kawalera, kiedy u mnie będzie panna?... ach! jak jestem dziecinną! — zawołała uderzając się ręką w czoło — zapomniałam całkiem.... Kuncia jest jeszcze prawie dzieckiem, cóż mi to za panna.... w zapusty ukończy dopiero 23 lat.... nie jest nawet pełnoletnią. — Biedne to stworzenie ta wdowa — zakończyła patetycznie — na wszystko musi uważać, by nie dać ludziom powodu do złośliwych uwag. —

Otóż i lody przełamane, stało się zadość przyzwoitości i tajemnym życzeniom serduszka p. Barbary; musimy wyznać, że gospodyni czuła pewną skłonność do p. Kupidyńskiego, skłonność mającą na celu zaborcze zamiary okucia go w więzy różanne, czyli prozaicznie małżeńskie, Kupidyński znał p. Barbarę jeszcze wówczas, kiedy jak mówił „wyglądała gdyby pączek w maśle,“ gdy była jeszcze panną. Czuł on także coś do niej, lecz wrodzona wstydliwość i nieśmiałość niepozwalały mu dopełnić tak heroicznego czynu, aby to „coś“ zamienić na oświadczyny i sięgnąć o rękę panny a później wdowy. Trzech szermierzy

kolejno go wyprzedzili i zająwszy najprzód stanowiska obserwacyjne, w końcu szturmem zdobywali sobie rączkę oraz szkatułę panny, później zaś wdowy po pierwszym i drugim mężu. Nie do pogardzenia była szkatuła, gdyż kamieniczka piękne niosła dochody, a wydatki właścicielki były dość ograniczone.

Po śmierci p. Kuropatnickiego, trzeciego małżonka z rzędu, gdy pole do zapasów miłośnych ponownie zostało opróżnione, p. Kupidyński powziął zamiar, zająć miejsce starającego się i nieprzypuścić więcej konkurentów; w czem nie natrafił na żadne przeszkody, gdyż siwe włosy p. Barbary nie znajdywały amatorów. Codzień wychodząc z domu układał słówka miłośne, któremi przy oświadczeniu miał wyrazić swą głęboką.... nie wiem co? ale zapewne miłość siwowłosej bogdance, — przyszedłszy zapominał o wszystkiem i pomimo zachęcających gestów i słówek ze strony gospodyni, która przenikliwością kobiecą, raczej zaś nabytem doświadczeniem odgadła dawno, z jakimi zamiarami konkurent u niej bywa, nie mógł się odważyć na krok stanowczy i zły na siebie odchodził, nic nie sprawiwszy. Nazajutrz szedł znowu do niej z tąż samą jak onegdaj myślą i tak działo się już od dwóch lat.

Pani Barbara wziąwszy wodę i szczoteczkę, zajęła się z wielką starannością obmywaniem ram u obrazów.

Przyglądnijmy się takowym bliżej. Były tam krajobrazy, było również kilka portretów, mających przedstawić Napoleona w różnych pozach, którego twarz podobniusieńką była do pomarszczonej twarzy Kasi i wiele innych, każdy obraz miał przytwierdzony do ramy napis.

Tak napisy jak i obrazy były bardzo oryginalne, z których kilka by dać czytelnikowi pojęcie o nich opiszę.

I tak np. obraz przedstawiający jegomościę we fraku i cylindrze, który stojąc pochylony nad rzeką czy też morzem, okazywał ochotę wypróbowania swych sił w sztuce pływania. miał napis: „Książę Józef Poniatowski pod Lipskiem“. Inny znowu obraz przedstawił mężczyznę w hiszpańskim płaszczu, z mycką

na głowie, w trzewikach i pończochach — napis brzmiał: „Otton Bismark, król indyjski.“ Trzeci o wielkich rozmiarach przedstawiał mężczyznę w zawoju tureckim i w pantoflach, siedzącego z podgiętemi nogami na rozścielonym kobiercu, napis był niemniej oryginalny: „Jan Sobieski, sułtan turecki“, a obok tego dalszy obraz przedstawiał mężczyznę w szlifach generalskich, wsiadającego na rumaka. Napis brzmiał: „Rinaldo Rinaldini książę niemiecki, obrońca Wiednia.“ Inne obrazy przedstawiały polowania, bójki uliczne, portrety kobiet z wykrzywionemi twarzami, odrażające wnętrza szynkowni a odznaczały się wszystkie nieodgadnionemi kształtami osób ludzkich i form zwierzęcych, zapewne przedpotopowych. Wdzięczne pole dla badań naukowych p. Nowickiego.

Obrazy te były, jak je nazywała p. Barbara arcydziełami jej śp. pierwszego męża, który będąc malarzem pokojowym, w wolnych chwilach od zajęcia psuł płótna, kopjując w dobrej wierze staloryty pism humorystycznych, które jako reprodukcje słynnych arcydzieł malarskich uważał; nie mając zaś najmniejszego pojęcia o historji, zamieszczał pod niemi powyżej podane objaśnienia.

— Proszę pani — ozwał się głos Kasi, przyszedł p. Ku...

— Proś by wszedł — przerwała z żywością poprawiając czypeczek i gładząc przeźroczyste pukle włosów p. Barbara. — Czekaj, panie Jacenty, nie daruję ci mej niespokojności — dodała po cichu.

Natychmiast po wygłoszonem zaproszeniu słychać było suwanie nóg, po chwili ukazała się we drzwiach najprzód głowa niepospolitej wielkości, z długim, płowym, rozczochranym włosem, twarzy widzieć nie można było, gdyż takowa pochyloną była na piersiach; za głową ukazała się wspaniałej długości szyja, nareszcie część resztująca ciała co najmniej trzechłokciowej długości. Gość podobny raczej do wyniosłej sosny, suwając nogami z nadzwyczajną chyżością zbliżył się i ucałował rączki gospodyni z należnem tak uroczystemu aktowi namaszczeniem. Dokonawszy arcyważnego tego aktu przyzwoitości, gość się wyprężył, gdyby rekrut przed jenerałem oczekując

dalszych rozkazów, — możemy się więc korzystając z tej chwili, przypatrzeć bliżej osobie p. Jacentego Kupidyńskiego, emerytowanego dyetarjusza c. k. policji we Lwigrodzie.

Niepospolita wielkość głowy, oczy wielkie i siwe, gdyby cebule wyglądające z dołów ocznych, uzbrojone w okrągłe rogowe okulary, nos długi, szpiczasty, usta wielkie, szerokie, twarz gładko ogolona, wąs strzępiasty robiły z niego skończoną karykaturę, godną pędzla Holbeina. Ubrany w obcisłe szarawary w kraty żółte, sięgające zaledwie poniżej kolan, w niebieską, wypłowiałą kamizelkę i siwy, wytarty tużurek, mógł być godnym zaiste przedstawicielem ubogiej kasty dyetarjuszowskiej.

— Czy p. Jacenty może chorował na apoplektyczne zaflegmienie dołu nosowego? — pytała szyderczo gospodyni, wiedząc że na chorobę tę zwykle się uskarza — od pięciu dni nie dajesz pan o sobie żadnej wiadomości, ani sam nie przychodzisz, co to znaczy? wytłumacz się pan! — a nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej ironicznym tonem:

— Zapewne już się panu sprzykrzyła ma przyjaźń. Tak to, tak, o biednej wdowie wszyscy zapominają. Bardzo pięknie z twej strony, mój panie, że mając pretensją zwania się mym przyjacielem od lat czterdziestu, zapomniałeś o mnie przez całe pięć dni, mogłabym nawet w czasie tym kilka razy umrzeć a pan o moim pogrzebie nie wiedziałbyś — dodała z minką rozpacz wyrażającą i na wspomnienie swej samotności i pogrzebu otarła chustką suche oczęta.

Jacenty nieprzygotowany na tak ostre wyrzuty oniemiał. Nie przeczuwał wcale, że zapomnienie chwilowe obowiązków grzeczności, wywoła jakiekolwiek wrażenie na p. Barbarze a tem mniej tak silne, przekonany bowiem był o tem jak najmocniej, że „najdroższa Basia“, jak ją zwał w skrytościach kawalerskiego swego serca, — płacze. Nie wiemy, jak by się była scena powyższa zakończyła, gdyby nie myśl, która mu lotem błyskawicy przez głowę przemknęła. — Jeżeli nieobecność moja była jej przykrą, — rozumował — z pewnością życzy ona sobie, abym był przy niej ciągle obecnym, czyli bym został jej mężem.

Pod wrażeniem tej myśli nie mając czasu zastanowić się nad swym krokiem, gdyż zastanowiwszy się z pewnością byłby się nań nie odważył, — padł na kolana, wzniósł złożone błagalnie dłonie do góry i przybierając pozę teatralną, wygłosił gdyby jakąś lekcję jednym tchem tyradę miłośną, którą miał czas się nauczyć i zapamiętać, powtarzając ją codziennie od lat czterdziestu:

— Jejmość dobrodziejko! racz przebaczyć mnie nieszczęsnemu moją śmiałość, wiem, że zbyt wielka, gdy śmiem przed tobą nadobna córo Ewy! zgiąć kolana, klęknąć i wyznać ci mą gorącą miłość. Gdym cię pierwszy raz obaczył — a było to w roku 1825, — poznałem katusze miłości, które mię do tej chwili uciskają; odtąd przechowywałem twój obraz w głębi mej duszy, codzień wstając i udając się na spoczynek odmawiałem modlitwę, którą sam ułożyłem, aby ci wybłagać u Boga szczęścia. Pani serca mojego! w czasie pierwszego twego wesela chciałem się z rozpaczy utopić, podczas drugiego powiesić, po trzeciem twem zamężciu pomyślałem sobie tylko: niech trzeci wróg mój a mąż jej umrze, wtedy będzie na ciebie bratku kolej. Przyznaję się do winy, życzenie me było niechrześciańskie, lecz zakochanemu wiele przebaczyć należy; spełniło się — mąż Jejmości umarł. Chciałem zająć jego miejsce, ale wrodzoną mi nieśmiałością wiedziony, nie mogłem się odważyć, by gorącą miłość moją, której jubileusz czterdziestoletni przed kilku dniami solennie u Naftuły obchodziłem, tobie pani wyznać. W dniu tym postanowiłem zaprzestać dalszych odwiedzin a tem samem nierozraniać sobie zbolałego serca. Dziś rano przysłałaś Jejmość do mnie Kasię; wychodząc powziąłem niezłomne postanowienie zakończenia ostatecznie mej sprawy miłośnej wyznaniem, i otóż je dopełniam. Znasz pani obecnie najgłębszą tajemnicę życia mego, racz ją uwzględnić, racz otworzyć bramy serca dla najniższego sługi, pensjonowanego dyetarjusza c. k. Dyrekcji policji Jacentego Kupidyńskiego, racz położyć koniec jego przeszło czterdziestoletnim nieznużonym afektom i obdarz go swoją rączką, błagam cię Jejmość na kolanach.

Wysilony i przestraszony oratorską swą wymową zamilkł Jacenty, zasłonił oczy ręką i oczekiwał wyroku z pięknych w swoim rodzaju ustek p. Barbary.... Cisza.... siwowłosa bogdanka z wewnętrznej uciechy nie mogła natychmiast odpowiedzieć.

— Nie przyjmujesz Jejmość mej ofiary? — odezwał się po chwili Jacenty, pozostając jak poprzednio w pozycji klęczącej — nie pozostaje mi więc nic innego do czynienia jak... zastrzelić się — dodał z smutkiem.

— Panie Jacenty! co pan mówisz!... na miłość Boską!.... ja...

— A tak, Jejmość odrzucasz moją prośbę,.... idę i więcej może nie powrócę — a rzekłszy to i wstawszy, zmierzał ku drzwiom, badając z pod oka wrażenie uczynione swą mową.

P. Barbara ujęła go szybko za rękę, przywiodła do krzesła a zająwszy drugie naprzeciw, rzekła:

— Przed chwilą wyjawiłeś mi pan swe zaszczyt mu czyniące zamiary względem mnie, zapewne wiesz pan, że małżeństwo jest rzeczą świętą, jest to sakrament; wprawdzie przyjmywałam go trzykrotnie, lecz przyznać muszę ze wstydem, że nie wiem który, — może pamięci mej przyjdziesz pan w pomoc?

— Mogę dać równobrzmiącą odpowiedź z zastrzeżeniem, że go dotychczas nie przyjmywałem — odpowiedział Jacenty, uspokojony czułym wzrokiem wdówki, — ale za zgodą Jejmości i wolą Bożą mam nadzieję przyjąć go i dowiedzieć się, które w ogólnym porządku liczb miejsce zajmuje.

— Otóż mówiłam — ciągnęła dalej gospodyni, że małżeństwo jest rzeczą świętą, a każdy wstępujący w ten stan powinien się dobrze namyśleć, czy potrafi zadość uczynić przyjętym na się obowiązkom. Czy wiesz pan, że będziesz mi przysięgał nieograniczoną miłość, wierność a przedewszystkiem posłuszeństwo? że . . . .

— Ależ wiem — przerwał zniecierpliwiony Jacenty, i miałem czas przez lat czterdzieście namyśleć się i wyrobić w sobie postanowienie dopełnienia tych wszystkich warunków.

— Bardzo dobrze — odpowiedziała p. Barbara

ze spokojem prokuratora, pan oświadczasz mi, że miałeś czas wyrobić w sobie postanowienie; ale ja nie miałam i dla tego proszę o udzielenie mi sześciu miesięcy czasu do namysłu, po którego upływie otrzymasz pan stanowczą odpowiedź. Teraz zaś pozostaw mi pan i nadal swą przyjaźń i przychodź jak dawniej na obiadki, gdyż wiesz, że sama jadać nie lubię.

— Mościa Dobrodziejko — ozwał się cichutko Jacenty, którego cała przytomność umysłu już opuszczać zaczynała, zgadzam się na wszystko i dziękuję za nadzieję — tu ucałował rączki gospodyni.

— Na znak zawartej przyjaźni między nami pozwolisz panie Jacenty szklaneczkę wina.

— Dziękuję za pamięć i jeśli łaska proszę. —

P. Barbara wyszła, Jacenty zacierał ręce z nadzwyczajnem zadowoleniem mówiąc do siebie: Udało mi się wyśmienicie! Niedaremnie przez czterdzieście lat przygotowywałem się na tę ważną chwilę. Wdówka niby to się odciąga, ale nic z tego nie będzie, musi być moją żonką. Dzięki Najwyższemu choć na stare lata człek będzie mógł spokojnie niekłopocąc się o nic, kilka lat przeżyć. Ciekawym jestem, ile też dukacików ma uskładanych. A co za niewczesna ciekawość, czekaj panie Jacenty cierpliwie, a przyjdzie czas, że je przerachujesz. Musi ich tam być do... Monolog został przerwany wejściem wdówki, niosącej na tacy zimną przekąskę i wino.

Po sutem śniadaniu Jacenty z zarumienioną twarzą rozparł się w fotelu, p. Barbara zaś zajęła się odczyszczaniem obrazów.

— Jejmość znowu zajęta obrazami?

— Muszę poobmywać ramy, nadchodzą święta, niechciałabym, aby się niekorzystnie przedstawiały. Mają one dla mnie wielką wartość, są to cenne arcydzieła, pamiątki rodzinne, zresztą wiele z nich malował mój nieboszczyk mąż pierwszy — Panie! świeć nad jego duszą! — Anastazy Gerstmann. Jak panu wiadomo, był on sławnym malarzem, pobierał nawet naukę u światowej sławy artysty Innocentego Kosturkiewicza. Te dwa portrety, które pan oto widzisz — i mówiąc to wskazała na Rinaldiniego i Bismarka — są jego najlepsze prace, były one na wystawie po-

wszechnej w Grenlandyi w r. 18... Grenlandczycy zachwyceni za każdy obraz chcieli ofiarować Kosturkiewiczowi po dwa białe polarne niedźwiedzie, albowiem pieniędzy nie używają i tylko żywymi niedźwiedziami płacą. Kosturkiewicz się nie zgodził a po śmierci swojej memu pierwszemu mężowi testamentem je przekazał.

— Przepraszam, że przerywam, niezrozumiałem jednak, czy p. Kosturkiewicz zapisał mężowi Jejmości obrazy, czy też niedźwiedzie? — ozwał się Jacenty, który mimo tego, że historję obrazów co najmniej pięć razy w miesiąc słyszał opowiadaną, nie znał dotychczas ich dziejów, gdyż p. Barbara przy każdem opowiadaniu dodawała coraz nowe szczegóły, zaczerpnięte z własnej fantazji.

— Mówiłam wyraźnie, że artysta nie chciał się na taką zamianę zgodzić. Wracam do mego męża, otóż jak wspominałam malował on obrazy, np. to polowanie, ten portret kobiety są jego pędzla. Zajmywał się tem tylko w chwilach wolnych od innego zajęcia, gdyż będąc pracowitym człowiekiem, nie pogardzał także wymalowaniem pokoju lub salonu. Dobry był to człowiek, jedyne nieszczęście, że krótko żył. Ożeniwszy się ze mną liczył nie więcej tylko 54 lat, żyliśmy z sobą lat 18, umarł licząc lat.... zaraz... ileż to czyni?

— Siedmdziesiąt i dwa — podpowiedział Jacenty.

— Tak, siedmdziesiąt i dwa, najpiękniejszy wiek życia, wtenczas mężczyzna dojrzewa i zaczyna zasługiwać na to miano. Ale muszę panu opowiedzieć historję osób, które te obrazy przedstawiają, bo zapewne pan nie znasz dotychczas takowej? Powiedz mi pan, czem był Rinaldo?

— Wprawdzie nie słyszałem ich historji, lecz zdaje mi się, że Rinaldo był dyrektorem policji. —

Śmiech homeryczny p. Barbary był całą odpowiedzią, pamiętając jednak na słowa pisma świętego, które radzi: „nieświadomych pouczyć“, zajęła się gorliwie tem niewdzięcznem zadaniem.

— Słuchaj więc pan uważnie, opowiem dosłownie tak, jak mi opowiadał mój mąż pierwszy, który tę

historję słyszał z ust Kosturkiewicza i innych współpracowników na polu malarskiem. Dawno już, bo około sto lat mija od czasu, gdy w Moskwie, stołecznem mieście Rosji panował król, znany powszechnie z okrucieństwa dla swych poddanych, a króla tego zwano Napoleonem. Pierwszym jego ministrem był Arab imieniem Bismark Otton, którego znowu dzieje żywota były następujące: Cesarz Napoleon rozkazał z Arabii przywieźć młodego, pojętnego syna pustyni na pazia do swego dworu. Przywiezionego oddano celem dalszego wykształcenia na dobrego dworaka do Akademii Smorgońskiej. Po ukończeniu studjów młody Arab przyjął służbę u dworu jako paź, a posuwając się szybko ze stopnia na stopień został pierwszym ministrem i doradcą cesarza. Słowo „Bi-smark“, jeżeli sobie dobrze przypominam, oznacza w narzeczu arabskiem „szybki w działaniu“. Pewnego razu, gdy Napoleonowi zabrakło pieniędzy na zabawy i bale, które wystawnie urządzał dla oblubieńców i oblubienic, polecił ministrowi natychmiastowe nałożenie na mieszkańców miasta Moskwy z jakiegokolwiek tytułu przymusowej daniny, by tym sposobem mógł otrzymać dla niego pieniądze. Do wykonania tego polecenia pozostawił mu trzy dni czasu, po których upływie oznajmił minister, że mieszkańcy odmówili złożenia wymaganego od nich podatku. Napoleon uniósł się wielkim gniewem, rozkazał Bismarka ukarać śmiercią przez powieszenie a miasto Moskwę spalić. Rozkaz spełniono tylko w połowie; miasto spalono ze szczętem, ale Bismarka nie ujęto, gdyż uwiadomiony o grożącem mu niebezpieczeństwie uciekł do Ameryki. Tamże po wielu przygodach przy pomocy niejakiego Wangtona czy Wangitona — nie przypominam już sobie nazwiska tegoż — został obrany królem ludożerczych Indjan. —

Jacenty słuchal z religijną czcią opowiadania p. Barbary, naraz, czy duch niespokojny wszedł weń, czy co? począł się szybko na krześle poruszać, odwracać, robić różne poszukiwania rękoma we wszystkich okolicach ubrania swego, lecz zapewne że takowe nie musiały odnosić pożądanego skutku, gdyż spocony i zakłopotany powstał p. Jacenty nagle

z krzesła, które na kilka kroków odleciało i zawołał rozpaczliwym głosem:

— Jejmość dobrodziejka daruje, opowiadanie było bardzo piękne, ale... tego... jakto..., i tak mówiąc rozkładał rękami i robił ponowne poszukiwania z tymże samym co dotąd skutkiem.

P. Barbara przestraszona akrobatycznemi ruchami gościa, podchodząc zapytała:

— Na rany Chrystusowe, co pan robisz? czy jesteś pan chorym? może pan zemdlał? ja nie wiem...

— Pani Dobrodziejko, to nic... to tylko tego...

Nie mógł dalej słowa przemówić, poczerwieniał, przetarł ręką oczy a właściwie okulary, które zachwiane w swej podstawie z brzękiem padły na ziemię tłukąc się na miazgi.

Jacenty westchnął straszliwie, ujął ozdobę twarzy, wspaniały, rubinowy nos w rękę i przedsięwziął wykonać natychmiastowy odwrót, — w wykonaniu jednak zamiaru swego trafił na przeszkodę, p. Barbara bowiem, spostrzegłszy manewr gościa, nie mogła się nań zgodzić niedowiedziawszy się pierwej o przyczynie tegoż, rozgniewana zaś milczeniem Jacentego, zapytała ponownie:

— Powiedz mi pan nareszcie, czy nie jesteś chorym? może zachowaj Boże krew? Kasiu! podaj klucze, sól, wodę, ocet!... i nie czekając aż Kasia żądane medykamenta nadniesie, pobiegła do kuchni.

Jacenty korzystając z okoliczności, pędem strzały wymknął się za p. Barbarą. Rejterada udała się wyśmienicie, chociaż nie obyła się bez pewnych małoznaczących kontuzyj z powodu braku okularów.

Stanąwszy na dziedzińcu jako celu wycieczki, głęboko odetchnął, otarł pot z czoła mu spływający, ujął w dwa palce nos a odbywszy z nim różne ewolucje ze stosowną mimiką i kantatą muzykalną, uśmiechnął się zadowolniony.

— Już pan skończyłeś? — ozwał się śmiejący głosik wdówki brzydki... teraz rozumiem, nie była to krew; zapewne zapomniałeś pan chustki w domu?

— Rzeczywiście, proszę Jejmości, gdy Kasia do mnie przyszła z poleceniem stawienia się po rozkazy, spiesząc się zapomniałem wziąć chustkę i ta-

bakierkę a Jejmości wiadomo, że cierpiąc na apoplektyczne zaflegmienie nosa, koniecznie takowe potrzebuję. Z jednego złego wynika dziesięć, w skutek tego stłukłem okulary, nabiłem sobie guza na czole i przestraszyłem Jejmość, — ale proszę mi przebaczyć, przyrzekam poprawę.

— Aby uchronić pana od powtórnych kontuzyj, proszę podać mi rękę, zaprowadzę go do pokoju. Kasi dasz pan klucz od pomieszkania a przyniesie zapomniane rzeczy.

Jacenty uradowany podał swe ramię z komiczną powagą. Gospodyni wprowadziwszy go do pokoju pomogła mu usiąść na fotelu, sama zaś zajęła się dalej swą czynnością.

— Niedokończyłam jeszcze historji obrazów. Nieprzypominasz pan sobie, na czem zakończyłam opowiadanie?

— Na Arabie, którego obrano królem afrykańskim — wykrztusił Jacenty, gdyż takowego już niepamiętał.

— Ależ nie afrykańskim tylko indyjskim, — poprawiła wdówka. Poznałeś pan dotychczas historję dwóch obrazów Kosturkiewicza, teraz opowiem dzieje trzech następnych, malowanych przez mego męża a przedstawiających młodzika we fraku, który się chce utopić, Turka siedzącego z podgiętemi nogami i Rinaldiniego. Wspominałam, że Rinaldini był Niemcem a ja przez mego stryjeczno-ciotecznego brata, którego matką była wujeczna siostra mojej prababki, jestem w pokrewieństwie z Rinaldinimi. Może pana nudzę opowiadaniem? — zapytała gospodyni widząc Jacentego z trudnością broniącego się uściskom Morfeusza.

— Owszem Mościa Dobrodziejko — tłumaczył się Jacenty, bajek słuchałem zawsze z wielką przyjemnością. Mam nawet „Bajarza polskiego“, książkę o czteru tomach, którą przeczytałem już dwadzieścia trzy razy, jutro rozpocznę po raz dwudziesty i.....

— Panie — zawołała wdówka zgorszona profanacją jej opowiadań, ja bajek nie powiadam, lecz prawdziwe historje!

— Historje? tem lepiej Mościa Dobrodziejko, ja lubię i historje słuchać.

— Rozpocznę więc od młodzika, który zwał się Józef Poniatowski a był siostrzeńcem króla namalowanego, który w Polsce panował. Król zaś mieszkając z siostrzeńcem w Warszawie, byli znanymi wielbicielami kobiet.

Pewnego razu przyjechała „incognito“ do Warszawy żona sułtana tureckiego, jednak po niejakim czasie dowiedziano się, że celem podróży było zastąpienie utraconych zębów sztuczną szczęką. Może pan nie wiesz, że w Turcji mieszka naród na pół dziki, którego całodzienne zajęcie ogranicza się na paleniu fajki i spaniu. Nieznalazłbyś pan w całym kraju jednego rzemieślnika lub przemysłowca, dla tego wszystko, co im do potrzeb życia codziennego jest potrzebne, zmuszeni oni sprowadzać od nas.

Książę Józef dowiedziawszy się o przybyciu znakomitej osoby, pośpieszył natychmiast z oddaniem wizyty, mile przyjęty poznał cudownie piękną żonę sułtana Jana Sobieskiego i zakochał się w niej po uszka, jak mówił mój nieboszczyk mąż. Piękna pani przebywała od kilku miesięcy w Warszawie, lecz nie mogła wyszukać zdolnego dentysty, którvby się podjął zęby wprawić, dowiedziała się tylko, że w Wiedniu ordynuje specjalista „Itzyk Szwindełes,“ posiadający światową sławę w tego rodzaju operacjach. Sułtanka wyjechała tedy do Wiednia, gdzie jej Poniatowski towarzyszył. Po kilkudniowym pobycie tamże odebrała wizytę głównodowodzącego siłami zbrojnemi we Wiedniu, hr. Rinalda Rinaldiniego. Był to prześliczny młody mężczyzna, niedziw więc, że sułtanka znudzona afektami księcia, zakochała się w hr. Rinaldinim. Książę Józef przekonawszy się o zdradzie, z rozpaczy utopił się w Elsterze wyjechawszy do Lipska. —

Weszła Kasia niosąc wielką w czerwone kraty chustkę, tabakierkę i okulary. Jacenty z przezorności miał na przewidziane wypadki kilka par tychże.

— Nie koniec na tem — kontynuowała opowiadanie swoje p. Barbara, sułtan dowiedziawszy się, w jaki sposób żona uprzyjemnia sobie pobyt w Wie-

dniu, rozgniewany wkroczył z wielkiem wojskiem do Austrji i obległ stolicę. Rinaldo dzielnie bronił miasta przez trzy lata, po upływie których sułtan ze wstydem od murów odstąpić musiał, żonę zaś sułtana poślubił Rinaldini. — Przerywam me opowiadanie, gdyż Kasia nakrywa stół do obiadu. Chętny historyk całe tomy mógłby spisać o dziejach tych obrazów. Naprzykład to polowanie na dzikich ludzi jest utworem mego ciotecznego brata Polikarpa Dardanelowskiego. Obraz ten wywarł silne wrażenie na publiczności, w skutek czego wytoczono mu proces karny; twierdziły bowiem władze, że tchnie rewolucjonizmem.

Zasiądnięto do obiadu; Jacenty przez nieuwagę zamiast soli, której niezmiernie wiele używał do potraw, wsypał tabakę do kapuśniaczku, za co ponownie zmuszony był przeprosić rozgniewaną gospodynię. Po deserze niezważając, że uchybia etykiecie, pożegnał wdowę oświadczając, że musi śpieszyć do domu, aby rozpocząć po raz dwudziesty i czwarty studjowanie „Bajarza polskiego“ i przedrzemać się chwileczkę.

Wdowa po odejściu gościa również rozciągnęła się na kanapce, lecz sen uciekał od jej powiek; zbyt wiele bowiem przebyła w tym dniu wzruszeń, aby mogła usnąć.

— Dobrze uczyniłam — myślała, niech czeka. Wprawdzie niespodziewałam się tak rychłych oświadczyn, lecz lepiej dla mnie, sam Bóg powiedział, że niedobrze jest żyć samemu człowiekowi na ziemi. Postanowiłam po śmierci pierwszego męża nosić trzechletnią żałobę i dotrzymałam słowa, po śmierci drugiego byłam również przez 3 lata wolną; teraz nie mogę łamać danego słowa i Jacuś poczeka rok, ponieważ od śmierci mego trzeciego męża dopiero dwa minęło. Znam go wprawdzie oddawna, lecz chciałabym jeszcze lepiej poznać, gdyż przysłowie mówi: „kto się ożeni, ten się odmieni“. Będę zwracała przez ten czas baczną uwagę na jego charakter. Także niepodoba mi się u niego zażywanie tabaki, noszenie czerwonych a nie niebieskich chustek, nieubieranie krawatów pod szyją tylko szala.... wszystko to natych-

miast po ślubie skonfiskuję. Będzie tańczył jak mu zagram, mam w tem wprawę wrodzoną.

Towarzyszmy Kupidyńskiemu. Emerytowany dyetarjusz szybko przeszedł przestrzeń, dzielącą go od ulicy Teatralnej i zatrzymał się w miejscu, gdzie wznosił się wielki budynek dwupiętrowy. Stanąwszy przypatrywał mu się kilka minut z widocznem zadowoleniem, przystąpił do wykutego z kamienia lwa przed gmachem, pogładził go ręką i szepnął:

— W tym domu przesiedziałem przy stoliku lat 45.

Było to zabudowanie c. k. Dyrekcji policji. Od czasu otrzymania żmudnie zapracowanej emerytury, uważał p. Jacenty za obowiązek codziennie lwa pogłaskać i spojrzeć na gmach policyjny.

W chwilę minąwszy kilka ulic, wszedł do sieni nieschludnej kamienicy. Po ciemnych i skrzypiących schodach dosięgnąwszy trzeciego piętra, otworzył niskie drzwi pomieszkania.

Apartament p. Jacentego napełniony powietrzem o silnym odorze tabaki, dymu i zgnilizny, obejmował najwięcej półtora sążnia sześciennego objętości. Stojące w nim łóżko, stolik, krzesełko i kuferek świadczyły o ubóstwie właściciela. Na stoliku leżały 4 tomy „Bajarza polskiego“ i historja o Genowefie.

— Zkąd mi przybyła odwaga — zawołał leżąc na łóżku, że mając lat 67, pięć miesięcy i ośmnaście dni, śmiałem się oświadczyć o rękę Basi — nie wiem, wiem tylko, że jest to najheroiczniejszy czyn, jakiego w życiu mojem dokonałem. Wprawdzie będę miał z tego powodu nieuniknione koszta, które jednak w obec okoliczności, że posiędę taki skarb, jakim jest Basia, maleją do zera. Mniemam, że ma najmniej z piętnaście tysięcy dukacików złożonych. Ze względu na moje szczupłe fundusze wypożyczę frak, krawat biały, trzewiki i rękawiczki, pantalony mam własne siwe, kamizelki zaś nie potrzebuję, frak szczelnie zapięty czyni takową zbędną. Pozostaje jedynie najważniejsza kwestja do załatwienia — jako oblubieniec winienem dostarczyć pierścionków i podarunku ślubnego a złoto obecnie tak drogie. Pierścionki mogą być wprawdzie i pozłacane, lecz trudniejsza sprawa

z podarunkiem. Cóżby to Basi kupić, by drogo nie kosztowało?

Jacenty począł rozmyślać. Biadował już godzinę nad rozwiązaniem tej zagadki, gdy naraz skoczywszy z łóżka począł biegać po izbie wołając:

— Wiem już! wiem! wyśmienita myśl — natychmiast idę do rudego Berka i ugodzę się z nim o cenę. Takie nikczemne stworzenie nie powinno wiele kosztować. Przyniosę je do domu, będę dobrze karmił, by było silne i tłuste. Przypominam sobie, że Basia odchorowała śmierć Milusia, który jak mi mówiła, zginął na zapalenie gardła; pewien jestem, że nadzwyczaj się ucieszy, gdy jej jako podarunek ślubny ofiaruję kotka.

I wyrzekłszy te słowa, ubrał się Jacenty natychmiast z gorączkowym pośpiechem, a wyszedłszy na ulicę udał się do pobliskiej piwiarni, nad której drzwiami powiewała wiecha.

Wszedł do wnętrza, które roiło się dobrze życzącymi sobie kumami i kumoszkami. Wpośród nich stał maleńki, ryżowłosy żyd z jarmurką na głowie; trzymając w jednej ręce flaszkę z wódką a w drugiej kieliszek, częstował gości powtarzając przy każdym toaście:

„Kto u Berka piwo, wódkę pije!
Wiwat! wiwat! niechaj sto lat żyje!"

Jacenty usiadł przy stoliku popijając z podanej mu szklanki piwo, — czekał kiedy będzie mógł z Berkiem rozpocząć konferencję. Po chwili podchmieleni goście zostawiwszy ciężko zapracowany grosz w rękach żyda, wyszli.

— Berku! — zawołał Jacenty.

— Ny? czego? może piwa?

— Widzisz że piję, mam cię o coś zapytać.

— Zaraz, proszę Jegomości — gleich werd ech kimen — dodał, tylko Surę zawołam. Sure! Kim a her!

— Wuys? — odezwał się głos połowicy.

— Sug ech, kim a her — powtórzył Berko.

— Ny, wus wilst dy? — zapytała rozgniewana natarczywością męża Berczycha wchodząc.

Berko nic nie odpowiedział, wskazał tylko na

stół z flaszkami — sam zaś zbliżył się do Jacentego a uchylając jarmurki zapytał:

— Ny, co Jegomości ma mi powiedzieć?

— Słuchaj Berku, widziałem u ciebie kilka kotów.

— Ny, to nie moje, to mój Sury.

— Możeby mi sprzedała jednego! ha?

— Sprzedała? ech kon onch ferkojfen.

— Wiele żądasz za kota? powiadam wyraźnie nie kocicę.

— Ny, ja duże od Jegomość nie wezmę, moji kot to z bardzo dobrej familii, Sury dostała w prizenci od Jaśnie grofiny Dunder. Ny, żeby Jegomość nie targował się dam za drei ranysz.

— Co? drei ranysz? — zapytał Kupidyński, za kota drei ranysz? żartujesz Berku.

— Ny, czegi ja mam żartować, to dobrej krwi kot, od grofiny Dunder. Auf meine munys od Grofiny. —

Po długich obopólnych targach odstąpił Berko kota za 50 centów. Jacenty ukrył go w kieszeni i przyniósłszy do domu, uwiązał do łóżka, rozmyślając nad tem, jak wielką uciechę sprawi swym podarunkiem przyszłej.

Nazajutrz po odbyciu zwyczajnej przechadzki do c. k. Dyrekcji policji, zwrócił swe kroki na ulicę Gródecką. Przechodząc rojącemi się publicznością z powodu zbliżających się świąt ulicami, usłyszał za sobą donośny głos handlującego żydka:

— Po tsi centi pomarańczi! po tsi! po tsi! Na honor moji panowie nie żartuję, tylko po tsi centy! Zi dra Krazer Pomiranz! zi dra!

Jacenty kupił dwie.

P. Barbarę zastał ubraną, porządkującą różne fraszki na komodzie.

— Upadam do nóżek Jejmości Dobrodziejki!

— Witam! witam! jakże się spało?

— Wyśmienicie, proszę Jejmości!

— Może mi pan jaką nowinę powiesz? Bywasz w większym świecie, niźli ja. Chodziłam dziś tylko na mszę do parafialnego kościoła.

— Cóż Jejmości mogę powiedzieć? gazet nie

czytam, mało kogo znam. A.... zapomniałem, zgorzała wczoraj bożnica żydowska.

— Okropne nieszczęście — westchnęła wdówka, nie było jakiego wypadku przynajmniej?

— Żadnego, proszę Jejmości, skończyło się jedynie na osmaleniu brody rabinowi, który energicznie ratując krzyczał w niebogłosy. Druga zaś nowina, że na Halickiem przedmieściu runęła kamienica, której budową zajmywał się przed trzema laty budowniczy Venturio, — nie była jednak zamieszkałą, gdyż Venturio jako mieszkaniec ciepłych krajów zapomniał o potrzebie kominów i pieców.

— Tak, panie Jacenty, dzieje się obecnie, budowniczy lub inżynier uczęszcza do szkół lat kilkanaście, uczy się głupstw, które torby sieczki nie warte, aby potem stawiać kamienice bez pieców i bram, jak to się u mnie wydarzało, że wyprowadziwszy mur na sążeń nie pozostawił otworu na drzwi, któremiby się wchodziło i gdybym mu nie przypomniała, miałabym kamienicę bez bramy. Wyśmienitą była też obrona na moje wyrzuty: „Myślałem — tłumaczył się, że pani życzy sobie mieć krymski domek, w którym drzwi ani okien nie ma.“

Pani Barbara poczęła się śmiać w spółce z Jacentym na wspomnienie obrony budowniczego. Śmiech obustronny trwał długą chwilę, zmęczony konkurent zapragnął usiąść, przysunął fotel i z prawdziwem zadowoleniem sybaryty nań upadł. Nagle gdyby piłka elastyczna odskoczył, wyjął z kieszeni tużurka dwie rozmiażdżone pomarańcze i podał je z czułym uśmiechem gospodyni.

— Pięknie dziękuję za pamięć.

— Najmocniej przepraszam — submitował się kawaler. Zdaje mi się, że widziałem Jejmość zajętą wydmuchiwaniem gitary z prochu — może przeszkodziłem.

— Tak, gitary — odpowiedziała z smętnym uśmiechem. Jest to pamiątka po mym drugim mężu Antonim Mareckim, który w młodym wieku zakończył życie, kilka lat zaledwie żyliśmy z sobą. Umarł z miłości, jak panu wiadomo.

— Nic o tem nie wiedziałem — ośmielił się zaprzeczyć Jacenty.

— Jakto nic? — oburzyła się wdówka nie chcąc wierzyć, by ktoś znający ją od lat czterdziestu nie znał historji jej trzech mężów. Tak jest, umarł z miłości — mając bowiem lat siedmnaście, poznał się z panną Pauliną, córką kominiarza, liczącą wówczas około trzydziestu. Antoni bywał w domu rodziców Pauliny starając się o jej rękę przez przeszło 8 lat, aby uzyskać wzajemność wyuczył się nawet gry na gitarze. Wszystko wiodło się dobrze, panna była mu przychylną, projektowana teściowa również, aż ojciec dowiedziawszy się, w jakich zamiarach Antoni bywa, wymówił mu dom — powiedziawszy, że córki nie wyda za gryzipiórkę, ale za kominiarza. Tak też zrobił, wydając ją w rok później za swego czeladnika. Antoni z rozpaczy, chcąc okazać, że strata Pauliny nie wywarła nań żadnego wrażenia, połączył się ze mną więzami małżeńskiemi.

— A to rozczulająca historja — westchnął Jacenty.

— Słuchaj pan tylko cierpliwie, a opowiem drugą, jeszcze więcej rozczulającą. Znając mego trzeciego męża Piotra Kuropatnickiego, pamiętasz pan zapewne, że był on sierżantem od kawalerji a później dozorcą więźniów. Nie mogę mimowoli dobrze wspomnieć o nim, gdyż będąc brutalem i złośnikiem, nie mało mi przykrości sprawił. Po śmierci Antoniego, aby nie być samotną, przyjęłam w dom mój sierotę, chłopczyka, zajęłam się nim gorliwie i kochałam gdyby własne dziecię. Dokąd Piotr starał się o mą rękę, był dla wychowanka mego nadzwyczaj uprzejmym, przynosił mu ciastka, cukierki, bawił się z nim, wiedząc że sprawia mi tem przyjemność, ale natychmiast po zawarciu ze mną ślubu zmienił się nie do poznania. Mię, osobę delikatną prześladował ciągle swemi wojskowemi zaklęciami, dziecko zaś, niezważając na me prośby, karał ostro za najmniejsze przewinienie boćkowcem oto wiszącym. Pewnego razu za mało znaczące przewinienie obił go tak silnie, że chory chłopczyna przeleżał trzy dni w łóżku. W kilka dni po tym wypadku Franuś z domu mego uciekł

i pomimo zarządzonych jak najenergiczniej poszukiwań, nie mogłam dotychczas się dowiedzieć, gdzie przebywa. Po dwóch latach doniosłam magistratowi, posłałam całą piątkę na ogłoszenia dziennikarskie, ale wszystko to bezskutecznie. Dziś gdybym go zobaczyła, nie poznałabym pewnie, gdyż ma już około trzydziestu lat.

Podano obiad.

— Dziś zatrzymuję pana u siebie i pozwalam odejść do domu dopiero wieczorem. Mam wiele zatrudnienia z powodu jutrzejszej wigilii, proszę mi pomódz cokolwiek — mówiła p. Barbara po uprzątnieniu stołu, wysypując przed Jacentym całe góry rodzynek, migdałów, skórek pomarańczowych, fig i cykat, mających być użytemi do ciast. Odwiedzi mię kilka osób wieczorem, nie chcę by powiedziano, że Kuropatnicka nic nie umie. Nie zapomnij pan — dodała po chwili, porządnie się ubrać, uczesać, umyć i krawat pod szyją przypiąć.

— Za obowiązek uważać będę spełnić rozkazy, mam jeszcze wojskowy krawat, w takowy się ubiorę. A rękawiczki, proszę Jejmości?...

— Masz je pan?

— Mam skórzane z lisiem futrem.

— Jakiegoż koloru?

— Skórzanego.

— Skórzany kolor nie istnieje, mówi się, mają kolor skóry. Czarnych rękawiczek pan nie masz?

— Nie mam! Ale jeżeli Jejmość żąda, bym miał czarne, to mogę moje wyczernić.

— Masz pan czasami genjalne pomysły.

P. Barbara odeszła, by zająć się wyrobieniem ciasta, Kupidyński zaś pozostawiony przy stole z ingredjencjami, krajał, siekał, obierał a przy tem aby nie usnąć żuł rodzynki i migdały.

Dzień wigilijny przysporzył wiele kłopotów tak wdowie, jak i Jacentemu.

Wstał on dziś bardzo wcześnie, pamiętając na przestrogi Basi, szurował twarz i ręce piaskiem, czesał kilkakrotnie głowę, wyczernił buty i rękawiczki i przyszył kilkanaście niezbędnych guzików u sukni. Ukończywszy przeglądnął się w zbitem lustrze a za-

dowolniony rezultatem swych czynności, usiadł ostrożnie na krześle i otworzywszy tom pierwszy „Bajarza polskiego“, zagłębił się w badaniu piękności tegoż.

Inny obraz przedstawia się nam u p. Barbary. Donośny jej głosik słychać na ulicę, gdy zrzędzi na Kasię poruszając językiem z szybkością pomykającej lokomotywy. Kuchnia zastawiona rondlami, miskami i garnkami o najrozmaitszych kształtach i wielkości, wśród których krząta się Kasia wykonując rozkazy gospodyni.

Około godziny czwartej zajęcia kuchenne zostały ukończone. Pani Barbara uczesawszy się, ubrała kolosalnego obwodu krynolinę, na nią zaciągnęła kanarkowego koloru suknię głęboko wciętą z krótkiemi rękawkami, a włożywszy na palce jakiś tuzin pierścieni i zawiesiwszy zausznice, usiadła na kanapie oczekując gości.

Po chwili wszedł Jacenty, a zobaczywszy tak wystrojoną Basię miał, jak się później przyznał, nadzwyczajną ochotę wrócić do domu i ubrać pantalony. Po przywitaniu w złym humorze usiadł w najciemniejszym kątku, by mógł tem lepiej podziwiać wytworność toalety gospodyni.

Dały się słyszeć głosy w kuchni, weszła p. Żółwiowska z córką Kunegundą, za niemi maleńka figurka żurnalowo ubranego mężczyzny.

Po obustronnych komplementach i całusach, wyglądających z pozoru na bardzo życzliwe, a które odbywały się w komiczny sposób, gdyż szerokość krynolin niepozwalała damom zbytniego do siebie przybliżania, — Żółwiowska biorąc towarzysza pod ramię przedstawiła go:

— Pan Franciszek Będzinowski, kandydat do stanu małżeńskiego i narzeczony Kunci.

Przedstawiony złożył głęboki ukłon, ucałował paluszki p. Barbary, powiedział okolicznościowy komplement i z jak największym wdziękiem odprowadził zachwyconą jego elegancją gospodynię do kanapy.

Rozmowa potoczyła się gładko, mówiono o modach, pogodzie, nowinkach, w czem główny udział brał Franciszek. Emerytowany dyetarjusz nie mógł

się dosyć wydziwić darowi tegoż, tak płynnego „trzepania gębą.“ —

Po półgodzinnej rozmowie przystąpiono do obdzielenia się opłatkiem. Powtórzyły się komplementa i całusy, po których stosownem obdzieleniu się zasiadano do kolacji.

Jacenty widząc, że narzeczony Kunci niezdejmuje rękawiczek i w takowych siada do stołu, wyciągnął swoje skórzane, lecz przekonał się ku wielkiemu zmartwieniu swemu, że zmuszonym będzie chyba głodnym powstać od stołu, ponieważ przeszkadzają mu w swobodnem poruszaniu palcami.

Podczas gdy nowoprzybyli oddają hołdy umiejętnościom gastronomicznym p. Barbary, rzućmy na nich przelotne spojrzenie. Zaczniemy podług starszeństwa. Pierwszeństwo do tegoż przyznać należy bezsprzecznie siwym włosom p. Żółwiowskiej, liczącej około sześćdziesięciu lat, kobiecinie chudej, średniego wzrostu, z pomarszczoną twarzyczką, na której świeciły się maleńkie oczka. P. Żółwiowska była wdową i lokatorką gospodyni.

Córka jej Kuncia, dziecko podług wyrażenia p. Barbary, dziewica o melancholicznem spojrzeniu, jasnej główce i uróżowanej twarzyczce, którąby dość pięknie wyglądała, gdyby nie tynk ją okrywający. Panna Kunegunda uchodziła za bardzo wykształconą panienkę, co wszystkim pod sekretem rozpowiadała p. Żółwiowska.

P. Franciszek Będzinowski, człowiek niskiego wzrostu, drobniutki, z rączką małą ba! mniejszą nawet od rączki panny Kunegundy, z twarzyczką o arystokratycznych rysach, o wielkiem, bystrem, niebieskiem oku — wyglądał gdyby lalka. Czarny zarost okalał mu twarz. Cały układ jego towarzyski, grzeczność uprzedzająca, ubiór staranny, okazywały... salonowca.

Po kolacji podano owoce.

— Możeby Kuncia zaśpiewała kolendę przy dniu tak uroczystym — zapytała chrzestna mama.

— Ależ proszę ciebie Basiu — zaprotestowała Żółwiowska, moja córka jest wysoce wykształconą panienką, czyta pięknie francuskie romanse tłóma-

czone na język polski, nieprzystoi więc jej śpiewać kolendy. Powiedz nam moja duszko, jak się nazywają ci panowie, którzy tak piękne rzeczy pisali, że słuchając nieraz zmuszoną jestem płakać lub śmiać się — dodała zwracając mowę do córki.

— O bardzo piękne — rzecze Kuncia, przeczytałam już z kilkaset tomów romansów p. Dumasa, Suego, Balzaka, Kocka, Ducange'a, Huga, Seint-Georga, Feuilleta, Fevala i wielu innych — lecz przyznać muszę, że najlepiej mi się podobały powieści Suego. Opowiadano mi, że Katarzyna II. całe życie nierozłączała się z tragedjami Rasyna, ja nie mogę obejść się bez godnego podziwiania autora „Żyda wiecznego tułacza“. Czytałeś go pan? — zapytała Jacentego.

— Nie miałem czasu — odpowiedział widocznie zażenowany Jacenty — na przeczytanie pana Żyda wiecznego tułacza.

— Żyd wieczny tułacz — jest to tytuł książki a nie autor — poprawiła wykształcona panienka.

— Przypominam już sobie, bardzo piękne rzeczy — radziłbym jednak pani przeczytać także „Bajarza polskiego“.

— Bajarza polskiego? — odpowiedziała panna Kunegunda krzywiąc noskiem. Dziękuję, ale ja z dzieł polskich pisarzy czytam tylko czasami Korzeniowskiego.

— Dowiodę państwu — począł szczebiotać p. Franciszek, że wszystkie romanse grosza nie warte. Pocóż mam czytać o miłościach, kiedy mogę je własnemi oczyma widzieć codziennie. Zapewne panie zgadzają się na mój sąd? — zapytał zwracając się ku damom.

— Ja w zupełności, mój panie — odpowiedziała p. Barbara. Moja droga Kunciu, jeżeli nie chcesz kolendować, to zadeklamuj nam wierszyk z pamięci lub coś podobnego.

— Wierszyki mówią tylko pięcioletnie chłopaczki lub dziewczynki — odezwał się poważny głos szanownej mamy — moja córka tylko intronizu...

— Improwizuje — wyręczyła Kuncia.

— A tak, imwizuje — dodała Żółwiowska patrząc z uwielbieniem na córkę.

— Proszę cię, uczyń mi tę grzeczność i powiedz coś pięknego — prosiła gospodyni.

— Ja nic stosownego nie umiem... ja się wstydzę... tych panów, i spuściła oczka — nie możemy dodać: i zarumieniła się — róż bowiem na to nie zezwalał.

Po długich prośbach wreszcie, Kuncia przebłagana wzniósłszy oczy do góry, zachrypniętym poczęła głosikiem:

IMPROWIZACJA.

Wielkie miasto spi głęboko,
Straszne będzie przebudzenie;
Zarazy okropnej tchnienie
Rozpostarło się szeroko!
Padli ludzie tysiącami,
Rynki zaległy trupami!
　　A ludzie, co pozostali,
　　Zamiast cieszyć lub ratować,
　　Patrzą kędy głowę chować,
　　Z miejsc rodzinnych uciekali.
Strach cały naród oblega,
Dziedziny ich śmierć zalega.
Szczęśliwsi ci co skonali
Od tych, co jeszcze zostali.
　　Śmierć narodu moją sprawą,
　　Tysiące ludu zniszczyłam,
　　Miasto całunem przykryłam;
　　Znów wrócę z tą zabawą.
　　Jak się zmogą zdrowiem, siłą,
　　Znowu staną nad mogiłą!!! *).

Skończywszy odetchnęła głęboko i siedziała nieruchoma przez chwil kilka z przymkniętemi oczy-

*) Byron „Manfred“.

ma; — wyrwały ją atoli z tego stanu natchnienia huczne oklaski i podziękowania. Jacenty choć najmniej rozumiał drzemiąc przez cały czas trwania deklamacji, — klaskał jednak najzawzięciej.

— Zachwycającą masz córkę — szepnęła gospodyni Żółwiowskiej do ucha. Zaiste niewiem, czy przyszły mąż potrafi ocenić taki skarb. Zdaje się być człowiekiem spokojnym, niestety brzmi przysłowie: „Cicha woda brzegi rwie“. —

Kuncia usłyszała cichą uwagę a nie mogąc zapomnieć o zniewadze, jej wyrządzonej żądaniem, by śpiewała kolendę, przymrużywszy oczy z szyderczą minką rzekła: —

„Chciałażbyś pani, aby mąż mój prędki był, gwał-
[towny,
„Aby mię codzień ofukał, krzyknął mi nad uchem,
„Albo nawet w potrzebie wykropił cybuchem? *)“

P. Barbara, by pokryć swe pomięszanie sprawione odpowiedzią Kunegundy, zwróciła się do p. Franciszka:

— Na panu cięży obecnie obowiązek nam coś opowiedzieć lub zaśpiewać.

— Z największą przyjemnością — odrzekł zagadnięty, opowiem przygody mego życia, które są krótkie lecz zajmujące.

— Chętnie posłuchamy tychże, a być może nabędziemy jakiejś nowszej wiadomości — ozwała się Żółwiowska, lecz wpierw zadeklamujesz nam pan coś wesołego po smutnej intronizacji Kunegundy.

P. Franciszek chwilę pomyślał i począł:

MACIEK I JANEK.

W wiejskim dworze, z rana w progu
Stał służący, chłopiec Janek,
I tak mruczał: „Chwała Bogu!
Idzie Maciek po przed ganek.

---

*) Korzeniowski: „Konkurent i mąż“.

Maćku, bracie, znasz nowinę?
Wszak to pan za zbicie wazy
Chciał mi dzisiaj — z wstydu ginę —
Dać w policzek aż dwa razy.“ —
„Ej, Janeczku, to sen może? —
Rzecze Maciek, — boć u licha
Tyś tak z rana — miły Boże! —
Nie zaglądał do kielicha?
Gdzież to, bratku, zapewnienie,
Że ci właśnie aż „dwa razy“
Twój pan za to tam stłuczenie
„Chciał“ się pomścić na twej twarzy?“ —
Na to Janek: „Tępa głowo!
Cóż to dziwnem ci się zdaje?
Com powiedział, — jasne słowo
A nie żadne przecież baje!
Pan za psotę karze sługi —
Więc mi z prostej tej przyczyny
W prawo jeden, w lewo drugi
Dał policzek z mojej winy.
Czuję jeszcze, jak mnie boli,
Aż mi w oczach zaświeciło,
A ty Maćku ze swywoli
Śmiesz żartować, że się śniło?“ —
„Kiedy tak, więc mój Janeczku
Trza powiedzieć było przecie,
Że ci pan „dał“, kochaneczku,
Nie, że dać ci „chciał“ w odwecie!“ —
„Ależ Maćku, zkąd ta mowa?
Czyś ty rozum gdzie zaprzedał?
Mój pan przecież, domu głowa,
Gdyby nie chciał, toby nie dał.“ — *)

Po przebrzmieniu śmiechu obecnych rozpoczął p. Franciszek następujące opowiadanie:

— Rodziców moich nie znam — wiem tylko, że z braku utrzymania zmuszony byłem w dwunastym roku życia mego wstąpić do balwierza na praktykę. Po kilkoletniej nauce w tymże zawodzie uczu-

*) Z niedrukowanych poezyj Stefana B.

łem się na siłach prowadzenia rzemiosła samodzielnie. Za oszczędzony pieniądz otworzyłem salon fryzjerski, a pracując sumiennie i ku zupełnemu zadowoleniu odwiedzających gości, nabyłem sławę zdolnego balwierza. Ubiegło kilka lat ciągłej pracy, w salonie moim zatrudniałem już kilku towarzyszy, przyjętych do pomocy.

Pewnego razu zawołano mię do przystawienia pijawek ks. prałatowi G. — Ks. prałat, człowiek niemłody o twarzy dobrodusznej i przyjemnej, którą szpeciła jedynie narośl wielkości jaja na prawym policzku — przyjął mię grzecznie i oświadczył, że cierpi na zapalenie gardła i z polecenia lekarza mam mu przystawić 12 pijawek. Zająłem się tem natychmiast; moja zręczność podobała mu się nadzwyczaj, więc rzekł:

— Mości balwierzu! jak widzę, to jesteś biegły w swem rzemiośle, możebyś mi udzielił skutecznej rady, by od narośli na policzku mię uwolnić, która podczas zmiany powietrza wiele mi przykrości sprawia. W razie pomyślnego wyniku twych rad udaruję cię po książęcemu.

Oglądnąłem narośl i zaproponowałem prałatowi operację. W kilka tygodni po dokonanej przezemnie operacji ks. dobrodziej nie mógł już odszukać miejsca, gdzie się narośl pierwotnie znajdywała, ja zaś zostałem jego domowym balwierzem i otrzymałem 5000 złr. gratyfikacji. —

P. Barbara z nadzwyczajnem zainteresowaniem słuchała opowiadania. Różne myśli wirowały jej w głowie, z których jeszcze sama nie mogłaby zdać sobie sprawy. Porównywała Jacentego z p. Franciszkiem i przyznać musiała pierwszeństwo temuż na niekorzyść dyetarjusza.

Wynikiem tychże myśli było, że przy pożegnaniu, które niebawem nastąpiło, p. Barbara czule uścisnąwszy go za rękę, prosiła by o biednej wdowie niezapominał i przy wolnym czasie odwiedził, co tenże przyrzekł.

P. Franciszek wyszedłszy, pożegnał panie i ująwszy Jacentego pod ramię, zapytał:

— Pan Dobrodziej zapewne do miasta, w którą stronę, jeśli wolno zapytać?

— Ja, Mości Dobrodzieju — odpowiedział Jacenty nieustępując w grzeczności — na Ruską ulicę.

— Bardzo dobrze — zawołał Franciszek, odprowadzę pana dobrodzieja do pomieszkania, mieszkam w rynku. Zna pan dobrodziej bliżej panią Kuropatnickę? zapytał po chwili.

— Jak własną kieszeń! wzdycham do jej rączki przeszło czterdzieście lat.

— Jakto? tak trudna do wzięcia?

— Gdzie tam, Mości Dobrodzieju, całą przeszkodą jest moja nieśmiałość.

— Tak? — zapytał przeciągle p. Franciszek.

— Nie inaczej! przypuściłem niedawno szturm, ale zostałem odparty. Jejmość kazała mi czekać cały rok, spodziewam się że będzie to już ostatni. Czekać będę cierpliwie — jest na co, Mości Dobrodzieju! Widziałeś, wcale nieszpetna, mało oczu nie wypatrzyłem, tak cudnie dziś wyglądała a między nami powiedziawszy, ma piękną gotówkę w szkatułce.

— Tak? — zapytał ponownie towarzysz, w myśli zaś dodał: Dowiedziałem się, czego potrzebowałem. Mówi, że ma piękny kapitalik, zapewne lepiej więc uczynię zwracając me afekta ku podeszłej wiekiem wdowie, niżli ku pannie Kunegundzie, której całym posagiem będzie z dwieście tomów romansów. Dziewczyna poczyna mię już nudzić swym wysokim nastrojem powieściowym. Muszę się nad tem dobrze zastanowić, gdyż widocznie na p. Barbarze wywarłem głębokie wrażenie.

— Panie Debrodzieju! przechodzimy koło Naftuły, czy chcesz ze mną wstąpić na szklaneczkę?

— Z największą chęcią służyłbym panu dobrodziejowi, ale zapomniałem sakiewkę w domu — bronił się Jacenty.

— Rzecz, niezasługująca wcale na uwagę, ja nie zapomniałem. —

W dwie godziny później wychodził chwiejnym krokiem pan Jacenty i zapewne byłby nocował w rynsztoku, gdyby ramię Franciszka nie było mu podporą.

Od wyżej opisanych wypadków upłynęło kilka tygodni. Jacenty jak dawniej przychodził na obiadki wdówki, słuchając historyj obrazów, gitary i boćkowca. Zaprzyjaźniwszy się z Franciszkiem, często o nim prowadził rozhowory z p. Barbarą, wychwalając go i unosząc się nad jego grzecznością, na co głównie wpłynęły kilkorazowe odwiedziny w towarzystwie Franciszka u Naftuły.

Narzeczony Kunegundy niezapominał również o nieszczęśliwej wdowie i był dość częstym gościem u niej, zaniedbując narzeczoną ku wielkiemu zmartwieniu... p. Żółwiowskiej.

Wdowa przyjmywała go bardzo grzecznie, zapraszała na obiadki i czem raz bardziej myślała o Franciszku.

P. Żółwiowska zaniepokojona tym stanem rzeczy, umyśliła się przekonać na własne oczy, jak akcje obopólne stoją. W tym celu zaprosiwszy kilkanaście osób, urządziła wieczorek tańcujący. Znajdywali się na nim p. Barbara, Franciszek, Jacenty, kilka matek z dorodnemi córkami i liczny poczet gołowąsych kawalerów.

Przez cały czas zabawy p. Żółwiowska pilnie śledziła wdowę i Franciszka, lecz z zachowania się tychże do żadnych wniosków dojść nie była w stanie.

Franciszek skakał, kręcił się, mówił komplementa wszystkim, ale mimo tego najwięcej rozmawiał z narzeczoną. Przy tańcach kilka razy ją wybrał, prosząc dwa razy tylko p. Barbarę ku wielkiemu zgorszeniu innych osób do kozaczka i walca.

Pomiędzy zebranemi damami odznaczała się pogodną, przyjemną twarzą p. Sarmacka, staruszka licząca około ośmdziesięciu kilku lat, wdowa po obywatelu ziemskim, który biorąc udział w wypadkach r. 1831. zginął pod Stoczkiem. Jako najstarsza wiekiem i godnością, zajęła honorowe miejsce na kanapie, przypatrując się hasającej młodzieży. Starsze kobiety nie biorące udziału w tańcach, obsiadły ją kołem, wiodąc cichą pogawędkę.

Około godziny dwunastej ucichło w salonie.... odpoczywano. Panny zebrane na około stołu chicho-

tały, młodzież wyszła do przyległych pokojów na cygara, pozostał tylko Jacenty siedzący pod oknem i nie biorący w zabawie żadnego udziału. Zadowalniał się przypatrywaniem i zażywaniem tabaczki, co właśnie przed chwilą uskutecznił, podwoiwszy zwyczajną dozę. Tabaka zaczęła jednak zbyt silnie działać na nerwy powonienia, a nasz Jacenty uczuł potrzebę wyjścia, uważając za największe nieuszanowanie kichać w salonie... Wstał tedy... ale cóż dziwnego?... wszak nie trudno o nieszczęśliwy wypadek.... pośliznął się na wywoskowanej podłodze... kichnął... i upadł na wznak.

Kilkanaście ust naraz wydało głośne: „Ach!“ Kuncia zakrywając oczy rękami, krzyknęła: „Duch! duch!“ Zaniepokojone kobiety powstały i obaczyły nie ducha, lecz Jacentego, który leżał nieruchomy. Na hałas wywołany jego upadkiem, nadbiegli mężczyźni i wynieśli Jacentego do dalszych pokojów.

Głośny wykrzyk Kunci: „Duch! duch!“ podał wątek do rozpraw w tej kwestji. Każda z pań opowiadała jakieś zdarzenie, zaklinając się na męża i dzieci, że widziała przy tej lub owej okoliczności ducha. Kuncia dowodziła, że duchów nie miała jeszcze zaszczytu widzieć, ale wiele o nich czytała.

— Jeżeli — mówiła, kwestją tą zajmują się uczeni ludzie jak Allan Kardek i inni, to musi być coś na świecie, czego człowiek nie mógł dotychczas zbadać i twierdzę stanowczo, że duchy możemy widzieć.

— Nie wierzę tym bzdurstwom, moja aspanno — rzekła p. Sarmacka, która przez cały ciąg rozmowy milczała — wiek mój daje mi większe prawo do sądzenia o tem, aniżeli aspannie. Nie przeczę, że jak powiedział jeden z największych filozofów „wiele jest rzeczy w niebie i na ziemi, o których mędrcom nawet się nie śniło,“ — lecz przeczę stanowczo, by duchy mogły być widzialne, lub się okazywały. Biorąc zaś wywody p. Kardeka pod ściseł rozumowanie, przekonywujemy się, że są to mrzonki i bańki mydlane, niezasługujące na to, by chrześcijanin w nie wierzył i niemi myśli swe zaprzątał. Niewiarę w duchy przyjęłam od mej nieboszczki matki, która przy każdej

sposobności czynem starała się dowieźć, że duchów nie ma. Jeżeli pozwolicie państwo, to opowiem jeden z licznych dowodów, którymi przekonywała najbardziej zabobonnych. —*)

— Prosimy! — ozwały się zewsząd głosy.

— Pewnego razu — zaczęła p. Sarmacka, zostali zaproszeni moi rodzice do p. Zawiszy, dobrego przyjaciela mego ojca, na obchód weselny córki. Byłam natenczas dzieckiem, liczyłam zaledwie 12 lat, ale całe zdarzenie, które mam opowiedzieć, żywo zachowałam w pamięci.

Wieczorem jakby dzisiaj zebrani biesiadnicy, podchmieliwszy sobie miodkiem, którego gospodarz nie szczędził, wszczęli rozmowę o duchach. Matka moja wyśmiewała wszystkich, aż w końcu jeden z biesiadników p. Wilczek obrażony powstawszy, zawołał:

— Jeżeli aspani nie wierzysz w duchy, to proszę przekonaj nas o tem; są tu niedaleko niezamieszkałe zwaliska starego zamku, — wiarygodni ludzie utrzymują, że tamże przebywają duchy i koło godziny dwunastej wyprawiają swe harce. Przekonasz więc nas aspani najlepiej o swej niewierze, jeżeli po dwunastej udasz się do zamku i przyniesiesz nam na dowód swego tamże pobytu jedną czaszkę ludzką, których tam jest bardzo wiele. W nagrodę ofiaruję ci złoty zegarek z łańcuszkiem — i mówiąc to wyjął go z kieszonki i położył na stole, — jak mi później mówiono miał ten zegarek wartość pięciuset złotych czerwonych.

— Spełniwszy zadanie mi powierzone, zegarka nie przyjmę — odpowiedziała moja matka, lecz wartość tegoż kościółkowi parafialnemu w dukatach pan złożysz. Nie chcę przekonywać panów o mylności ich twierdzeń za pieniądze, wystarczy mi zadowolenie wewnętrzne, że ja kobieta.... was zawstydzę.

Mężczyźni szyderczo się uśmiechnęli, pani przystąpiły do mej matki odradzając jej, aby nie nara-

---

*) Prawdziwe.

żała się na niebezpieczeństwo. Matka moja była jednak niewzruszoną, raz postanowiwszy nie chciała dać powodu do szydzenia z siebie. Pożegnawszy wszystkich wyszła, — odprowadziliśmy ją za bramę.

Noc była ciemna, wiatr dął gwałtownie, chmury zasłaniały niebo, o dwa kroki przed sobą nie można było rozróżnić przedmiotu. Wróciliśmy do salonu, Wszyscy pousiadali na swoich miejscach, oczekując niespokojnie na moją matkę. Cisza była w około, tylko jegomość, który ofiarował zegarek, niecierpliwie na krześle się poruszał popijając miód.

Po półgodzinnem oczekiwaniu usłyszeliśmy kroki, a w chwilę później weszła moja matka, trzymając w każdej ręce po czaszce.

Zdziwienie wszystkich było nadzwyczajne; p. Wilczek skoczył zmięszany z krzesła, a przystąpiwszy do mej matki, zapytał:

— Nie bronił pani nikt wzięcia czaszek?

— Zapewne chcesz pan mówić o lokaju, któremu kazałeś mię przestraszyć w zwaliskach? — odpowiedziała moja matka.

Zarumienił się ze wstydu, przeprosił mą matkę i odjechał natychmiast, pozostawiwszy na stole wartość zegarka w dukatach.

Rzecz miała się tak:

P. Wilczek widząc, że matka moja poszła do zamku, zawołał lokaja, a przyobiecawszy mu dwa dukaty nadgrody wysłał z poleceniem, by matkę moją przestraszył i nie dał wziąć czaszki. Lokaj dopełnił rozkazu swego pana, a gdy matka przyszła i wzięła jedną czaszkę chcąc odejść, wtedy zawołał on grobowym głosem:

— Nie bierz, bo to moja!

— Rzuciła wziętą, biorąc drugą do rąk, — znowu dał się słyszeć głos:

— Nie bierz, bo to moja!

Wzięła trzecią, a poznawszy, że każdą razą jeden głos przestrogę powtarza, zawołała rozgniewana:

— Nie miałeś głupcze trzy głowy tylko jedną. Głos umilkł.

Widzicie moje panie, jeżeliby duchy były widzialne i pokazywały się nam, zapewne ujęłyby się za swą własnością — zakończyła p. Sarmacka.

Bawiono się jeszcze przez kilka godzin. Po rozejściu się gości p. Żółwiowska osądziła, że Franciszek nie stara się o względy Basi, gdyż był podczas wieczorku nadzwyczaj uprzejmym dla niej i Kunci, mało się p. Barbarą zajmując.

Po swym niefortunnym wypadku Jacenty cały tydzień nie pokazał się na Gródeckiej ulicy. W tym czasie zaszły bardzo ważne wypadki.

Franciszek odwiedził p. Barbarę w kilka dni po opisanym przezemnie wieczorku. Frak, białe rękawiczki, poważna mina kazały się domyślać czegoś niezwyczajnego, gospodyni jednak nie spostrzegła tego. Po kilku nic nieznaczących frazesach, Franciszek uklęknąwszy oświadczył się z chęcią połączenia swych losów z losem wdowy. Nie będąc wcale przygotowaną na te oświadczyny, prosiła p. Barbara o kilka dni czasu dla namyślenia się.

W oznaczonym terminie stawił się więc Franciszek ponownie, by usłyszeć swój wyrok.

P. Barbara spuściwszy oczka rzekła:

— W dziwnem zaiste znajduję się położeniu, zrobiłeś mi pan zaszczyt prosząc o mą rękę, ja zaś dotychczas nie wiem, jak mam sobie postąpić względem pana — pan bowiem jesteś zaręczony z Kuncią, a ja prawie przyobiecałam mą rękę Jacentemu.

— Pani Dobrodziejko! słowo nie wiąże.

— Tak, zapewne że nie wiąże, pominąwszy to musiałbyś się pan zgodzić na jeden jeszcze warunek z mej strony.

— Mów pani! mów! — zawołał uradowany Franciszek, widząc że zabiegi jego uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem, — wszystko spełnię, czego tylko żądać będziesz.

Warunek byłby nie łatwym do spełnienia komu innemu, panu jednak nie sprawi żadnej trudności. Przy pierwszem naszem poznaniu opowiadałeś mi pan, jakim sposobem otrzymałeś miejsce nadwornego balwierza ks. prałata G. — Otóż mój warunek jest następny: jeżeli mą twarz za pomocą operacji uwol-

nisz od wszystkich brodawek, które mię szpecą, oddam ci mą rękę i... i... serce.

— Zgadzam się! zgadzam się! nie jedną, ale dziesięć operacyj gotów jestem przedsięwziąć, ażebym cię tylko mógł nazwać moją. Natychmiast jutro przystąpię do dzieła.

Nazajutrz Franciszek przyniósłszy z sobą co najmniej tuzin lancetów i brzytew, przysposobiwszy szarpie i plastry, zabrał się do operacji. Ułożył p. Barbarę na kanapie a przeprosiwszy grzecznie zdjął tużurek, zakocił rękawy koszuli i wziąwszy ostry i długi lancet do rąk przystąpił do wdowy. Ta rzuciła spojrzenie na rękę balwierza, wydała krzyk ostry, przenikliwy, rzuciła się z całej siły na kanapie chcąc powstać, lecz straciwszy równowagę upadła na ziemię.... zemdlała.

Franciszek skoczył na ratunek z orzeźwiającemi środkami, które był przygotował, — po chwili wdowa otworzyła oczy i rzuciła ponownie przeciągłe spojrzenie na obnażoną prawą rękę balwierza. Nie trzymał w niej teraz już lancetu, lecz ręce, na której wyżej łokcia miał głęboką, podłużną bliznę, — ręce tej a szczególnie bliznie na niej przypatrywała się wdowa z niezwykłem zajęciem. Nagle twarz jej się zmieniła, usta zadrgały konwulsyjnie, wyszepnęła kilka niezrozumiałych słów i powtórne omdlenie z głośnym jękiem nastąpiło.

Na wezwanie Franciszka przybiegła Kasia, przy jej pomocy odniósł Franciszek p. Barbarę do łóżka, z którego dopiero po upływie dwóch miesięcy powstała.

Przez cały czas trwania choroby, przyjęła raz tylko Franciszka u siebie i oświadczyła mu, że żoną jego nigdy nie będzie, nie chcąc mimo jego prośb wyjawić przyczyny zagadkowego swego postępowania. Jacenty był codziennym u niej gościem, p. Barbara długie prowadziła z nim rozmowy; rezultatem tychże było, że wyrzekł się wszelkiej nadziei poślubienia wdowy.

EPILOG.

W rok później z domu przy ulicy Gródeckiej wyruszał kondukt pogrzebowy. Za karawanem szły znajome nam osoby Jacenty, Franciszek, Kuncia, p. Żółwiowska i Sarmacka, Kasia i.... ja, oddawaliśmy ostatnią przysługę Barbarze Petroneli dw. im. z domu Wurst, 1-mo voto Gerstmannowej, 2-do Mareckiej, 3-tio Kuropatnickiej.

Kondukt posuwał się zwolna, p. Żółwiowska z córką wsiadły do dorożki.

— Mamo! — zapytała po chwili Kuncia, ciekawam komu nieboszczka zapisała swój majątek?

— Dowiemy się o tem niebawem, moje dziecię. Mówiłam ci, że Basia sporządziła w przytomności notarjusza przy świadkach testament i oddała go księdzu, który ją przygotowywał na śmierć, czyniąc go egzekutorem ostatniej jej woli.

— Kiedy kazała otworzyć testament?

— W pięć dni po śmierci, t. j. w czwartek.

W oznaczonym dniu widzimy też w pokoju p. Barbary zebrane osoby, które ją odprowadziły na wieczny odpoczynek. Zajęli miejsca naokoło stołu, na kanapie usiadł poważny staruszek proboszcz parafialnego kościółka, otworzył opieczętowaną kowertę i przystąpił do odczytania ostatniej woli nieboszczki śp. Barbary Kuropatnickiej.

Po zwyczajnym wstępie testament brzmiał:

— Lat temu blisko trzydzieście, przyjęłam do siebie sierotę na wychowanie. Okoliczności, o których nie chcę wspominać sprawiły, że sierota oddalił się z mego domu. Przez cały ten przeciąg czasu nie miałam o nim żadnych wiadomości, aż Bóg litościwy raczył mi sprawić tę radość przed śmiercią, że w osobie Franciszka Będzinowskiego, nadwornego balwierza ks. prałata G. poznałam mego wychowanka a poznałam go po bliznie na prawem ramieniu wyżej łokcia. Cały mój majątek składający się z kamienicy przy ulicy Gródeckiej i 40.000 złr. a. w. zapisuję

tedy Franciszkowi Będzinowskiemu pod następującemi warunkami:

1) ażeby z pieniędzy wyżej wymienionych ofiarował kościółkowi parafialnemu 3000 złr. a. w. za odprawianie mszy żałobnych za mnie i moich trzech mężów, śp. Anastazego Gerstmanna, Antoniego Mareckiego i Piotra Kuropatnickiego;

2) aby zobowiązał się płacić rocznie 300 złr. a. w. memu najlepszemu przyjacielowi Jacentemu Kupidyńskiemu, emerytowanemu dyetarjuszowi c. k. Dyrekcji policji w Lwigrodzie, z warunkiem —

3) aby wyżej wymieniony Jacenty Kupidyński, któremu leguję moje obrazy, gitarę, boćkowiec i.... Kasię, miał o wszystkie te przedmioty staranie aż do swej śmierci.

4) Franciszek Będzinowski, wychowanek mój, ma się obowiązać prócz tego wypłacać także służącej mojej, Kasi Sołowij sto złr. a. w. rocznie — obydwa powyższe legaty w kwartalnych ratach z góry.

5) Franciszek Będzinowski odziedziczy mój majątek, jeżeli od dnia dzisiejszego w trzy miesiące pojmie za żonę Kunegundę Adelajdę Żółwiowską, córkę Maryi Żółwiowskiej — w przeciwnym razie majątek mój należeć będzie do Jacentego Kupidyńskiego.

W trzy miesiące potem proboszcz parafialnego kościółka błogosławił dwom parom nowożeńców. Pierwszą była: Franciszek i Kunegunda, — drugą: Jacenty i.... Kasia. —

„Nie dobrze jest żyć samemu człowiekowi na ziemi“.

Alfred.

Pierwsza ofiara.

(Epizod z powstania r. 1863).

Szumiał cicho bór wielki, co granicznym pasem
Rozsiadł się gdzieś od Bugu aż po brzegi Sanu;
Szary wiódł tam gościniec, i słupy za lasem
Postawały graniczne z rzadka u kurhanu.
I za drogą znów las się czernił tam sosnowy;
Drzewa były jednakie, tu i po za drogą
Jeden rodzaj — i jeden wzrost im uniósł głowy,
Lecz róść razem ni szumieć wspólnie już nie mogą.
— Żyły oba w spokoju, dokąd, jak wieść niesie
Nie pojawił się jakiś pan we wsi Cerkowie;
Był we dworze, — u księdza, chodził też po lesie,
A jak weźmie powiadać, aż przechodzi mrowie.
Coś tam mówił, że naród powstaje w tej chwili,
Że się ponoś już ludu ogromna moc zbiera,
Kraj się zbroi już cały i będą się bili,
Ci, co kraj im wydarto i ten, co wydziera;
— I odjechał pan znowu, a w dalekie kraje. —
W tydzień jakoś, czy później, przemykały lasem
Już oddziały niewielkie; zmącone ruczaje
Płyły brudne, i nawet odezwał się czasem
Sygnał niby forpoczty, patroli, pikiety,
Bagnet błysnął, — karabin mignął w nocy mroku,
Albo czasem odziany w mundur i kaszkiety
Śliznął drogą oddzialik, podwajając kroku.
I las, dawniej tak pusty, dzisiaj pełen ludzi;
W gąszczy koń żuje obrok, dalej ognie płoną,
Jednak cicho — ptak tylko, gdy go światło zbudzi,
Porwie się wraz i wzleci tą lub ową stroną. —
A dróżyny kręcone, zarośnięte wrzosem,
Dawniej może deptane li nogą strażnika,

Dziś borówkę i wrzosy kładą jak pokosem,
Do obozu niejeden po wrzosach przemyka.
Wszyscy w jednym kierunku — jedną gnani myślą
W różnych strojach i wieku — ludzi się spotyka,
Z różnych idąc stron wielu, każdy się przemyka,
Gdyby lisy — z zamiarem wejścia do kurnika. —

Tydzień cały las nowych coraz gości witał,
Jednych z bronią przeróżną, innych z kijem w ręku,
Każdy śpieszył, — spotkawszy nikogo nie pytał,
Śpieszył tylko przed siebie, piechotą lub w łęku.
Wszyscy szli do obozu. — Tam mała halawa
Otoczona sośniną i drobną smereką;
Środkiem gęsty kobierzec rozesłała trawa
A ogniska krwawemi w niej płomyki cieką,
Lub chrustem zasilone, wyślą kłęby dymu
Niebieskiego, a wiatr go chwytając, rozwieje,
Porozściela nad głowy jak chustę muślinu; —
Obóz mdławo jak we mgle przy ogniach widnieje
I postacie uroczo w nocy wyglądają;
Tutaj — przy tem ognisku, w różnobarwnych strojach
Na pniu gładkim, we czwórkę, w karty sobie grają
I wygraną na pniaka gładkich liczą słojach.
Obok kilku w mundurach granatowych z białem
Okoliło w nieładzie przygasłe ognisko,
Jedni leżą wygodnie, inni z zgiętem ciałem
Siedzą; — ten to broń czyści, a tamten puślisko
Zszywa. Inni oczyma białe dymy śledząc,
Kurzą tytoń. Tam dalej liczniejsza gromada
Otoczyła do koła, stojąc albo siedząc
Mowcę, który z zajęciem coś im opowiada;
Jedni w czarnych czamarkach, sparci na dwururki
Stoją między szaraki w wytartym kubraku, —
Ten, sparł garłacz na nodze obwiązany w sznurki,
Ów leżąc na murawie z głową na czapraku,
Zda się drzemać. — Snać smutno być mu dzisiaj musi,
Bo nie dzieli z innymi rozrywki chwilowej —
Może tęskni za oczkiem nadobnej Nastusi?
Nie wiem, — leży bez ruchu, nie podnosząc głowy. —

Tam, gdzie las się urywał, zaczynało pole,
Widniał dworek w Niemstowie, w zielonych drzew [wianku, —

Okalały go lipy i smukłe topole,
I na tyczkach sosnowych bluszcz się piął po ganku.
A od ganku ścieżynka w bok pomiędzy kwiatki
Wiodła w klomby, obite brzozowemi kołki,
Między lilje, stokrocie, balsaminy, bratki,
Przetykane gdzieniegdzie skromnemi fiołki
Do brzozowej altanki, obwitej w powoje
W cieniu liści lipowych. — Na ławce darniowej
Tam splecionych uściskiem siedziało ich dwoje,
Ręka w rękę, ku sobie pochylone głowy. —
Ona w bieli — tak wiotka, jak powój wysmukły,
Słoni główkę na piersi jemu rozmarzoną,
On ustami dotyka splotów ciemnych pukli
Tuląc rękę, w około drobnej oplecioną.
Młodzian rosły był, gładki; — jakby od podróży
Dobrze odzian, lecz fuzja co ją miał przy boku,
Torba wielka borsucza i patrontasz duży
Przemawiały inaczej. — Patrz! w tamtym obłoku
Miga gwiazdka, to wyjrzy, to się w obłok kryje,
Teraz, patrz! jaki ognik zaświecił na niebie!
— Rzekło dziewczę. — Mój Władek coś przedemną [kryje.
Gwiazdka znikła, o Władku! złe dziś czeka ciebie!
Jam tę gwiazdkę dla ciebie mój luby wybrała,
Ona zawsze najpierwsza o zmroku błysnęła,
Zawszem na nią czekała, jam ją tak kochała,
Czemuż dzisiaj tak prędko, tak nagle zniknęła?
O! tyś skłamał przedemną! — Wiem, w socharskim [lesie
Stoi obóz Czackiego; — nieraz szarym zmrokiem
Tajemniczy gwar jakiś wiatr ztamtąd przyniesie,
Albo przemknie tajemnie człowiek nad potokiem.
Czemuż chcesz mnie opuszczać? — Żegnać ciebie [muszę, —
Rzekł jej młodzian, — powinność tam mnie do nich [woła,
Lecz powrócę, przysięgam ci na moją duszę!
Kiedy spokój zawita, ja lotem sokoła
Śpieszyć będę do ciebie; — a wtedy, o miła!
Zawsze będziem przy sobie, zawsze razem z sobą,
Nie rozdzieli nas nigdy żadna w świecie siła,
I jak dzisiaj odchodząc, tu się żegnam z tobą,
Tak znów kiedyś pod lipą przy tobie usiędę. —

— A więc, — rzekła dziewczyna, — idź, powracaj
[z Bogiem,
Ja tu myśleć o tobie, czekać ciebie będę,
I ja pierwsza powitam przed domostwa progiem.
Weź to jednak, — ten krzyżyk niech cię zawsze
[strzeże! —
— I błyszczący mu mały na pierś zawiesiła,
Z pocałunkiem na usta dłoń ściskając szczerze. —
Powstał Władek łzę kryjąc, uszedł szybko w pole,
Biegł przed siebie, pierś cisnąc swą szeroką dłonią,
Jakby stłumić chciał gorżkie rozłączenia bole,
Które za nim w tej chwili uporczywie gonią.
Zwolnił kroku nareszcie; na wykopie lasu
Strażnik stał tam, i nisko chyląc siwą głowę,
Coś przemówił. — Mój stary! nie mam dzisiaj czasu,
Schowaj sobie na później twą ze mną rozmowę. —
— Oj paniczu! — rzekł stary — żal mi was okrutnie,
Kule często trafiają — trafić może jedna,
Mnie staremu tu będzie, oj! będzie też smutnie,
A co powie we dworze panna nasza biedna? —
— Dość, mój stary! nie gadaj! — Oj! paniczu drogi!
Gdyby w starych mych kościach była jeszcze siła,
Poszedłby i Mateusz, gdyby stare nogi
Służyć chciały — tak jak mi moja starość miła! —
— No, no, wierzę mój stary,... lecz mnie czas już
[w drogę,
Dużo czasu straciłem, tam czekają na mnie,
Chciałbym zostać, lecz zostać dłużej tu nie mogę;
Bywaj zdrowy! i pomódl się tu czasem za mnie. —
— Westchnął stary żegnając, i szeptając z cicha:
„Kto się odda w opiekę“ — łzę po łzie ocierał, —
Długo jeszcze za Władkiem przez krzaki spozierał,
— Odpędź wszystkie, Cudowna! — rzekł — od niego
[licha!

Warta zmienić się miała; wydane rozkazy
Duchem wszystkie spełniono, snać tu ludzie znają,
Że rozkazu wódz nigdy nie daje dwa razy,
Więc też wszystko z pośpiechem natychmiast speł-
[niają.
— W cieniu leżał z postawą wojskową wyniosły,
Kilku przy nim zaledwie; on rozkazy daje

I odbiera raporty, przesłuchuje posły;
To naczelnik obozu, jak mi się wydaje. —
— Jutro, — rzekł on, — nim zorza świtem zarumieni,
Pójdziem w drogę. — Milczeniem ten rozkaz przyjęto.
Wtem.... padł strzał na pikiecie — i wśród nocnych
Szukać broni biegając w obozie zaczęto. — [cieni
Aż zdyszany przybieżał adjutant od sztabu:
— Człowiek jakiś zabity, — rzekł — tam u granicy,
Zresztą więcej nic nie ma, nigdzie ani śladu,
Można kule pochować znów do ładownicy. —
— Niech go tutaj — rzekł Czacki — przyniosą do
[ognia! —
Duchem rozkaz spełniono. Z plamą krwi u boku
Przyniesiono młodzieńca. Na godzinę do dnia
Wzrosła świeża mogiła, z końcem nocy mroku.
.... — Równo ze dniem wyruszył obóz zwolna z boru,
Jeden taką powstaniec opowiadał powieść:
„Ledwie zapadł ciemniejszy w lesie mrok wieczoru,
Usłyszałem szmer jakiś; — natężyłem wzroku
I słuch cały zwróciłem w stronę szmeru w lesie;
Widzę, — cień tam człowieka, i tętnienie kroku
Z szmerem chrustu wyraźnie wiatr mi w ucho niesie.
— Kto idzie? — zawołałem trzykroć, — stój, bo strzelę!
Wymierzyłem i z palcem na cynglu czekałem....
Lecz on się odwróciwszy groźbą gardził śmiele,
— Pociągnąłem za cyngiel — runął całem ciałem
Równo z hukiem.... Że on to, jam tego nie wiedział;
Znam go, Władek z Niemstowa miał być dziś wie-
[czorem;
Jam nie poznał, za wielki nas rozłączył przedział.
Sami wiecie, że ciemna noc była nad borem,
Wiecie także, że rozkaz brzmiał nadto dobitnie:
Stój, kto idzie? — zawołać, na trzykrotne hasło
Kiedy stanąć nie zechce, w łeb mu każdy wytnie,
Choćbyś strzelił do brata, choćby w duszę własną! —
Taki rozkaz nam dano, — rzekł, kryjąc kułakiem
Łzę co z oczu się ciśnie. — O! bo pod kubrakiem
Kryło dobre się serce, co braci kochało,
I po śmierci przyjaciół płakać też umiało. —

..... Małe bardzo oddziały przemykały lasem,
Wiatr niósł wrzawę i odgłos dalekiego boju,

W lesie z rzadka, na kraju tylko, padł strzał czasem,
Zresztą wszystko drzemało, jak gdyby w spokoju. —
Czasem tylko przechodzień zwalniał nieco kroku,
Gdy mogiłę tam ujrzał i z łzą w smutnem oku
Odmówiwszy króciuchny: „Wieczny odpoczynek“,
Rzucił wrzosu gałązkę na grób w upominek. —

Kazimierz Satkowski.

O poczuciu artystycznem autora „Anny Oświęcimównej."

Przyczynek do jego charakterystyki.

(Z portretem Antoniewicza.)



Mikołaj Bołoz Antoniewicz.

Umieściliśmy w przeszłym roczniku życiorys pobieżny autora „Anny Oświęcimównej.“ Mimo wszelkich starań nie mogliśmy jednak otrzymać na czas wizerunek wielkiego autora — który dla „Roczników

Samborskich“ zdobyć — redakcji tychże dopiero znacznie później się udało.

Korzystając więc z nadarzonej sposobności chociaż o cały rok spóźnionej, podaję niniejszem czytelnikom moich „Roczników“ wizerunek ś. p. Antoniewicza. Przy tem niech mi wolno będzie wspomnieć cokolwiek o poczuciu artystycznem autora „Anny Oświęcimównej“, ku czemu między innemi źródłami najlepiej posłuży mi list własnoręczny Mikołaja Antoniewicza, zaadresowany do krewnej, Marji z Rutkowskich Bołoz Antoniewiczowej, autorki, piszącej pod pseudonimem „Marji z Rusiłowa“. List rzeczony, który zawdzięczam uprzejmości nieżyjącej już obecnie — adresatki, jest niestety tylko fragmentem; ale nawet jako fragment całą treścią swoją posłużyć może wybornie do charakterystyki poczucia artystycznego ś. p. Antoniewicza.

Oto osnowa listu, który według formy pierwotnej podajemy, nie zmieniając ani słowa.

„Wiedeń, 29. Marca 1874.

Annagasse 9.

Bardzo, a bardzo wielką sprawiłaś mi przyjemność, moja droga Maryo, przesłaniem Twoich utworów, a dedykując mi one, uszczęśliwiłaś 70-cioletniego starca tą tak ujmującą, poczciwą pamięcią o nim. Bóg Ci zapłać za nią!!!

Za mało miałem dotąd czasu do przeczytania Twej tak miłej mi książki — ale to, co już znam, zajęło mię prawdą wziętą z praktycznego życia, n. p. „Oświata ludu, Wydarzenia myśliwskie etc. etc.“ „Ideały“ są wyborne; a szarady trafnie i dowcipnie przeprowadzone, ale pomimo to, taki tępy jestem co do szarad, iżbym żadnej nie odgadł bez dodanego „Znaczenia szarad“.

Widzę z korespondencyi właściwie z „listów do Redakcyi“, że twoje szarady drukowane były — ha! no! to rzecz gustu; — ja odżałować nie mogę pier-

wszego wydania mojej „Anny!“ *). — Co tam błędów językowych, a nawet i psychologicznych a chociaż pomimo to świetnie była przyjmowaną na scenach, wolałbym był, żeby się tak po świecie nie włóczyła i te błędy właśnie zmusiły mię do wydania drugiego poprawnego przy illustracyach Grottkiera. **)

Mam jeszcze drugi poemat dramatyczny w rękopisie „Braniec z pod Warny“ — ale ten niech sobie siedzi w tece, chociaż ja go sam wyżej cenię, niż „Annę“. Drobniejszych utworzyków mam także na spore dwa tomy — z których Ci kilka próbek załączam. Pewnie powiesz dlaczego nie drukuję — ale ja Ci odpowiadam: jeżeli co warte to je po mojej śmierci wydrukują a jeżeli nic niewarte“.....

Temi słowami kończy się fragment listu; ale nie trudno czytelnikowi dopełnić własną myślą myśli fragmentu. Uczymy się z niego rozpoznać i ocenić sposób myślenia i pojęcia o poczuciu artystycznem autora „Anny Oświęcimównej“; ale list, przez nas przytoczony, zawiera także naukę dla niejednego pismaka, który bardzo nisko pełza po ziemi, chociaż mu się zdaje, iż po niebiosach lata.

Autor „Anny Oświęcimównej“ — jak to już w życiorysie jego wykazałem — był wielce wymagającym nie tylko co do innych, ale także wobec siebie samego. To co miało mierną tylko wartość, nie mogło go zadowolić; on cenił jedynie prace wartościowe, a pod tym względem można było prawie bezwarunkowo polegać na jego sądzie.

Młodzi autorowie niesłusznie uważali go za zarozumialca, ponieważ był dumnym i z nikim nie lubił się poufalić, podczas gdy on się trzeźwo zapatrywał na wszystko, przenosząc gorżkie a prawdziwe doświadczenia życia nad słodką ułudę „a szczęśliwy

---

*) Jest to wzmianka o „Annie Oświęcimównej“.

**) Pisownia zestarzała: powinno być: Grottgera.

ten, kto żyje w złudzeniach". *) Silny duch autora „Anny Oświęcimównej" nie pragnął jednak tych złudzeń.

Prawda, że młodsza generacja nie koniecznie pisała się na zdania starca, a jeden z współczesnych autorów wyraził się nawet o patrjotycznych pieśniach i improwizacjach Antoniewicza, umieszczonych w czwartym tomie mego wydawnictwa, w ten sposób:

„Stary, poczciwy, zasłużony mój wojowniku — pisarzu! Kiedyś ręka Twa była bardzo posłuszną piersi, a pierś ta była gorąca i twarda. I stworzyłeś i dałeś nam „Annę Oświęcimówną".

Czuliśmy ogień Twej piersi w tem dziele. Ale to było kiedyś — a od tego czasu — pierś chłódła, miękła, starzała się, a ręka stawała się coraz cięższą i chropawą.

Słowiczek ukraiński — Bohdan nasz powiedział:

„Czas omamień mych pomału
Niknie z lekką mar drużyną —
Coraz rzadsze dnie zapału
I łzy czucia rzadziej płyną!"....

Poeto mój — starcze! Ty dzisiaj zapewne to samo powtarzać sobie musisz, bo choć serce Twe jeszcze gorące, jeszcze kocha — ale to już tylko ostatnie żary dogorywającego pożaru, co duszę Twą za młodu ogarniał. Niedziw więc, że słowa Twe już słabsze, cichsze... Szlachetność, poświęcenie, miłość kraju, piękno... jeszcze Cię porywają, ale skrzydła Twe już ciężą ku ziemi i nie możesz lecieć tak wysoko, jak bywało. Toż do Henryka Siemiradzkiego — niewiele powiedziałeś, a i to nieskładnie, kulejąc... Czasem zapomniana struna miłości kochanki i Ojczyzny poruszy się, ale to struna już nie tak silnie drgająca, już nie tak drży, choć zawsze jeszcze mile dla nas, co niezdolni jesteśmy poszczycić się tą siłą lutni za młodu, jaką wy macie jeszcze nad grobem.

---

*) Słowa Antoniewicza, wzięte z listu de dato 20. Października 1879 Rudołowice, do wydawcy „Roczników Samborskich" wystosowanego.

Toż więc „Ułan“ Twój podobał mi się i dzięki Ci za niego. — Ale gdy czasem rzucasz się jak rumak ognisty, jak orzeł co chce w słońce uderzyć grzmotem wszechpotęgi — to wtedy poeto mój! czuć, jak już osłabły Twoje loty! Czuć, że to tylko konwulsyjny krzyk osłabionego.

Wołasz: „Do broni!?“ A poco? A do pługa! A do oświaty! A do miłości! A do cierpliwości... do światła wołaj! — Do broni czas będzie, i do broni gdy kto woła, to niech głos jego będzie jak grom, jak głos Archanielskiej trąby, coby mogła zbudzić śpiące! Do broni — tyś westchnął tylko, to nie był odzew bojowy, to chyba tylko Twój sen z przeszłości — i dla tego taki cichy, taki słaby, jak wspomnienie. — Do broni! To znaczy: „Przyłóż lont do działa!“ — Nie, bracie mój siwy! Jeszcze nie! My czujnie stoimy przy lawecie — i lonty nasze płoną, ale na strzał — czas jeszcze! — Toż nie posądzaj nas o senność i chłód, gdy krzyk Twój „Do broni“ tak bez echa przebrzmiał. Słaby to był krzyk — bo to był tylko odzew przez sen *)“. —

Nie dziwimy się zdaniom, w rzeczonej ocenie objawionym. Autor ich zajmował i zajmuje dotąd zupełnie inne stanowisko, niźli to, które przed laty Antoniewicz zajmował, a i prądy czasu są teraz inne. W owych to latach można było jeszcze nadzieję żywić, że siłą dłoni i mieczem wybawioną zostanie Polska; teraz widzimy jedyną nadzieję w działaniach ducha. A nim ciemne masy popchniemy na niepewną i niebezpieczną drogę bojów i rozruchów — starajmy się raczej je oświecić, starajmy się zabliźnić rany nieszczęśliwej Ojczyzny naszej, starajmy się pracować wśród ludu i dla ludu i podnieść go — a to powinno być najszczytniejszem naszem zadaniem!

Tak też rozumiał Mickiewicz powołanie swoje, kiedy pragnął, aby natchnione jego twory stały się popularnemi, aby się dostały pod wieśniaczą nawet strzechę. Tak jednak nie rozumiał autor „Anny Oświęcimównej“ zadania swego. Jak orzeł, gnieżdżący się

---

*) Z listów Klemensa Kołakowskiego.

na stromej skale, tak górował on samotny i wywyższony ponad tłumem — a głos, ni to pochwały, ni też nagany nie mącił jego spokoju. Jemu się nie rozchodziło o tę popularność, która duchom mniej silnym spać nie pozwala. Więc mógł na śmiało mówić z poetą, a może i mówił:

„Samotność! — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?“

Obok tej dumy, tej nieprzystępności dla ogółu, która żadną miarą nie dopuściła do spoufalenia się i do zbratania z tłumem, miał on jednak poczucie piękna, poczucie artystyczne w wysokim stopniu rozwinięte, a dla wybranych dusz nie był on nieprzystępnym.

Poczucie to piękna widzimy udowodnione ustawicznemi usiłowaniami Antoniewicza, dążącemi do wydawnictw jego arcydzieł nietylko poprawnych, ale poprostu wytwornych i luksusowych nawet. Drugie wydanie „Anny Oświęcimównej“, wrzekomo urządzone, aby zastąpić błędne wydanie pierwsze, wyszczególnia się pięknością i wytwornością druku niemniej, jak obrazami Grottgera. Dzieło to opuściło prasę w Wiedniu, w r. 1873-m, w drukarni OO. Mechitarystów. Autor celem przeprowadzenia skutecznego mozolnej korekty sam dłuższy czas przemieszkiwał w Wiedniu.

Ile go taki przymusowy pobyt w mieście miljonowem kosztował, kosztować musiał — o tem i wspominać nie ma co. W stosunku do ogromnych kosztów, i cena dzieła musiała być nie małą. Wynosiła też pierwotnie 10 złr., którą to cenę później zniżono na 5. Ale mimo zniżonej ceny „Anna Oświęcimówna“ nie miała już warunków szerszego pokupu, nie mogła się stać dziełem ludowem, jak dzieła Kochanowskiego, Brodzińskiego, Mickiewicza, a to nietylko z powodu stylu, nie dla byle kogo zrozumiałego i jasnego, ale także z powodu ceny, nieprzystępnej dla ogółu.

Drugie wydanie „Urjela Akosty“ także jest wytworne w swoim rodzaju, chociaż może nie w tym stopniu, jak wydanie „Anny Oświęcimównej“. Ta chęć do wydań pięknych i wytwornych przebija się

nietylko w edycjach wyżwymienionych, ale w najdrobniejszym nawet wierszyku, czy toaście Antoniewicza, który z taką wytwornością i elegancją został wydany, jak gdzie indziej całe dzieła luksusowe, a można na śmiało twierdzić, że piękne i wytworne te edycje, do których kosztów umorzenia przyczyniła się po części także hrabina Dembińska, gorąca protektorka sztuki polskiej, Antoniewicza tyle kosztowały, że za te same pieniądze mógł bezpiecznie urządzić zbiorową, ale pod względem powierzchowności skromniejszą cokolwiek edycję wszystkich dzieł swoich.

Kto mówi o Antoniewiczu w ogóle, temu trudno milczeć o hrabinie Dembińskiej, protektorce jego, tak jak dla nas nie istnieje osoba Cezara Augusta bez Mecena, osoba Leona X. bez Rafała, osoba Trembeckiego bez Zofii Potockiej.

Kiedy pod tytułem „Libertas“ w roku 1880-m wydałem przekład pieśni patrjotycznych polskich na cześć powstania, wtedyto hr. Dembińska zrobiła mi wyrzuty z powodu, że w rzeczonym zbiorze nie umieściłem także przekładu pieśni patrjotycznych Antoniewicza, o których istnieniu wówczas jeszcze nie wiedziałem. Musiałem chcąc nie chcąc podjąć się tej pracy w osobnym dodatkowym zeszycie, w którym na prędce umieściłem także pieśni patrjotyczne Konstantego Gaszyńskiego, Teofila Lenartowicza i Mieczysława Romanowskiego.

Wkrótce po ogłoszeniu i wydaniu rzeczonej publikacji otrzymałem też list od hr. Dembińskiej, który w dosłownem streszczeniu tu umieszczam, nie aby się nim popisać, ale ponieważ sądzę, że może się przyczynić jako dodatek cenny dla przyszłego biografa autora „Anny Oświęcimównej“, *) i może się

*) Najkompetentniejszymi do skreślenia życiorysu wielkiego pisarza byliby współcześni mu autorowie Lenau, Mickiewicz i Kraszewski, którzy już nie żyją — (Kraszewski żyjący jeszcze wówczas kiedy niniejszą rozprawę skreśliłem, umarł na parę dni przed oddaniem jej do druku), a z żyjących po części niektórzy żyjący jeszcze uczestnicy powstania listopadowego

przydać także jako cegiełka drobna do przyszłego zarysu dziejów literatury polskiej.

List hr. Dembińskiej brzmi:

Rudołowice — Jarosław 10. Listopada 1880.

Pan G. Kohn! W imieniu i z polecenia Wgo Antoniewicza, który obecnie bawi we Lwowie *), dziękuję Panu za przysłany exemplarz „Libertas“. Wydanie eleganckie, że ozdobą może być w salonie, a i szlachetny cel onego zaszczytną wzmianką oceniony został w „Dzienniku Polskim“. —

Pokazało się, żem miała racyą nalegać, ażeby w dodatku jeszcze i dwa utwory Pana Antoniewicza były umieszczone, gdyż przetłumaczenie onych na niemieckie i prędko i dobrze zostało uskutecznione. Ma się rozumieć, że Pan Antoniewicz pozostawia Panu dowolne użycie obu tych wierszy w originale do Rocznika.

Życzę Panu zdrowia i powodzenia

hrabina Dembinska.

Nierównie chłodniej, choć także życzliwie brzmi odpowiedź autora samego, nadesłana mi listem de dato Rudołowice 22. Stycznia 1881, (na czele listu umieszczono mylnie datę 1880 zamiast 1881).

Łaskawy Panie Kohn Dobrodzieju!

„Album Samborskie“ — przesłane mi tak uprzejmie — wielką mi sprawiło przyjemność — niosę Panu niniejszem dzięk mój za tę miłą przesyłkę — a za-

---

jako koledzy broni śp. Antoniewicza, po części zaś bratanice tegoż, historyk i badacz Dr. Jan Bołoz Antoniewicz w Monachjum, rozumie się po uprzedniem sumiennem i dokładnem zebraniu wszystkich odnośnych szczegółów.

*) Jako uczestnik powstania listopadowego bawił sędziwy autor „Anny Oświęcimównej“ wówczas we Lwowie, gdzie komitet obywatelski wszelkie kroki już był poczynił celem uroczystego przyjęcia bohaterów listopadowych.

razem za tak korekt przedrukowanego „Ułana“ mego i „Za Broń“ — —

Przekład tych dwóch utworzyków w Pańskiej „Libertas“ — acz nie bardzo wierny, także mię zadowala, jestem wyrozumiały na tę pracę, gdyż znam trudności, jakie się prawie pokonać nie dają mianowicie w przekładach z polskiego na język niemiecki. Co polak w dwóch słowach wyrazi na to niemiec kilku potrzebuje, albo czasem i jednego tylko n. p. — Ich bin gewesen,: Byłem. Ich habe gelesen: Czytałem. etc. etc.

Przyłączony „Monolog księżyca“ i „Aphoryżmy i Myśli różne“ przesyłam do umieszczenia w następnem „Album“ *). Nie wiem czy Pan z tych fraszek zadowolon będziesz — ale, zdaje mi się, że nie zrobią krzywdy „Albumowi“. Damy tutajsze **) zasyłają przyjazne pozdrowienia a ja wyrazy mego upoważania.

M. B. Antoniewicz.

Uderza w tym liście obok grzecznego, ale chłodnego uznania pracy mojej jako tłumacza, gorące podziękowanie za przedrukowanie „korekt“ wierszów patrjotycznych Antoniewicza; szczegół pozornie tak małej wagi, iż dotąd z wyjątkiem Antoniewicza prawie nikt z współpracowników moich baczności na to nie zwrócił, a jeśli kto się użalał na błędy drukarskie, to chyba głównie autorki a nie autorowie. Ale jeśli kto, to autor „Anny Oświęcimównej“ miał sporo czasu zastanawiać się nad kwestją czystości druku: on, który nie za młodu od dzieł olbrzymich rozpoczął karjerę literacką, ale wtedy, kiedy ją inni kończą, i obok doświadczenia i wprawy, nabytych z latami, w najpóźniejszym nawet wieku nic nie uronił z owego zapału i z owej nieśmiertelnej siły ducha, która właśnie cechuje młodość. I rzeczywiście,

*) Rzeczone prace zostały umieszczone w piątym i szóstym tomie wydawnictwa samborskiego.

**) Ustęp ten odnosi się do hr. Dembińskiej i do zamieszkałej u tejże hrabianki Mieroszowskiej. kuzynki jej.

jeśli obok wybitniejszych jego prac — położymy także datę powstania tychże, to do zdumiewających dojdziemy rezultątów. I tak liczył Antoniewicz już 47 lat, kiedy się zabrał do tłumaczenia „Urjela Akosty“, liczył 52, kiedy literaturę narodową wzbogacił nieśmiertelną swoją „Anną Oświęcimówną“, 54, kiedy przetłumaczył a raczej przerobił na język polski Lenaua „Klarę Hebert“, którą następnie umieścił w dodatku do „Czasu“, zmieniając tytuł pierwotny genjalnej swojej przeróbki na stosowniejszy „Dziewczęcia z Martigues“. Jeśli daty listu jego, w fragmencie przez nas przytoczonego nie mylą, to musiał Antoniewicz liczyć blisko 70 lat, kiedy napisał swego „Brańca z pod Warny“, jako 76cioletni starzec improwizuje on na bankiecie, danym na cześć bohaterów powstania listopadowego swoją „Warszawę“ i porywa tak treścią, jak i deklamacją małego tego arcydzieła wszystkich słuchaczów, stojąc wreszcie u schyłku żywota (bo liczył wówczas już 80kę), rok zaledwie przed śmiercią pisze on dla „Wisły“ bajkę „Dąb i wierzba“, która tylko treścią swoją i sensem zdradza dojrzałe pióro starca, a siłą elementarną wyrazu przypomina nam młodość wiekuistą wybrańców bożych.

Ale zmysł artystyczny Antoniewicza nie zadowala się byle czem; więc ani uznaniem i przyjaźnią wielkich mistrzów, ani głosem wewnętrznym, który mu ustawicznie powtarza, że sam należy do grona tych wybranych, ani lauru listkami, ni oklaskami gawiedzi, bo choć „Annę Oświęcimównę“, świetnie przyjmowano na scenach, to wolałby był autor, „żeby się tak po świecie nie włóczyła i te błędy właśnie zmusiły go do wydania drugiego poprawnego“.

Pracy rzeczonej podjął się autor, licząc 69 lat; okazała się jednak wkrótce potrzeba, wznowić także „Urjela Akostę“. Więc i tej pracy nie lękał się starzec a prowadząc sam mozolnie korektę, wydał on „Urjela“ w drugiej poprawnej edycji w 77m roku życia swego, a zaledwie 4 lata przed śmiercią.

Ale poczucie artystyczne autora „Anny Oświęcimównej“ objawia się wszędzie, wyziera nawet z drobnostkowych na pozór rzeczy. I tak, kiedy w Sier-

pniu r. 1880. chwilowo bawiłem w Szczawnicy, zkąd niebawem miałem wrócić do domu, wtedy dowiedziałem się, że i autor „Anny Oświęcimównej“ w towarzystwie hr. Dembińskiej i hrabianki Mieroszowskiej tamże bawi. Złożyłem mu więc wizytę, ale nie zastałem go w hotelu, przezeń zamieszkanym. Natomiast widziałem się z hr. Dembińską, która mi dla „Rocznika“ udzieliła odpis przez nią urządzony wydrukowanego już poprzednio toastu Antoniewicza na cześć Siemiradzkiego. Zaledwie dowiedział się o tem autor „Anny Oświęcimównej“, kiedy mi pocztą nadesłał jeszcze drugi, własnoręczny odpis rzeczonego toastu, motywując to postępowanie tem, iż się obawia, aby odpis hr. Dembińskiej nie zawierał przypadkowo jakichś pomyłek! A więc na czystości i poprawności przedruku zależało mu tyle a może i więcej, niż niejednemu autorowi na poprawności oryginalnej pracy!

Ścisłe wykonywanie warunków i wymagań sztuki, to było pierwsze i ostatnie słowo Antoniewicza, to było jego poetyczne „Credo“. Pod wpływem tej myśli wznosi on toast na Siemiradzkiego:

„Odbijcie Echem, wy tatrzańskie skały,
To słowo moje, co mi z serca płynie:
Niech sztuka polska wszechświatem zasłynie,
Niech żyje Mistrz nasz szlachetny! wspaniały!“

Pod wpływem tej myśli pisze on:

„Dwojacy są dziś kapłani —
Jedni powołani;
Drudzy tylko dla rachuby
Poczynili śluby.
To też pierwsi są kapłani,
Drudzy samoluby. *)“

Mimo szerokich i wszechstronnych niemal poglądów na znaczenie literatury, mimo ideału sztuki, wypiastowanego w sercu swojem, mimo uprawnionej

---

*) Wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie. Rocznik piąty.

u niego dumy autorskiej i poczucia własnej siły twórczej, która powinna była mu starczyć za wszystkie przychylne oceny gazet i za głos nieraz tak wątpliwy krytyki — nie był Antoniewicz wolnym od niektórych słabostek, które z nim nawpół dzielili i dzielą potąd jeszcze autorowie rozmaici, nie dorównywujący mu ani genjuszem, ani sławą autorską. U męża jakim był on, który już w własnej duszy wyrobił sobie samoistny i niezależny od nikogo sąd o zdolnościach mu wrodzonych, u takiego męża uderza jednak niemiło ciekawość, przystojąca tylko małorzędnym autorom i troszcząca się czasem niepospolicie i niepotrzebnie o to, jak się krytyka o nim wyrażać będzie, w jakich słowach uznania ten lub ów autor ocenę swoją pojedyńczych prac Antoniewicza wypowie, zresztą bałwochwalcza prawie wiara w głos krytyki bez głębszego zastanawiania się, czy krytyka stronniczo wypowiedziana i napisana, w ogóle ma jakiekolwiek znaczenie i wagę?

I tak uproszony przezemnie o udzielenie mi dla wydawnictwa samborskiego swojej balady „Szaleńca“, odmawia on wprawdzie prośbie mojej, ale dowiedziawszy się równocześnie, że pracuję nad dziełem: „Pierwsze wrażenia z dłuższej wycieczki po kraju“, — załącza on pytanie: „Ciekawym jakąś Pan uczynił „wzmiankę w Wycieczkach Swoich o tym Szaleńcu? *)“ A wyczytawszy nieprzychylną i niezgadzającą się z prawdą ocenę o czwartym tomie mego wydawnictwa w „Tygodniu“, — nie zadaje sobie nawet trudu za pomocą czytania i porównywania stwierdzić prawdziwość lub nieprawdziwość zrobionych mi zarzutów, ale potępia mnie już w czambuł, dla tego, że mnie „Tydzień“ potępił.

Wyobrażenie, jakie miał Antoniewicz o sztuce a na które się tylko warunkowo godzić mogę, porównując słowa jego z jego dziełami i z własnem mojem przekonaniem, — najlepiej odźwierciedla się w dwóch listach, wystosowanych do mnie a noszących daty 24. Lutego i 28. Marca r. 1881.

---

*) List de dato Rudołowice, 20. Października 1879.

Antoniewicz, nie żyjąc w bardzo świetnych stosunkach finansowych jak w ogóle większość literatów, miał widoki znacznego polepszenia swojej doli w razie uzyskania dostępu dla swojej „Anny Oświęcimówny“ na wiedeńską scenę, co oczywiście uskutecznić dałoby się tylko za pomocą tłumaczenia na język niemiecki i to nie byle jakiego. Miano już nawet w tej mierze Antoniewiczowi niektóre obietnice poczynić w Wiedniu. Antoniewicz udał się do mnie z propozycją tłumaczenia, proponując mi równocześnie połowę zdobytego w ten sposób zysku jako honorarjum. Wielkość honorarjum nie nęciła mnie wcale, gdyż nie piszę dla zarobku, ale dla przekonania, a jestem jak najmocniej przekonany o tem, że nie mam nic a nic dramatycznych zdolności; toż nie pisać mi dramatów, ani tłumaczyć takowych. Odpowiedzialność zadania tego przeraziła mnie ogromem swym, a nie cieszyła wcale; ponieważ jednak pomiędzy mojemi znajomemi miałem także wówczas niezamożną a młodą autorkę, którą właśnie w literaturę wprowadzić usiłowałem; ponieważ wiedziałem, że rzeczona autorka (panna Ida Teibels ze Sambora) ma nietylko zamiłowanie dla sceny, ale także zdolności sceniczne, gdyż sama występowała już kilkakrotnie w amatorskich przedstawieniach przed liczniejszą publicznością, — więc uprosiłem ją, czyby nie chciała się dobrowolnie zająć pracą, która siły moje przechodzi. Przyrzekła mi to, ale wkrótce i sama po kilku niefortunnych próbach musiała pracy tej zaniechać.

Ja — łudząc się jeszcze wówczas nadzieją, że się jej rzecz uda, ponieważ talent miała niezaprzeczony, a objawiła go już powieścią: „Zemsta“, przedrukowaną w dwóch pismach — uczyniłem o tem wzmiankę Antoniewiczowi w liście, w którym podniosłem trudność połączoną z każdym lepszym przekładem.

Na ten list otrzymałem następującą odpowiedź:

Rudołowice, p. Jarosław. 24. Lutego 1881.

Szanowny Panie Kohn!

Na list Pański z 26. Stycznia z. m. dziś dopiero przyszła kolej do odpowiedzi — powodów spóźnienia tego nie przyłączam. — Cieszy mię, że się Panu moja przesyłka podobała. Bardzo dobrze czynisz, że pisma Swego lada „bezsensowną, bezwartościową bazgraniną“ profanować nie chcesz czémby upaść mogło — a pismo każde powinno się starać podnosić. — Ponieważ aforyzmy dzisiaj są w modzie, przesyłam Panu jeszcze parę a mógłbym i więcej. Uwagi Pana co do pisarzy a raczej poetów polskich i niemieckich są bardzo trafne! — Tak jest: „niemiecka poezyja więcej przeważnie kieruje się rozumem i filozofią; polska zaś więcej uczuciem“. — To samo prawie powiedział mi Gutzkow w liście dziękującym za tłumaczenie Uriela Akosty: „Mein Uriel ist ein trockener Philosoph, Ihrer ein liebender Vernunftglauber — und so ist er tragischer aufgefasst“ — to są jego słowa. Nawiasem wspominam tu, że teraz właśnie jest pod prasą drugie wydanie mego tłumaczenia Uriela starannie poprawione, i zdaje mi się o wiele lepsze od pierwszego. —

Ponieważ jestem przy tłumaczeniu, muszę nadmienić o „Annie Oświęcimównie“. — Wszakże tu zachodzi małe nieporozumienie między nami. Ja nie „prosiłem“ Pana o tłumaczenie tego poematu na język niemiecki — tylko proponowałem *) to Panu — z warunkiem, że się honorarjum jakie ztąd, czy to z przedstawień scenicznych, czy ze sprzedaży exemplarzy wypadnie, podzielemy — jeżeli — rozumi się! — będzie odpowiednie i wierne — nie tylko co do tekstu

---

*) Nie będę się sprzeczał o wyrazy zwłaszcza z nieżyjącym; ale zdaje mi się, że proponować a prosić, to nie wielka różnica, bo czy się proponuje komu rzecz, czy się prosi o wykonanie tejże — to zawsze stawiającemu wniosek w jakiejbądź formie, zależy na tem, aby go wykonano.

oryginałowi — ale i co do formy, co do miary wiersza a nawet i rymu zresztą i co do asonansów, któremi często „pustelnik“ przemawia. — T a k i e tłumaczenie omówiliśmy między sobą — przezco wszakże nie upoważniłem Pana byś — nie czując się w sile sam tej pracy podołać, p r z e k a z a ł ją i n n e j o s o b i e. Sam powiadasz „iż nie godziło by się takiego arcydzieła (?) profanować lichym przekładem“ — w czém się zupełnie z Panem zgadzam, — to też wręcz oświadczam, że na ś r e d n i e tłumaczenie nigdy się nie zgodzę. Jest to praca bardzo trudna, mianowicie na język niemiecki, gdzie (jak już pisałem) niemiec tam trzech słów potrzebuje, gdzie polak jednem się słowem wyraża. Pannie Jejtels *) wielki talent poezyi przyznaję, jak już to Panu raz nadmieniłem ale oświadcz Jej to, że inna i łatwiejsza rzecz jest pisać originalnie gdzie się już ma myśl własną i własne natchnienie wieszcze przed sobą — i tylko przyjaznej chwili potrzeba aby tę myśl w dźwięczną formę ująć — co ja już tylko mechanizmem nazywam — a zupełnie inna, cudze myśli i natchnienia w obcym języku, a do tego jeszcze wcale z sobą nie spokrewnionym wiernie oddawać, będąc tylko na sam oschły mechanizm ograniczonym. — Ztąd też rzadko w i e r n e — a zawsze prawie dowolne, tak zwane „wolne“ tłumaczenia pochodzą. Proszę to oświadczyć wielce mi Szanownej pannie Idzie — a zarazem i prosić Ją — by mi parę ustępów już przełożonych do Rudołowic przesłała, z których bym mógł o tym przekładzie jakieś mieć wyobrażenie. — Spodziewam się, że nie z pierwszej Edycyi tłumaczy ale z d r u g i e j z illustracyami Grotgera.

Z upoważaniem

M. B. Antoniewicz.

Jeśli nie zaprzeczając autorowi „Anny Oświęcimównej“ zapału, natchnienia, wiedzy i rutyny au-

---

*) Pomyłka z pośpiechu albo z nieporozumienia wynikła: powinno być „Teibels“.

torskiej — przecież nie możemy się ze wszystkiem godzić na zapatrywania artystyczne w liście powyższym objawione, zwłaszcza ze zdaniem, że praca tłumacza jest tylko czystym mechanizmem, — to cóż dopiero powiedzieć nam na list następny, w którym Antoniewicz, nie skąpiąc nam błysków myśli i idei prawdziwie genjalnych, także dawniejszych paradoksów z uporem, godnym lepszej sprawy broni, przedstawiając je jako niezbite aksiomata prawdy?!

Oto list rzeczony w dosłownem brzmieniu:

Rudołowice, p. Jarosław. 28. Marca 1881.

Łaskawy Panie Kohn!

Nie podzielam zdania Pańskiego o tłumaczeniach. Autor powinien mieć „natchnienie swoje originalne“ — tak co do myśli, jako też i co do formy, w którą tę myśl przyodziewa — mianowicie w poezyi. Tylko myśl prawdziwie poetyczna w pięknej do niej przystającej formie, oddana czy to wierszem, czy prozą — (Jean Paul nigdy ani jednego wiersza nie napisał, a jednak liczą go do najpierwszych poetów niemieckich) — może oddziaływać na tych, co tę myśl pojęli. Poeta czy to liryczny, czy historyczny, lub dramatyczny, czy Satyryk czy Humorystyk nie tworzy dla profanów, ale tylko dla tych co go pojąć, zrozumieć i poczuć zdołają — a często nawet tylko tworzy dla siebie samego, aby ten nawał w sercu mu wzbierających uczuć dla ulgi wylać na kartę. Tłumacz więc nie potrzebuje natchnienia — to rzecz Autora, ale zato zupełnego przejęcia się myślą, duchem, uczuciem, a nawet i tendencyą poematu, który tłumaczy — a przytem i co do rytmu, rymu i miary — słowem co do formy — szczelnie się trzymać originału — inaczej tłumaczeniem swém pokaleczy originał i tém wielką krzywdę Autorowi wyrządzi. — Prędzej zgodziłbym się na odstąpienie od formy w tłumaczeniu i przeniósłbym Annę Oświęcimównę tłumaczoną prozą nad wierszem — byle tylko było wierne co do myśli i t. d. —

Pozwoliłem Panu probować tłumaczyć A. Onę. — w myśli, że warunkom wyż-wymienionym odpowiesz — a Pan odstąpiłeś tę pracę pani Taibels na co nigdy się nie zgodzę póki z parę ustępów przełożonych już zdania o tem tłumaczeniu nie powezmę.

Któż mówił o dokonaniu „tłumaczenia tego na poczekanie?“ — Wszakże wiem o tem, że to jest praca, która wymaga sporo czasu — a w końcu dokonana jeszcze się odleżeć musi — a potém dopiero po najskrupulatniejszem przejrzeniu na jaw się okazać. „Nono non imprimatur in anno“ — tego się każdy Autor a jeszcze więcej tłumacz trzymać powinien — gdyż tłumaczyć dobrze, o wiele trudniej, jak tworzyć. —

Wierzaj mi Pan — że gdy teraz, moje dawniejsze utwory przepatruję, to ledwie że nie połowa idzie na kominek — chociażby może nie jeden, i Pan sam nawet powiedział: Szkoda!

Znam talent panny Tajbels i ufam mu — ale bardzo proszę by mi parę ustępów przysłała — czemże wszakże nie ubliżam Jej. —

Załączam tytuł „Tygodnia“ — byś w nim przeczytał co o Pańskiem wydawnictwie piszą. Spodziewam się że będziesz ostrożniejszym — i nie będziesz umieszczał piśmidła i wierszydła „studenckie“ — w których towarzystwie nie radbym aby moje nazwisko figurowało.

Z upoważaniem

M. B. Antoniewicz.

W przytoczonych powyżej dwóch listach Antoniewicza, a zwłaszcza w ostatnim mamy streszczony prawie cały jego katechizm literacki i zyskujemy obraz najzupełniejszy jego poczucia artystycznego. Genjalne myśli obok paradoksów, i sprzeczności, samowola twórcza wielkiego ducha i głośnego autora obok korzenia się ślepego przed orzeczeniem lada zojla.

Antoniewicz twierdzi, że tłumacz nie potrzebuje natchnienia, ale wystarczy, jeśli się całkowicie przej-

mie myślą obcego autora, co nie tylko że jest paradoksem, ale któremu to twierdzeniu sam autor „Anny Oświęcimównej“ kłam zadał genjalną przeróbką swoją z Lenaua, która wcale nie jest wiernem tłumaczeniem „Klary Hebert“, ale właśnie przeróbką, przedsięwziętą na najszerszych podstawach swobody i wolności literackiej. Zresztą kto się przejmuje obcą myślą, już jest natchniony nią, to są identyczne wyrazy, a kto mechanicznie tłumaczy, choćby tłumaczył Bóg wie jak wiernie a nawet dosłownie, nie przejmie się nigdy duchem i myślą oryginału, a więc tłumaczyć będzie tylko sztywnie i niewolniczo. Lepiej nie tłumaczyć wcale, niż tak tłumaczyć!

Wiele natomiast życiowej prawdy i poezji mieści się w zdaniu, że „poeta nie tworzy dla profanów, ale tylko dla tych co go pojąć, zrozumieć i poczuć zdołają — a często nawet tworzy tylko dla siebie samego, aby ten nawał w sercu mu wzbierających uczuć dla ulgi wylał na kartę“. A dodajmy od siebie, że kto wśród takich warunków tworzy, mało znany a czasem i zapoznany od ogółu, niekoniecznie należy już do ostatniorzędnych. Autorowi z Bożej łaski nie trzeba poklasków gawiedzi, jego nie podniesie przychylna ocena w pismach, ani nie poniży złośliwa recenzja, ani nie zabije milczenie dzienników. Jemu trzeba iskrę bożą mieć w sercu i poczucie artystyczne i przekonanie własne a niezbite o wartości lub niewartości prac swoich. Mylnie twierdzą niektórzy, że tylko pochwałą publiczną autor prawdziwy zdobędzie rozgłosu i znaczenia, również mylnie twierdzą inni, że tylko te prace i usiłowania mają prawdziwą wartość, które nicowano w pismach publicznych. To znaczyłoby szkandał uświęcić i upiększyć mianem artyzmu, a twierdził poeta niemiecki:

„Nie ujął czasu ster w swej dłoni,
Kto wieczną wrzawą czas swój trwoni. *)“

Mylne też jest zdanie, że to bezwarunkowo musi być złem, o czem pisma publiczne milczą, nie

*) Sallet, Aforyzmy i złote myśli.

chcąc albo bojąc się chwalić lub ganić. Już nie jedną dobrą rzecz chciano zabić milczeniem a duch żyje i działa i nie daje się uśmiercić.

Kto jest więc poetą prawdziwym? Kto ma prawo, się tak przezwać bez samochwalstwa i bez obrazy zasłużeńszych? W czyjem sercu tli się iskra boża, kto mimo wieku się nie starzeje, a działając dla społeczeństwa precz odrzuca wszystkie myśli wsteczne i samolubne, kto logicznie myśli i rozumuje, kto porywa i zapala słowem swojem chociażby tylko dziesięciu niezepsutych jeszcze gangreną społeczną młodzieńców — bo w młodzieży jest siła i myśl i potęga i cała przyszłość narodu, — kto przełom czyni w starych i oślepiających wzrok przesądach i zabobonach, kto przewrót wywołuje zbawienny swemi myślami choćby tylko w jednej małej cząstce społeczeństwa, nie przyzwyczajonej dotąd do myślenia, kto nowe tory odkrywa i wskazuje swoim następcom, kto widzi w myśli swój ideał, a nie w formie, w jakiej mu wypadło, myśl tę objawić, bo jak twierdzi niemiecki poeta:

„Sługi formy i pogańskie syny,
Co nie różnią ziarna od łupiny!“ *)

a wraz z nim i polski:

„Kto swoje myśli, uczucia, ideje
Gdzie i jak może w czyny przyobleka,
Kto krocząc prosto przez życia koleje
Dla formy — nigdy się treści nie zrzeka,
Ten mi jedynie jako wzór jaśnieje,
W tym ja jedynie uznaję człowieka.“ **)

Nie możemy żądać, aby piewca 19go stulecia czynił cudy mityczne, aby na głos jego skakały góry a lwy i tygrysy by się korzyły jak jagnięta. Czasy Orfeuszów minęły dawno! Ale natchnienie boże nie minęło; głos Jego, objawiony ustami wybranych, ustami mowców i poetów, to grom, który roztrzaska skały, Jego słowo, to słońce, które stopi lody odwie-

---

*) Sallet, Aforyzmy i złote myśli.

**) Bolesław Czerwieński w „Jednodniówce lwowskiej“.

czne obojętności, Jego natchnienie otacza naszą skroń blaskiem aureoli i zamieszkuje w naszem sercu i z ust naszych przemawia do ludu wybranego na wieki!

DODATEK.

(Odznaki zewnętrzne.)

W ostatnich czasach coraz bardziej i częściej roztrząsano kwestję, ażali z pisma autora poznać można jego charakter. Są głosy za tem i przeciw temu. Gdyby mnie kto zapytał o moje w tej mierze zdanie, to bym nie mógł kwestji rzeczonej bezwarunkowo i stanowczo roztrzygnąć ani w tym ani w owym kierunku, gdyż nieraz pismo jednego nawet autora jest niejednostajne i nierówne, to większe to mniejsze, to szpiczaste, to okrągłe i t. d.

Inaczej ma się rzecz z pismem Antoniewicza. U niego, który tak bardzo dbał o czystość, wzorowość i poprawność, i pismo musiało być wzorowe i poprawne. Kreślił też śp. Antoniewicz litery w stosunku do innych wielkie jak słupy lub drogoskazy jakieś a każda stoi w równym rzędzie, nie bez pewnej wcale niewymuszonej elegancji i wytworności, istny raj dla oka zecera. Charakter pisma hr. Dembińskiej dorównuje mu cokolwiek, ale posiada przecież pewne odcienie, po których nie trudno rozróżnić pismo jej od pisma Antoniewicza.

Wada fizyczna, powszechnie zwana kurczem pisarskim, a której ślady rozpoznajemy w piśmie bardzo wielu znakomitych nawet autorów, nie musiała być znaną autorowi miary Antoniewicza, gdyż ręka jego nie drżała nigdy podczas pisania. Natomiast oko choć na wiek jego dosyć jeszcze silne, nie posiadało już siły ręki, gdyż w listach jego gdzieniegdzie widnieją błędy, spowodowane jedynie pośpiechem w pisaniu i przeoczeniem skreślonych wyrazów.

Kontrast dziwny do wielkiego pisma i do apodyktycznej pewności, z którą Antoniewicz wszędzie

występywał, tworzyła osoba jego wcale niepokaźna i mała; ale wielcy siłacze ducha niekoniecznie byli także olbrzymami co do wzrostu. Wzrok jego był przenikliwy, usta zaciśnięte znamionowały energję, posuniętą aż do ostateczności, cera twarzy smagława jak u wszystkich Ormian.

Rozumieć mógł go tylko wybrany, on nie był przystępnym ani dla prostego ludu, ani dla gawiedzi i z tego też powodu u mieszczan jarosławskich, jakoteż u włościan rudołowieckich uchodził prawie za rodzaj strachopuda. Wiedział on też o tem i śmiał się w duchu z potwornych baśni, które lękliwa wyobraźnia prostaczków o nim szerzyła. W towarzystwie dobranem był on wielce rozmownym i uprzejmym towarzyszem, a gościnność jego nie zamykała się nigdy w ciasnych granicach konwenansu.

Ciekawych o dalsze szczegóły o Antoniewiczu odsyłam do 9go tomu mego wydawnictwa samborskiego, jakoteż do dziełka: „Pierwsze wrażenia z dłuższej wycieczki po kraju.“

Sambor, 22. Lutego 1887.

G. Kohn.

Toast

WNIESIONY NA UCZCIE POŻEGNALNEJ,

danej przez

członków Czytelni Polskiej w Czerniowcach

na cześć prezesa

Juljana Mianowskiego.*)

Jak ongi nasi rycerze starzy
W zbrojnych stanicach trzymali straż,
I my, do dalszej wezwani straży,
Na kresach sztandar wznosimy nasz.
Broń nasza — księga, dłuto i kielnia,
A teren boju — oświaty szlak;
Stanica nasza — skromna Czytelnia,
Gdzie straży wodze, hasło i znak.
Niewielu nas tu kresowej braci,
Ale nam serca nie zlęknie wróg, —
Bo tylko rozpacz narody traci,
A w nas jest wiara — i przy nas Bóg!

---

*) Autor pięknego tego wiersza a kolega na polu piśmiennictwa nie weźmie mi pewne za złe, że wiersz jego w przedruku umieszczam w łamach mego wydawnictwa w dzień dziesięciolecia tegoż. Tak jest! czuwajmy u kresów, a to nie tylko u kresów narodowości, ale także u tych kresów, gdzie się stykają obojętność z zapałem, apatja z czynem, pieczeniarstwo i frazesowiczowstwo z ofiarnością, gotową do wszelkich poświęceń.

(Przyp. red.)

Z tej to stanicy — z pod tego znaku
Jeden z kresowych opuszcza broń;
Toż smutni siedli my do biwaku,
Toż smutno ścisnąć druhowi dłoń...
Ale nie dla nas żal niedorzeczny:
Łzami kresowca żegnać — to srom!
Dzielnieś się sprawiał, druhu serdeczny!
My walczym dalej — ty wracaj w dom!
Dzielnieś się sprawiał! Tak ci żegnali,
Co ongi kresów trzymali straż.
Dzielnieś się sprawiał! Żegnaj! Lecz z dali
Pomnij, żeś sercem kresowy, — nasz!
Jedź — a że stopa twoja postanie
Hen, Zygmuntowski gdzie jęczy dzwon,
Toż Wawelowi zawież posłanie
Od swej drużyny z kresowych stron.
Pokłon nasz oddaj grobom, co strzegą
Królewskie prochy u Wisły fal —
I bratnią wiarę pozdrów, kolego,
I mów, że wiara nasza, jak stal!
I mów, że w kresach baczno dokoła
I w twej stanicy czuwają wciąż —
I mów, że kiedy kraj nas zawoła,
To staniem razem, jak jeden mąż!
Niech wiedzą, — hen u ognisk domowych,
Żeś dzielnie umiał stanicę wieść!
Jedź, — ja w imieniu braci kresowych
Puhar na twoję podnoszę cześć!

Czerniowce, 12. Listopada 1884.

Klemens Kołakowski.

O pożyteczności tłumaczeń.

Tłumaczenia nie uspakajają tylko dumę narodową okazując światu klejnoty narodowe; mogą jeszcze obudzić w niejednem sumieniu poczucie sprawiedliwości. Niemiec który za młodu wczyta się w przekłady proroczych i natchnionych ksiąg naszych, stanie się może przyjacielem naszym, oburzy się może szlachetnie przeciw zaciętości Bismarcka i innych prześladowców naszych. A chociażby tłumaczenia zaskarbiły nam tylko małą liczbę serc za granicą, nie mała już byłaby to usługa!

Władysław Mickiewicz.

Aforyzmy.

Wiara w Boga jestto związek wytworzony pokrewieństwem nieskończoności naszego ja z nieskończonością Boga. Zdaje mi się, że choćby mi nikt nie powiedział o Bogu, choćby mnie wcale nie uczono religji, byłabym Go przeczuła.

*

Gdyby mniej sobkowstwa u góry, byłoby mniej zbrodni u dołu.

*

Świat sądzi z pozoru, patrzy na powierzchnię ale wyrokiem sięga głęboko w duszę bliźniego.

*

Ideał nie jest marą wieków starożytnych, średnich lub epoki romantycznej. On jest i dzisiaj, tylko w innej objawia się formie.

Janina Antonowiczówna.

Cisza wiosenna.

Słodko — błogo dokoła! —
Kędy sięgnie twe oko,
Witasz wiosny anioła
Z rozpiętymi szeroko
Po nad ziemią skrzydłami,
Co nam szepce: „Bóg z nami!“ —
Kwiat się śmieje kielichem;
Igra z skrzydłem motyla,
I szemraniem liść cichem
Do listka się przymila,
A zefirek wiosenny
Ściga chmurkę po niebie —
Znikł liść zżółkły, jesienny;
Źdźbło się słania na glebie,
Kłoskiem w wnętrzu brzemienne. —
Niebo czyste, promienne. —
Wzbił się w górę skowronek
I poranną pieśń nuci;
Niby dzwonek, co dzionek
Ogłaszając, lud cuci.
Jaskółeczka, z świergotem
Pruje fale powietrzne; —
Ach! — dnie z wiosny żywotem,
Czemuż — czemuż nie wieczne! —
I ta cisza, ta błoga,
Co ukaja serc rany,
W której widzą moc Boga
I prostaczki i pany! —

Mieczysław Romanowski
junior.

Pożar i orkan w Stryju!

Przez

E. L. Soleckiego.*)

(Z trzema rycinami.)

W sobotę dnia 17go Kwietnia 1886. o godzinie drugiej popołudniu, przy silnym wietrze, powstał zwykły, drobny ogień we wschodnio - południowej części śródmieścia w Stryju, a w 3. godziny później, t. j. o piątej wieczorem dwie trzecie części miasta były ze szczętem spalone.

Najpiękniejsza część miasta tego, podnoszącego się znamienicie, leży obecnie w gruzach; 15 ulic zniszczonych; 600 domów do szczętu spalonych, a około 8000 ludzi, straciwszy swe mienie, rozleciało się na wszystkie strony kraju do krewnych i przyjaciół z prośbą o ratunek bądź chwilowy; reszta włóczy się bezcelowo po zgliszczach, a wielu opłakuje okropny zgon w płomieniach najbliższych członków

*) Pod tym tytułem umieszczamy opis pożaru stryjskiego, skreślony przez redaktora „Gazety Naddniestrzańskiej“ i wyjęty z tegoż pisma. Autor był — zdaje się — sam na miejscu pogorzeli; dla tego też opis jego w tak żywych przedstawia się barwach jakoby pod wrażeniem chwili napisany. Dla lepszego zorjentowania się dołączamy do tego opisu widoki ruin stryjskich ze strony wschodniej, zachodniej i północnej rynku według fotografij W. Nowickiego wykonane (patrz str. 288, 290 i 292.) Dodajemy od siebie, że odbudowa Stryja dotąd bardzo powoli naprzód postępuje.

(Przyp. red.)

Śródmieście Stryjskie po pożarze.



Ruiny rynku widziane ze strony wschodniej.

rodziny. Ile osób właściwie zginęło w tych płomieniach, trudno dziś jeszcze dociec. Dotąd odszukano blisko 60 trupów. Należy się jednak obawiać, że przy rozbieraniu gruzów wynajdzie się ich więcej, mianowicie dzieci.

Oto w krótkich rysach nieudolny obraz okropnego nieszczęścia, jakie dotknęło nasz kraj, i to w chwili przesilenia finansowego, w chwili ogólnego upadku handlu i przemysłu, w chwili, gdy przednowek nawet w najlepszym razie jest dokuczliwym dla naszego kraju rolniczego.

W ostatnich latach Opatrzność ostrzegała nasze społeczeństwo niejednym i znacznym pożarem, w widocznej nadziei, że się chwyci radykalnych środków ostrożności przeciw tym klęskom społecznym. Musiała się jednak cierpliwość tej Opatrzności wyczerpnąć, skoro zesłała na nas taki pogrom, jak pożar stryjski! Prawdą jest, że silny wicher sobotni zmienił się wskutek pożaru, jak zwykle, w orkan, a to nawet orkan bezprzykładny, ubezwładniający w 3 godziny po wybuchu ognia wszelki, choćby jak energicznie zorganizowany ratunek; ale też niemniej prawdziwem jest, że gdyby policja ogniowo-budownicza, należąca do zarządu urzędu gminnego, była ściśle i według ustaw istniejących i w Stryju wykonywaną, toby stłumienie owego drobnego zaczątku ogniowego sobotniego nie przedstawiło było żadnej trudności, a miasto nie byłoby popadło w tak olbrzymie nieszczęście.

Nie czas na to, rozbierać dziś kwestję, jak dalece zaniedbaną była policja ogniowo-budownicza w Stryju; niedbalstwo to bowiem zostało nader srogo ukarane, a po dokonanym fakcie należy dać ratunek nieszczęśliwym, a nie znęcać się nad nimi wymówkami po niewczasie! Zresztą nie należy zapominać o tem, że prócz może 4 miast w Galicji, a mianowicie: Lwowa, Krakowa, Stanisławowa i Kołomyi nie posiada żadna inna miejscowość skutecznie uorganizowanej policji ogniowo-budowniczej; *) nie należy i o tem zapomi-

*) Za pozwoleniem! Biała ma ją a połączone w jeden korpus straże ogniowe miast Białej i Bilska liczą kilkaset człon-

Śródmieście Stryjskie po pożarze.



Ruiny rynku ze strony zachodniej.

nać, że i te miasta ocknęły się dopiero wtedy, gdy przez pożary straciły znaczną część swego mienia. Kołomyja dopiero po trzecim znacznym pożarze zorganizowała ową policję u siebie! Niema wątpliwości, że uczyni to teraz Stryj już po tym pierwszym ogniu, który jednak przewyższa ogromem wszystkie dotąd znane. A jednak nasuwa się mimowoli pytanie, czyli też koniecznem jest, byśmy do rozumu przychodzili dopiero za pośrednictwem tak olbrzymich nieszczęść! Według naszego przekonania już dotychczasowe ustawy, normujące stosunki policji ogniowo-budowniczej, wystarczyłyby, aby nas ochronić od podobnych nieszczęść społecznych. Chodzi tylko o to, aby były wykonywane.

Już nieraz zabieraliśmy głos w tej sprawie, wykazując, że może w żadnej gałęzi naszej gospodarki autonomicznej niema takiego zastoju, jak właśnie w tej. Najenergiczniejsze głosy ludzi dobrej woli i fachowych nie przydają się na nic w obec zagnieżdżonego bezrządu na tem polu. Główną winą tego wszystkiego jest to, że przeważna liczba właścicieli domostw w śródmieściach naszych miast i miasteczek należy do rzędu tych istot, które celują nieschlujnością i brakiem zmysłu do porządku. Ponieważ jednak te istoty są obecnie zarazem jedynem naczyniem, w którem się mieści jeszcze nieco złota i srebra, oraz banknotów, więc też ci, którzyby mogli wpłynąć na uporządkowanie naszych miast, wolą żyć z niemi w zgodzie, chociaż w bezrządzie społecznym i niechlujstwie małomiejskiem, niż zanieprzyjaźnieniem z tymi potentatami naszymi pozbawić siebie przyjemności czerpania zasobów materjalnych z ich kas. Jesteśmy bezwzględnie za autonomią — choćby była jeszcze stokroć gorszą niż nasza, ale należymy do tych autonomistów, którzy stanowczo wyznają potrzebę kon-

ków i mają nawet telefoniczne połączenie. Jest to jednem słowem jedna z najlepiej zorganizowanych straży w Galicji, ale znajdziemy może straże zorganizowane wzorowo także w innych miejscowościach galicyjskich, jeśli uważnie szukać będziemy.

(*Przyp. red.*).



Ruiny rynku widziane ze strony północnej.

troli. Kontrola ta jednak, jaka dziś istnieje, jest absolutnie błędną dla tego, iż ogranicza się na tem, aby niższa władza nie wykraczała po za obręb ustaw, bez troski o to, czy w obrębie tych ustaw wykonuje swe obowiązki. W obec tego stanu rzeczy o kontroli władz wyższych nad niższemi i mowy być nie może. Kontrola ta pozostawioną jest li tylko wyborcom, teroryzowanym przez burżoazję wszelkiego rodzaju! Skutki takiej kontroli są niestety tak widoczne, że z jednej strony teroryzowany ogół wyborców z dnia na dzień traci wiarę w autonomję, a z drugiej strony ogół cierpi na tem i coraz bardziej upada materjalnie. Ponieważ zawinili ci przedewszystkiem, którzy mają środki ku zaradzeniu złemu, więc też mają i obowiązek ratunku w chwilach nieszczęścia, spowodowanego ostatecznie przez siebie.

Kraj i państwo czują to dobrze i ze wszystkich stron słychać o akcji ratunkowej dla nieszczęśliwych pogorzelców Stryja. To jednak, co dotąd zdziałano, jest prawie niczem! Stryj podniesie się tylko wtedy, jeśli ratunek będzie radykalny! Miasto to niema majątku prywatnego i jest zadłużone u dzierżycieli dochodów niestałych. O zaciąganiu pożyczki na wzór Stanisławowa i mowy niema. Trzeba jednak zważyć, że Stryj posiada wszelkie warunki rozwoju. Leży on nad spławną rzeką, w zbiorowym punkcie czterech kolei i na linji strategicznej państwowej. Zaopiekowanie się takiem miastem należy do kraju, jeśli nie do państwa. Datkami drobnej jałmużny zaspokoi się wprawdzie pierwsze potrzeby, ale nie podniesie się tego miasta. W najlepszym razie rozwój jego będzie powolnym i cherlącym! Jesteśmy więc za tem, ażeby kraj pod gwarancją swoją udzielił temu miastu pożyczki najmniej 2-milionowej na procent jak najniższy, zwrotnej w latach przynajmniej czterdziestu, pod warunkiem, iż uporządkowaniem miasta zajmie się komitet, dający gwarancję moralną, iż odbudowa zostanie wykonaną według planów, odpowiadających wymogom ustaw istniejących. Tylko w ten sposób może się Stryj podnieść, *i tylko w ten sposób zmyje kraj ze siebie plamę, że mimo autonomji mogło się wydarzyć u nas aż takie nieszczęście!*

Trzy pory.

RANEK.

Gdy świt rozżarzy purpury,
Słoneczko rydwan wytoczy,
Choć to zwykły bieg natury,
Zawsze nowy i uroczy.
Ptaszęta hymn Stwórcy głoszą,
Wszystko się do życia budzi,
Pszczoły wonne miody znoszą
Dla strudzonych pracą ludzi.
Ranek życie w ruch wprowadza,
Nadzieję w sercach zaszczepia
I wiek sędziwy odmładza,
Ranek tchnieniem swem pokrzepia;
Dzwoneczek wiernych zwołuje,
Potrzebę modlitwy nieci,
Jakoś się milej pracuje,
Kto pracę Bogu poleci.
Chrystus Pan wskazując drogę
Żywota, w te słowa rzecze:
„Pracuj! ja ci dopomogę,
Pracuj, człowiecze! *)“

POŁUDNIE.

Szczytna chwila południowa
W stoku słońca się odznacza,

*) Słowa ewangelii.

Brzęk owadów, woń kwiatowa
Po przestworach się roztacza
I uroków mieści tyle.
Ptactwo gałązki obsiada,
W trawach chłodzą się motyle,
Wszystko w stan spoczynku wpada,
Chyli się każda roślina,
Kwiat skwarem słońca dotknięty
Ociężałą główkę zgina,
Opuszcza kielich zwinięty.
Południowy żar słoneczny
Świat pogrąża w senne cisze,
Spełniając przebieg odwieczny
Do odpoczynku kołysze.
Wszystko dąży do ukrycia,
Południe tuli chwilowo,
Żeby do pracy i życia
Zbudzić się z snów tych na nowo!

WIECZÓR.

Już przebrzmiały dzienne wrzawy,
Z rosą spłynął wieczór cichy,
Jak w brylantach błyszczą trawy,
Powój rozwinął kielichy.
Już skończona dzienna praca:
Oracz do zagrody z pługiem
I bydełko z paszy wraca
Z bujnych równin ponad Bugiem,
Żabki skrzeczą gdzieś w oddali,
W szuwarach słychać derkacze,
Po jeziora modrej fali
Srebrnoskrzela rybka skacze.
Sygnaturka na cerkiewce
Anioł pański światu głosi,
Mgła nadbużna traw kobierce
I podbrzeżne zioła rosi,
Wieczór w siole zawsze ludniej,
Każdy kończy pracę swoją,
Gospodynie koło studni
Wodę biorą, trzody poją:

A pod lasem na wygonie
Flet pastuszy dzwoni żywo,
W słup wysoki ogień płonie,
Z węgli wygląda pieczywo,
Co woń smaczną szerzy w koło
Dla strudzonych w równej mierze:
Każdy z trosk rozchmurza czoło
I pospiesza na wieczerzę,
Wreszcie w słodkich snach utonie,
Matka ziemia ich przytula,
Ognisko koło nich płonie,
Od chłodu chroni koszula!

Marja z Rusiłowa.

Samboriana. *)

I.

Zatarg OO. Bernardynów z rajcami miasta Sambora w r. 1620.

Klasztory w wiekach średnich wszędzie prawie bez wyjątku, a szczególnie w Polsce, budowane były jakby twierdze, stojące nietylko na straży wiary, ale jako zapory przeciw najazdom hord azjatyckich i jako obrona życia narodowego przeciw różnym jego nie-

*) Ponieważ wielu z szanownych naszych czytelników, bądźto w Samborze, bądź poza Samborem zamieszkałych, użaliło się i użala ciągle jeszcze na to, że w „Samborskich Rocznikach", nie było dotąd prac literackich, specjalnie do Sambora się odnoszących, — więc postanowiliśmy brakowi temu zaradzić za pomocą osobnej rubryki „Samboriana", w której umieścimy na przyszłość także artykuły o fundacji Gotthelfa, o ruchu drukarskim w Samborze i t. p. *(Przyp. red.)*

przyjaciołom, ztąd to nierzadko widzimy pod murami klasztorów Turków, Tatarów, Szwedów, Kozaków i Moskali. — Mury te stawiały czoło rozbojowi i pysze wroga, chroniły zbiegłą szlachtę i lud skrzydłem opiekuńczem przed niewolą i strasznym jassyrem. W tym celu budowano klasztory na moc, — ściany grube — kryto je blachą lub dachówką, otaczano naokoło murami ze strzelnicami i wieżami po bokach, często okalano wałami ziemnymi a nawet i wodą. Klasztory niektóre utrzymywały mniejsze lub większe drużyny zbrojne, posiadały zbrojownie, prochy strzelnicze — a w razie napadów, co żyło, ba! nawet bracia zakonni chwytali za oręż i bili wroga od ucha! —

Klasztor samborski oo. Bernardynów zajmował pod tym względem stanowisko niepośledne, bo w miejscu dość obronnem zbudowany, z jednej strony oparty o miasto i jego mury, a z drugiej strony otoczony wodą dniestrową, opasany murami silnemi, strzelnicami, okopami, — a broni i prochów mając zwykle w zapasach, oddawał miastu a względnie okolicy całej nie małe usługi. Na wypadek niespodzianego napadu lub zdobycia klasztoru, mogli zakonnicy i wszyscy, którzyby tam szukali schronienia, uciec przed nieprzyjacielem w mury miejskie podziemnym przechodem prowadzącym do miasta z jednej wieży narożnej, zbudowanym nakształt kurytarza. Kronika klasztorna mieszcząc w sobie nader ważne dokumenta i zapiski odnoszące się do dziejów zakonu, jako też i klasztoru samborskiego, często także przytacza różne wypadki, skreślające stan miasta i stosunki tegoż do zakonników, krocząc z bieżącą historją narodu, zaznacza napady nieprzyjaciół na klasztor i miasto, a nieraz nawet wchodząc w drobne szczegóły, dostarcza dużo materjału dla badaczy dziejów Sambora i okolicy. Wśród wielu tedy zapisków opowiada o ucieczce okolicznych mieszkańców w mury klasztorne przed zagonem tatarskim jesienią w r. 1620. i o zatargu ojców klasztoru z rajcami miasta, stojącym bezpośrednio w związku z tą okolicznością. Podaję czytelnikom wierzytelny odpis z kroniki klasztornej samborskiej, zachowując najzupełniej styl i pisownię:

„Anno Dni 1620 die 16 octobr. Po rozbiciu obozu polskiego na Cicorzę (gdzie kanclerz koronny Hetman Polsky Stanisław Żółkiewsky porażon a polny Hetman Koniecpolsky w niewolą wzięty) Tatarowie na te strone Niestru zapadali przy Samborze zapaliwszy kilka chałup w Kulczycach. Zabieg wielky w Samborze tak do miasta iako y do klastoru Oyców Bernardinów (a tym więcej) okolicznej slachty stał się, y w tych kraiach Tatarowie ogniem y mieczem woiując a odporu nikąd niemaiąc z wielkim plunem ludzi stanów rozmaitych y dobytka do Hordy zwrocili się, trwały te zabiegi y trwogi srogie trzy niedziele. Tym czasem pod temi trwogami widząc niebespiecenstwo wielkie ktore mogło było przyść na klastor, z rurmusa mieyskiego ktory na gruncie klastornym przy murach klastornych iako wieza stoi, Oycowie tak sami swoią iako tesz y panow slachty namową pobudzeni drzwi tak na dole iako y na gorze zchod zruciwszy za dozwoleniem mieszczan od miasta zamurowali a drzwi ktore były z klastoru na cegłe tylko zamurowane y zchodem na tenże Rurmus odbili, aby tak dla bespieceństwa nie z dworu iako przedtym ale z klastoru weście było do Rurmusa, y tak in pacifica possessione tak Oycowie iako y mieszczanie a die 19 oct. anni Dni 1620 usq. ad diem 13 Novembr. — eiusdem anni trwali nie maiąc żadney alteriatie z sobą. Die 13 Novembr eiusdem anni przy koncu obiadu wyprawiwszy mieszczanie iednego z posrodku siebie do Oyca Guardiana pro tum existente sub ptextu dowiaduiąc się iezeli dozwoli Pr. Guardianus odbic dziure do Rurmusa. Sami rayce tum temporis, gdy ieden bawa Oyca Guardiana, armata manu przysli na plac klastorny przed Rurmus insciis pribus odbili dziure. Interim gdy się to dzieie dano znać pri Guardiano, zaraz na Rurmus wbiegł y ztamtąd zaraz, chcąc audaciam Mor refrenare załował się tak przed niemi samemi abo y przed inszą slachtą, ktorzy na ten czas byli in illo casu, isz tak armata manu na plac klastorny przysli. Oni na to niedbaiąc hurmem chcieli wniść drabinę przystawiwszy, fres ktorzy za Oycem Guardianem

na Rurmus wbiegli drabinę wzgorę porwawszy złamali. Nie dbaiąc na to mieszczanie, po pospolstwo, ktore y bębnem y dzwonkiem ratusnem skupili, pod ratus posłali, nie chcieli na to zezwolic, aby Rurmusa ktory rayce gwałtem chcieli opanować mieli dobywać. Gdy tak raycy y od klastora repulsam passi y od pospolstwa auxilio destituti odpowiadaiąc klastorowi do miasta odesli y tam zaraz pospolstwu zdawszy niesłusznie Oyców, iakoby im Rurmus y wode, ktora do miasta stamtąd idzie odeimowali, wskazali aby na zacięty armata manu wszyscy posli. Tego oni uczynic nie chcieli widząc isz ani Rurmusa ani wody (bo drzwi mieli nie zamurowane od parkanu klastornego na doł do rur) nie odejmowali, ale żeby bespiecnieiszy z klastorem Oycowie byli iako sami rayce y pospolstwo y sama slachta przyznawali. Te dziure abo drzwi na gorze (bo sami rayce na dole drugie drzwi) dla niebespieceństwa od naiazdow nieprzyiacielskich znowu zamurowali y strzelbą klastorną osadzili, a to dla tego, aby (iako przywiliey opisuie) od niebespiecnego sąsiedzwa z ludzmi niespokoinemi, ktorzy na tym rurmusie przed tym y z obrazą Pana Boga za dozwoleniem mieiskiem mieskali, zakonność swoie przy spokoinym nabożeństwie zachowali, y zeby tenże klastor y Oycowie czasu zabiegow nieprzyiacielskich przeskody iakiey do obrony klastoru abo podżogi z tego rurmusa nie popadli. Na co krola IMC. przywiliey y potwierdzenie in anno Dni 1602 die 7 Mens. iul. — Cracovia — otrzymali.“ —

Spór ten z rajcami miasta został załagodzony, zwłaszcza że mieszczaństwo nie miało żadnych pretensyj i owszem zostawiało klasztor w spokojnem posiadaniu, a tylko rajce niepokój ten wywołali wbrew woli mieszczan, co widocznem jest, bo mieszczanie wezwani przez rajców nie chcieli brać żadnego udziału w opisanym zatargu. Klasztor na mocy przywilejów od Jerzego Mniszka, określających należycie posiadłości zakonne, a przez króla polskiego Zygmunta III. zatwierdzonych, utrzymał się przy swoich prawach, lecz niestety!... prawa te i przywileje zostały

później na boku, a miejsce ich zastąpiło prawo silniejszego! — Dziś spór pomiędzy klasztorem a rajcami miasta pewnie się więcej nie powtórzy, bo z rurmusa ani śladu, — o murach i okopach Samborzanie nie mają prawie wyobrażenia, — klasztor stał się przybytkiem sprawiedliwości, a kościół sprowadzony do strasznego poziomu i nie jest już własnością, ani w posiadaniu oo. Bernardynów. Jakby na ironję losu, na śmigownicach wydobytych z baszt klasztornych spoczywa balkon w podwórzu jednej z kamienic samborskich! Jako jedną i jedyną pamiątkę i spuściznę po odbyciu rozmaitych wędrówek posiada klasztor samborski kronikę wskazującą mu dobrodziejów, czasy lepsze i niczem nieprzeparte prawa! —

Sambor, 15. Lutego 1887.

O. Metody bernardyn.

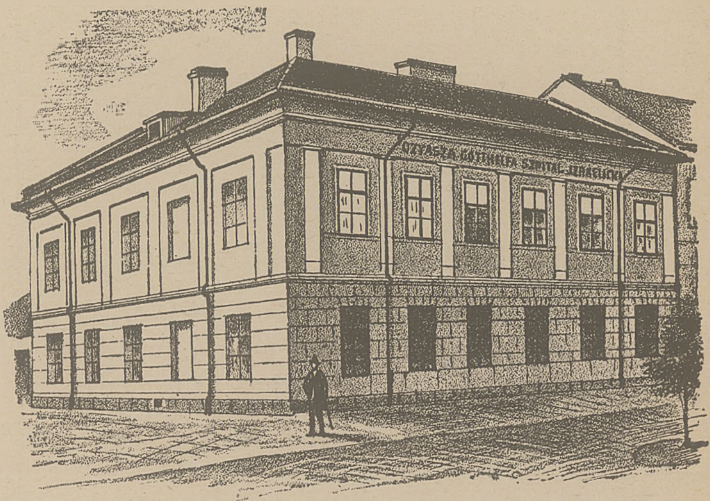
III.

Nasze budowle pamiątkowe w Galicji.

Szpital Ozyasza Gotthelfa w Samborze

(z ryciną.)

Może pod pewnym względem niewłaściwy tytuł nadaliśmy niniejszemu artykulikowi, gdyż szpital Ozyasza Gotthelfa nie jest budowlą pamiątkową pod względem architektonicznym; ale stał się nią pod względem humanitarno-społecznym. Fundator bowiem dobroczynnej tej instytucji zapisał swoją na Blichu w Samborze położoną jednopiętrową kamienicę na szpital dla ubogich współwyznawców, a tem samem — pierwszy może od niepamiętnych czasów! — dał hasło do ofiar swoim współziomkom, w Samborze zamieszkałym.



Obszerniejszy artykuł o fundacji Ozyasza Gotthelfa, oparty na źródłach autentycznych, zastrzegamy sobie dla następnego tomu naszego wydawnictwa, a kończymy pobieżną tę wzmiankę o dobroczynnej fundacji Ozyasza Gotthelfa, obywatela miasta Sambora, życzeniem, aby szlachetny jego przykład oddziaływał także na innych, jednając celom publicznym coraz większą liczbę zwolenników, a cichej jego cnocie coraz więcej naśladowców i czcicieli!

Sambor, 11. Marca 1887.

G. Kohn.

Józef Ignacy Kraszewski,

nestor pisarzy polskich w Genewie,

w dniu imienin swoich 19. Marca r. 1887, skończywszy lat 75. Smutna ta wieść dochodzi nas właśnie w chwili, kiedyśmy ostatnie arkusze naszego wydawnictwa uporządkowali i przygotowali do druku. Nie możemy zatem na razie poświęcić obszerniejszej wzmianki zasłużonemu pisarzowi; wzmianka taka bowiem, jeśli ma mieć pewną literacką wartość, wymaga cokolwiek czasu i przygotowań. Zastrzegając sobie jednak „Wieniec wspomnień o Kraszewskim“ dla rocznika następnego, składa tymczasem krótkiemi temi słowy hołd u jego trumny w imieniu współpracowników i własnem

Redakcja „Roczników Samborskich.“

Sambor, 23. Marca 1887.

Cieniom J. I. Kraszewskiego,

SONET.

Na wolnych mężów ziemi, z dala od krainy,
Co go tchnieniem ożywczem swem wypiastowała,
Ginie Olbrzym samotny, myślicieli chwała,
Ginie ten, co przeszłości ożywiał ruiny.
On, z pośród synów Polski jeden i jedyny,
W którym przeszłość i przyszłość się odźwierciedlała;
Bo przeszłość Polski w nim się uwydatnia cała,
A pracę on przyszłości swemi wskazał czyny.
Zginął Olbrzym samotny, zginął szermierz dzielny,
Który walczył dla kraju swej idei siłą,
On, co katów pozdrowił swem: „Błogosławieni!“*)
W kraj wolności uleciał duch już nieśmiertelny,
A nad ziemską powłoką, nad wieszcza mogiłą
Słońce wschodzi wolności i świt się rumieni!

Sambor. 24. Marca 1887.

G. Kohn.

---

*) W numerze 81m „Dziennika polskiego“ z datą 23. Marca r. 1887go umieszczony był wiersz Kraszewskiego pod tytułem: „Błogosławieni,“ w którym sędziwy autor błogosławi nawet katom jako karzącym narzędziom w ręku Pana.

Aleksy Dubowicz i pisma jego,

szkic bibliograficzny.

Aleksy Dubowicz jest to syn Ignacego Dubowicza, burmistrza Wileńskiego, wielkiego dobrodzieja OO. Bazylianów przy cerkwi św. Trójcy w Wilnie mieszkających, którym nietylko znaczną sumę pieniężną zapisał, ale też dwóch synów wielce uzdolnionych na usługę zakonną oddał. Z tych tedy Aleksy w naukach znakomite zrobiwszy postępy, wszedł do zakonu w celu nabycia doskonałości w życiu duchownem, oraz rozprzestrzenienia pożytecznych wiadomości, których przy wielkiej pracy i pilności nabył. Jako uczony zakonnik zasłynął z daru wymowy kaznodziejskiej i z przymiotów szlachetnych gorliwego Unity. Oceniając należycie zasługi jego, zakon powoływał go do piastowania różnych urzędów. Jakoż na Archimandryi wileńskiej po Pachomiuszu Wojnie Orańskim, a Supraslskiej po Nikodemie Mokosieju Szybińskim w r. 1645. zmarłym siedząc i dla chwały swego zakonu szczerze pracując, ładne po sobie zostawił pamiątki i w Wilnie w r. 1652. przeniósł się do wieczności. Drukiem ogłosił 6 kazań łaciną naszpikowanych, z których wszakże dziwnie piękne ustępy świadczące o wzniosłości ducha jego mogą być z korzyścią niemałą zużytkowane.

1) Pióro lekkie ciężki świat noszące na pogrzebie I. M. P. Jana Kolendy województwa Wileńskiego, trybunalskiego ziemskiego pisarza w Wilnie w cerkwi św. Trójcy OO. Bazylianów w jedności będących r. 1636. dn. 18. miesiąca decembris wystawione przez O. Aleksego Dubowicza starszego monasteru wileńskiego zakonu S. Bazylego W. w Wilnie w drukarni

Akademii Soc. Jesu anno 1637 in 4to kartek nieliczbowych 27. Dedykacya Stanisławowi Białozorowi podsędkowi Wilkomirskiemu, Enochowi Kolendzie podwojewodzemu Trockiemu, Michałowi i Eliaszom Kolendom, Krzysztofowi Kazimirzowi Unichowskiemu sekretarzowi J. K. Mości, Annie Kolendzance Białozorowej podsędkowej wilkomirskiej i Katarzynie Kolendzance Unichowskiej z Wilna dnia 18. grudnia 1636.

Ładnie przywodząc pamiątki rodzinne mówi: Naród żydowski w niewoli babilońskiej daleki będąc od wiecznego miasta Jeruzalem, aby nieustawała pamiątka najmilszej ojczyzny, nosił na pierścieniach wyrażone Jeruzalem, i poglądając na rękę cieżar dźwigającą, albo pokarm podającą, przypominał sobie rozkoszną ojczyznę, polewał żałośnemi łzami utracone dobro. Nie chcieli puścić w zapomnienie utraconej ojczyzny, i jako wierni synowie łaskawej matki ponawiając codzień pamiątkę płakali, jako dalecy cieszyli się, jako pamiątkę noszący. Toż czynili i Chaldejczykowie, aby w ustawicznej zatrzymali pamięci przodki swoje, obrazy ich na własnych ciałach, lubo z bolem wyrażali.

Jest uciecha pozostałemu potomkowi, widzieć obraz umarłego rodzica, tak dla ulżenia smutku, jako naśladowania potrzebny jest wielce synowi ojcowski obraz. Obrazy zacnych mężów są wielką pobudką do wielkiej cnoty. Okazał to skromny a pobożny Bolesław książę polski, po śmierci rodzica jako najdroższy klejnot nosił ustawicznie na piersiach na tabliczce wyrażony obraz miłego rodzica i cokolwiek czynił, tak czynił, jakoby przed przytomnym rodzicem, przypatrującym się postępkom synowskim. Pomagał nabożnemu synowi rodzicielski obraz, zatrzymywał młode a bujne lata, upominał do powinności synowskiej w obrazie przytomny rodzic. —

Na osłodzenie tedy żalu, ofiaruje obraz zmarłego rodzinie. W samym wstępie dziwuje się, dla czego na trumnie nie postawiono godła jego czynności. Znać pióro z duszą z ciała wychodzącą uleciało, znać księga wraz z żywotem się zawarła. Ludzie pospolicie na placu świata tego biegają, a biegając pochodnie sobie podają. Za Saulem ugania się Dawid, za Dawidem

Salamon, za Salamonem Jeroboam, za babilońską perska, za perską, grecka, za grecką, rzymska ugania się Monarchja. Bieży król z koroną, hetman z buławą, kanclerz z pieczęcią, marszałek z laską; i te korony, buławy, pieczęcie, laski, jako pochodnie gorejące po sobie następującym oddają.

Kazanie dzieli na dwie części: pióro na dworze króla ziemskiego, i pióro na dworze króla niebieskiego. Ładne tu robi porównanie towarzystwa ludzkiego. Zda mi się, że powszechne ludzi na tym niskim okręgu świata życie, wyraża się pod podobieństwem ptaka: albowiem jako ptak wyleciawszy z gniazda swego, już na skale, już na drzewie posiedziawszy, już słodkiego i gorżkiego skosztowawszy, wraca się do gniazda; tak ci i naród ludzki wyleciawszy z familii jako z gniazda swego, na tym świecie już dobrego i złego skosztowawszy, te i owe kraje nawiedziwszy, wraca się do początku i końca swego, wraca się do pierwszej rodziny swojej, t. j. ziemi, jako gniazda swego. Człowiek podobny jest pióru, wewnątrz próżny, i nie ma na czemby się krzepił. Prawda, że człowiek po wierzchu jest nader nadobny, ale chwieje się jako pióro, upada jako pióro, niema siły do zatrzymywania siebie jako pióro, szał jako woda porywa pióro. Dalej mówiąc, nazywa królów orłami, a poddanych skrzydłami. Co jest orzeł bez skrzydeł? szmat ciasta i mięsa, tak król bez walecznego wojska. Szczęśliwy świat i musi być kwitnącą i tryumfującą Rzeczpospolita, która na piórkach ufundowana i piórami z doliny na wysokość sławy podniesioną bywa. Nie podniosą świata, ani Rzeczypospolitej, buławy hetmańskie, laski marszałkowskie, miecze rycerskie tak wysoko, tak szczęśliwie, jako pióra. Twardo się wylęga ludzki świat i królestwo na buławach, na laskach, na mieczach, często i z niebezpieczeństwem, ale na piórach miękkie i ucieszone ma odpocznienie.... Piórem i mieczem zostaje człowiek wiernym i pożytecznym obywatelem... Lepsza wszakże jest mądrość, niż oręże wojenne... nie podniosą Rzeczypospolitej miecze rycerskie... ani tak sławną uczynią i zgoła aby latała, piór potrzeba. Zkąd najazdy domowe, zkąd zasadzki, zkąd wielkie niebezpieczeń-

stwa? zaiste nie od piór, ale od mieczów. Pióro zabiega tumultom upominając, pióro dościga uciekającego pozywając, pióro przywoływa wpisując; pióro instyguje, relacye dając; pióro z ostrych, tępe czyni miecze dekretując; pióro tedy dźwiga tego ptaka i Rzeczpospolitę i świat ludzki. Zdrowie, całość i szczęście ojczyzny od piór początek swój bierze. —

Dalej wylicza prace i zasługi koło Rzeczypospolitej Jana Kolendy, że wytrwał w r. 1609. w katolickiej wierze, i że od nikogo nic nie brał.

W drugiej części powiada: Wypuszcza Pan Bóg różne Rzeczypospolite jako ptaki na świat z piórami swemi, z różnemi urzędnikami, lata, buja i tryumfuje Rzeczpospolita na mocy piór swoich na mnóstwo urzędników mądrych poglądając i często się szczęściem unosi, a tego nie wie, że pod temi skrzydłami i piórami zasadzkę czyni sprawiedliwość boska i gdy się najmniej spodziewa, urywa pióra i przenosi do swojej górnej kancelaryi. Ztąd na Jana Kolendę przechodzi i chwali jego pobożność, stateczność, jego miłość ku zakonnikom, wynosi jego hojność dla ubogich, wdów i sierot. Wspomina i o tem, że mając syna w zakonie bazyliańskim Gabryela Kolendę, trapił się tem mocno, że w chwili rozstania się z tym światem nie mógł go ojcowskiem opatrzyć błogosławieństwem. Całe kazanie obfituje w historyczne dowody zręcznie zastosowane i co do wartości w niczem nieustępuje mowcom polskim.

2) Wyprawienie osoby, którą od Boga wziął na theatrum świata, szczęśliwie odprawił jaśnie wielmożny jegomość pan Janusz Skumin Tyszkiewicz, Wojewoda wileński, bracławski, jurborski i nowowolski etc. Starosta, wystawione w Wilnie w cerkwi S. Trójcy Ojców Bazylianów unitów w r. 1642 Oktobra 24 dnia przez W. O. Aleksego Dubowicza Archimandrytę wileńskiego, w drukarni monasteru wileńskiego S. Trójcy in 4to kart nieliczb. 34. Dedykacya księżnie Eugenii Katarzynie Tyszkiewiczównie Korybutowej Wiśniowieckiej koniuszynej koronnej, krzemienieckiej, bracławskiej, jurborskiej, nowowolskiej etc. Starościni. Kazanie ma oddziały tytułowane: a) brama narodzenia,

b) prolog młodości, c) osoba żołnierza. Tu ładnie odzywa się do bogaczów:

Im kto jest zacniejszego domu, na wyższem dostojeństwie; więcej substancyi, pracy i zdrowia ważyć dla ojczyzny powinien; ale woli drugi z Samsonem na łonie nierządnej Dalili wczasować, woli z Darjuszem doma muchy łapać i szydłem kłuć... kiedy dym w ojczyznie, a ono jeden z Jowiszem w obłokach maluje centaury, drugi u stołu szturmuje do marcypanowego Karthagu, trzeci jabłkami, orzechami, wódkami różanemi dobywa Taurizinum.

d) osoba Senatora. Tu robi porównanie dosyć trafne mówiąc: Królestwo polskie podobne jest owemu obrazowi Daniela proroka, który miał głowę złotą, piersi srebrne, biodra miedziane, nogi żelazne; jako ciało ludzkie we wszystkich członkach może boleć, może być zranione, do wszystkich też ran potrzebuje fascias; tak i ciało Rzeczypospolitej, członki królestwa mają swoje fascje; boleją nogi żelazne, biodra miedziane, piersi srebrne, głowa złota. Nogi żelazne wiążą włodarze, biodra miedziane, Magistraty; piersi srebrne koła rycerskie; złotą głowę samego króla, senatorowie. Magistraty żelazne fascje; złote fascje Senatorowie; srebrne fascje, koła poselskie; miedziane fascje włodarze; ciało królestwa, głowa królewska wszystka w fascjach. Wiążą biskupi uszy królewskie, podając naukę, jako rząd polityczny ma się zgadzać i poddawać prawu boskiemu. Wiążą pieczentarze usta królewskie, aby z ust królewskich dekret nieprawny, ustawa szkodliwa niewychodziła.... Wspomina dalej, że Tyszkiewicz dał do druku księgę przeciw Boreckiemu i Smotryckiemu, że i drugą pisał księgę pod tytułem: Pastor oecumenicus, która była w rękopisnie w bibliotece monasteru wileńskiego. Epilog kończy się oddziałem: brama śmierci. Przy końcu półtrzecia kartki: Compendium, seu Patrum condolentium Ordinis D. Basilii Magni in clausulam dato sceno per Patrem Benedictum Gliński ejusdem Ordini nonum entum exaratum. Wiersz lapidarny. Na ostatniej kartce aprobata Antoniego Sielawy Metropolity w Wilnie dnia 22. grudnia 1642 r.

3) Conjunctio planet ziemskich z niebieskimi

w cerkwi żyrowieckiej wystawiona, gdy niezwyciężony Monarcha Władysław IV. król polski z najjaśniejszą Cecylią Renatą królową polską cudowny obraz nawiedzali w Żyrowicy r. 1644. dnia 9. stycznia, przez W.. Ks. Aleksego Dubowicza Archimandrytę wileńskiego zakonu S. Bazylego in 4to kart. nieliczb. 7. Porównywa wizyty ziemskie z nawiedzeniem boskiem. —

4) Kazanie na pogrzebie jaśnie wielmożnego jegomości pana Teofila Tryzny Wojewody brzeskiego, wołkowiskiego, błudniewskiego Starosty, miane w cerkwi Byteńskiej zakonu S. Bazylego dnia februarii r. 1645. przez ks. Aleksego Dubowicza Archimandrytę wileńskiego zakonu S. Bazylego w drukarni tegoż monasteru in 4to kartek 30. Dedykacya Izabelli Lackiej Tryzninej Wojewodziny brzeskiej w Wilnie dnia 30. marca 1645. Dzieli to kazanie na poranek, dzień i południe. Mimo łaciny przeplatanej, ładnie jest napisane i porównaniami swemi trafia do przekonania jak n. p. Królowie są wyniosłe drzewa, przewyższa cedr wszystkie libańskie drzewa i Król potęgą, bogactwy, sławą wszystkie uprzedza. Ma wiele gałęzi cedr, ma wiele prowincyi Król, a zatem pełny ozdoby i majestatu. Szturmują wiatry na cedry, słońce upaleniem naprzykrza się, dodaje Nil wody i swą wilgotnością cedry ożywia. Zagraniczne wiatry, domowe pretensje, o jako na drzewo królewskie ustawicznie szturmują, każdy wysoki dom dając na usługę królestwu syny swoje, w synach sprowadza rzeki i strumienia na odwilżenie i zachowanie w całości zdrowia i majestatu cedru królewskiego. W którą stronę płyną rzeki, w tę stronę i drzewa gałęziami się skłaniają. Nie dziw też, że najjaśniejsze królestwo, już ku tej, już ku owej familii znaczniej się gałęziami hojności nakłania, gdy od nich w usługach ma większą wygodę... Niejednako wody drzewa posiłkują; jedne tylko prostą wilgotnością odwilżając, drugie jak Nil tłustą jakąś ziemią do obfitości pomagają. Przyjeżdżają i do dworów Monarchów, prowadząc oraz z sobą spiżarnie, piwnice, skarbce, zgoła jako kupcy z naładowanemi okrętami. Ci puściwszy się na morze pretensyi, patrzą na wiatry, na fawory u dworu, czekają na okazye. Pokaże

się zgodny wiatr, podnoszą żagle, rzucają się do wioseł, pilności, pracy, fatyg nieżałują. Z tak bogatej wyprawy i z tak pracowitych zapędów, cóż za skutek? Raz fortuna sprzyjając, wysoko podniesie, drugi raz w pad wstępują aż do niskości. Chcąc dokazać, wypróżnili swoje okręty, zostawszy, niedokazawszy, powracają do domu pełni żalu. Dalej przytaczając cnoty domowe Tryzny dowodzi, że był dobrodziejem monasteru Byteńskiego.

5) Haft ręką bożą na dobrej duszy wielmożnej jejmości pani Heleny Sapieżanki Kuncewiczowej Chorążyny lidzkiej, koniawskiej, dubickiej etc. Starościny położony. A przez W. Ks. Aleksego Dubowicza Archimandrytę wileńskiego przy pogrzebie żałośnym r. 1645 miesiąca lutego dnia 23. w cerkwi S. Trójcy Ojców Bazylianów w Wilnie kazaniem objaśniony, w drukarni tegoż monasteru in 4to kart. nieliczb. 33. Dedykacya Jakubowi Kuncewiczowi Chorążemu lidzkiemu z Wilna dnia 10. Kwietnia 1645 r. Kazanie to, jedno z najpiękniejszych. Na samym wstępie rozprawiając o stworzeniu świata, powiada: Pan Bóg tak poważał człowieka, że naznaczywszy go za Monarchę ziemi, nie chciał wprowadzać na świat, ażby wprzód zbudował mu pałac; wprzód stworzył hołdowników, sporządził służebników... wprzód wybielił mu pałac. Ściany świata światłością wprzód wybielił, wprzód niebo gwiazdami, ziemię ziółkami ślicznie uhaftował, stworzył i zapalił dwie pochodnie, któreby na przemian świeciły. Zbudował pałac we wszystkie pociechy bogaty, naszczepił raj rozkoszy, sprowadził miliony muzyków, ptaszków, aby śpiewaniem swojem i melodją orzeźwiali; miliony zwierząt, aby jako wojska żołnierskie assystencyą czynili, a na cóż? Aby tak przy assystencyi wiele zwierząt, przy muzyce wesoło śpiewających ptaszków, z pochodniami zapalonemi, z słońcem i księżycem do nowego pałacu wprowadził pierwszego człowieka... Daleko większe uprzedziły przygotowania, kiedy po złożeniu ciała śmiertelnego, miał człowiek do górnego pojeżdżać pałacu. Zstąpił z nieba Syn Boży, aby jako mostowniczy drogi porównał, gościńce wyprostował, góry utrudniające poniżył, a opatrzywszy drogi, powrócił

do nieba, aby zgotował i ozdobił pałac... Patrzcie jako wprowadza człowieka umarłego. Potrzebujecie pochodni zapalonych? Oto świec, ogniów, lamp, pełno około ciała umarłego. Chcecie muzyków? Aża niesłyszycie jako wiele osób duchownych i różnych muzyków wdzięcznem koncertując śpiewaniem czynią duszy wesoły pojazd. Żądacie assystencyi? iżaliż niewidzicie niezliczonych pułków pokrewnych, przyjaciół i sprzyjających nabożnie chrześcijan. Jako tedy pierwszy człowiek do zgotowanego na ziemi wchodził pałacu, tak i do pałacu w niebie za czasu zgotowanego z większemi ceremoniami wchodzi zmarły człowiek.

Zasadnicze uwagi, z których całe kazanie wysnuwa jest haft jako i co Pan Bóg haftuje na dobrej duszy. Zalecając miłość powiada, że ma dwojakie strzały: jedne złote, drugie ołowiane, abo żelazne. Do kogo strzela strzałami ołowianemi, w nim dzikie, zwierzęce affekty mnoży, bo strzała ołowiana niedaleko zaleci, niepodniesie się do góry, ale upadnie. Do kogo strzela strzałami złotemi, w nim rodzi wysokie cnoty, postępki chwalebne; strzała złota nie umie na ziemię upadać, ale bierze się ku wysokości. — W pierwszym hafcie rozważając stan panieństwa powiada: wieszając się po powietrzu gołąbica, abo siedząc, patrzy pilno, jeżeli w wodach niemasz cieniu ptaka drapieżnego po powietrzu latającego. Jako bowiem cieniu samego boi się gołąbica; tak i panieński stan obawia się i tego, co się zda być bezpieczno. Latają różne ptacy, czyhając na gołąbicę rozumną. Jedni jako jastrząb, nie tylko aby wzrok swój szkodliwy, ale też aby i niepowściągliwość napasli; latają drudzy, lecz chwalebnie.... Ma dziewica serca swego jako ołtarza strzedz od ptaków nieczystych, aby złośliwe poduszczenia, myśli przewrotne nieporwały tego, co myśl pożytecznie Bogu ofiarować spodziewa się. Kiedy lata młode wspominam wielmożnej Chorążyny, baczę, że była gołąbicą nad wodami i w wodach cień upatrująca. Pamiętno wam dobrze, jakie młodziuchna ta gołąbica w jaśnie wielmożnym domie Sapieżyńskim ćwiczenie miała, jako podrastała, i piórami ślicznych cnót się przyo-

dziewała, jako w młodym wieku wielu cnotami i darami bożemi przewyższała. Do tego pamiętno, jako taż gołąbica z gniazda rodzicielskiego przeniesiona i w stan małżeński oddana była.

W drugim hafcie przytacza dawne obyczaje mówiąc: Gościa przedtem witam temi słowy: gościu! czy z dobremi ptakami? Niepytano czy z bogatą oborą, czy z gromadną trzodą, czy z ciężką szkatułą, czy z kramem szkotskim, ale czy z dobremi ptaszkami. Każdy w domu swoim rad widział gościa, abo przyjaciela, któryby był jako dobry, łaskawy ptaszek. Kiedy tedy wchodzi do domu oblubienica, wchodzi ptaszek, pytaj się, czy dobry ptaszek? żeby miasto Sary, Agar; miasto Racheli, niewchodziła Lija. Jeżeli strojna, to paw; jeżeli swarliwa, to sroka; jeżeli szkodnica, to sowa, jeżeli jako Jezabel, to jastrząb. Dalej wychwala ród Kuncewiczów pod czterma bramami.

W trzecim hafcie podnosi godność człowieka. Dziwnie powabny stawia horoskop przyszłości naszej, pokrzepia ducha na widok śmierci, nadewszystko zaś odwagę dodaje bojącemu się tak stanowczej, a koniecznej jednak przemiany. Słowa następujące, dokładnie pojęte, każdego potrafią natchnąć wyższem światłem i ducha wznieść do nadziemskiej krainy zdołają. Mówi albowiem: Kiedy natura podaje człowieka czasowi, stęka, jęczy, wzdycha: kiedy tegoż oddać ma wieczności i znowu rodzić, potrzeba, aby zastękała, westchnęła, wszelkie stworzenie wzdycha i jako rodząca boleje. Brzemienną jest natura nasza, nosi albowiem w sobie wieczność, którą przy końcu lat mając oglądać, musi wprzód jęczeć i wzdychać. Przy końcu chwaląc zmarłą Helenę Kuncewiczowę powiada: Męzki ten animusz najdował się prawdziwie w tej przezacnej matronie, i wszystkie żale, a pieczołowania światowe umorzył. Wyzuł ją ze wszystkich myśli do lotu niepotrzebnych i tylko co do zbawienia należy, każdego dnia czynił a zapalał. Przez lat 12 wzdychała tedy ta gołąbica, siedząc nad strumieniami wód pokutnych. Oczy jej były sadzawką, z której wiele wód dobroczynności domom bożym, ludziom zakonnym, bractwom, szpitalom, sługom, czeladzi, jako ze źródła miłosierdzia wypadało. Co

dzień zatem umierając, wszystkiemi sakramentami bardzo często opatrzona, wzdychając z miłości ku Bogu i z żalu za grzechy szczęśliwie z łóżka krzyża do wieczności odleciała.

6) Złota godzina, dnia złotego początek przed najjaśniejszym Janem Kazimierzem królem polskim, wielkim książęciem litewskim etc. etc. cerkwi Żyrowickiej w tym roku 1651 dnia 2. februarii przez W. Ks. Aleksego Dubowicza Archimandrytę monasteru wileńskiego S. Trójcy przepowiedziana, w drukarni OO. Bazylianów S. Trójcy in 4to kart. nieliczb. 10. Dedykacya Kazimirzowi Leonowi Sapieże Podkanclerzemu w. Ks. Lit. słonimskiemu, wołnieńskiemu, luboszańskiemu etc. Staroście z Wilna dnia 28. lutego 1651. Mowa bez podziałów, w której przyrzeka Królowi błogosławieństwo boże. W samym wstępie powiada: Najjaśniejszy Jan Kazimirz Król polski Monarcha Sarmacyi przed Królową nieba i ziemi serdecznie się uniża i pokłon pokorny oddaje... Powiedźcie Królowie, która moc was straszy i do tak niskiego pokłonu przywodzi; cóżeście widzieli nowego w matce, cóżeście widzieli w Synie? Jako mocny orzeł, gdy lękliwe oblatywa kwiczoły, tak Panna królewska pogląda na Królów. Zoczyli Królowie mocnego orła, Pannę przeczystą i jako kwiczoły z wielką bojaźnią upadli na ziemię. Ten to jest orzeł, na którego głowie korony Monarchów babilońskich, perskich, greckich i rzymskich się połyskują. Ten to jest orzeł, który z niewiernych królów zdjąwszy korony, wkłada na głowy wiernych i daje panować. Ten to jest orzeł, który wojsko bystrolotnych Gryffów prowadził, prowadził na Centaury i zwycięztwo otrzymał. Ten to jest orzeł, który białego orła polskiego i czarnego rzymskiego, matką, panią i królową jest. Do tego wspaniałego, silnego, niebieskiego orła, udaje się dziś wielki Monarcha Sarmacyi, wzywa to Omen zwycięztwa, u tego wodza, drogi swej uprasza, przed tym orłem upadając; orła swego być kwiczołem uznawa i im się mniejszym dziś oświadcza, tym wię-

kszym Monarchą, Królem, panem zostawa i zostawać będzie.

Podkamień koło Brodów, 26. Marca 1887.

Ks. Sadok Barącz.

Aforyzm.

Kto pragnie Bogu i ludzkości służyć,
Skały kuć musi i paść sercem sępy,
Kto nie chce światu w życiu się zadłużyć,
Musi się wpisać w krzyżowe zastępy! —

Hanka. *)

TĘSKNOTA.

Dość mi, dość mi ziemi tej,
W niebo mój skieruję lot;
Tam w przestworach lżej mi, lżej,
Tambym w chmurach bujać chciał,
Gdzie swobodnie huka grzmot —
Gdybym orle skrzydła miał!
Nie mam skrzydeł, nie mam, nie —
Smutna przeto dusza ma,
Ale myślą wzniosę się
Po przestworach nieba w dal:
Gdzie jaśnieje gwiazda ta,
Ach za którą tak mi żal!
Gdzieżeś gwiazdko, gdzieżeś, gdzie?
Już zagasnął promień twój,
Opuściłaś w smutku mię,

---

*) Aforyzm powyższy pochodzi od współpracowniczki „Roczników Samborskich", ś. p. Kamili z Strzałkowskich Szyndlerowej, która nieraz pod pseudonimem Hanki pisywała. Kamila S. umarła w Brodach 19. Maja r. 1886. Obszerniejszą wzmiankę o niej podamy w następnym roczniku. *(Przyp. red.)*

Porzuciłaś biegnąc w dzień —
A mnie czołem spływa znój!
Wróć się gwiazdko, rozświeć cień!

Lwów, 13. Marca 1885.

Bolesław Andruszewicz.

Moje słońce... w lubej oku!

Wiosna, zieleń z jasnem słonkiem
Tchnęła na nas swym powiewem,
A z najrańszym wiosny dzionkiem
Już dziękczynnym Stwórcy śpiewem —
Z otoczeniem wtórzy całem
Skowroneczek swym hajnałem.
W jak dalekie spojrzę strony
Różnobarwne łąk kobierce,
Zgodne ptasząt leśnych tony,
Bawią oko, wabią serce,
Że z naturą człowiek w zgodzie
Wiosną cieszy się w przyrodzie.
Lecz choć wszędzie tak słonecznie,
Jam jednaki i niezmienny,
W duszy dawno mej świątecznie
Dzwoni uczuć prąd wiosenny,
Cóż mi z słońca wśród obłoku —
Moje słońce... w lubej oku!

Nelin.

Nad Bajkałem.

Nowela.

Ponad Bajkałem mgła się podnosi. Góry w około szczytami toną w błękitach nieba, cudna zieloność kryje ich stoki, lecz na wierzchołkach wieczne bieleją śniegi.

Nad brzegiem jeziora biedny rybak pochylony czatuje na zdobycz; cała nadzieja jego spoczywa w sieci, drżącą trzymanej dłonią.

O ileż to myśli i marzeń nie przeszło przez jego biedną i strudzoną głowę — on w myślach cały utonął. To marzy o państwie, o szczęściu i bogactwach, sam się do siebie uśmiecha, jakby mu lubo wtedy było na świecie, jakby we wszystko opływał, jakby każdemu z pomocą śpieszył i dłoń upadłym podawał. Budowałby sobie pałace, złoto sypałby garściami i jużby złej doli na świecie nie było, ani dla niego ani dla drugich.

Przecudnie roił! Lecz sieć zadrgała, wędka dłoń mu szarpnęła i cudne marzenia uleciały, zostawując tylko nagą rzeczywistość!

Biedny, marzył o szczęściu, o jasnej doli... a tam pod górą w rybackiej chacie, całe szczęście jego, skarb największy, jedyne dziecię umiera... z głodu!...

Biedny wygnaniec! Łza mu po ostygłych spłynęła licach, lecz był ktoś, co tę łzę widział i na ostatnim sądzie łza ta zaciąży głazem na piersi tyrana!

Ostrożnie ściągnął rybak wędkę ku sobie i na jej końcu rybka złocistą łuską w słońcu zamigotała. Szczęście opromieniło lica biedaka, wszakże dwa dni przesiedział już na tym brzegu czekając zdobyczy.

Jak małe dziecię przytulił rybkę do ust, lecz tejże chwili ona silniej się rzuciła i znów bujała wolna po modrej fali....

I biedak załamał z bolu dłonie, łzy gorżkie strumieniem spłynęły mu po licach, cała nadzieja jego spełzła na niczem — został tylko straszny obraz nędzy i głodu!

— Ona może tam umrze, a ja niemam i kąska strawy dla niej.....

Pochylił głowę i krokiem leniwym podążył do domu. Wnętrze tegoż przedstawiało obraz największej nędzy i niedostatku. Ściany odarte, na kominie wpół zawalonym, wygasłe tlało ognisko, na ścianach kilka podartych łachmanów wisiało, pod ławą dzbanek nie cały, na stole kawał spleśniałego chleba.

W kącie w półcieniu stoi łoże, a na niem w ciemnem ujęciu starej pościeli spoczywa cudna główka dziewczęcia. Lica jej wybladłe i bolem napiętnowane, ale szlachetne i wyraziste. Przymknięta powieka długą rzęsą ocieniona, a nad nią czarna brew okrąg zatacza. Główka okolona czarnym warkoczem, co w bujnych splotach rozsypał się w około nadając tem większej wyrazistości cudnemu owalowi lic białych. Usta tylko wpół rozchylone, wąziuchnym się paskiem czerwienią.

Spała biedaczka snem gorączkowym, bieluchne rączki do łona tuląc. Biedny kwiatek! szesnaście mu ledwie przyświecało wiosen, a już tak był uciśniony, tak nieszczęśliwy! Car silny dłonią a słowem groźny tu ich przerzucił i żyć kazał w niedoli i ucisku za miłość ku Ojczyznie. O carze, carze! ciężko ty za to kiedyś przed sądem Boga odpowiesz!

Zadrgnęła szata co kryła piersi dziewicze, zadrgnęła główka i wpół się strudzona wzniosła powieka, a pod nią blaskiem ciemne się oko zaszkliło.

— Ojcze! daj wody! —

Ojciec stał w progu ze schyloną głową, w niemej rozpaczy, bez łzy, bez ruchu. Na szept dziecięcia podniósł przygasłe źrenice, poszedł po dzbanek i kilka kropel napoju wsączył w spalone usta.

— Ojcze! daj chleba! —

Posłuszny poszedł do stoła po kąsek ostatni...

zabrakło mu siły by go wziąć do rąk... złamany rozpaczą i bolem, wycieńczony głodem i cierpieniem, upadł na ziemię. On trzy dni nic nie jadł, ostatni kąsek chowając dla trawionego chorobą dziecięcia.

W chacie nastała cisza grobowa... Na dworze coś zatętniło, dzwonki się ozwały — ktoś przyjechał. Po chwili głuchem echem zabrzmiało w chatce pukanie do drzwi. Odpowiedzi nie ma...

Drzwi potrącone rozwarły się, a w nich ukazał się mundur ze złotym kołnierzem, złotemi świecący guzikami. To pan sprawnik!

Wysokiej i silnej postaci, szerokiej piersi i dłoni — jakby na urągowisko na rozrosłych ramionach miał osadzony łebek maleńki, czarnym, najeżonym włosem pokryty. Ukośnie osadzone i głęboko w czaszkę wsunięte oczy migotały światłem niepewnem i zdradzały pochodzenie mongolskie. Usta szerokie i grube, a poza niemi rzęd silnych zębów świecił białością kości słoniowej. Wystające policzki pokrywała wybielona i wygładzona skóra. Był to typ brutalnej siły i zwierzęcych chuci.

Przerażony widokiem, który go z progu uderzył, cofnął się od razu — o! bo i pan sprawnik miewał chwile, w których się przerażał. Nieraz po nocach zrywał się w przestrachu, nękany piekielnemi widziadły, niepokojony przez ofiary z jego dłoni poległe; oblany potem, żegnał się i modlił, ale z rannym świtem nowe dla swych ofiar wymyślał męczarnie. Pan sprawnik miał serce... bo lubiał wino i karty, a po winie i kartach lubiał się wesoło zabawić, lubiał by drobne rączki gładziły zmarszczki na jego twarzy, lubiał usypiać kołysany na piersi dziewiczej!...

Pan sprawnik widział córkę wygnańca, widział jej cudne lica, jej piękne kształty i zapragnął ją posiadać, tak jak się posiada charta lub konia. Ale pan sprawnik był sprawiedliwy, nie chciał jej darmo — obiecał ojcu że go w swym domu umieści, że mu da wina ile zażąda, a ojciec za wspaniałomyślność pana sprawnika odpłacił policzkiem, co dziwnie zabrzmiał pośród ścian gołych ubogiej chatki. Pan sprawnik ojcu poprzysiągł zemstę, a sobie, że córka wygnańca, córka dumnego Lacha musi być jego! Wściekły opu-

ścił progi ubogiej chatki, a na dzień drugi dzikie żołdactwo wpadło i zrabowało szczupłe resztki mienia biednego wygnańca. On głodem i nędzą myślał starca zwyciężyć. Dlaczego nie postąpił inaczej — ja nie wiem — może duma i spokój na obliczu dziewicy broniło ją od gwałtu i przemocy.

Z rabunku nieszczęśliwy starzec ledwie sztylet jeden i wędkę ukryć zdołał — wędka ta żywiła ich długi tydzień. Ale biednemu nigdy się nie wiedzie! Dwa ostatnie dni przesiedziane nad wód głębiną zostawiły tylko gorżki zawód w sercu wygnańca. Córka wycieńczona niedolą i głodem, zaległa łoże boleści, a gorączka paliła jej czoło. Ojcu serce pękało, krwią by ją własną napoił, by tylko przedłużyć jej życie... Ona w oczach mu nikła. Pan sprawnik tymczasem oczekiwał chwili, kiedy ostatnia nędza osłabionego starca przyciśnie, bo myślał że wtedy już dopnie swych celów... Zawiódł się jednak bardzo w swych oczekiwaniach.

Na skrzyp drzwi podniósł wygnaniec zbolałą głowę i zadrżał na widok szatana, co przyszedł patrzeć na jego niedolę. Sił mu przybyło, porwał się z ziemi i stanął, zagradzając drogę do łoża córki...

Szatan szyderstwem starca powitał — myślał że złamał upor wygnańca, że wysilony nędzarz opierać mu się nie będzie, że swoich sprośnych celów on dopnie; odtrącił starca i poszedł śmiało ku łożu, nad którem już anioł śmierci białe swe rozpostarł skrzydła...

Błysnęło żelazo w powietrzu i spoczęło na piersi sprawnika grzęznąc w niej głęboko; lecz drżąca ręka źle cios mierzyła. Pan sprawnik choć ciężko ranny, ale żył jeszcze i sił miał dosyć, by przywołać katów stojących przed domem i wydać wyrok śmierci na ojca i córkę.

Pięć kul gwizdnęło — i wszystkie utonęły w piersi męczennika, co nie miał skargi ni jęku na ustach. Dzicz rozbestwiona przypadła do łoża dziewicy... lecz ta nie żyła już!...

Na widok śmierci, co się rozległa na cudnem obliczu, zadrżeli kaci i trwogą przejęci umknęli wszyscy. Pan sprawnik ranny sam się został między dwoma

ciałami umarłych! Strachem przejęty chciał on się przeżegnać, ale strętwiała ręka odmówiła posługi: chciał wołać o pomoc — ochrypłe gardło jęk tylko głuchy wydało.

Mróz przeszedł go od stóp do głowy — on sam, sam jeden został jakby w grobowcu pośród nieżywych. Zebrał wszystkie siły, by wołać o pomoc, ale ze ściśnionego gardła tylko straszne wyleciało przekleństwo i z tem przekleństwem na ustach skonał pan sprawnik.

Na drugi dzień z sąsiedniej wioski przyszło kilku również wygnańców i w nieświęconej ziemi, w jednym grobowcu złożyli ciała ojca i córki... Ksiądz pacierz zmówił i krzyż zatknięto w kupie kamieni, co pozostała jedynym śladem bytu wygnańców tu na tej ziemi!...

Jarosław, 16. Czerwca 1883.

Bolesław Andruszewicz.

DO FALI.

Szum mi ciemna falo, szum:
Twoje dumy sercu gwarz,
Twoje dumy sercu jęcz,
Lecz mej duszy żale maż
I nad sobą wieniec z tęcz
Rozwiń w górze — a pieśń szum!
Niech w twych tęczach widzę świt:
Przyszłych moich życia chwil,
Przyszłych moich życia dni —
Ty więc falo przyszłość kwil,
Los mój przyszły powiedz mi
I choć w dali — pokaż świt!

O płyń falo, szparko płyń:
Jak dnie płyną moich lat,
Jak dnie płyną moich snów,
W których czasem świeci kwiat,
Czasem cień się ściele znów —
Ty płyń falo, w przyszłość płyń.
    Lubię patrzyć w wody toń,
    Gonić okiem pląsy fal:
    Wir ich także rwie się, wrze
    I chce pędzić kędyś w dal —
    Z lubym brzegiem żegna się,
    Lubą, swojską rzuca błoń.
I przedemną droga w świat!
A czy równa? któż to wie —
Kto wie, jaki ciężki bój,
Jaki trud przemoże mię,
Czoło schyli ciężki znój:
O bo znojem darzy świat!
    Szum mi ciemna falo, szum —
    I do duszy mojej gwarz,
    I do duszy mojej mów,
    I do czynów zapał zarz,
    Ale nie ćmij złotych snów,
    Lecz nadzieją falo szum!

Lwów, 10. Marca 1885.

Bolesław Andruszewicz.

Hejże pod niebiosy!

Z ust miljonów, z tyleż łon
  Jednakowe głosy;
Głos rozbrzmiewa gdyby dzwon:
„Hejże pod niebiosy!“

Na nas od niebieskich bram
Spływa zdrój natchnienia;
Co dolega w sercu nam,
Wszystko się przemienia.
Smutek, co się perlił wprzód
Kropelkami rosy,
Serca tęskność, myśli chłód:
Hejże pod niebiosy!
Z wszystkich stron ogarnia nas
Wątpliwości mara,
Jadowitych myśli kwas
Mieści życia czara,
Uginamy się co krok
Jak dojrzałe kłosy,
A w ciemnościach błąka wzrok.
Hejże pod niebiosy!
Z niebios siła, z niebios blask
Na nas zdrojem spływa,
Po nad nami jutrzni brzask,
W nas nadzieja żywa;
Chociaż wiatr po drodze dmie,
Burza targa włosy,
Kroczym dalej gdyby w śnie:
Hejże pod niebiosy!
Chociaż wśród wzburzonych wód,
Choć po morskiej fali
Krok się ślizgnie, przełam trud,
Dalej stąp, a dalej.
Kiedyś przecież staniesz ty
Tam, gdzie z nieba głosy
Życia ci upiększą sny.
Hejże pod niebiosy!
Wy szydzicie: „Cnoty siew
I mądrości słowa,
Męczenników myśli krew
I dziejów osnowa —
Wszystko tylko lekki dym,
Wszystko złudna mara.“
Lecz bluźniercom wara, złym
Wara im, o wara!
Czyn zbrodniczy, srogi gwałt
Dziejów nie przemieni

I wszechrzeczy ziemskich kształt
Wzrośnie powyż cieni;
Bo co wieczne, musi żyć,
Przetrwać ludzkie losy,
A co ziemskie, musi gnić.
Hejże pod niebiosy!

Sambor, 23. Marca 1887.

G. Kohn.

BIBLIOGRAFIA.

I w obecnym roku zarówno z ubiegłemi kończymy literacki dział naszego wydawnictwa „bibliografią.“ Że bibliografia ta więcej zjednała nam nieprzyjaciół w własnym nawet obozie, niźli zwolenników, to nie odstrasza nas wcale. Sumienne oceny, poważne rozbiory dzieł nie kreśli się, aby się temu lub owemu przypodobać, ale kreśli się takowe, aby zadość uczynić własnemu przekonaniu i sumieniu literackiemu. Jeśli więc ktoś z wychłostanych słusznie, — uczynił wzmiankę o tem, „że najfatalniej wypadła bibliografia,“ to żałujemy mocno, „że najfatalniej wypadła i wypaść musiała“ dla tych, których nie mamy powodu chwalić, — ale nie zmienimy przeto kierunku naszych poglądów, i będziemy i nadal chwalić to, co uważamy za pożyteczne dla społeczeństwa a ganić, co mu ujmę czyni bez względu na to, czy naganą taką zgorszymy tego lub owego, albo niemile dotkniemy nawet przyjaciela, bo „magnus amicus Plato, sed magis amica veritas.“ Tak samo widzimy się zmuszeni odeprzeć zarzut, jakoby tytuł niniejszej rubryki: „Bibliografia“ był niewłaściwym, albowiem nie obejmuje wszystkich

najnowszych dzieł w chwili wyjścia tychże. Pytamy się jednak, czy konsorcjum składające się chociażby z kilkunastu lub kilkudziesięciu nawet najwybitniejszych literatów, o złączonych siłach byłoby w stanie, opracować a następnie wydać tak wyczerpujące dzieło, a znajdziemy na to gotową odpowiedź: „Nie!“ Nie żądajcie przeto panowie krytycy, od jednego człowieka, który także ma ułomności swoje i wady, tego, coby siły wielu doskonalszych robotników na polu literackiem przechodziło. Sądzę, że wyraz „bibliografia“ najstosowniej przezemnie został obrany: jest to bowiem obcy, z greckiego wzięty wyraz, który ma równobrzmiące znaczenie z opisem, czyli rozbiorem dzieł, analogicznie z wyrazami geografia, historjografia i t. d. To zaś, co w naszych pismach a nawet przewodnikach literackich szumnie tytułują „bibliografią,“ a co po największej części niczem innem nie jest, tylko gołosłownem przytoczeniem czyli spisem tytułów, autorów i cen bez podania treści, — tego za „bibliografię“ nigdy nie uważaliśmy i uważać nie będziemy: czy zaś bibliografia opisuje setki i tysiące dzieł, czy też zadowalnia się małą stosunkowo liczbą kilku lub kilkunastu, czy ocenę głosi bezpośrednio po wyjściu dzieła, czy też po miesiącach i latach nawet, — nie przestaje być bibliografią.

(Redakcja „Roczników Samborskich.“)

a) Gazety i czasopisma.

[Gazeta Polska, pismo polityczne, wychodzące w Czerniowcach co poniedziałek i czwartek pod redakcją Klemensa Kołakowskiego. V. Rocznik. Numera 1—20. 1887.]

Równocześnie z „Rocznikami Samborskiemi“ i „Gazeta Polska“ obchodzi rocznicę swoją, samborskie wydawnictwo dziesiątą, a czerniowieckie piątą. Kto obznajomiony ze stosunkami naszej prasy, kto wie, z jakiemi trudnościami wszelkie wydawnictwa walczyć muszą u nas na prowincji, — dla tego cyfry te będą wymowne.

I rzeczywiście, zadanie wydawcy nie jest obecnie już takie łatwe, jakiem było anno domini za czasów naszych pradziadów; nie wystarcza już obecnie, parę kartek zapełnić kroniką skandaliczną, ploteczkami brukowemi, lub wiadomościami teatralnemi, przeplatanemi beztreściowym wierszykiem lub pieprznym jakimś romansem, napisanym według wymagań demimondu, dziś, gdy życie wre w całej pełni i ogarnia wszystkie warstwy społeczeństwa, dziś, gdy literat nie może i nie powinien się zasklepiać w samym sobie, ale musi czuć nawspół z narodem, którego jest cząstką żywą, dziś, gdy kamienie mówią, a nawet życie zaumarłe przeszłości przemawia jeszcze do żywych.

Szczytne zaiste i niebezpieczne jest zadanie literata, który pisze dla ludu, który go oświeca i wykształca sercem swojem i rozumem; szczytne i niebezpieczne w dwójnasób jest zadanie publicysty, który ten lud nietylko oświeca, ale poucza także o niezachwianych niczem prawach swoich. Wydawca „Gazety Polskiej“ łączy w swojej osobie przedmioty tak literata jak i publicysty. Literata poznajemy z samej treści pisma, odpowiadającej całkowicie wszelkim wymaganiom literackim, publicystę poznajemy z treści politycznej, związanej ściśle z życiem polskiem tak w kraju, jak i poza granicami tegoż.

Gdyby „Gazeta Polska“ wytknęła sobie jako jedyne zadanie krzewienie języka ojczystego i podawanie w nim zdrowej strawy umysłowej współziomkom na Bukowinie zamieszkałym, już nie małą byłaby jej zasługa; w dwójnasób większą jednak okazuje się ona przez to, że „Gazeta Polska“ od samego początku istnienia swego budzi życie społeczne i uczucie obywatelskie w sercu współziomków swoich Za najwyższy tryumf zaś niech redaktor „Gazety Polskiej“ uważa ubolewanie pewnego pisma antipolskiego, wyrażone z powodu wystawy czerniowieckiej, że odkąd „Gazeta Polska“ istnieje w Czerniowcach, żywioł polski, pozostały dotąd w mniejszości, wzmaga się i wzrasta w siły, że się łączy w towarzystwo wielkie i potężne, niby w jedną ogromną familję Słowian, że buduje swój dom własny, swoje przytulisko narodowe, że

ruguje zwycięzko nieprzychylne mu a do niedawna wszechpotężne żywioły i że żywioły te w walce narodowej muszą się przyznać do porażki.

Toż nie dziwota, że nieprzychylne te żywioły starały się byt „Gazety Polskiej“ podkopać przez wypowiedzenie kaucji. Była to kryzis dla wydawnictwa bardzo niebezpieczna; wydawnictwo przebyło ją zwycięzko i stoi znowu o własnych siłach, a spodziewamy się, że stać będzie długo. To też zwracamy uwagę naszych czytelników na „Gazetę Polską“ tak bardzo zasłużoną krajowi, a poruszającą najżywotniejsze kwestje, jakoto w artykułach: „Polacy na obczyznie,“ w których omawia życie intelektualne, społeczne i narodowe naszych ziomków na emigracji, w artykułach wstępnych, w których występuje jako obrońca narodowości polskiej i ruskiej przeciwko zamachom „inaczej myślących,“ w artykułach politycznych, w których nam podaje zdrowe zasady polityki narodowej i państwowej, nawet w fejletonie, którego łamy nie wypełnia śmieciem byle jakiem, ale umieszcza w nim prace, posiadające rzeczywistą wartość literacką.

Ciężko bardzo dzisiaj być autorowi niezawisłym, i uznanie należy się każdemu, kto ma odwagę bronić swoich zasad w obec przeciwników; tem większe zaś uznanie należy się publicyście, który broni wolności swoich zasad, a tem samem bardziej narażony jest na pociski swoich nieprzyjaciół niżli literat, który nie jest równocześnie publicystą; dowody zaś odwagi cywilnej składał redaktor „Gazety Polskiej“ już nieraz, jak np. przy okazji znanego procesu z Sygurdem Wiśniowskim, przy okazji wykrycia niewłaściwego postępowania prezesa czytelni w Rumunii, Dra. Łukaszewicza, przy okazji sprawy z „Apologetami“ i t. d.

Temi słowami zamykając ocenę „Gazety Polskiej,“ której najnowsza powieść „Krzyżowcy“ nas wtajemnicza w życie naszych przodków za czasów Jana Sobieskiego, odźwierciedlając nam historyczne postacie Kochowskiego i Paska — życzy wydawca „Roczników Samborskich“ wydawcy „Gazety Polskiej“ obok powodzenia, także hartu potrzebnego każdemu wydawcy nie tylko w Galicji, ale i na Bukowinie.

[Gazeta Naddniestrzańska, dwutygodnik polityczno-ekonomiczno-społeczny i organ demokratyczny, wychodzący w Drohobyczu pod kierunkiem Edmunda Leona Soleckiego, Rocznik IV. Nr. 1—7 1887.]

Mówił Sallet w swojej „Fizjognomice stylu złego“:

„Kto kłamstwu wciąż poświęca
Najżywotniejsze prawdy;
Kto się jak złodziej wkręca,
Manowcem krocząc zawdy;
Kto nigdy nie odpowie:
„Tak jest i tak być musi,“
Lecz kto odpowiedź w głowie
Rozważa aż go krztusi;
Kto lubi ogólniki,
Zagmatwujące sprawę,
Miast, by nam dać pewniki
Dobitne i jaskrawe;
Kto słowem szumnie - wzniosłem
Omawia rzeczy proste,
Ten łotrem jest lub osłem,
I temu dajcie chłostę.“

Jeśli podobną do wyżprzytoczonego wzoru jest fizjognomika stylu złego i jeśli rzeczywiście pewne zawisłe od stronnictwa reakcji organa tak sobie postępują, aby sobie zaskarbić względy i łaskę jaśniewielmożnych i wielmożnych protektorów, to nie powiemy tego samego z pewnością o „Gazecie Naddniestrzańskiej.“ Żywot jej twardy i żmudny, jest ciągłą walką z przeciwnościami, toż i styl jej twardy i chropawy zahartował się nie na woskowanych posadzkach naszych magnatów, ale w szkole doświadczeń. Zresztą w świecie nic się nie marnuje, a każda siła jest potrzebną. Chętnie podajemy rękę paniczowi w rękawiczkach wyglansowanych, aby nie uchodzić za ludzi bez wychowania, ale chętniej jeszcze ściskamy dłoń spracowaną i spoconą robotnika, — nic nie mamy przeciwko ścierce, która zmiata prochy w pokoju, ale bardziej jeszcze uważamy za pożyteczną i potrzebną miotłę, która wymiata śmiecia publiczne.

Aby zadość uczynić prawdzie zaznaczamy na tem miejscu, że „Gazeta Naddniestrzańska“ rolę tej

miotły przyjęła bezinteresownie i dla idei; bo kto chciałby się dzisiaj narażać na nieprzyjaźń i prześladowania możnych za pieniądze?! Zysk nawet największy nie zrównoważyłby straty. A zaznaczamy także na tem miejscu, że „Gazeta Naddniestrzańska“ tytułowi swemu „organu demokratycznego“ rzeczywiście czyni zadość, ponieważ w każdym numerze podnosi sprawy żywotne, lud obchodzące, jak n. p. sprawę szkolnictwa, sprawę zamęczania powolnego dziatwy szkolnej nauką greki i łaciny i t. p. Co do tej ostatniej kwestji, nie stoi nawet redaktor „Gazety Naddniestrzańskiej“ odosobniony ze swojem zdaniem: niedawno bowiem pewien znany niemiecki pedagog w dziele poważnem podniósł kwestję, ażali nauka greki i łaciny bardzo się przyczynia do rozwijania umysłu, jeśli na sto lekarzy ledwie pięciu znajdziesz, którzyby mogli łacińskie dzieło w oryginale przeczytać i zrozumieć, a na tysiąc znajdziesz zaledwie jednego, któryby się uporał z grecką książką. Sam zaś znałem grubo - uczonych ludzi, którzyby się nie powstydzili wiadomości swoich ani w greckim ani w łacińskim języku, a w życiu publicznem byli to niedołęgi, którzy nie rozumieli ducha czasu, a choć żyli w społeczeństwie, nie żyli z społeczeństwem i nie pojmowali najgłówniejszych potrzeb jego.

„Gazeta Naddniestrzańska“ obrała sobie niewdzięczny temat, wytykać z żelazną konsekwencją wady społeczeństwa, karcić nadużycia i oddziaływać w kierunku reformy społecznej, ale działa bez należytego umiarkowania, bez cedzenia słów, bez glansowanych rękawiczek stylistycznych. Czy się jej uda zwycięztwo wśród masy biernej pieczeniarzy i frazesowiczów? czy się jej zwłaszcza uda zwycięztwo nad czarną gwardją reakcjonistów i ćmicieli ducha?

[Ognisko Domowe, pismo literackie wychodzące we Lwowie 3 razy na miesiąc pod kierunkiem Bronisława Zamorskiego. IV. Rocznik. Numera 97—105. 1887.]

Przypominam sobie dobrze, że przeszłego roku w jakiemś tam piśmie galicyjskiem zrobiono mi wyrzuty za zdania głoszone przy sposobności ocenienia

„Ogniska Domowego.“ Tym, którzy tak łatwo szafują słowami nie zastanawiając się poprzednio nad ich treścią, — oświadczam niniejszem, że ich zarzuty uważam co najmniej za niewłaściwe, a jeszcze bardziej za niewłaściwą — chęć cechującą wszystkie małe duchy wymuszenia u mnie odwołania za pomocą pogróżek i presji moralnej czy raczej niemoralnej, a polegającej na dowolnem przekręcaniu moich słów i podsuwaniu im tendencji zgubnej. Bywa patrjotyzm rozmaitego rodzaju; ale chociaż się urodziłem na niemieckiej ziemi i pochodzę z niemieckich rodziców, to nie sądzę przecież, że ubliżyłem polskiemu patrjotyzmowi, jeśli wskazałem na upadek polskiego piśmiennictwa w kraju i na potrzebę naglącą a nawet obowiązek wspierania go i wskrzeszenia z letargu, co wszakże tylko wtedy uskutecznić możemy, jeśli przestaniemy uważać Galicję za kopciuszka pomiędzy producentami literackimi a galicyjską literaturę polską, negując i ignorując takową — za obcą. „Bliższa koszula ciału, aniżeli surdut!“ Jeśli — czego przypuścić nie chcę żadną miarą, — jeśli nie mamy w Galicji jako w polskim kraju, polskiej literatury niezależnej od obcych wpływów, to wstydźmy się i twórzmy ją złączonemi siłami; jeśli zaś polska literatura istnieje w tym kraju, który mi mimo obcego pochodzenia mego, jest drogim jak rodna ziemia, a literatura ta bywa poniewieraną i lekceważoną i nie doznaje wsparcia, które jej się prawnie należy, — to wstydźmy się w dwójnasób i nie pozwólmy jej usychać i wegetować jak niewolnicy jakiejś! Mniejsza o to, że mnie ten lub ów posądzi o zaściankowość, ja nie przemawiam pro domo sua, ale pro domo nostra, bo te pieniądze, które rokrocznie na książki idą do Lipska, do Wiednia, do Warszawy i do Paryża, stworzyłyby nam w Galicji literaturę kwitnącą i potężną, a razem z literaturą podniosłyby przemysł, industrję i sztuki piękne, postawiłyby malarstwo i fotografię na szczycie, wydoskonaliłyby druk i wszystkie pokrewne mu lub połączone z nim gałęzie wiedzy i pracy ludzkiej i dałyby zatrudnienie i utrzymanie niejednemu robo-

tnikowi, który wygląda śmierci jako zbawienia jedynego.

Nie dziwimy się, że wśród takich stosunków i skutkiem takich stosunków właśnie, każdy autor i wydawca w Galicji (z wyjątkiem chyba kilku zamożniejszych księgarzy - wydawców) zamiast zarobić na swojej pracy, jeszcze dokłada do niej. Nie dziwimy się, że podczas gdy w Niemczech prawie każdy autor w osobie jakiegoś księgarza ma swego nakładcę, a autor zmuszony własnym nakładem wydawać swoje prace, całkiem słusznie uważany bywa za ostatniego partacza i niedołęgę, — tu u nas dzieje się przeciwnie, a ludzie o genjalnych pomysłach, których zdolności nietylko Galicja uznała, ale którzy jako świeczniki stoją u szczytu życia narodowego, ludzie którzy wsławili swój naród, którzy ojczystą sztukę jako ewanielję świętą życia narodowego głosili natchnionemi usty urbi et orbi, tacy ludzie, tacy apostołowie sztuki, tacy wybrańcy boscy, — marnują się i gniją, a często i giną w nędzy! Nie dziwimy się, że mężowie jak Mikołaj Bołoz Antoniewicz, Jan Lam, Juliusz Turczyński i inni — dla tego chyba, że byli tak nieszczęśliwymi, nazwać się mieszkańcami Galicji — własnym nakładem wydawać musieli najcenniejsze swoje prace. Oni perły ducha swego hojną ręką sypali przed narodem, oni siali dokoła słowo boże, oni pełnili misję apostolską, a ziomkowie galicyjscy jakże im się odwdzięczyli za tyle trudów i poświęceń? Ot wstydźmy się lepiej! Dziś, gdy arcydzieła Antoniewicza zalegają pułki księgarskie a nawet przeznaczone na cele narodowe, na wsparcie weteranów powstania listopadowego nie mogą znaleźć odpowiedniej liczby odbiorców, dziś, gdy dzieła Jana Lama może i w połowie nie wróciły kosztów druku, — pytajmy się, jakiem świetnem powodzeniem u nas w Galicji wszystko się cieszy, co nie wychodzi w Galicji!

Ale powie ten lub ów: polski księgarz, w Galicji zamieszkały, jest także obywatelem kraju, płaci podatki, ponosi koszta wielkie. Na dziełach i pismach, sprowadzonych z obcych krajów, albo z poza kordonu zarabia on 40 a często i 50%, na pismach i dziełach wy-

chodzących i kolportowanych w obrębie Galicji zarobić może tylko 25. Przez zmniejszenie obstalunków zagranicznych uczynimy mu krzywdę dotkliwą. Nie, moi panowie! to się wam tylko tak na pozór wydaje! Zmniejszając wasze obstalunki zagraniczne, rozszerzajcie równocześnie obstalunki w obrębie Galicji na galicyjskie dzieła uczynione do możliwie największych rozmiarów, a powetujecie księgarzowi mniemaną stratę sowicie, umożliwiając mu nietylko przedruki stare, ale nakłady nowe prac żyjących wśród nas autorów, którzy się słusznie o to domagają, aby ich prawa autorskie uwzględniono, i aby umarli nie krzywdzili żywych! Znam ja cokolwiek ruch literacki w kraju a znam także księgarzy. Być może, że ten lub ów krzywić się będzie na moje wnioski, nie zgadzające się z własnemi jego zapatrywaniami; ale znajdzie się także niejeden, który mnie pochwali, bo polscy księgarze w Galicji są lub powinni być kupcami o tyle, o ile ich interes tego ściśle wymaga, ale poza obrębem tego interesu powinni być dobrymi patrjotami i wiernymi synami tej ziemi, która ich urodziła, a nie wątpię też o tem, że są nimi rzeczywiście!

Po śmierci Juliusza Schindlera, znanego powieściopisarza i poety, poruszył przyjaciel jego Karol Thaler kwestję, czemu rodzina nie wydaje pośmiertnych prac zmarłego, twierdząc równocześnie, że podobnem postępowaniem czyni się ujmę pamięci poety i krzywdzi się dotkliwie naród niemiecki, i że rodzina nie powinna się wahać przed wydatkiem przekraczającym chociażby tysiąc złotych reńskich w razie, jeśli między księgarzami wiedeńskimi nie znajdzie się żaden, coby własnym nakładem wydał ostatnią niedokończoną powieść Schindlera. Skutkiem gorącej tej interpelacji syn nieboszczyka, Aleksander Schindler udzielił natychmiastową odpowiedź, żeby go nie krzywdzono podobnemi wyrzutami i nie posądzano o brak czci dla pamięci ojca najdroższego, ponieważ wydawnictwo rzeczone niebawem ogłosi, a równocześnie jeden z księgarzy wiedeńskich rodzinie poety uczynił propozycję, że chętnie weźmie w swój

nakład to, co jego koledzy ignorowali, nie wiedząc może o tem.

O! kołatajmy również do sumienia publicznego! o! przemawiajmy głosem gromu i językiem z płomieni do obojętnych, a cud stanie się wielki, że ze zmarłych wskrzesimy tego niegdyś Króla-ducha w koronie i purpurze, a teraz Łazarza nędznego, spoczywającego pod grobową deską zapomnienia, że wskrzesimy wspólnemi siłami życie narodowe w narodzie, że stworzymy sercem i duchem i słowem naszem literaturę polską w kraju, przez nas zamieszkałym, a jej złoty wiek odżyje dla nas na nowo!

Czytelnik wybaczy mi, że miast ocenić to, co ocenić miałem, zboczyłem cokolwiek od przedmiotu. Mamy przed sobą znowu 9 najnowszych zeszytów publikacji „Ogniska Domowego", ocenimy więc takowe wedle możebności.

Szkic literacki „Jan Czeczot i jego nieznane poezje" przez J. H. Rychtera, o tyle jest ciekawy dla każdego Polaka, że nas wprowadza w początki epoki Mickiewiczowskiej; o Czeczocie samym mało, zbyt mało może powiedziano w tem studjum literackiem, natomiast nierównie więcej o jego wierszach, alias rymach, nad czem mocno ubolewamy, gdyż są to niezmiernie słabe rymy. Autor artykułu, p. J. H. Rychter widocznie nie poinformował się nawet o tem, że mniemany wiersz oryginalny Czeczota:

„Miejsca dość chateczka daje
Tym, co się kochają szczerze" —

niczem innem nie jest, tylko parafrazą Szylerowskiego:

„Raum ist in der kleinsten Hütte
Für ein glücklich liebend Paar!" —

Jeśli zaś u zwyczajnego śmiertelnika taka nieświadomość rzeczy już niepospolicie razić musi, to cóż dopiero u p. Rychtera, który się szczyci współpracownictwem u kilkunastu, czy kilkudziesięciu nawet najgłośniejszych pism literackich.

O wiele więcej wartości i literackiej i stylistycznej ma znakomite studjum Dra Zippera: „O mło-

dości Göthego.“ Każdy szczegół wdzięcznie ugrupowany, i słówko nie zmarnowane daremnie, a całość robi bardzo miłe wrażenie. Prawda i sam przedmiot daleko więcej nadaje się do studjum literackiego, niźli rozprawa o Czeczocie, ale kto jest prawdziwym mistrzem słowa, ten i najpodrzędniejsze przedmioty ożywi duchem swoim, pan Rychter jednak nigdy nie był i nie będzie tym mistrzem.

W tłumaczonej z czeskiego powiastce fantastycznej: „Pan Adolf“, kreśli autor wpół na serjo, wpół na sposób satyryczny dzieje karjerowiczów, którzy za mamonę sprzedali poczucie honoru, charakter i cnotę, a których w tłumie śmiertelnych trudniej odnaleźć niż biedaka, bo „łatwo odnaleźć izbę nędzarza, chociaż posiada skarby charakteru, ale do mieszkań panków bez charakteru, wiodą kręte drogi i dostęp nie tak łatwy.“

Z powieści zawartych w „Ognisku Domowem“ wymieniamy jeszcze niedokończone dwie powieści dłuższe a mianowicie: „Cyprjana Fortunowskiego“ hrabiny Olgi Komorowskiej i: „W ciemnościach,“ powieść z czasów ostatniego powstania na Rusi, napisaną przez nieznanego autora. Z wierszów, umieszczonych w „Ognisku Domowem“ zasługują na szczególne uznanie Stefana Buszczyńskiego prześliczny wiersz: „Rozkosze życia,“ pełen głębokich myśli i idei filozoficznych, Marji Bartusównej: „W imię Boże“ i Karola Brzozowskiego: „Ad me venite“, oraz tego samego autora: „Harun Raszyd,“ poemat pełen gorżkich alluzyj i obwleczonych w szatę satyry politycznej poglądów na obecne stosunki społeczeństwa polskiego. Wiersze podobnego rodzaju mają więcej niż przemijającą tylko wartość, nie bywają czytane lub powtarzane jedynie dla pięknego dźwięku lub dla głośnego imienia autorów; ale wbijają się niejako w pamięć i utrwalają się w niej na zawsze całym polotem ducha, całą treścią i tendencją swoją. To też nie możemy się dosyć nadziwić redakcji pisma, że mając podobnych współpracowników poetycznych, mogła jeszcze reflektować na lichoty tego rodzaju, jak wiersze umieszczone na stronicach 56-tej i 85-tej, oraz na kulejący rym pod tytułem: „Duma

kozacka“, umieszczony na stronicy 119-tej, a z którego trzecia zwrotka:

„Lecz mnie urok się nie imał
Ani oczu ciemnych, ani
Tych co niebem niby patrzą
Żadnej Kasi — żadnej Hani“ —

częstochowskim swoim dźwiękiem żywcem nam przypomina analogiczny rym z sławnej niegdyś „Jobsiady“:

„On się gniewał za to, jako rzadko było,
I mówił do swego syna: „Ty łotrze!“

Jeśli wybór wierszów, przez redakcję dokonany nie zawsze i nie ze wszystkiem nas zadowolił, to tem bardziej jesteśmy jej obowiązani za wybór artykułów prozą. Rzeczy jak „Wspomnienia ze Syberji“ Ludwika Zielonki, jak „Wrażenia z podróży po Skandynawji“ Macieja Wszelaczyńskiego, a szczególnie tegoż ostatniego szkic historyczny pod tytułem: „Rozwój władztwa angielskiego w Azji“ są to prace, które nigdy i pod żadnym warunkiem nie tracą na wartości. Za dobry uważamy też pomysł umieszczania w każdym zeszycie rozmaitych illustrowanych anegdotek, który to zwyczaj od dawien dawna z powodzeniem w niemieckich pismach illustrowanych się praktykuje. Wielce niefortunnym i szkodliwym natomiast jest według naszego zdania pomysł zachęcania publiczności do prenumeraty za pomocą ofiarowania abonentom losów. Słusznie wytknęło już jedno z pism lwowskich to postępowanie jako niezgadzające się ze stanowiskiem literackiem. To w Ameryce chyba uchodzić powinno, ale nie u nas, losy niech się wylosowuje na giełdzie, ale nie w biurach redakcyjnych pism naukowych, mających tendencję poważną i zdrową; pomysłowi niemieccy wydawcy nawet, mieszkając w kraju, w którym ilość pism belletrystycznych i konkurencja gazet literackich jest niesłychaną, nie robią czytelnikom swoim takiego ustępstwa na korzyść chciwości pojedyńczych osób a na niekorzyść dobrego smaku i poczucia estetycznego ogółu czytelników.

Skreśliłem obraz obecnego stanu intellektualnego wydawnictwa, obok światła nie szczędząc cieni, a

uczyniłem to, ponieważ sprzyjam „Ognisku Domowemu,“ a chciałbym, aby stanowczo to zarzuciło, co według mego zdania ujmę mu czyni a natomiast starało się o większy wybór tego, co może być rzeczywistą ozdobą nietylko „Ogniska Domowego,“ ale każdego porządnego pisma literackiego w ogóle, a więc o dobre prace tak prozą, jak i wierszem, o artykuły społeczne, obejmujące najważniejsze kwestje życia, wreszcie o wzorowe illustracje.

Co do tego ostatniego punktu, to nie można redakcji rzeczywiście nic zarzucić, a obrazy, jak: „Gwiazdka“ (Nr. 97), „Rekruci“ (tamże), „Opowiadanie o duchach (Nr. 98), „Zdobycie proporca“ (Nr. 99), „Pogrom walczących“ (Nr. 101), „Lilla Weneda“ (Nr. 104), „Krajobraz zimowy“ (Nr. 105), i wiele innych znamionują najlepsze w tym względzie chęci, i nie wątpimy też, że „Ognisko Domowe,“ pozbywszy się wszystkich niewłaściwości, które każde młode pismo zwłaszcza w początkach tegoż cechują, niebawem zajmie to stanowisko, które mu się słusznie wśród pism literackich kraju należy.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Sir Mojżesz Montefiore, przez Salamona Spitzera, nauczyciela szkół ludowych w Krakowie. Nakładem autora. Kraków, drukiem Józefa Fischera, 1884. Mała ósemka. Stronic 29.]

Nie nazwalibyśmy książką pamiątkową dziełka, które całą objętością swoją zaledwie że stanowi treść broszurki małej, gdyby nie ten szczegół, że książeczka wyżwymieniona, wydana w stuletnią rocznicę urodzin wielkiego męża poświęconą została jego pamięci, a wiadomo każdemu, że Montefiore nietylko w ojczyznie swojej, ale w całej Europie wykształconej cieszył się sławą największego dobroczyńcy ludzkości. Imiona takie, imiona myślicieli i męczenników idei nie starzeją się i nie powszednieją nigdy mimo napaści puszczyków, mimo rycia podziemnego kretów, ich sława nie ogranicza się na ten ciasny kąt ziemi, który za życia zamieszkali, ale należy do całego

świata, i z tego też powodu pozwoliłem sobie tak tę, jak i następną książeczkę o Mendelssohnie wcielić w poczet książek pamiątkowych. Do ocenienia chociażby tylko pobieżnego — dziełka zachęca wreszcie i ten szczegół, że autor czysty dochód z rozprzedaży jego przeznaczył na nagrobek dla ś. p. artysty Maurycego Gottlieba, zgasłego zbyt wcześnie dla sztuki ojczystej.

Zaznaczamy przedewszystkiem, że książka o Montefiorze napisana stylem popularnym i zrozumiałym dla ogółu, ale nie pozbawiona mimoto pewnego wdzięku a nawet i stylu krasomówczego. Widzimy skreślony wiernie i dokładnie żywot wielkiego męża, który się nie zasklepiał w samym sobie, ani nie ograniczał się na dobrodziejstwa wyświadczone li tylko swoim współwyznawcom, ale był dobrodziejem cierpiącej ludzkości w ogóle, który wymową swoją w Damaszku ratował prześladowanych niesłusznie i obwinionych o morderstwo rytualne izraelitów, który w Syrji występował jako obrońca Maronitów chrześcian syryjskich w obec prześladowań tychże przez władze krajowe muzułmańskie, który fundował bez liku szkoły, zakłady naukowe i bożnice w kraju przezeń zamieszkałym i poza granicami tegoż, a u którego lewa ręka nie wiedziała, co czyni prawa. To też z takim mężem widocznie było błogosławieństwo boże, chroniące go od zamachów jawnych i tajnych nieprzyjaciół, od pocisków nędznych zazdrości, od zabójczej zarazy i choroby. Jubileusz jego był uroczystością wielką nie tylko dla mieszkańców Anglii, ale dla wszystkich ludzi wykształconych, a starzec w poczuciu tego, co zdziałał dotąd i jaką siłą nadprzyrodzoną Bóg ukrzepił i umocnił jego dłonie, — mógł się też zdobyć na odpowiedź jedyną w swoim rodzaju, jaką udzielił deputacji, gratulującej mu z powodu stuletnich jego urodzin: „Moi panowie! ja czuję się młodym, jak gdybym liczył dopiero 70 lat.“ Niedługo jednak przeznaczono było ludzkości radować się tym rzadkim okazem człowieka-filantropa, ponieważ już w rok po jubileuszu jego złożono największego dobroczyńcę ludzkości na marach.

Książkę pana Salamona Spitzera, zawierającą tendencję zdrową, polecamy pamięci myślących czytelników; z drobnych błędów językowych razi zbytnie używanie litery ch zamiast h w słowach jak: hrabia, hrabstwo.

[Mojżesz Mendelssohn, życiorys skreślony przez Salamona Spitzera. Kraków. Nakładem autora. Mała ósemka. Stronic 42. Książka wydana w roku 1886. jako w stuletnią rocznicę śmierci Mendelssohna.] W całkiem odmiennych od angielskiego żyda Mojżesza Montefiore'go warunkach życia wyrósł i wychował się niemiecki żyd i filozof głośny Mojżesz Mendelssohn. Tamtemu szczęście sprzyjało już w kolebce prawie, w młodym wieku już cieszył się względami możnych a jeszcze bardziej w starości, ten krwawo walczyć musiał, aby sobie byt zapewnić i jęczał i uginał się nieraz pod srogiem jarzmem wzgardy, ciężącej jeszcze w owych wiekach zastoju i ciemnoty nawet w ucywilizowanych Niemczech nad żydami; tamten był bogaty, ten biedny; tamten miał ujmującą postawę i wzrost jodły, ten był niski, garbaty, miał szpetny wyraz twarzy, a tylko oko zdradzało wielkiego myśliciela; tamten wyswobodził ciała z pod ucisku doczesnego despotów i stał się jednym z największych dobrodziejów ludzkości, ten wyswobodził duchy z pod jarzma ciemnoty i ucisku średniowiecznego i światłem jasnem filozofji swojej stał się jednym z filarów, jedną z dźwigni życia narodowego w narodzie; tamten umarł otoczony szczęściem i szacunkiem powszechnym, a śmierć jego była snem lekkim starca, ten skonał w bolu i goryczy, bo mu serce wielkie, świat obejmujące wszechmiłością bliźniego pękło z powodu potwarzy miotanych niegodnem piórem zeloty na pamięć najdroższego przyjaciela Lessinga.

Pan Salamon Spitzer opisuje nam żywot wielkiego myśliciela i filozofa Mendelssohna, a czyni to z gruntownością o ile można wyczerpującą. Poznajemy z jego książki późniejszego mistrza pióra od kolebki prawie; poznajemy ducha chciwego nauki i wiedzy, która go już w młodym wieku o chłodzie i głodzie pchnęła w ślady uwielbionego mistrza;

cenimy wielkiego ducha, który się nie zasklepiał w ciasnem kółku idei własnych, ale ucząc innych, uczył się równocześnie mądrości obcej; poważamy genjalnego przyjaciela Lessinga i wolnomyślnego w najwyższym stopniu co do fałszywych formułek religijnych, ale co do jądra wiary żydowskiej prawowiernego żyda; uwielbiamy wreszcie wielką przytomność ducha, mądrość i dowcip naturalny, łączące się w autorze „Phädona“ harmonijnie z prawdziwie gołębią prostotą i dobrocią serca.

I tę książkę możemy tak co do zrozumiałego każdemu i łatwego stylu jak i co do treści jej polecić uwadze myślących, a to tem bardziej, że w Galicji o ile nam wiadomo, nie istnieją dotąd biografie Mendelssohna w języku polskim napisane, podczas gdy Niemcy już całą literaturę, traktującą specjalnie o mędrcu desawskim posiadają.

[Historja c. k. 20. pułku piechoty, opracowana przez c. k. majora Juliana Słoninkę. Nakładem księgarni J. Jakubowskiego w Nowym Sączu. Druk W. Korneckiego w Krakowie, 1886. Wielka ósemka, stronic 175. Cena 50 ct.] Tak jak 56. pułk w r. 1884., tak 20-ty w r. 1881. obchodził dwóchsetletnią rocznicę założenia. W dziełku majora Słoninki przybywa nam nowy historyczny podręcznik do dziejów armii naszej. Według dat udzielonych nam przez wydawcę cieszyło się dziełko pokupem nie złym. Nakład bowiem, kosztujący 464 złr., obejmował 2000 egzemplarzy, a z tych rozeszło się począwszy od czasu wyjścia dzieła w Czerwcu r. 1886. aż po koniec Października tego samego roku 650 egz. Szczegół ten nie zastanawia nas wcale, gdyż obok taniej ceny książka odznacza się także stylem jasnym i treścią odpowiedną.

Nie wszystkie ustępy tej książki zajmą może czytelnika w równej mierze; ale sądzę, że nie daleko odbiegnę od prawdy, jeśli jako najbardziej zajmujące dla Polaka w Galicji zamieszkałego podniesę rozruchy chłopskie z r. 1846. i udział 20. pułku w stłumieniu tychże. Są to niestety smutne dzieje; ale są to dzieje nasze.

Autor umieścił na końcu dzieła dla lepszego zorjentowania się tabelę statystyczną, uwidoczniającą

udział 20. pułku piechoty we wszystkich potyczkach, bitwach, oblężeniach i tym podobnych akcjach wojennych zacząwszy od 3. Lipca r. 1683. aż do 3. Lipca r. 1866. i drugą tabelę, mieszczącą wykaz wszystkich za waleczność udekorowanych żołnierzy tegoż samego pułku, zacząwszy od r. 1789go a skończywszy na r. 1866m.

Pod względem powierzchowności, to książka przez nas omówiona może nie tak wytwornie wydana jak „Historja c. k. 56. pułku"; ale chociaż odbita na gorszym papierze i drukiem pośledniejszym, to wyszczególnia się natomiast wielką czystością i poprawnością korekty i prawie zupełnym brakiem pomyłek drukarskich.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro - węgierskiej. Wielka ósemka. XVI. Rocznik. Stronic 507. Wiedeń, 1887. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.] Nowy rocznik tego ulubionego wydawnictwa, choć mniejszy cokolwiek niż poprzedzający, niemniej przeto zawiera doborowego i ciekawego materjału, który też bodaj w krótkiem streszczeniu skreślić usiłujemy, a wiedząc już dobrze, które artykuły najwięcej mają powabu dla płci pięknej, czytającej wydawnictwa samborskie, rozpoczniemy dział oceny od powieści.

W powiastce „Kadra Safa" (str. 14.) wtajemnicza nas wielki znawca Wschodu, kawaler de Vincenti w życie familijne i społeczne mieszkańców Syrji, a czyni to z właściwym tylko sobie wdziękiem powieściopisarskim. Oto treść fabuły: Vermontier, inżynier francuski badający w celach naukowych Syrję, usłyszał o okrutnym, chytrym i chciwym szejku muzułmańskim Ismaelu el Atrasz i o nadobnej jego córce Kadra-Safa. Ciekawość badacza wiedzie go w podwoje okrutnika, miłość ku jego córce, niedostępnej dla nikogo, zatrzymuje go w miejscu niebezpiecznem dla każdego innego, miłość ta potęguje się jeszcze odkryciem, że i on nie jest Kadrze obojętnym. Aby upozorować niejako i usprawiedliwić pobyt u dworu emira, podejmuje się młody Francuz naprawy zepsutej szluzy, a następnie bezpłatnego nadzorowania jej i bronienia

przeciwko Beduinom. Ismael el Atrasz zgadza się na to. Ale Vermontier zapomniał widocznie o tem, że to nie sprawka z lekkomyślnym Francuzem, ale z namiętnym synem Wschodu. Ismael podejrzliwy bada nocne schadzki kochanków, a w chwili, gdy Kadra-Safa chrześcianinowi składa przysięgę miłości, w chwili tej postać groźna ojca-mściciela zjawia się ponad nimi. Żelazną dłonią podnosi Ismael płytę, wstrzymującą wylew szluzy, a woda dotąd powstrzymana, bucha nagle siłą elementarną, gdyby potop jakiś i zalewa wszystko dokoła... to grób obojga kochanków... Na grobie córki rośnie akacja biała, ojciec zginął zatruty mściwą dłonią tajemnego wroga.

Temat wschodni obrabia także Józef Doimo Beckman w swojej powieści arabskiej zatytułowanej: „Romeo i Julia na puszczy“ (str. 388.) W Arabii średniowiecznej, jaką prorok islamizmu Mahomet stworzył, wre walka bratobójcza. Nauka o istnieniu jednego Boga, objawionego ustami proroka Mahometa, coraz szersze zatacza koła, coraz więcej zyskuje zwolenników; ale nie zdołała jeszcze podbić i wytępić poganizmu całkowicie, bo oto stoją naprzeciwko sobie z bronią w ręku dwa wrogie obozy, współplemieńcy krwią i pochodzeniem, przeciwnicy pod względem wyznaniowym: król prawowiernych muzułmanów, Zejneddin i król pogan, Ardeszir. Niepewny los wojny sprzyja wyznawcom proroka, a pogański królewicz Achmed dostaje się do niewoli. Los, jaki go czeka, nie jest dlań tajemnicą, dumny jeniec wie, że musi zginąć na krzyżu, skoro ojciec jego nie podda się na łaskę i niełaskę zwycięzcy, a w dodatku jeszcze przyjmie jego wiarę. Ale Achmed uśmiecha się tylko wzgardliwie na podobne warunki; zdecydowany umrzeć i znając ojca swego dobrze, wie on, iż tenże raczej dziesięciu synów by poświęcił, raczej sam by zginął na polu bitwy, niźli wrogom uczynił najdrobniejsze nawet ustępstwo. Tymczasem wesoły trefniś Abu-Nasr w towarzystwie skarbnika korony z polecenia Zejneddina udaje się z poselstwem do zwyciężonego wroga. Królewicz-jeniec samotnie przechadza się po ogrodzie zwycięzcy i zagłębiwszy

się w myślach ciężkich i smutnych, nieświadomie dostaje się pod okna królewnej. Ta spostrzega go zdala, a spostrzedz go i zakochać się w nim, to dzieło jednej chwili. Aisza wie, że grzeszy tą miłością, wie, że grzeszy podwójnie: prawowierna muzułmanka bowiem nienawidzieć powinna wszystkich pogan i modlić się gorąco o ich wytępienie, o ich śmierć doczesną, narzeczona muzułmańskiego księcia i kuzyna swego Omara nie powinna nawet myśleć o innych mężach. Ale

„Serce nie sługa, nie wie, co to pany,
Nie da przemocą okuć się w kajdany.“

Chytry, obłudny i przerażająco brzydki, choć w boju waleczny Omar, narzucony królewnej wbrew własnej jej woli przez ojca, sprzykrzył się jej; nie może nawet porównania wytrzymać z nadobnym jeńcem. Wkrótce udało się namiętnej, szesnastoletniej królewnie rozkochać w sobie również namiętnego młodzieńca; wkrótce udało jej się, przyciągnąć na swoją stronę starą niańkę i syna tejże Hassana. Ale najtrudniejsza sprawa teraz z ojcem i z narzeczonym. Zazdrośny i mściwy narzeczony pomści srodze krzywdę mu wyrządzoną, ojciec i we śnie nie zgodzi się na to, aby córka jego zaślubiła poganina. Więc plan ucieczki gotowy: młody Achmed uchodzi w przebraniu, Aisza zaś pod pretekstem zwidzenia grobowca matki swojej postanawia, eskortowana tylko przez kilku żołnierzy zostających pod naczelnem dowództwem wiernego Hassana, w towarzystwie niańki swojej oczekiwać na kochanka, który powinien przybyć na czele wielkiej armii i odbić królewnę. Tymczasem doniesiono Zejneddinowi o ucieczce jeńca, równocześnie wrócili też posłowie z doniesieniem, że pogański król wszystkie warunki pokoju odrzuca i do nowej a zaciekłej gotuje się wojny. Zjawia się Omar i żąda, aby już raz stanowczo oznaczono dzień ślubu. Zejneddin oświadcza mu wręcz, że wojna grożąca niebawem, nie jest porą stosowną do zawarcia ślubów. Omar odmawia mu jednak pomocy wojskowej i posłuszeństwa, skoro nie załatwi natychmiast sprawy ślubnej. Oburzony tą podłością Zejneddin, odprawia przyszłego zięcia z radą, aby się

więcej nie pokazywał u niego, a Omar oddala się z pogróżką krwawą na ustach.

A otóż rozgrywa się ostatni akt tragedji miłośnej na puszczy. Aisza w towarzystwie niańki, Hassana i 30-tu jeźdców udaje się w drogę, oczekując na przybycie kochanka. Wkrótce zjawia się na czele licznego zastępu jezdców — kto to?... W kurzawie gęstej, zasłaniającej wzrok ludzki nie poznać przybyłych. A otóż szczęk broni, a otóż jęki umierających dochodzą uszu królewnej.... Ona rzuca wzrokiem dokoła... Przebóg! to nie rysy kochanka, to rysy znienawidzonego kuzyna Omara... Omar oddala się na chwilę, a tu znowu coraz głośniej, coraz groźniej odzywają się głosy ludzkie, szczękają miecze. „To oni przyszli, oni, aby mnie rozłączyć z tobą, mój kochanku!“ — woła królewna nawpół nieprzytomna i przebija się sztyletem. Tymczasem nie były to zastępy Omara, to Achmed na czele swoich wiernych przybył, aby odbić kochankę. I otóż wszczyna się walka na miecze z znienawidzonym Omarem; Omar trafiony dzidą królewicza, ostatnim wysiłkiem dłoni rani tegoż śmiertelnie. Hufcy Omara idą w rozsypkę, zwycięztwo po stronie Achmeda, ale wódz' waleczny kona, ostatniem tchnieniem swojem dopytując się jeszcze o kochankę. Wierni towarzysze na rękach swoich niosą go do niej, aby u jej boku ostatnie swoje wyzionął tchnienie.

Jakich cudów nie dokaże miłość szczera? miłość dzieci a następnie okropna śmierć tychże rozbroiła nawet umysły poważnionych srogo rodziców, którzy sobie dłoń podali na znak pokoju i zgody wiecznej. Ciała Achmeda i Aiszy pochowano razem. Meczet grobowy okrągły a samotny odznacza do dziś dnia miejsce, w którem spoczywają snem wiecznym ich szczątki, a mieszkańcy puszczy nazywają to miejsce: „grobem kochanków.“

Z zamierzchłych czasów przeszłości przenosi wyobraźnię naszą w świat przez nas zamieszkały pani Ida Barber nowelą swoją: „Doktor Eugenia,“ (str.258.) Autorka omawia w formie noweli kwestję emancypacji kobiet i dochodzi do rezultatu niekorzystnego

dla emancypantek. Oto treść noweli w tej formie, w jakiej nam się na pierwszy rzut oka przedstawia:

Żona buchaltera Hermesa chciałaby koniecznie z dzieci swoich wbrew woli tychże porobić samych uczonych, ponieważ sama pochodzi z rodziny profesorskiej, a brat jej, bogaty stary kawaler Götz także jest profesorem przy uniwersytecie. Nie dopiąwszy celu swego u synów, chciałaby bodaj z córki Eugenii stworzyć wzór wszechmądrości, i nauka rzeczywiście nie idzie w las. Eugenia bowiem pojmuje nadzwyczajnie łatwo wszystko, co się odnosi do literatury nowożytnej i starożytnej, do językoznawstwa i. t. podobnych gałęzi wiedzy; ale co do najpospolitszych potrzeb życia codziennego, to nie ma o nich najmniejszego pojęcia. Sama, licząc zaledwie 18 lat, osierociwszy po śmierci matki, spędza Eugenia czas w smutnych i niepraktycznych dumaniach nad losem swoim; dowiedziała się bowiem, że ojciec jej ma zamiar ożenić się po raz drugi, a to z praktyczną wdową Emmą Korner. Marząca Eugenia ma się więc dostać pod jarzmo macochy? Przenigdy! Z tego ambarasu wyswobadza ją młody budowniczy Edgar Brams, który się w niej zakochał i formalnie o jej rękę się oświadcza. Eugenia przyjmuje oświadczyny młodego i przystojnego mężczyzny, dla którego także coś czuje w swojem sercu, i wesele odbywa się według wszelkich form, przyjętych u wyznawców wiary ewangelickiej. Razi jednak Eugenię chłód małżonka, sztywność, która niedopuszcza do serdeczniejszych wylewów uczucia, choć mąż kochający ją prawdziwie lecz dumny na stanowisko, krwawo zapracowane, nie umie jej pieścić, tak jak i jego los nie pieścił. Wkrótce następują między nowożeńcami niesnaski i nieporozumienia, które się kończą wyjazdem Eugenii do wuja a następnie rozwodem. Eugenia poświęca się z powodzeniem studjom medycznym i otrzymuje stopień doktorski; ale chociaż zdobyła pracą swoją stopień naukowy, poważany wszędzie, choć odziedziczywszy majątek po zmarłym wuju, nie potrzebuje się troszczyć o potrzeby życia, pozostała się przecież próżnia w jej sercu niewypełniona i tęsknota za szczęściem, które tak lekkomyślnie porzuciła. Wtem jak grom z jasnych

niebios dochodzi ją wiadomość o powtórnej żeniaczce Bramsa. Pod wrażeniem przygnębiającem tej wiadomości ucieka ona w świat daleki, aby dobrowolnie na siebie przyjąć obowiązki siostry niłosierdzia. Przypadek zbliża ją do drugiej żony Bramsa, Włoszki Ludmilli, na której ona niebezpieczną operację z dobrym skutkiem wykonuje. Przypadek zbliża ją także do Bramsa, który po krótkiem pożyciu małżeńskiem straciwszy Ludmillę, która na cholerę umarła, teraz w dwójnasób czuje się osamotnionym i pragnie tylko jednej rzeczy: przebaczenia. Przebaczenie to, po które Brams do stóp Eugenii gnał aż do Ameryki, następuje niebawem, a małżonkowie znów pogodzeni z sobą, wracają do Europy, gdzie Eugenia u boku kochającego ją szczerze małżonka w życiu rodzinnem znajduje jedyną ochłodę życia, a w wykonaniu sumiennem zawodu leczniczego zajęcie odpowiadające najbardziej jej wykształceniu.

Z prac prozaicznych rocznika tak naukowych, jak i mięszanej treści pozwolę sobie, omówić jeszcze następne:

„Kopciuszek wychowania nowożytnego,“ przez Brunona Waldena, (str. 186.) Rozprawa ta nadaje się szczególnie dla kółek pedagogicznych. Zgadzamy się zupełnie z wywodami szanownego autora, w których fantazję, iskrę bożą, ożywiającą jedynie martwą skorupę, nazywa „Kopciuszkiem wychowania nowożytnego.“ Tak jest! przy wzmagających się obecnie prądach realistycznych traktujemy ją niesłusznie jako kopciuszka, to narzucając jej samowolnie kierunek jej obcy i wstrętny, to objaśniając niepotrzebnie rzeczy, nie wymagające objaśnienia, to wytępiając ją poprostu, to wpychając gwałtem w sznurówki ducha, zwane „kursami literackimi dla szkół średnich“ a które to „kursy literackie“ dowolnie traktowane i zaopatrzone częstogęsto niepotrzebnemi lub mylnemi notatkami tego lub owego nibyto przewodnika literackiego, najzgubniejszy wpływ wywierają na młodzież, bałamucąc takową, oduczając ją samoistnego myślenia i zniechęcając na zawsze do arcydzieł naszych klasyków. A co Niemiec Walden odnosi do swoich a na co narzeka nie bez przyczyny, to i my Polacy możemy odnieść do naszych, bo to samo dzieje się i u nas,

(patrz polemika profesora gimnazjalnego Emanuela Dworskiego w „Gazecie Polskiej“ z profesorem gimnazjalnym Piotrem Parylakiem o błędne i dowolne komentowanie polskich klasyków.)

W dziedzinę ścisłą literatury wchodzą Frydryka Lemmermayera „Uwagi o poetach i krytykach“ (str. 410.) Nie szczędzi autor w tym artykule docinków ani poetom, ani krytykom, ale nie czyni tego bezpodstawnie. Na dwóch wielkich i nienaruszalnych podstawach polegają i poezja i krytyka: poezja na pięknie, a krytyka na prawdzie. W szlachetnych umysłach łączy się i jedno i drugie. Więcej byłoby poetów, a mniej piszących rymy, gdyby każdy z piszących czuł w sobie iskrę bożą, piękno miast jedynie niepohamowanej żądzy, widzieć się drukowanym, bo wsławić się tego już nie powiem wcale; mniej byłoby zojlów, mniej złośliwych i niesumiennych recenzentów, a więcej poważnych krytyków, gdyby każdy krytyk kierował się prawdą nawet w obec przeciwnika i nie pozwalał sobie pod żadnym warunkiem przekręcać słowa i zdania. Piękny przykład nieparcjalności w tej mierze dał nam głośny autor i wydawca pewnego pisma, który nieprzychylną ocenę o sobie samym bez zmiany słów i bez wszelkich dodatków i uwag w piśmie swojem umieścił dla tego, że się przypadkowo zgadzała z prawdą.

Romansom i czytelnikom tychże poświęcone są aż dwa odrębne studja literackie: jedno pod tytułem: „Romans,“ przez Łucję Kämpfer (str. 69.), drugie pod tytułem: „Czytelnicy romansów,“ przez Alberta Rubena, (str. 317.) Podczas gdy Łucja Kämpfer w swojej rozprawie w ogólnych zarysach określa istotę i artystyczne warunki romansu według zasad dowolnie wypowiedzianych, a na które się tylko warunkowo zgodzić możemy, to Ruben w swojem studjum o „czytelnikach romansów“ idzie już o krok dalej, przedstawiając nam zmiany rozmaite, jakim ulegał lub ulega jeszcze smak czytelników powieści i romansów z przebiegiem czasu.

Bardzo zajmujący jest artykuł Hermana Meynerta o „pisanych gazetach w Wiedniu“ (str. 363.) Gazety te istniały w krociach egzemplarzy w Wie-

dniu i rozchodziły się po całym kraju przez 120 lat (1670—1790) w zastępstwie prasy ręcznej, która nie była jeszcze o tyle wydoskonaloną, aby oprócz druku książek mogła się także druku gazet podjąć. Dzieliły też te gazety pisane w zupełności losy swoich drukowanych koleżanek: prześladowane i konfiskowane ustawicznie, powstawały jak grzyby po deszczu na nowo. Nie pomogło wychłostanie autorów, nie pomogły kary więzienne i pieniężne, aż przyszedł czas, gdy z wydoskonaleniem druku odpadła potrzeba pióra przepisywaczów i gazety pisane znikły znowu z horyzontu dziennikarskiego, na którym wszechpotężnie panowały przeszło wiek.

Nie możemy mimo najlepszej chęci materjału literackiego, nagromadzonego tak obficie przez redakcję ogarnąć jednym rzutem oka, ni też ocenić wyczerpująco; ale jeśli z pomiędzy nawału prac poetycznych i prozaicznych wymienimy tytuły bodaj takich rzeczy i takich autorów, jak tragedja: „Ajaks“ Sofoklesa w tłumaczeniu Pichlera, jak rozmaite tłumaczenia z włoskiego, węgierskiego, polskiego i czeskiego, wreszcie piękne wiersze oryginalne Betty Paoli, Szczepana Miłowa, Kajetana Cerri, baronówny Hermance Potier, Ludwika Augusta Frankla, Ludwika Foglara, Frydryka Steinebacha, Juliusza Lothara i innych, to na śmiało twierdzić będziemy mogli, że redakcja rzetelnie starała się wywiązać z zadania swego, polegającego na Horacjuszowskiem orzeczeniu: „Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci!“

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

Wydawnictwa Zukerkandla. Biblioteczka dla dzieci i młodzieży.

[Książeczka VIII. Z krzyżackich bojów, powieść historyczna z XIV. wieku przez Edwarda Zorjana. Stronic 89. Cena 25 ct. 1885, w Grudniu.]

Powieść ta znanego już w literaturze polskiej autora obznajamia młodzież z dziejami przeszłości; opowiada o wielkim królu Łokietku i królewiczu

Kazimierzu, opisuje zdradę a następnie nawrócenie się oślepionego pychą wojewody Wincentego z Szamotuł, który złączywszy się z krzyżakami przeciwko prawowitemu panu, kraj oddać chciał w ich ręce, ale nad brzegiem przepaści namyśliwszy się wrócił do obowiązków swoich i nawspół z Łokietkiem gromił wojska krzyżackie pod Płowcami. Powieść Zorjana, stylem jasnym i potoczystym napisana, nadaje się do czytania nietylko dla młodzieży, ale także dla dorosłych osób.

[Książeczka IX. Zwierzęta i płody Afryki, obrazki i opisy dla młodzieży, przez Izydora Poechego. Stronic 93. Cena 25 ct. 1886, w Marcu.] Książeczka pod powyższym tytułem zawiera w formie ponętnej rozmowy dziadka z wnuczętami, opisy dla młodzieży wielce pożyteczne dzikich zwierząt i płodów Afryki i przyczynia się tem samem wielce do rozszerzenia wiadomości z historji naturalnej, mianowicie z zoologii i botaniki.

[Książeczka X. Siedm cudów świata i podróż do Olimpii, opowiadanie ze starożytności, przez Dra Alberta Zippera. Stronic 74. 1886, w Kwietniu.] Autor niniejszej pracy a także innych z dziedziny estetyki i pedagogii, zna widocznie sferę umysłową dziecka, wie, czem je najbardziej zwabić i że rzeczy, osłonione mgłą tajemniczości najwięcej dotąd mają i mieć będą powabu dla umysłu młodocianego; dla tego też zapowiada we wstępie, że opisane przezeń siedm cudów świata i podróż do Olimpii, rzeczy znane mniej więcej wszystkim osobom dorosłym, wydobył dopiero i odszyfrował niejako ze starego rękopisu. Odkrycie to rękopisu czy palimpsestu, istniejącego chyba tylko w fantazji autora, oczywiście że się znakomicie przyczynić musi do rozbudzenia ciekawości w młodych czytelnikach, tem bardziej, że opowiadającym na pozór jest chłopak nieletni Teofanek. Podróż do Olimpii, która nibyto intermezzo w opowiadaniu stanowi, dosyć jest zajmująca; zwracamy jednak uwagę autora na szczegół na str. 32. zawarty, a który wprost jest niemożebnym. Kto bowiem we śnie wypadnie z łóżka a w dodatku jeszcze sobie nogę zwichnie, jak młody Teofanek, ten tygodniami jeszcze będzie

leżał w łóżku i miesiącami będzie czuł skutki fatalnego wypadku tego, i ani mu się przyśni podróż daleka i uczestnictwo w igrzyskach olimpijskich.

[Książeczka XI. Pierwsza morska podróż Krzysztofa Kolumba w celu odkrycia przyszłej Ameryki, przez Izydora Poechego. Stronic 82. 1886, w Wrześniu.] Pan Izydor Poeche, znany pedagog i były kierownik szkoły w Dąbrowie omawia w niniejszem dziełku w sposób dla dziatwy nader zajmujący, pierwszą morską podróż wielkiego odkrywcy Ameryki i opisuje szczegółowo i wiernie wszystkie trudy i niebezpieczeństwa, które genjusz wielkiego męża pokonać musiał, aby stanąć wreszcie u celu pożądanego. Wielce popularne to dziełko istnieje jeszcze w drugiem wydaniu, zaopatrzonem obrazkami kolorowemi a kosztującem 35 ct.

[Książeczka XII. Na dalekim Oceanie, późniejsze wyprawy i odkrycia Kolumba i innych żeglarzy, przez Izydora Poechego. Stronic 89. 1886, w Listopadzie.] Jest to niejako ciąg dalszy dziełka poprzedniego. Autor opisuje w tej książce dalsze dzieje Kolumba aż do samej śmierci tegoż, obznajamiając równocześnie młodych czytelników „Biblioteczki“ z imionami i czynami takich mężów, jakimi byli Vasko de Gama, Kabral i inni. Z tej książki istnieje również osobne wydanie illustrowane, kosztujące 35 ct.

[Książeczka XIII. Podarek noworoczny dla dzieci. Zbiór wierszyków i bajeczek przez Władysława Bełzę. Stronic 58. 1886, w Styczniu.] Bardzo stosowny jest wybór wierszów Bełzy, znanego wydawcy „Towarzysza pilnych dzieci“ na podarek noworoczny dla tychże. Dobre też i tak do chwili, jak i do pojęć dziecka dobrane są wiersze, jak: „Nowy rok“ (str. 5), „Moje niebo“ (str. 7), „Przędziwo Najświętszej Panny“ (str. 16), „Pieśni o wakacjach“ (str. 32—38), „Kaleka“ (str. 38) i wiele, wiele jeszcze innych.

Natomiast musimy autora zganić za wiersz pod tytułem: „Bajka noworoczna“ na str. 3. umieszczony:

„Za to do łyżki, za to do miski,
Biegł, aż na nogach miewał odciski.“

To dla wieku dziecięcego a nawet i starszych zupełnie niezrozumiałe, a zatem i złe. Najstosowniej-

szym byłby tu wyraz: nadgniotki, odgniotki, wyraz: odciski oznacza i oznaczać powinien li tylko odciski pieczęci lub druku. Nie wolno nigdy i pod żadnym warunkiem poświęcać dla formy rymu lub końcówek myśli i czynić jej niejasną i niezrozumiałą. W podobnych wypadkach Szyler, Körner, Heine, Lenau zawsze i bezwarunkowo poświęcali formę dla myśli: Platen, który poświęca myśl dla formy, jest najzimniejszym i najbardziej uczucia poetycznego pozbawionym poetą, a najokropniejszem straszydłem rymotwórczem jest jego li tylko pod względem formy nienaganny trójwiersz:

„Hienieden lohnt's der Mühe nicht zu zagen,
Und frei und wahr zu sprechen kleidet Jeden,
Weil bald wir Alle ruh'n in Sarkofagen."

W tych paru słowach mieści się podwójny błąd: logiczny i estetyczny. Słowo „sarkofag" nie oznacza bowiem zwyczajny grób, ale grobowiec wspaniały, królewski prawie, a choć my wszyscy umrzemy, to przecież nędzarze i biedacy nie spoczną w grobowcach królewskich. Prawdę zaś nie mamy głosić li tylko z tego powodu, że dziś jutro możemy umrzeć i że śmierć nas łaskawie uchroni od możliwie nieprzyjemnych następstw prawdomówności; ale mamy prawdę głosić właśnie dla tego, że będziemy żyć i życiem i cierpieniem naszem świadczyć o świętości zdobytych w walce życia przekonań. Nie zgnilizną cuchnące trupy nasze, ale my, my, co żyjemy i działamy, w pierwszym rzędzie powołani jesteśmy na świadectwo prawdy.

[Kurzer Abriss zugleich Repetitorium der deutschen Literaturgeschichte für öst. Mittelschulen von Dr. Albert Zipper. Dwunastka. Złoczów, 1886. Drukiem i nakładem Zukerkandla. Stronic 90.] Dziełko to jest tylko streszczeniem, czyli zarysem historji niemieckiej literatury, i z tego też powodu nie może być wyczerpującem. Razi jednak w tej pracy literackiej szczegół, że miejsca aż nadto poświęcono najwybitniejszym przedstawicielom literatury niemieckiej, jakoto: Göthemu, Szylerowi, Lessingowi, Herderowi, Wielandowi, Klopstockowi i innym, których żywot i działanie literackie autor opisuje jak to mówią

„con amore,“ podczas gdy o mniej znanych autorach zaledwie pobieżna wzmianka w dziełku pana Dra Zippera się znachodzi. Aby czytelnika nie nużyć długą litanią imion, nadmieniam tylko, że w książce pana Dra Zippera nie ma najmniejszej wzmianki o takich autorach i stylistach, jakimi byli satyryk Lichtenberg, filozofowie Leibnitz i Mendelssohn, poeci Ludwik August Frankl, Geibel, Grabbe, Hebbel, Heyse, Sallet, historycy Becker, Eichhorn, Müller, Rotteck, Schlosser i inni. To są rażące braki, które bodaj czy zostaną zrównoważone pięknym i zrozumiałym dla każdego stylem, oraz objaśnieniami udatnemi, odnoszącemi się do dzieł i do idei autorów.

d) Książki mieszanej treści.

[Ramotki humorystyczne. Zebrał, ułożył i sprzedał nakładcy A. B. Rzeszów, 1886. Nakładem księgarni J. A. Pelara. Dwunastka. Stronic 160.] Tytuł dowcipnej tej książki ma niby także stanowić dowcip. Przyznajemy jednak otwarcie, że nie wiele w nim widzimy dowcipu; bo że „zebrał, ułożył i sprzedał nakładcy swoje ramotki pan A. B.,“ cóż w tem wielkiego, zwłaszcza, jeśli nakładca sam takowe zamówił? Większy może — jeśli zważymy na stosunki literackie w Galicji — większy nierównie byłby dowcip w tem, gdyby autor na okładzince swego dziełka mógł uwidocznić tysiąc dowcipów, spieniężonych za krągłą tysiączkę; prawda, że w takim razie musiałby dodać od siebie: „spieniężonych na księżycu.“ Pominąwszy jednak ową niewłaściwość w tytulaturze, widzimy zresztą dosyć ciekawe, zajmujące i dowcipne rzeczy w pana A. B. „ramotkach humorystycznych z Kulparkowa codziennego życia.“ Nie zły jest „Wychowanek cygański,“ w której to powiastce krótkowidzący sędzia śledczy Osyp Osypowicz przypadkowo w znajdzie cygańskim odkrywa syna z nieprawego łoża pani sędziny Amalii Osypowiczowej; dowcipnie pomyślany jest „Niefortunny kapelusz,“ w którym denko wylatujące z kapelusza staje się niewinnym powodem rozłączenia miłośnej pary i narzekań humo-

rystycznych starej panny Kundusi; pełna złośliwych alluzyj do naszych stosunków społecznych jest małpa „Nina Pongo,“ objawiająca w formie odczytu swoje doświadczenia o ludziach i charakterach tychże; powiastka „Zwarjowała“ przypomina nam stare przysłowie: „Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpadnie;“ zabawne są „Kłopoty Sztraubingera,“ spowodowane piękną brodą tegoż a wtajemniczające nas w przebieg sprawiedliwości moskiewskiej i praktykowane tam do dziś dnia „rozkazy gabinetowe“; w czasach przedmarcowych, bo około r. 1841. odbywa się „Branka“ z całym szeregiem przekupstw i matactw asenterunkowych, nieodłącznych od niej; ramotka „Obrzydliwy nałóg“ skierowaną jest przeciwko zbytniemu używaniu tytoniu; powiastka „Co komu do tego,“ oparta na smutnych ale niestety prawdziwych doświadczeniach, wziętych z życia codziennego, opisuje nam karjerę owych w przeciągu jednej nocy zbogaconych krwią ludzką lub zbankrutowanych dyrektorów banków oszukańczych, a którym pozostały tylko dwie alternatywy: więzienie lub samobójstwo; zgrabną humoreską jest „Tajemniczy listonosz,“ pośredniczący bezwiednie wbrew własnej woli w tajemnej korespondencji miłośnej córki z kochankiem; wdzięcznie zaś zaokrągla te „ramotki z Kulparkowa codziennego życia“ powiastka z naszego highlifu „Stary mebel.“

Przyjaciołom lekkiego, prawdziwie polskiego humoru polecamy książkę pana A. B. jak najusilniej, a to tem bardziej, ponieważ nietylko tendencja tych „ramotek“ zdrowa, ale i cena ich przystępna dla ogółu.

[Saxa loquuntur. Rzecz o pomnikach rzeszowskich w kościele farnym zostających, przez Boromeusza Richtera. Odbitka z „Tygodnia rzeszowskiego“ Rzeszów, 1885. Drukiem i nakładem księgarni E. F. Arvaya. Mała ósemka. Stronic 19.] Rzecz ta, wydana jako osobna odbitka z „Tygodnia rzeszowskiego,“ ogłoszoną została przez autora celem zwrócenia publicznej uwagi na pomniki Rzeszowskich, w kościele farnym rzeszowskim umieszczone, a którym to pomnikom miała grozić zagłada z powodu niezręcznej restauracji kościoła. Przytacza więc autor rozmaite

daty historyczne celem wzbudzenia interesu u ogółu dla pomników starożytnych. Według naszego zdania zapomniano jednak o najważniejszym argumencie, niezbędnym przy podobnych publikacjach, a mianowicie o rycinach objaśniających. Styl rozprawki uczony, ale nieco ciężki, trąca sztuczną staroświeczyzną.

[Nowe tory, przez J. D. Bacha. Nakładem księgarni Leopolda Gileczka a drukiem Józefa Pawłowskiego. Dwunastka. Tarnopol, 1886. Stronic 37.] Nawróćmy młodzież szkolną na nowe, użyteczniejsze niż dotąd tory, — woła autor niniejszej rozprawy i streszcza całą litanję grzechów w wychowaniu publicznem: to ustawiczne przeciążenie przedmiotami dla umysłu młodocianego zgoła niezrozumiałemi, to zaniechanie nauki pożyteczniejszych i ważniejszych, wreszcie to wykładanie błędne i niesystematyczne. Pod niejednym względem zgadzamy się nawet z autorem, ale nie we wszystkiem, a musimy mu uwagę zwrócić na jeden szczegół: kto chce zreformować szkolnictwo i styl naukowy, ten niech rozpocznie reformę od siebie samego. Widzimy pełno dobrych chęci i chwalebnych myśli w rozprawce pana Bacha; ale widzimy także styl zaniedbany srodze i język pozostawiający niejedno do życzenia.

[Die gewerblichen Zustände in der Bukowina, przez profesora Karola Romstorfera. Odbitka z rocznego sprawozdania szkoły przemysłowej czerniowieckiej. Wielka ósemka. Czerniowce, 1886. Drukiem Rudolfa Eckhardta. Stronic 22.] Rozprawka niniejsza, wydana osobno z powodu wystawy czerniowieckiej, wykazuje dokładnie stan rzemiosła na Bukowinie i napisana stylem popularnym a dla każdego zrozumiałym. Autor wykazuje datami i liczbami obecny stan rzemiosł rozmaitych bukowińskich, z których n. p. przemysł garbarski słabo reprezentowany, a wyrób papieru nie istnieje dotąd. Wykazując wielki pożytek, połączony z instytucją szkół przemysłowych, wyraża autor niepłonną nadzieję, że główna szkoła przemysłowa w Czerniowcach i jej filje w mniejszych miastach Bukowiny podeprzą skutecznie przemysł krajowy i domowy bukowiński, pod niejednym względem zostający jeszcze w powijakach. *G. Kohn.*

RACHUNKI ZA LAT DZIESIĘĆ.

Oddając jako dochód z wydawnictwa niniejszego 25 złr. na rzecz Towarzystwa św. Wincentego a Paulo a tyleż na rzecz Towarzystwa bursy w Samborze, widzę się zniewolonym do złożenia rachunków zbiorowych za lat dziesięć. Co się w przeciągu tych lat dziesięciu na polu literackiem zdziałało, — to niechaj inny oceni. Mógłbym się wprawdzie odwołać na to, że niejeden głośny literat pierwsze swoje prace w skromnem wydawnictwie samborskiem umieszczał, że trzej redaktorowie galicyjscy pióra swoje po raz pierwszy ostrzyli na łamach mego wydawnictwa; ale na to oświadczy mi może ten lub ów, że wydawnictwo samborskie nieraz służyło także za parawan wcale miernym siłom literackim. Dajmy więc bodaj chwilowo kwestji literackiej spokój. Natomiast omówimy inną kwestję, od której wydawnictwo ma swoją nazwę, kwestję dobroczynności, a uczynimy to na złość tym, którzy „Sprawozdanie z czynności naszych“ uważają za wyskok zarozumiałości i samochwalstwa. Wolimy jednak, aby nas uważano za takich zarozumialców niepoprawnych, aniżeli byśmy się bawić mieli w skromnisia dobroczynnego, chowającego skromnie w własną kieszeń pieniądze na cele dobroczynne.

Oto rezultat naszych rachunków: wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie w rozmaitych swoich fazach następne wykazywało dochody na rzecz instytucyj dobroczynnych miasta: I. rocznik 49 złr. 20 ct., II. r. 69 złr. 92 ct., III. r. 53 złr. 40 ct., IV. r. 40 złr., V. r. 100 złr., VI. r. 80 złr., VII. r. 80 złr., VIII. r. 50 złr., IX. r. 50 złr. a X. również 50 zł., co razem czyni kwotę 622 złr. 52 ct. Ale wkrótce pokazało się, że wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie nie odpowiada całkowicie swoim celom, ograniczając się jedynie na Sambor. Mieszkańcy obcych miast odciągali się nieraz ze swemi datkami dla tego, że dochód z książek samborskich, z samborskiego wydawnictwa samborskie tylko a nie zamiejscowe wspierał cele. Aby więc zwalczyć przesądy i niechęć jawną lub tajną, aby złamać partykularyzm zgubny szczególnie w podobnych sprawach, postanowiła redakcja „Roczników Samborskich“ wydawać także broszurki i dzieła rozmaitej objętości i treści na rzecz instytucyj i celów sąsiednich i nie żałować ofiar i wydatków pieniężnych, skoro potrzeba tego wymagać będzie. Tym sposobem uzyskano także możebność ogłoszenia drukiem prac nieznanych dotąd autorów: prawda, że niejeden z tych autorów później w dowód wielkiej wdzięczności swojej błotem na mnie bryzgał i w pismach publicznych mnie poniewierał, ale mniejsza o to! Z czterech pomniejszych wydań prac obcych uzyskano przecież sumę ogółową 174 złr., nie wyłącznie na samborskie cele przeznaczonych; bo dostało się z tych pieniędzy coś i głuchoniemym we Lwowie i pogorzelcom w Drohobyczu i familjom rezerwistów w Sanoku. Ale i własnemi mojemi pracami wzbogacały się nieraz dochody na cele publiczne. Mój wiersz „Am Ojlom“ przysporzył żydowskim emigrantom z pod moskiewskiego zaboru

7 złr. 36 ct., moje tłumaczenie Mickiewicza wniosło do kapitału pomnikowego sumkę 17 złr. 98 ct., dla pogorzelców miast Bohorodczan, Dąbrowy, Dukli, Kałusza, Liska i Wyżnicy z drobnych datków redakcji wpłynęło razem 36 złr. 60 ct., moją broszurką o „prawdziwem zadaniu naszej demokracji“ zdobyłem dla pogorzelców borodeńskich 106 złr., mojem tłumaczeniem „Wieńców pośmiertnych“ Zedlitza zdobyłem dla pogorzelców stryjskich 76 złr. 60 ct., moim odczytem „o nieszczęśliwym Chińczyku“ dla pogorzelców miasta Niżankowic 10 złr. To czyni razem 1051 złr. 6 ct.

Młodzi autorowie, wspierający mnie z zapałem i nie dający się odstraszyć drwinami niepowołanych, w pierwszym rzędzie przyczynili się do uświetnienia chwili tego jubileuszu: im też składam gorące dzięki, a szczególnie pp. Alfredowi, Andruszewiczowi, Antonowiczównie i ks. Metodemu; niekłamany wyraz uznania mego należy się także maszyniście w drukarni samborskiej Józefowi Pankiewiczowi, który z prawdziwym artyzmem najtrudniejsze obrazy w druku wykonywał. Bardzo czułbym się szczęśliwym, gdybym i publiczności mógł wyrażać podobne podziękowanie za gorliwy udział w prenumeracie. Niestety! byłoby to kłamstwem!

Być może, że moje wydawnictwo nie zadowoli starych literatów co do strony fachowej; być może, że moja osoba nie zadowoli tych, dla których prawdziwy człowiek istnieje tylko według ideału krawca; ale społeczeństwo osądzi zapewne sprawę inaczej i jako członkowi swemu da mi rozgrzeszenie całkowite za wszelkie grzechy i literackie i czysto-ludzkie niesalonowca.

Sambor, 18. Kwietnia 1887.

G. Kohn.

Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat bialski: Dr. Bogdanik, Czytelnia polska, Robert Foedrich, ck. Starosta, Grabowski, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Dr. Mateusz Kwiciński, Lubieniecki, Dr. Łazarski, Piasecki, Dr. Rosner i Dr. Stiasny, w Białej, Gmina miasta Oświęcima, Majkowski, Dr. Nowak, A. Polaszek i B. Thieberg, w Oświęcimie.

Bochnia: Franciszek Cholewiński, ks. Grzegorzek i Leopold Płaziński, ck. Starosta w Bochni.

Bohorodczany: Sobota, Strasser, ck. Starosta i Szeliński, w Bohorodczanach.

Borszczów i pow. borszczowski: Jan Biesiadzki, Kazimierz Dobrowolski, Hordyński, Dr. M. Komeriner, Kopystyński, Michniewski, Feliks Pichurski i Emilja Piotrowiczówna, w Borszczowie, Kozaniewicz, Antoni Makarewicz i Karol René, w Skale.

Brody i pow. brodzki: Bronisław Garwoliński, Fr. Gaudnik, Goldlust, Popiel i Antoni Witosławski, burmistrz miasta Brodów, ks. Konstanty Rzeczkowski, w Leśniowie.

Brzesko: Edmund Romer, ck. Starosta w Brzesku.

Brzeżany: Dzbański, Kolasiński, ks. Krupiński, Kurowski, Józ. Wł. Łobos, Franciszek Wolski i Antoni Żurakowski, w Brzeżanach.

Buczacz i pow. buczacki: Mieczysław Burzyński, Dr. Krzyżanowski, Norbert Lorsch, ck. Starosta, Nęcki, Dr. Obtułowicz, Dr. Emanuel Reiss, Reprezentacja miasta Buczacza i Stupnicki, w Buczaczu, Szymon Chełpiński, Piotr Dögler, Leonard Smolik i ks. J. Turkiewicz, w Monasterzyskach.

Chrzanów i pow. chrzanowski: Dr. Pawlas i Kamila Sporyszowa, w Chrzanowie, Etgens, w Krzeszowicach i ks. Ludwik Szul, w Alwerni.

Cieszanów i pow. cieszanowski: Winiarski, w Cieszanowie, Adam Bartkiewicz, Juliusz Fimiarz, ks. Jan Jabłonowski, Arnold Kübel, Jan Mańkowski, Jan Postępski i Efraim Turnheim, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Dominik Klein i Wit Mokrzycki, w Czerniowcach.

Czortków i pow. czortkowski: Bieńkowski, Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta, Dr. Stöckl i Towarzystwo kasynowe, w Czortkowie, Józefa Bogdanowiczowa, w Dżurynie.

Dąbrowa: Rogoyski, c. k. Starosta, Szczerbiński, Trzeciecki, Dr. Wolff i Dr. Zaręba, burmistrz w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Aleksander Bieńczewski, Czytelnia kasynowa, Dr. Rosenheck i Alojzy Schneider, w Dobromilu.

Dolina i pow. Doliński: Jankowski, Kossakiewicz i Sołtyński, w Dolinie, Antoni Sabatowski, w Rożniatowie.

Drohobycz: S. A. Apfel, Dr J. Fruchtman, Partykiewicz, Alfred Truskolaski, Seweryn Wasilewski i Ignacy Wierzbicki, w Drohobyczu.

Gorlice: Dr. Karol Neuman, Rudzki i Dr. Śleczkowski, w Gorlicach.

Gródek i pow. gródecki: Bazyli Dmuchowski, burmistrz miasta Gródka, Henze, Nowosielski i Świszczowski, w Gródku, Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Gaspary, ks. Mardyrosiewicz, ks. J. Nowobielski, Dr. Franciszek Rauch, Robacki, Schuster i Teichman, w Horodence, Ambros, w Obertynie.

Husiatyn: ks. J. Bojarski, Antoni Danielewicz, Andrzej Horodecki i ks. Wincenty Szamocki, w Husiatynie.

Jarosław: Dębicki i Dr. Ruczka, w Jarosławiu.

Jasło: Dr. Roman Adamski, Dr. Abdon Bieńczewski i Dr. Franciszek Ksawery Wiediger, w Jaśle.

Kałusz i pow. kałuski: Fuss, Stanisław Komornicki, Ignacy Przestalski, Skrowaczewski, Szopiński i Meliton Tenicki w Kałuszu, Mikołaj Halka, w Tomaszowcach.

Kamionka Strumiłowa i pow. kamionecki: Juliusz Łempicki, K. Piepes, Jan Szawłowski i Piotr Zbyszewski, w Kamionce Strumiłowej, Filarski i Żukotyński, w Busku.

Kołomyja i pow. kołomyjski: Jan Dębicki, Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, ks. Koblański, Dr. Maramarosz, Dr. Mil-

grom, Dr. Piaskiewicz, Rybczyński, Sendzimir, Jan Sidorowicz, Dr. Gabryel Sysak, Dr. Trachtenberg, Salamon Wieselberg i Julian Zulauf, c. k. emerytowany Starosta i Radca Namiestnictwa, w Kołomyi, ks. Rufin Gąsior, w Gwoździcu.

Kosów: Bursa, Maczek, Hipolit Sabat, c. k. Starosta, Sielecki, Józefa Wiśniowska i Wójcikiewicz, w Kosowie.

Kraków: Abderman, Jan Bociański, Estreicher, Głowacki, Dr. Horowitz, Dr. Ichheiser, Dr. Łepkowski, Józef Łukaszewicz, Dr. Piekosiński, Zygmunt Resch, Schlesinger, Marceli Studziński, Dr. Weigel i Dr. Zoll, w Krakowie.

Pow. krośnieński: Goldhamer, Hr. Cezary Męciński, Minkusiewicz i Staruszkiewicz, w Dukli.

Limanowa: Haydukiewicz, Dr. Kruk, Józef Mars, Wincenty Potocki i Jan Weyde, w Limanowie.

Lisko i pow. liski: Dr. Freysinger, w Lisku, Gieldanowski, Wł. Majewski, Karol Morwitz, K. Okniński, Juliusz Riedl i B. Rotter, w Ustrzykach dolnych.

Lwów i pow. lwowski: Bank kredytowy, Mieczysław Baranowski, Dr. Blumenfeld, Dr. Salamon Bund, Dr. Emil Byk, J. Chołodecki, Antoni Czarkowski, Tadeusz Czarkowski, Dr. Czeszer, M. Diamand, Dr. Dziędzielewicz, Fanni Ehrensaal, Mikołaj Epstein, Dr. Szymon Fläschner, Dr. Goldman, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Gross, Dr. Hefern, Dr. Herschman, Dr. Holzer, Samuel Horowitz, Józef Howorka, Zygmunt Jasiński, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Wł. Kostro, Józef Lorenz, Dr. Filip Mansch, Jerzy Mayer, Edmund Mochnacki, Prezydent miasta Lwowa, Dr. Niementowski, M. Nirenstein, Jakub Piepes, D. Posner, Michał Pyszyński, Dr. Jakub Reiss, Juliusz Reiss, Dr. Wł. Rieger, Izydor Rozwadowski, Dr. Schaff, Dr. Skałkowski, Karol Sklepiński, Władysław Smolka, Smutny, Dr. O. Stand, Dr. Henryk Szydłowski, Dr. Ernest Till, Dr. Weiss, Welichowski, Wewiórski, Dr. Artur Wiktor, Dr. Franciszek Wolski, Liberat Zajączkowski, Franciszek Zoner i Dr. Filip Zuker († 14/₁ 1887) we Lwowie, Zygmunt Groblewski i G. Liszka, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Ludwik Danielewicz i Alina Kahane, w Łańcucie, Aleksander Czepielewski, Zygmunt Głębocki i Konwent OO. Bernardynów, w Przeworsku.

Mielec: Dr. Kornel Brandt, Derenowski, Józef Droba, ks. Knutelski, Pawlikowski, W. Sroczyński, H. Szanecki, J. Szymański i Józef Turczynowicz, w Mielcu.

Mościska: Dorożewski, w Mościskach.

Nadwórna i pow. nadwórniański: Alojzy Braun, Jan Chomiak, Jan Kisielewski, Władysław Korzeniewicz i Sichower, w Nadwórnie, Józef Hołubowicz i Juliusz Makarewicz, w Delatynie.

Nowy Sącz i pow. nowosądecki: Feliks Ritter, Dr. Schornstein, Alojzy Szklarski, c. k. Prezydent sądu i Dr. Wąsikiewicz, w Nowym Sączu, Wł. Ambroziewicz i Dr. Leopold Gawełkiewicz, w Starym Sączu.

Pow. pilzneński: Kochanowski i Górski, w Strzegocicach.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, J. O. Ks. Marcelina Czartoryska, Czytelnia kasynowa, Dr. Galusiński, Inglott, Lilienfeld, Łoś, Karol Popiel, c. k. Starosta i Franciszek Stobiecki, w Podhajcach.

Przemyśl: *Dr.* Baumfeld, *Dr.* Alfons Bieńczewski, *Dr.* Doliński, Dornwald, *Dr.* Dworski, burmistrz miasta Przemyśla. A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, F. Kwaśniewski, Majerski, *Dr.* Mendrochowicz, Rokicki, *Dr.* Rosenbach, Andrzej Skala, *Dr.* Skórski, Bronisław Sławiński, *Dr.* Smutny, *Dr.* Tarnawski, *Dr.* Waygart i Franciszek Zych, w Przemyślu.

Przemyślany: Emil Baranowski i *Dr.* Waligórski, w Przemyślanach.

Radowce (na Bukowinie): Jan Skobielski, w Radowcach.

Rawa ruska i pow. rawski: Michał Gądolewski, Władysław Jarosz, Franciszek Praszałowicz, Zygmunt Smolski i H. Zawzięty, w Rawie ruskiej, Rudolt Düll, w Uhnowie.

Rohatyn i pow. rohatyński: Kasyno miejskie, Władysław Manasterski, Karol Mühlner, Wiktoryn Reichelt, c. k. Starosta i Wiktorja Schwarzowa, w Rohatynie, Leokadja Żytyńska, w Stratynie, Władysław Adamczyk, Fr. Burzyński, Juliusz Hermanowicz, Edmund Michalewicz, Fr. Ksawery Niwiński, ks. Paszkowski i Jan Versaiko, w Bursztynie.

Ropczyce: Seweryn Chrząszczewski, w Ropczycach.

Rudki: Ks. Kamiński, Kazimierz Kurek i Piotr Zbrożek, w Rudkach.

Rzeszów: *Dr.* Als, *Dr.* Barzycki, ks. Fałat, *Dr.* Fechtdegen, ks. Jaworski, Kalinowski, *Dr.* Reich, ks. Szaflarski i *Dr.* Wiktor Zbyszewski, burmistrz miasta Rzeszowa.

Sambor i pow. samborski: Angerman, ks. Barewicz, *Dr.* Biegelmayer, Aleksander Donicht, *Dr.* Fiternik, Karol Hanik, *Dr.* Irzyczek, Jochowa, Wilhelm Kasparek, Klasztor OO. Bernardynów, G. Köhn, Frydryk i Wilhelm Kuhnenowie, Karol Negrusz, *Dr.* Niedźwiedzki, Marjan Oleński, Józef Paszkiewicz, Przetocki, *Dr.* Michał Stefko, *Dr.* Justyn Witz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, *Dr.* Ludwik Dolański, w Rakowej i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok: *Dr.* Gaweł, *Dr.* Iskrzycki, Ludwika Kahane, Władysław Gracjan Kozłowski, Miszkiewicz, *Dr.* Władysław Skalski, Leon Studziński, ck. Starosta, Ludwik Świerczyński, *Dr.* Izydor Taubenfeld i Amelia Zarewiczowa, w Sanoku.

Pow. skałacki: H. Goldlust, Goldstein & Löwenherz, Stanisław Kądzielski, Emil May, *Dr.* Isaak Metall, H. Ostersetzer, Dezydery Schneider, burmistrz miasta Podwołoczysk i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyn i pow. śniatyński: F. A. Telichowski, w Śniatynie i Adolf Schapira, w Zabłotowie.

Sokal i pow. Sokalski: Józef Arvay, Derdacki, *Dr.* Filipowski, burmistrz miasta Sokala, Geissler, Karpiuk, Adolf Majewski, Rauch, Szymusik, Dionizy Tchórzewski, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr.* Wejda, Wysoczański, *Dr.* Wyspiański, i Zaczkowski, w Sokalu, A. Gross, w Bełzie.

Stanisławów: Artychowski, Borecki, Cetwiński, Józef Jaegerman, *Dr.* Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, Dr. Katzenellenbogen, Kajetan Kopacz, Felicjan Milerowicz, Dr. Mroczkowski, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, Dr. Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto: Jerzy Koudelka, w Staremmieście.

Storożyniec (na Bukowinie): Dr. Edward Weisstein, w Storożyńcu.

Stryj: Henryk Camil, Józef Kosterkiewicz, Juliusz Kuhn, Józef Lechicki, Marceli Manasterski, ck. Starosta i Franciszek Pilecki, w Stryju.

Tarnobrzeg: Karol Blich, Dr. A. Reifer i Franciszek Riess, w Tarnobrzegu.

Tarnopol i pow. tarnopolski: B. H., Dr. Celestyn Blaustein, Dr. Delinowski, Jakub Gall, Dr. Gładyszewski, Hirschhorn, Ingwer, Michałowski, Rossin, Dr. Schmidt, Karol Schrayer, Silkiewicz, Dr. Sternklar, August Szczurowski, Bolesław Tencza, Dr. Trzcieniecki, Dr. Józef Weisstein, Leon Willner, Wincenty Winiarz i Władysław Wszelaczyński, w Tarnopolu, Jakub Willner, w Biale i Cywiński, w Płotyczach.

Tarnów: Ks. Czesław Bogdalski, Dr. Goldhamer, M. Grabowski, Kornel Kossak, Dr. Lerner, Dr. Merz, Nunberg, Okuniewski, J. O. Ks. Ludwik Łodzia Poniński, ck. Starosta i Radca Namiestnictwa, Dr. Ringelheim, Karol Rudolf, Dr. Stojałowski, i Ryszard Zawadzki, ck. Prezydent Sądu w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Ferall i Sierpiński, w Tłumaczu, Burkiewicz, Kobuzowski, Wichański i Witosławski, burmistrz w Tyśmienicy, Jan Potocki, ck. emerytowany Starosta w Gajach.

Trembowla: Karol Berchardt, Dr. Józef Korczak Horodyski, ks. Kaliniewicz, Jan Leśniański, Stanisław Lipnicki, Dr. Julian Olpiński, burmistrz miasta i Jarosław Paczkowski, w Trembowli.

Wadowice i pow. wadowicki: Dr. Iwański, Lipka i Wilczyński, w Wadowicach, Andrzej Imiał, w Kalwarji Zebrzydowskiej.

Wiedeń: Bernard Kohn i Herman Mises, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Jan Bohosiewicz, Antoni Baron Kapri, Władysław Romaszkan, Józef Rudkowski, Antoni Sworakowski, Ferdynand Syrzistie, ck. Starosta i Węgrzynowicz, w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Adolf Frank, Antoni Gross, Dr. Omeis, Antoni Piskozub i *Dr.* Schrenzel, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Ks. Symforian Gdowski, Edward Kruh, Kukawski, Petter, Dr. Tyralski i ks. Tobiasz Ucherek, w Zbarażu.

Złoczów: Garfein, *Dr.* Misky, Wilhelmina Niedźwiedzka, *Dr.* Wesołowski i Antoni Wybranowski, w Złoczowie.

Pow. żydaczowski: Antoni Beer i Antoni Stecher, w Mikołajowie, Stroński, w Drohowyżu, Bałaban, *Dr.* Chomicki i Tyszkiewicz, w Żurawnie.

TREŚĆ.

SPIS RYCIN.

Domicjan Mieczkowski, (rycina tytułowa, według fotografii Piotra Mieczkowskiego ze Lwowa.) — Inicjałka, (według fotografii Franciszka Schofera ze Sambora, str. 3.) — Z wystawy czerniowieckiej, (5 rycin, według rysunku profesora Karola Romorfera z Czerniowiec.) Główny portal, (str. 87.) — Hala agrykulturalna, (obraz dodatkowy między str. 88. a 89.). — Strzelnica, (str. 105.) Hala maszynowa, z przodu widziana (str. 107.) — Hala maszynowa, z boku widziana (str. 109.) — Mikołaj Bołoz Antoniewicz, (według fotografii Karola Jagemana z Wiednia, str. 262.) — Śródmieście stryjskie po pożarze, (3 ryciny według fotografij W. Nowickiego ze Stryja.) Ruiny rynku ze strony wschodniej, (str. 288.) — Ruiny rynku ze strony zachodniej, (str. 290.) — Ruiny rynku ze strony północnej, (str. 292.) — Szpital Ozyasza Gotthelfa, (według fotografii Fr. Schofera ze Sambora, str. 301.)

SPROSTOWANIE POMYŁEK.

Str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
70	14	a biały fartuszek	biały fartuszeczek
98	18	współplemieńcow	współplemieńców
117	19	pogańścy syny	pogańskie syny
144	15	spsobności	sposobności
176	17	sie	się
229	16	słuchal	słuchał
296	24	użaliło	użalało
336	22	muzułmańskio	muzułmańskie

Dla publicznej wiadomości!

Niżej podpisany wydawca „Roczników Samborskich“ uwiadamia niniejszem P. T. Publiczność, iż nowo przystępujący przedpłaciciele na wydawnictwo samborskie mogą dawniejsze tomy tego wydawnictwa, t. j. 6., 7., 8. i 9., jak długo zapas starczy, nabyć po zniżonej cenie $1^1/_2$ złr. za tom. Kto zamówi wszystkie te roczniki razem, albo część takowych, ten otrzyma dawniejsze a w handlu księgarskim wyczerpane odbitki bezpłatnie. Wysyłka następuje franko. Zamówienia przekazem można uczynić w biurze redakcyjnem w Samborze rynek l. 28., albo też w drukarni pp. Schwarza i Trojana.

Również uwiadamia wydawca o tem, że zamówić u niego będzie można olbrzymie dzieło pod tytułem:

„Polska w świetle niemieckiej poezji“

pod warunkami w prospekcie do jedenastego rocznika ogłosić się mającymi.

G. Kohn,
redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“

DRUKARNIA
SCHWARZA i TROJANA
W SAMBORZE,

przyjmuje i wykonuje wszelkiego rodzaju zamówienia w zakres sztuki drukarskiej wchodzące.

Ceny najumiarkowańsze.

Druk czysty i ozdobny.